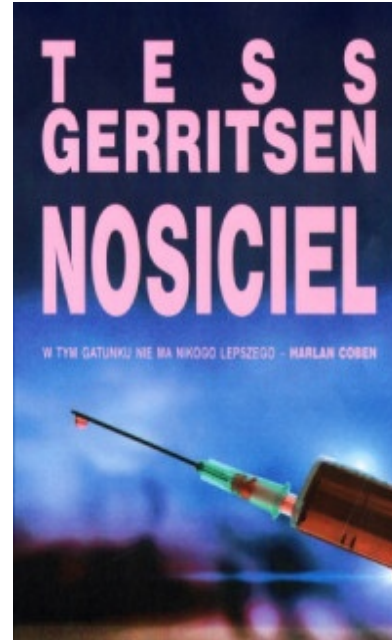


**TESS GERRITSEN
NOSICIEL**



Podziękowania

Winna jestem podziękowania:

Mojemu mężowi Jacobowi, po tylu latach wciąż najlepszemu przyjacielowi.

Meg Ruley, mojemu aniołowi stróżowi i cudotwórczyni, która chodzi po wodzie.

Jane Berkey i Donowi Cleary'emu za ich wskazówki.

Mojej wspaniałej redaktorce Emily Bestler.

Paniom z klubu śniadaniowego za cotygodniową dawkę zdrowego rozsądku.

Świętej pamięci Perleyowi Sprague'owi, komendantowi policji w Rockport. Jego życzliwość stanowiła inspirację.

I w końcu miasteczku Camden w stanie Maine, najlepszemu miejscu na ziemi dla pisarza.

Możecie być pewni, że ta książka nie jest o was.

Prolog

TRANQUILITY W STANIE MAINE, 1946

Przecież jej nie znajdzie, jeśli ona będzie siedzieć cicho i nieruchomo. Pewnie myśli, że zna wszystkie jej kryjówki, ale nigdy nie odkrył tej sekretnej niszy, tego zagłębienia w ścianie piwnicy, za półkami, na których mama trzyma przetwory. Kiedy była mała, zawsze wślizgiwała się tu podczas zabawy w chowanego i chichotała cichutko, on zaś szukał jej we wszystkich pokojach. Czasem bawili się tak długo, że zasypiała w kryjówce i budziła się dopiero po kilku godzinach, słysząc pełne niepokoju wołanie mamy.

Teraz znów się tu wsunęła, w swoją piwniczną kryjówkę. Tylko że nie jest już dzieckiem. Ma czternaście lat i z trudem mieści się we wnęce. Ale tym razem nie chodzi o beztruską zabawę w chowanego.

Słyszała, jak szuka jej na górze. Miotał się po domu, przeklinając i rozwalając meble.

Błagam, błagam, niech ktoś nam pomoże. Niech ktoś go spłoszy.

Słyszała, jak wyrzaskuje jej imię: „Iris!”. Kroki rozlegały się teraz w kuchni, zbliżały do drzwi piwnicy. Zacisnęła dłonie w pięści. Serce waliło jej jak młotem.

Nie ma mnie tu. Jestem daleko stąd, uciekam, lecę przez nocne niebo...

Drzwi do piwnicy otwały się gwałtownie, uderzając o ścianę. Na tle rozświetlonego otworu u szczytu schodów zarysowała się jego sylwetka.

Sięgnął do sznurka lampy i blask nagiej żarówki nieco rozjaśnił przepastną piwnicę. Kuląc się za rzędami słoików z domowymi przetworami z pomidorów i ogórków, Iris słyszała, jak schodzi po schodach. Każde skrzypnięcie przybliżało go do niej. Wcisnęła się głębiej we wnękę, niemal rozplaszczając się na kruszących się kamieniach i zaprawie, i zamknęła oczy, żałując, że nie może stać się niewidzialna. Poprzez głośnie bicie serca słyszała, że zszedł na sam dół.

Niech mnie nie dostrzeże. Niech mnie nie dostrzeże.

Kroki rozległy się obok półek z przetworami i skierowały w odległy kąt piwnicy. Kopnął pudło. Puste słoiki rozbiły się na kamiennej podłodze. Teraz wracał i słyszała jego głośny oddech, przerywany jakby zwierzęcym charkotem. Ona sama oddychała płytko i szybko, a dłonie zacisnęła tak mocno, że omal nie pękły jej kości. Doszedł do półek z przetworami i się zatrzymał.

Otworzyła oczy i przez szczelinę między słoikami zobaczyła, że on stoi dokładnie naprzeciw niej. Zsunęła się niżej, skuliła jeszcze bardziej, usiłując się usunąć z jego linii widzenia. Sięgnął po słoik i cisnął nim o podłogę. Wokół rozszedł się ostry, octowy zapach pikli. Sięgnął po drugi słoik, potem nagle odstawił go z powrotem, jakby przyszedł mu do głowy lepszy pomysł. Odwrócił się i poszedł na górę, przed wyjściem pociągnąwszy za sznurek wyłączający światło.

Znów znalazła się w ciemnościach.

Kroki na górze przeszły na front domu, a potem zapanowała cisza.

Czy wyszedł? Czy wreszcie sobie poszedł?

Trwała na miejscu bez ruchu, nie śmiejąc nawet drgnąć. Mijały minuty. Liczyła je powoli w myślach. Dziesięć. Dwadzieścia. Łapały ją skurcze, tak bolesne, że musiała zagryzać wargi, by nie jęczeć głośno.

Godzina.

Dwie godziny.

Wciąż żadnych odgłosów z góry.

Powoli wysunęła się z kryjówki. Stała w ciemnościach, czekając, aż krew znów zacznie krążyć w jej żyłach, aż do nóg wróci czucie. Nasłuchując, cały czas nasłuchując.

Nic nie słyszała.

W piwnicy nie było okna, nie wiedziała więc, czy na dworze wciąż jeszcze jest ciemno. Przeszła nad rozbitym szkłem i zbliżyła się do schodów. Wspinała się powoli, zatrzymując się na każdym stopniu i nasłuchując. Gdy w końcu dotarła na szczyt, jej dłonie były tak lepkie, że musiała je wytrzeć o bluzkę przed otwarciem drzwi piwnicy.

W kuchni paliło się światło i wszystko wyglądało zdumiewająco zwyczajnie. Mogłaby niemal uwierzyć, że horror ostatniej nocy był tylko koszmarnym snem. Scienny zegar tykał głośno, wskazując piątą rano. Na dworze wciąż panowały ciemności.

Na palcach podeszła do drzwi kuchni i zajrzała do holu. Jeden rzut oka na rozbite meble i plamy krwi na tapetach powiedział jej, że nie śniła. Jej dłonie znów stały się lepkie od potu.

W holu nie było nikogo, a drzwi frontowe stały otworem.

Musi wydostać się z domu. Pobiec do sąsiadów, na policję.

Ruszyła przez hol. Każdy krok przybliżał ją do wolności. Przerazenie wyostrzyło jej zmysły do

tego stopnia, że rejestrowała każdą drzazgę leżącą na kwiecistym dywanie, każde tyknięcie kuchennego zegara. Dotarła już niemal do drzwi.

Minęła balustradę schodów i zobaczyła matkę leżącą na stopniach głową w dół. Nie mogła oderwać od niej wzroku. Długie włosy mamy spływały po schodach czarną kaskadą.

Poczuła mdłości. Rzuciła się do wyjścia.

Stał tam, trzymając w ręku siekiere.

Odwróciła się ze szlochem i pobiegła w górę po schodach. Mało brakowało, a poślizgnęłaby się na krwi matki. Słyszała, że on gna za nią na górę. Zawsze była od niego szybsza, a przerażenie dodało jej siły, więc zniknęła jak spanikowany kot.

Na piętrze mignęło jej ciało ojca leżące w drzwiach sypialni. Nie było czasu, by o tym myśleć, by potworność tego, co się dzieje, mogła w pełni do niej dotrzeć. Dobiegła na górę i wpadła do pokoju w wieżycze.

W ostatniej chwili zatrzasnęła drzwi i zasunęła zasuwkę.

Ryknął z wściekłością i zaczął się dobijać do pokoju.

Rzuciła się do okna i otworzyła je. Spojrzała w dół i uświadomiła sobie, że skok stąd byłby śmiertelny. Ale pokój miał tylko jedno drzwi.

Zerwała firankę. Lina. Muszę zrobić linę! Przywiązała jeden koniec materiału do rury kaloryfera, zdarła drugą firankę i dowiązała do pierwszej.

Rozległ się huk i poczuła uderzenie małego kawałka drewna. Zerknęła za siebie i z przerażeniem zobaczyła tkwiący w drzwiach czubek siekiery. Zaraz znikł, bo siekiere uniesiono do zadania kolejnego ciosu. Za chwilę rozwali drzwi!

Zerwała trzecią firankę i drżącymi rękami dowiązała do poprzednich.

Siekiera znów uderzyła. Szczelina w drewnie drzwi się rozszerzyła, kolejne drzazgi poleciały do

pokoju.

Szarpnęła czwartą firankę, ale gdy zawiązywała ostatni węzeł, wiedziała już, że lina nie będzie wystarczająco długa. Zrozumiała, że jest za późno.

Odwróciła się, by stanąć twarzą do drzwi. Siekiera przebiła je właśnie na wylot.

Rozdział pierwszy

TERAŹNIEJSZOŚĆ

- To się dla kogoś źle skończy - orzekła doktor Claire Elliot, wyglądając przez kuchenne okno. Nad jeziorem wisiała mgła gęsta jak dym, chwilami całkowicie zasłaniając nawet rosnące koło domu drzewa. Rozległ się kolejny strzał, tym razem bliżej. Claire od brzasku słyszała strzelaninę i prawdopodobnie będzie ją słyszeć aż do zmroku, ponieważ był właśnie pierwszy dzień listopada - początek sezonu łowieckiego. Gdzieś przez las przedzierał się na pół oślepiony przez mgłę mężczyzna ze strzelbą, wyobrażając sobie, że wokół tańczą cienie saren o białych ogonach.

- Chyba nie powinienes czekać na dworze na autobus - powiedziała Claire. - Odwiozę cię do szkoły.

Noah, ponury i zgarbiony, nie odpowiedział. Nabrał na łyżkę kolejną porcję płatków Cheerios i wsunął do ust. Miał czternaście lat, a wciąż jadł jak dwulatek - rozlewając mleko i krusząc grzanki. Nie patrzył na nią, zupełnie jakby napotkanie jej wzroku miało oznaczać spojrzenie w oczy Meduzy. Co za różnica, czy patrzy, czy nie, pomyślała smutno. Mój najdroższy syn zamienił się w kamień.

- Odwiozę cię do szkoły, Noah - powtórzyła.
- Nie trzeba. Pojadę autobusem. - Wstał, chwycił plecak i deskorolkę.
- Ci myśliwi nie widzą, do czego strzelają. Przynajmniej włóż pomarańczową czapkę, żeby cię nie wzięli za jelenia.

- Wyglądam w niej kretyńsko.
- Możesz ją zdjąć w autobusie. Włóż tylko na razie. - Zdjęła z półki zrobioną na drutach czapkę i podała synowi.

Spojrzał na czapkę, a potem w końcu przeniósł wzrok na nią. W ciągu ostatniego roku urósł kilkanaście centymetrów, więc byli teraz tego samego wzrostu. Gdy mierzyli się wzrokiem, żadne nie miało przewagi. Ciekawa była, czy Noah tak samo wyraźnie zdaje sobie sprawę z ich nowej fizycznej równości. Niegdyś mogła go przytulać, a on odwzajemniał jej uścisk. Teraz dziecko zniknęło, miękkie ciało stwardniało, obrósł mięśniami, twarz nabrała nowej wyrazistości.

- Proszę - powiedziała, wciąż trzymając czapkę w wyciągniętej dłoni.

W końcu westchnął, wziął czapkę i nacisnął ją na ciemne włosy. Powstrzymała uśmiech. Rzeczywiście wyglądał głupawo. Ruszył już ku drzwiom, gdy zawołała:

- A buzi na do widzenia?

Odwrócił się z wymownym spojrzeniem, cmoknął ją lekko w policzek i już go nie było.

Żadnych pieszczot, pomyślała ze smutkiem, patrząc za nim przez okno. Teraz ma dla mnie tylko pomruki, wzruszenia ramion i chwile niezręcznego milczenia.

Zatrzymał się pod klonem na końcu podjazdu, ściągnął czapkę i stał z rękoma wbitymi w kieszenie, skulony z zimna. Bez kurtki, jedynie w cienkiej szarej bluzie przy zaledwie kilku stopniach powyżej zera. Marznięcie było szpanem. Zwalczyła chęć, by wybiec za nim z kurtką.

Claire czekała tak do przyjazdu szkolnego autobusu. Jej syn wsiadł bez jednego spojrzenia za siebie. Widziała, jak idzie przejściem między siedzeniami i zajmuje miejsce koło jakiejś dziewczyny. Co to za dziewczyna? Nie znam teraz imion kolegów mojego syna, pomyślała. Zajmuję już tylko malutki kącik w jego świetle. Wiedziała, że tak musiało się stać - to odsuwanie się, ta walka dziecka o niezależność - ale nie zdążyła się do tego przygotować. Przemiana była tak nagła, jakby

pewnego ranka z domu wyszedł miły chłopczyk, a wieczorem powrócił ktoś obcy. Jesteś wszystkim, co mi zostało po Peterze. Nie mogę stracić także i ciebie.

Autobus odjechał.

Claire wróciła do kuchni i usiadła nad filiżanką wystygłej kawy. Dom wydawał się pusty i cichy, jakby wciąż pogrążony w żałobie. Westchnęła i otworzyła miejscowy tygodnik „Tranquility Gazette”. „Obfitość zwierzyny płowej zwiastuje dobre łowy” - widniał tytuł na pierwszej stronie. Polowanie rozpoczęło. Trzydzieści dni, by ubić jelenia.

Od strony lasu dobiegł ją kolejny strzał.

Odwróciła stronę, szukając kroniki policyjnej. Nie było tam jeszcze mowy o wczorajszych rozróżkach związanych z Halloween ani o aresztowaniu siedmiu nastolatków, którzy zbyt daleko posunęli się w płatanych tego dnia figlach. Za to wśród doniesień o zaginionych psach i skradzionym drewnie opałowym, pod nagłówkiem „Wykroczenia”, widniało jej nazwisko: „Claire Elliot, lat 40, prowadziła samochód bez ważnego świadectwa kontroli technicznej”. Wciąż jeszcze nie zawiozła swojego subaru na przegląd, więc dzisiaj, by uniknąć kolejnych nieprzyjemności, będzie musiała wziąć furgonetkę. Z irytacją przewróciła kolejną stronę i czytała prognozę pogody - zimno i wietrznie, najwyższa temperatura parę stopni powyżej zera, możliwe przymrozki - gdy zadzwonił telefon. Wstała, by podnieść słuchawkę.

- Halo?

- Doktor Elliot? Mówi Rachel Sorkin z Toddy Point Road. Mam tu nagły wypadek. Elwyn właśnie się postrzelił.

- Co takiego?

- No wie pani, ten idiota Elwyn Clyde. Wkroczył bez pytania na mój teren, ścigając jakieś biedne zwierzę. Zabił je zresztą. Piękną sarnę, dokładnie przed moim domem. Och, ci głupi mężczyźni i

ich głupia broń.

- A co z Elwynem?
- Potknął się i strzelił sobie w stopę. Dobrze mu tak.
- Powinien pojechać prosto do szpitala.
- Z tym jest właśnie problem. Nie chce jechać do szpitala i nie pozwala mi wezwać karetki. Chce, żebym jego i sarnę odwiozła do domu. A na to ja się nie zgadzam. Więc co mam z nim zrobić?

- Bardzo krwawi?

Usłyszała, jak Rachel woła:

- Hej, Elwyn! Elwyn! Krwawisz?

Po chwili Rachel znów podniosła słuchawkę.

- Mówi, że nic mu nie jest, chce tylko, żeby go odwieźć do domu. Ale ja go nie odwiozę, a już na pewno nie odwiozę tej sarny.

Claire westchnęła.

- Chyba przyjadę i zobaczę, co się da zrobić. Mieszka pani przy Toddy Point?
- Jakieś półtora kilometra za Skałami. Na skrzynce pocztowej jest moje nazwisko.

Mgła zaczynała opadać, gdy Claire skręciła w Toddy Point Road. Między pniami sosen przeblyskiwało jezioro Locust, nad którym mgła unosiła się jak para. Promienie słońca zaczynały się już przez nią przebijać, rzucając złote plamy na wodę. Po drugiej stronie rysował się północny brzeg jeziora, ledwo widoczny przez snującą się jeszcze mgłę, zabudowany letnimi domkami, w większości zamkniętymi na zimę. Ich bogaci właściciele wrócili już do Bostonu lub Nowego Jorku. Claire jechała wzdłuż południowego brzegu, gdzie stały skromniejsze domy -

niektóre z nich to po prostu dwuizbowe chatki ukryte wśród drzew.

Minęła Skały - granitowe bloki, przy których miejscowe nastolatki kąpały się latem - i wkrótce dostrzegła skrzynkę na listy z nazwiskiem Sorkin.

Do domu prowadził wyboisty podjazd. Sam budynek stanowił dziwną, kapryśną konstrukcję, z przypadkowo dobudowywanymi pokojami i narożnikami wystającymi w niespodziewanych miejscach. Nad tym wszystkim, niby przebijający przez dach czubek kryształu, wznosiła się przeszklona wieżyczka. Do ekscentrycznej osoby pasuje ekscentryczny dom, a Rachel Sorkin należała do niezwykłych postaci Tranquility. Była to czarnowłosa kobieta o uderzającym wyglądem, która raz w tygodniu pojawiała się w mieście, owinięta w fioletową pelerynę z kapturem. Ten dom pasował do kobiety w kapturze.

Przy schodkach prowadzących na ganek, tuż koło zadbanego ziołowego ogródka, leżała zabita sarna.

Claire wysiadła z furgonetki. Z lasu natychmiast wybiegły dwa psy i zastąpiły jej drogę, szczekając i warcząc. Pilnują zdobyczy, uświadomiła sobie.

Na ganku pojawiła się Rachel.

- Wynoście się stąd, cholerne zwierzaki! - wrzasnęła. - Do domu!

Złapała stojącą na ganku miotłę i zbiegła po schodkach, z rozwianymi długimi, czarnymi włosami, trzymając ją przed sobą jak lancę. Psy się wycofały.

- Ha! Tchorze! - rzuciła Rachel, szarżując na nie z miotłą.

Psy uciekły w las.

- Hej, zostaw w spokoju moje psy! - krzyknął Elwyn Clyde, który kulejąc, wyszedł na ganek. Elwyn stanowił znakomity przykład ślepej uliczki ewolucji: pięćdziesięcioletni kawał ciała obciążony flanelą, skazany na starokawalerstwo. - Nie robią nic złego, pilnują tylko mojej sarny.

- Elwyn, mam dla ciebie nowinę. Zabiłeś to biedne zwierzę na moim terenie. Więc jest moje.
- A po co ci sarna, ty przeklęta wegetarianko!?

- Jak tam twoja stopa, Elwyn? - przerwała Claire. Spojrzał na nią i zamrugał, jakby zdziwiony jej widokiem.

- Potknąłem się - powiedział. - Nic takiego.

- Rana postrzałowa to zawsze coś. Mogę popatrzeć?

- Nie mam czym zapłacić... - Przerwał i uniósł jedną brew, zdradzając, że wpadł na chytry pomysł. - Chyba że zechce pani trochę dziczyzny.

- Chcę się tylko upewnić, że nie wykrwawisz się na śmierć, a rozliczymy się kiedy indziej. Mogę zobaczyć twoją stopę?

- Jak pani chce - odrzekł, zwracając do środka.

- To dopiero będzie frajda - zakpiła Rachel.

W kuchni było ciepło. Rachel dorzuciła do pieca brzoszowe polano. Słodki dym rozsnuł się po kuchni, zanim zamknęła z powrotem żeliwną pokrywę.

- Zobaczmy tę stopę - powiedziała Claire.

Utykając, Elwyn doszedł do krzesła. Zostawił na podłodze krwawe ślady. Miał na nodze skarpetkę. Koło dużego palca widniała dziura, jakby szczur wygryzł kawałek wełny.

- Wcale mnie nie boli - powiedział. - Moim zdaniem, nie warto się tak tym przejmować.

Claire przyklękła i zdjęła mu skarpetkę, która ściągała się wolno, bo do skóry przyklejały ją krew, pot i martwa skóra.

- Boże drogi, Elwyn! - Rachel zakryła nos dłonią. - Czy ty nigdy nie zmieniasz skarpetek?

Kula przebiła ciało na wylot między dużym a drugim palcem. Claire znalazła pod spodem ranę wylotową. Elwyn już prawie nie krwawił. Usiłując nie udusić się smrodem, sprawdziła, czy

wszystkie palce się ruszają, i uznała, że żaden nerw nie został uszkodzony.

- Będziesz musiał oczyścić stopę i codziennie zmieniać bandaże - powiedziała. - I powinieneś się zaszczepić przeciw tężcowi.

- Już byłem szczepiony.

- Kiedy?

- Rok temu zaszczepił mnie stary doktor Pomeroy. Kiedy się postrzeliłem.

- Co roku ci się to przytrafia?

- Wtedy to była druga noga. Nic takiego.

Doktor Pomeroy umarł w styczniu. Gdy osiem miesięcy temu Claire odkupiła jego praktykę, odziedziczyła także całą starą dokumentację medyczną. Może sprawdzić kartę Elwyna i datę ostatniego szczepienia.

- Chyba na mnie wypadło oczyszczenie tej stopy - oświadczyła Rachel z rezygnacją.

Claire wyjęła z torby lekarskiej małą buteleczkę betadyny.

- Proszę to dodać do wiadra ciepłej wody. Niech wymoczy stopę.

- Sam mogę to zrobić - powiedział Elwyn, wstając.

- W takim razie możemy ją od razu amputować! - ucięła Rachel. - Siadaj, Elwyn!

- O rany - westchnął i usiadł.

Claire położyła na stole kilka opakowań bandażu i gazy.

- Za tydzień przyjdź do mojego gabinetu, obejrzę, czy się goi.

- Mam za dużo roboty...

- Jeśli nie przyjdiesz, dopadnę cię.

Zamrugnął ze zdumieniem.

- Dobrze, pani doktor - zgodził się pokornie.

Ukryła uśmiech, wzięła torbę lekarską i wyszła. Przed domem psy walczyły o brudną kość. Na widok Claire przestały i się najeżyły. Czarny zbliżył się do niej i warknął.

- Idź sobie - powiedziała Claire, ale zwierzę nie zareagowało. Podeszło jeszcze bliżej, szczerząc kły. Drugi pies dostrzegł swoją szansę. Złapał kość i rzucił się do ucieczki. Był już w połowie podwórka, gdy czarny zauważył kradzież i rzucił się w pościg. Szczekając i warcząc, psy tarzały się po podwórku niczym płowoczarna kula. Zapomniana kość leżała koło furgonetki Claire.

Claire otworzyła drzwi samochodu i wsuwała się już za kierownicę, gdy nagle uświadomiła sobie, co zobaczyła. Spojrzała na ziemię. Kość miała niecałe trzydzieści centymetrów długości i rdzawobrazowy kolor. Jeden koniec się odłamał, pozostawiając ostre szpikulce. Drugi koniec był cały i pozwalał rozpoznać, co to jest.

Była to kość udowa. Ludzka.

Lincoln Kelly, komendant policji w Tranquility, dogonił w końcu swoją żonę piętnaście kilometrów za miastem.

Jechała osiemdziesiątką skradzionym chevroletem, zamiatając tyłem od jednego brzegu drogi do drugiego. Obluzowana rura wydechowa nieciła iskry przy każdej nierówności na drodze.

- Och, jak rany - powiedział siedzący obok Lincolna Floyd Spear. - Doreen dziś naprawdę odbiło.
- Cały ranek byłem na szosie - oznajmił Lincoln. - Nie miałem kiedy do niej zajrzeć. - Włączył syrenę z nadzieją, że to skłoni Doreen do zwolnienia. Zamiast tego kobieta dodała gazu.

- I co teraz? - spytał Floyd. - Mam wezwać posiłki?

Posiłki oznaczały Hanka Dorra, bo tylko on jeszcze patrolował tego ranka ulice.

- Nie - powiedział Lincoln. - Spróbuj ją namówić, żeby się zatrzymała.

- Przy dziewięćdziesiątce?
- Weź megafon.
- Hej, Doreen, zatrzymaj się! No, kochanie, zrobisz komuś krzywdę! - rozległ się przez megafon głos Floyda.

Chevrolet nadal jechał slalomem.

- Możemy poczekać, aż skończy jej się benzyna - zaproponował Floyd.
- Mów do niej.
- Doreen, Lincoln tu jest! No dalej, kochanie, zatrzymaj się! Chce cię przeprosić!
- Chcę co?!
- Zatrzymaj się, Doreen, niech sam ci to powie!
- O czym ty, do diabła, mówisz? - zdenerwował się Lincoln.
- Kobiety zawsze chcą, żeby mężczyźni je przeproszali.
- Ale ja nic nie zrobiłem!

W samochodzie przed nimi nagle zapaliły się światła stopu.

- Widzisz? - powiedział Floyd, gdy chevrolet zjechał na pobocze. Lincoln zatrzymał wóz patrolowy i wysiadł.

Doreen siedziała zgarbiona za kierownicą. Rude włosy miała potargane, ręce jej się trzęsły. Lincoln otworzył drzwiczki, sięgnął przez żonę i wyjął kluczyki ze stacyjki.

- Musisz pojechać z nami na posterunek, Doreen - oznajmił zmęczonym głosem.
- Kiedy wrócisz do domu, Lincoln? - spytała.
- Później o tym porozmawiamy. No, kochanie, przesiądź się do mojego wozu. - Ujął ją za łokieć, ale strząsnęła jego dłoń i uderzyła ją.
- Chcę wiedzieć, kiedy wrócisz do domu - powtórzyła.

- Już wiele razy o tym rozmawialiśmy.
- Wciąż jesteśmy małżeństwem. Wciąż jeszcze jesteś moim mężem.
- Nie ma sensu dalej o tym mówić. - Znowu ujął ją za łokieć i już niemal udało mu się wyciągnąć ją z samochodu, gdy odsunęła się i wymierzyła mu cios w szczękę. Zatoczył się do tyłu, w głowie mu zaszumiało.

- Hej! - Floyd chwycił Doreen za ramiona. - Hej, co ty wyrabiasz!

- Puść mnie! - wrzasnęła. Wyrwała się Floydowi i znow zamierzyła się na męża.

Tym razem Lincoln zrobił unik, co tylko bardziej rozwścieczyło Doreen. Zamachnęła się jeszcze raz, zanim Lincolnowi i Floydowi udało się unieruchomić jej ręce.

- Niechętnie to robię, ale dziś nie można z tobą postępować po dobroci - powiedział Lincoln, zakładając żonie kajdanki. Plunęła mu w twarz. Wytarł się rękawem i cierpliwie usadził Doreen na tylnym siedzeniu wozu patrolowego.

- O rany - rzekł Floyd. - Wiesz, że będziesz musiał ją zarejestrować.

- Wiem - westchnął Lincoln, siadając za kierownicą.

- Nie możesz się ze mną rozwieść, Lincoln! - odezwała się Doreen. - Obiecałeś mnie kochać i wielbić!

- Ale nic nie wiedziałem o picu - uciął, zawracając samochód.

Bez pośpiechu wracali do miasta. Przez całą drogę Doreen równo klęła. To wszystko przez picie. Alkohol odkorkowywał butelkę z dręczącymi ją demonami.

Lincoln wyprowadził się z domu dwa lata temu. Uznał, że poświęcił swojemu małżeństwu moc wysiłków i dziesięć lat życia. Poddawanie się nie leżało w jego naturze, ale w końcu rozpacz wzięła górę. Do tego doszło poczucie, że ma czterdzieści pięć lat, a życie, pozbawione radości i prowadzące donikąd, przemija nieuchronnie. Żałował, że nie potrafi dać Doreen tego, czego

potrzebuje, że nie czuje już do niej tego, co czuł w początkach małżeństwa, gdy była wesoła i trzeźwa i nie poddawała się, tak jak teraz, atakom wściekłości. Czasem szukał w sercu śladów miłości, jakiejś iskry wśród popiołów, ale niczego nie znajdował. Popioły wystygły. A on był zmęczony.

Próbował ją wspierać, ale Doreen nie myślała na tyle jasno, by sobie samej pomóc. Co parę miesięcy, gdy poziom jej gniewu osiągał punkt wrzenia, piła przez cały dzień. Później „pożyczała” sobie czyjś samochód i wyruszała na jedną ze swych słynnych przejażdżek na pełnym gazie. Ludzie w miasteczku wiedzieli, że gdy Doreen Kelly siada za kierownicą, lepiej trzymać się z dala od drogi.

W komisariacie Lincoln zostawił Floydowi papierkową robotę i zamknięcie Doreen. Przez dwie pary drzwi dzielących go od celi słyszał, jak żona domaga się adwokata. Zapewne powinien jakiegoś wezwać, choć nikt w Tranquility, ba, nikt aż po Bangor nie chciał jej reprezentować. Usiadł przy biurku i przeglądał wizytówki, szukając nazwiska jakiegoś prawnika. Kogoś, do kogo nie dzwonił już od dłuższego czasu. Kogoś, komu nie przeszkadza, gdy klient go przeklina.

Za dużo spadło na niego od samego rana. Odsunął od siebie wizytownik i przeczesał palcami włosy. Doreen wciąż wrzeszczała w celi. Wszystko to znajdzie się w tej wścibskiej „Gazette”, a potem przedrukują to gazety w Bangor i Portland, ponieważ cały cholerny stan Maine uważał, że sytuacja jest śmieszna i niezwykła. Szef policji w Tranquility aresztuje własną żonę. Znowu.

Sięgnął po telefon. Wybierał właśnie numer adwokata Toma Wileya, gdy ktoś zapukał do drzwi. Lincoln uniósł wzrok i ujrzał wchodzącą do gabinetu Claire Elliot. Odłożył słuchawkę.

- Cześć, Claire - powiedział. - Masz już nalepkę kontroli technicznej?
- Jeszcze nie zdążyłam się tym zająć. Ale nie przyszłam tu w sprawie samochodu. Chcę ci coś pokazać.

Położyła na biurku brudną kość.

- Co to takiego?
- Kość udowa.
- Co?
- Kość udowa. Chyba ludzka.

Przyglądał się pokrytej brudem kości. Jeden koniec był odłamany, a na reszcie widniały ślady zwierzęcych zębów.

- Gdzie to znalazłaś?
- U Rachel Sorkin.

- A skąd Rachel to miała?

- Psy Elwyna Clyde'a przyciągnęły to na jej podwórko. Nie wie skąd. Pojechałam tam rano, bo Elwyn postrzelił się w stopę.

- Znowu? - Lincoln wzniosł oczy do nieba i oboje wybuchnęli śmiechem. Jeśli każda wieś ma własnego błazna, to błaznem Tranquality był Elwyn.

- Wszystko z nim w porządku - powiedziała. - Ale ranę postrzałową należy chyba zgłosić.

- Uznajmy, że to zrobiłaś. Mam już całą teczkę na temat Elwyna i jego ran postrzałowych. - Wskazał krzesło. - A teraz opowiedz mi o tej kości. Czy jesteś pewna, że to ludzka?

Usiadła. Choć patrzyli sobie w oczy, czuł niemal namacalnie dzielącą ich barierę rezerwy. Było tak już od pierwszego spotkania, wkrótce po przybyciu Claire do miasta, gdy wezwano ją do skarżącego się na bóle brzucha więźnia, przebywającego w składającym się z trzech cel areszcie w Tranquality. Od początku budziła ciekawość Lincolna. Gdzie jest jej mąż? Dlaczego sama wychowuje syna? Nie odważył się jednak zadawać osobistych pytań, a ona nie zachęcała do bliższej znajomości. Zachowywała się sympatycznie, ale z rezerwą, i nie dopuszczała nikogo zbyt

blisko. Szkoda, bo była ładną kobietą, niewysoką, lecz silną, z błyszczącymi oczyma i masą kręconych brązowych włosów, w których zaczynały pojawiać się pierwsze srebrne nitki. Pochyliła się i oparła dłonie na biurku.

- Nie jestem żadnym ekspertem - powiedziała - ale nie wiem, od jakiego innego zwierzęcia mogłaby pochodzić ta kość. Sądząc po wielkości, wygląda na kość dziecka.

- Czy zauważyłaś tam jakieś inne kości?

- Przeszukałyśmy z Rachel podwórze, ale nic nie znalazłyśmy. Psy mogły ją przyciągnąć gdzieś z lasu. Będziesz musiał przeszukać cały rejon.

- Może pochodzić z dawnego indiańskiego miejsca pochówku.

- Niewykluczone. Ale czy i tak nie powinien jej zbadać specjalista? - Nagle odwróciła się i przechyliła głowę. - Co to za zamieszanie?

Lincoln się zarumienił. Doreen znów wrzeszczała w celi.

- Niech cię diabli wezmą, Lincoln! Ty bydlaku! Ty kłamco! Będziesz się smażył w piekle!

- Coś mi się wydaje, że ktoś cię nie lubi - zauważyła Claire.

Westchnął i przycisnął rękę do czoła.

- To moja żona.

W spojrzeniu Claire pojawiło się współczucie. Najwyraźniej znała jego problemy. Wszyscy w mieście je znali.

- Tak mi przykro - powiedziała.

- Hej, ty fajtłapo! - krzyczała Doreen. - Nie masz prawa mnie tak traktować!

Z wysiłkiem skupił uwagę na kości.

- Ile lat, twoim zdaniem, miała ofiara?

Ujęła kość i obróciła w rękach. Przez chwilę trzymała ją z szacunkiem, w pełni świadoma, że

należała niegdyś do śmiejącego się, biegającego dziecka.

- Była młoda - mruknęła. - Chyba nie miała dziesięciu lat. - Odłożyła kość na biurko i dalej przyglądała jej się w milczeniu.

- Ostatnio nie zgłaszano zaginięcia żadnych dzieci - powiedział. - Te okolice są zamieszkane od setek lat i ciągle pojawiają się jakieś kości. Sto lat temu często młodo umierano.

Zmarszczyła brwi.

- Nie wydaje mi się, by to dziecko umarło z przyczyn naturalnych - rzekła cicho.

- Dlaczego tak sądzisz?

Wyciągnęła rękę, by włączyć lampkę na biurku. Podsunęła kość pod światło.

- Spójrz tutaj. Tyle na niej brudu, że trudno to dostrzec.

Sięgnął do kieszeni po okulary - kolejny znak mijających lat i odchodzenia młodości. Nachylił się, usiłując dojrzeć to, co Claire wskazywała. Dopiero gdy paznokciem zdrapała górną warstwę, dostrzegł klinowate nacięcie. Był to ślad siekiery.

Rozdział drugi

Gdy Warren Emerson w końcu odzyskał przytomność, stwierdził, że leży koło sterty drewna, a słońce świeci mu w oczy. W pamięci pozostał mu obraz cienia, srebrzystego szronu na trawie i grudach ziemi. Rąbał drewno na opał, machając siekierą i rozkoszując się jej ostrym dźwiękiem w rześkim powietrzu. Słońce nie wyjrzało jeszcze zza sosny na podwórzu przed domem.

Teraz stało wysoko nad drzewem, co oznaczało, że leżał tu już dłuższy czas - sądząc po słońcu, może nawet godzinę.

Warren powoli usiadł. Głowa go bolała, jak zawsze potem. Dłonie i twarz zdrętwiały z zimna; obie rękawiczki zsunęły mu się z dłoni. Obok zobaczył siekierę wbitą głęboko w kawałek klonowego polana. Wokół leżało rozrzucone drewno - efekt całodziennego rąbania. Uświadomienie

sobie tego wszystkiego trwało boleśnie długo. Zbierał myśli z wysiłkiem, jakby przy-ciągał je z wielkiej odległości, poszarpane i rozrzucone. Był cierpliwy; w końcu wszystko ułoży się w logiczną całość.

Wyszedł z domu wkrótce po świcie, by narąbać drewna na cały dzień. Rezultaty jego pracy widoczne były wokoło. Zdążył już niemal zakończyć poranne obowiązki, wbił jeszcze siekierę w ostatni kawałek drewna, gdy ogarnęła go ciemność. Upadł na stertę, dlatego część polan stoczyła się na ziemię. Miał mokrą bieliznę - zapewne się zsikał, jak to często bywało podczas ataku. Rzucił okiem w dół i zobaczył, że ma przemoczone dżinsy.

Na koszuli dostrzegł krew.

Chwiejnie podniósł się na nogi i powoli poszedł ku staremu domostwu.

W kuchni było gorąco i duszno od ognia w piecu. Poczł zawrót głowy i zanim dotarł do łazienki, wzrok mu się zmącił. Usiadł na wyszczerbionej klapie ubikacji i przycisnął dłonie do czoła, czekając, aż mózg zacznie normalnie pracować. Kotka weszła i miaucząc, otarła mu się o nogi. Pogłaskał ją, a miękkość jej futerka sprawiła mu przyjemność.

Zdrętwienie ustąpiło, czuł więc ból pulsujący mocno w skroni. Uchwycił brzeg umywalki i podciągnął się, by przejrzeć się w lustrze. Siwe włosy nad lewym uchem były sztywne i zlepione krwią. Krew spłynęła także na policzek i zaschła długą kreską jakby pomalował twarz w barwy wojenne. Wpatrywał się w swoje odbicie, w rysy głęboko naznaczone sześćdziesięcioma sześcioma ciężkimi zimami, wyteżoną pracą i samotnością. Jedynym jego towarzyszem był kot, miauczący teraz u jego stóp - nie z sympatii, lecz z głodu. Kochał tę kotkę i po jej odejściu pewnego dnia da wyraz żalowi łzami, pogrzebem i tęsknotą za jej mruzeniem, ale nie łudził się, że ona też darzy go uczuciem.

Zdjął ubranie: poszarpaną i splamioną krwią koszulę oraz zmoczone dżinsy. Rozbierał się z taką

samą starannością, z jaką robił w życiu wszystko. Ułożył ubrania na klapie ubikacji, odkręcił prysznic i wszedł pod strumień wody, nie czekając, aż zacznie lecieć ciepła. Dyskomfort był jedynie chwilowy, niewart nawet dreszczu - przecież całe jego życie było zimne i pełne trudów. Wymył krew z włosów. Rana zapiekła go od mydła. Widocznie padając na stertę drewna, przeciął sobie skórę. Zagoi się, tak samo jak wszystkie inne zranienia. Warren Emerson był chodzącym świadectwem wytrzymałości ludzkiego ciała.

Gdy tylko wyszedł spod prysznic, kotka znów zaczęła miauczeć, żalonym i pełnym rozpaczony tonem, którego nie sposób było słuchać bez poczucia winy. Nie ubierając się, poszedł do kuchni, otworzył puszkę drobiowych little friskies i wrzucił zawartość do miseczki Mony.

Zamruczała z zadowolenia i zaczęła jeść, już się nie przejmując swym panem. Widziała w nim jedynie narzędzie do otwierania puszek z jedzeniem.

Poszedł do sypialni, by się ubrać.

Niegdyś był to pokój jego rodziców i wciąż stały tam wszystkie ich rzeczy. Łóżko na wysokich nogach, biurko z mosiężnymi gałkami, fotografie w cynowych ramkach. Zapinając koszulę, zatrzymał spojrzenie na jednym szczególnym zdjęciu: ciemnowłosej dziewczyny o śmiejących się oczach. Co też Iris robi w tej chwili? - zastanawiał się, tak samo jak każdego dnia swego życia. Czy kiedykolwiek o nim myśli? Przeniósł wzrok na inną fotografię. Było to ostatnie zdjęcie jego rodziny. Mama, pulchna i uśmiechnięta, ojciec, skępowany, w garniturze i krawacie. A między nimi, z włosami szeszanymi na bok - mały Warren.

Wyciągnął rękę i dotknął palcami swojej własnej, dwunastoletniej twarzy. Nie pamiętał tego chłopca. Na górze, na strychu, wciąż leżały książki przygodowe, kolejka i kredki, niegdyś należące do dziecka z fotografii, ale to inny Warren bawił się w tym domu i stał uśmiechnięty między rodzicami na niedzielnej fotografii. Nie ten, którego on oglądał dziś w lustrze.

Nagle z całych sił zapragnął znów dotknąć zabawek tego dziecka.

Wspiął się po schodach na strych i przyciągnął stary kufer pod gołą żarówkę. Otworzył pokrywę. W środku były skarby. Wyjmował je po kolei i układał na zakurzonej podłodze. Pudełko po biszkoptach z samochodzikami firmy Matchbox. Drewniane klocki. Skórzany woreczek pełen kulek. I w końcu znalazł to, czego szukał: pudełko warcabów.

Rozłożył planszę i ustawił warcaby - czerwone po swojej stronie, czarne naprzeciwko.

Mona weszła po cichu na strych i usiadła obok. Jej oddech pachniał kurczakiem. Przez chwilę przyglądała się planszy ze zwierzęcą pogardą. Potem podeszła bliżej i powąchała jeden z czarnych pionków.

- Czy to twój pierwszy ruch? - spytał Warren. Nie był szczególnie udany, ale czego można oczekiwać od kota? Przesunął za Monę czarny pionek, a ona wyglądała na zadowoloną.

Na dworze wiał wiatr, szarpiąc obluzowanymi okiennicami. Warren słyszał, jak gałęzie bzu ocierają się o deski domu.

Przesunął czerwony pionek i uśmiechnął się do swej towarzyszki.

- Twój ruch, Mona.

O wpół do siódmej rano, jak co dzień, pięcioletnia Isabel Morrison zakradła się do sypialni swojej starszej siostry i wczołgała się pod kołdrę Mary Rose. Mościła się tam w ciepłej pościeli niczym zadowolony robaczek i nuciła pod nosem, czekając, aż Mary Rose się obudzi. Zawsze było wtedy mnóstwo wzdychania i jęczenia, a Mary Rose przewracała się z boku na bok. Jej długie włosy łaskotały Isabel po twarzy. Isabel uważała, że jej siostra jest najpiękniejszą dziewczyną na świecie. Wyglądała jak Śpiąca Królewna czekająca na pocałunek królewicza. Czasami Isabel w zabawie była

królewiczem i choć wiedziała, że dziewczynki się nie całują, przyciskała wargi do ust siostry i oznajmiała: „Teraz musisz się obudzić!”.

Kiedyś Mary Rose wcale nie spała, podskoczyła jak chichotliwy potwór i tak bezlitośnie łaskotała Isabel, że w końcu obie spadły z łóżka, śmiejąc się i piszcząc.

Gdyby tylko Mary Rose zechciała ją teraz połaskotać. Gdyby tylko Mary Rose była znów sobą.

Isabel nachyliła się nad uchem siostry.

- Nie obudzisz się? - szepnęła.

Mary Rose naciągnęła kołdrę na głowę.

- Zjeżdżaj, gówniaro.

- Mama mówi, że pora wstawać do szkoły. Musisz się obudzić.

- Wynoś się z mojego pokoju!

- Ale już czas...

Mary Rose mruknęła coś i ze złością wierzgnęła nogą.

Isabel przesunęła się na koniec łóżka i ułożyła w pełnej niepokoju ciszy, masując kopnięte miejsce i usiłując zrozumieć, co się stało. Mary Rose nigdy jej jeszcze nie kopnęła. Zawsze budziła się z uśmiechem, nazywała ją Dizzy Izzy i zaplatała jej przed wyjściem włosy.

Postanowiła spróbować jeszcze raz. Na czworakach przysunęła się do poduszki siostry, odwinęła kołdrę i szepnęła Mary Rose do ucha:

- Wiem, co mama i tata chcą ci kupić pod choinkę. Jesteś ciekawa?

Mary Rose otworzyła oczy. Odwróciła się, by spojrzeć na Isabel.

Mała pisnęła z przerażenia, zsunęła się z łóżka i wpatrzyła w niemal obcą twarz. Twarz, która budziła strach.

- Mary Rose? - szepnęła i wybiegła z pokoju.

Mama była na dole w kuchni. Gotowała owsiankę i usiłowała słuchać radia przez wrzaski papugi Rocky. Odwróciła się, gdy Isabel wbiegła do kuchni.

- Już siódma. Czy twoja siostra nie wstaje?
- Mamusiu - zaszlochała zrozpaczona Isabel - to wcale nie jest Mary Rose!

Noah Elliot zrobił obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, zrywając deskę z krawężnika w powietrze i lądując zgrabnie na jezdni. Dobra jest! Obszerne ubranie łopotało na wietrze, gdy zjeżdżał na desce aż do parkingu dla nauczycieli, okrążył krawężnik i znów skakał z pełnym obrotem.

Tylko wtedy czuł, że ma kontrolę nad swoim życiem: gdy jechał na desce, gdy sam określał swój los i swoją drogę. Ostatnio o zbyt wielu rzeczach decydowali inni, a jego, kopiącego i wrzeszczącego, wciągano w przyszłość, na którą nie miał ochoty. Ale chwile, gdy jechał na desce, pokonywał przestrzeń z wiatrem wiejącym w twarz, należały do niego. Mógł zapomnieć, że zamknięto go w jakiejś zabitej dechami dziurze. Mógł nawet zapomnieć przez jedną uderzającą do głowy przejażdżkę, że jego tata nie żyje i że nic nigdy nie będzie już tak, jak być powinno.

Czuł na sobie wzrok dziewcząt z pierwszej klasy. Zbiły się w grupkę za pawilonami klasowymi, nachylając się do siebie i chichocząc. Równocześnie zerkały w tył na jadącego na desce Noaha. Rzadko z nimi rozmawiał, a one rzadko się do niego odzywały, ale codziennie w czasie przerwy na lunch stały tam, przyglądając mu się.

Noah nie był jedynym skaterem w szkole średniej, ale zdecydowanie najlepszym. Dlatego dziewczęta nie spuszczały z niego wzroku, ignorując innych chłopców śmigających obok po asfalcie. Ci chłopcy i tak tylko szpanowali, udawali prawdziwych skaterów, ubranych w ciuchy wprost z katalogu CCS. Mimo właściwego stroju - koszulek Birdhouse, butów Kevlar i tak

obszernych spodni, że nogawki ciągnęły się po ziemi - byli tylko szpanerami z małego miasteczka. Nie jeździli na desce z chłopakami z Baltimore.

Zawracając, Noah dostrzegł błysk jasnych włosów na brzegu boiska. Przyglądała mu się Amelia Reid. Stała osobno, jak zwykle tuląc do siebie książkę. Amelia należała do tych dziewcząt, które wyglądały, jakby skąpały się w miodzie - tak była doskonała, taka złocista. Zupełnie inna od swych dwóch stukniętych braci, którzy nieustannie dokuczali mu w szkolnej stołówce. Nigdy dotąd Noah nie zauważył, by Amelia mu się przyglądała. Kolana pod nim zdrząły.

Wyskoczył w powietrze i lądując, wyrównał w ostatniej chwili. Uważaj, stary! Nie przeginaj! Śmignął w dół, na parking dla nauczycieli, zakreślił i z turkotem wjechał pod górę betonową pochylnią. Po jednej stronie biegła balustrada. Zrobił zwrot i wskoczył na nią. Byłby to wspaniały zjazd, wprost na sam dół... gdyby w tym momencie Taylor Danieli nie wkroczył na pochylnię tuż przed nim.

- Z drogi! - wrzasnął Noah, ale Taylor nie zareagował na czas.

W ostatnim momencie Noah zeskoczył z deski, padając na ziemię. Deska pognęła dalej w dół balustrady i uderzyła Taylora w plecy.

Taylor odwrócił się gwałtownie.

- Co, do cholery?! - wrzasnął. - Kto to rzucił?

- Nie rzuciłem, stary - powiedział Noah, podnosząc się z ziemi. Dłonie miał rozdrapane, kolano mu pulsowało. - To był wypadek. Po prostu znalazłeś się na drodze. - Noah pochylił się, by podnieść deskę, która leżała kołami do góry. Taylor wydawał się w porządku. Był jednym z pierwszych, którzy przyszli się przywitać, gdy Noah osiem miesięcy temu przyjechał do miasteczka. Czasem nawet spędzali wspólnie popołudnia, pokazując sobie różne triki na desce. Dlatego też Noah był całkiem zaskoczony, gdy Taylor nagle go mocno popchnął.

- Hej! Hej, o co ci chodzi? - zapytał.
- Rzuciłeś nią we mnie!
- Wcale nie!
- Wszyscy widzieli! - Taylor zmierzył wzrokiem gapiów. - Widzieliście?

Nikt się nie odezwał.

- Mówię ci, że to był wypadek - powtórzył Noah. - Przykro mi, człowieku.

Od strony klas dobiegł ich śmiech. Taylor rzucił okiem na dziewczęta, zdał sobie sprawę z tego, że przysłuchują się kłótni, i zrobił się czerwony.

- Zamknijcie się! - wrzasnął. - Głupie idiotki!
- Rany, Taylor - powiedział Noah. - O co ci chodzi?

Pozostali skaterzy stali teraz wokół, trzymając deski i przyglądając się tej scenie.

- Wicie, dlaczego Taylor przechodził na drugą stronę? - zażartował jeden z nich.
- Dlaczego?
- Bo miał ptaszka w lasce!

Wszyscy się roześmieli, łącznie z Noahem. Nie mógł się powstrzymać.

Nie był przygotowany na cios, który padł jakby znikąd, trafiając w szczękę. Głową Noaha szarpnęło w tył, potknął się, cofając, i upadł na asfalt. Przez chwilę nie mógł się ruszyć. W uszach mu szumiało, wzrok stracił ostrość. Zaskoczenie ustąpiło szybko ślepej wściekłości. Był moim przyjacielem, a teraz mnie uderzył!

Niepewnie podniósł się na nogi i rzucił się na Taylora, waląc głową. Obaj upadli, Noah na wierzchu. Toczyli się po ziemi, okładając się pięściami, ale żaden nie potrafił zadać rozstrzygającego ciosu. W końcu Noahowi udało się przygwoździć do ziemi Taylora, ale czuł się, jakby przytrzymywał wściekłego kota.

- Noah Elliot!

Zamarł, nie rozluźniając uchwytu na przegubach Taylora. Powoli obrócił głowę i zobaczył dyrektorkę, panią Cornwallis. Pozostałe dzieci wycofały się na bezpieczną odległość.

- Wstańcie! - rozkazała pani Cornwallis. - Obaj!

Noah natychmiast uwolnił Taylora i podniósł się na nogi.

Purpurowy z wściekłości Taylor wrzasnął:

- Popchnął mnie! On mnie popchnął, a ja próbowałem się bronić!

- To nieprawda! On mnie pierwszy uderzył!

- Rzucił we mnie deską!

- Niczym nie rzucałem, to był wypadek!

- Wypadek? Ty kłamco!

- Milczeć! - krzyknęła pani Cornwallis.

Na szkolnym boisku zapanowała pełna zdumienia cisza. Wszyscy wpatrywali się w dyrektorkę. Nigdy nie słyszeli, żeby podniosła głos. Była to dość sztywna, przystojna kobieta, nosząca kostiumy i buty na niskim obcasie, upinająca blond włosy w nienaganny kok. Odkrycie, że potrafi krzyknąć, było dla wszystkich objawieniem.

Pani Cornwallis odetchnęła głęboko i szybko odzyskała godność.

- Daj mi deskę, Noah.

- To był wypadek. Nie uderzyłem go.

- Przygwozdziłeś go do ziemi. Widziałam to.

- Ale go nie uderzyłem!

- Daj mi ją! - Wyciągnęła rękę.

- Ale...

- W tej chwili!

Noah podszedł do leżącej kilka kroków dalej deski. Była już zużyta, jedną jej krawędź obklejała taśma izolacyjna. Dostał ją na trzynaste urodziny. Na spodzie dodał symbole - zielonego smoka, któremu z pyska bucha ogień - a na ulicach Baltimore, gdzie mieszkał, dotarł kółka. Kochał tę deskę, bo przypominała mu o wszystkim, co zostawił za sobą. O wszystkim, za czym wciąż tęsknił. Przez chwilę trzymał ją w dłoniach, a potem w milczeniu podał dyrektorce.

Wzięła ją z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

- Koniec zjeżdżeniem na desce na terenie szkoły - zwróciła się do pozostałych uczniów. - Macie dziś zabrać wszystkie deski do domu. Jeśli jutro jakąś zobaczę, zostanie skonfiskowana. Jasne?

W milczeniu pokiwali głowami.

- A ty za karę zostaniesz w szkole do wpół do czwartej.

- Ale ja nic nie zrobiłem!

- Pójdiesz teraz do mojego gabinetu. Posiedzisz tam i przemyślisz sobie swoje zachowanie.

Noah chciał zaprotestować, ale ugryzł się w język. Wszyscy na niego patrzyli. Zauważył Amelię Reid stojącą na brzegu bieżni i zaczerwienił się z upokorzenia. W milczeniu, ze spuszczoną głową, poszedł za panią Cornwallis do szkoły.

Pozostali skaterzy rozstąpili się z ponurymi minami, pozwalając im przejść. Noah już się oddalał, gdy jeden z chłopców mruknął:

- Dzięki, Noah. Załatwiłeś nas wszystkich.

Najlepszym miejscem, żeby dowiedzieć się o wszystkim, co się dzieje w Tranquility, był bar Monaghan's Diner. Codziennie w południe spotykali się tam członkowie Klubu Dinozaurów. Nie był

to właściwie klub, ale gromadka sześciu czy siedmiu emerytów, którzy nie mając nic innego do roboty, gromadzili się na kawie u Nadine i przyglądali ciastkom pod plastikowymi przykrywkami. Claire nie miała pojęcia, skąd wzięła się nazwa klubu. Przypuszczała, że żona jednego z emerytów, której dopieklą codzienna nieobecność męża, wykrzyknęła pewnego dnia coś w rodzaju: „Och, ty i te twoje dinozaury!” - i nazwa się przyjęła, jak to bywa z utrafionymi pomysłami. Członkami klubu byli wyłącznie mężczyźni dobrze po sześćdziesiątce. Nadine miała zaledwie pięćdziesiąt parę lat, ale była honorowym Dinozaurem, ponieważ pracowała za barem, zносиła kiepskie żarty staruszków i dym papierosowy.

Cztery godziny po znalezieniu kości udowej Claire zaszła do Monaghan's na lunch. Dinozaury, dzisiaj w liczbie siedmiu, wszyscy w odblaskowych, pomarańczowych kamizelkach na flanelowych koszulach, zajmowali swe zwykłe miejsce - stołki przy barze po lewej, koło maszyny do robienia koktajli mlecznych.

Gdy Claire weszła, Ned Tibbetts odwrócił się i kiwnął jej głową. Nie było to ciepłe powitanie, ale mieścił się w nim pewien niechętny szacunek.

- Dzień dobry, pani doktor.
- Dzień dobry, panie Tibbetts.
- Będziemy dziś mieli paskudny wiatr.

Ned odwrócił się do pozostałych Dinozaurów, którzy na różne sposoby dali znać, że zauważyli jej wejście, i znów pogrążył się w rozmowie. Tylko dwóch z nich znała z nazwiska, innych jedynie z widzenia. Claire siedziała sama w swoim kącie, jak przystoi człowiekowi z zewnątrz. O, ludzie byli uprzejmi, uśmiechali się do niej i grzecznie odnosili, ale osiem miesięcy w Tranquility stanowiło dla miejscowych jedynie przelotny pobyt, przygodę dziewczyny z miasta, która postanowiła zakosztować prostego życia. Wszyscy najwyraźniej zgadzali się, że zima okaże się dla niej próbą.

Cztery miesiące burz śnieżnych i lodu wygnają ją z powrotem do miasta, tak samo jak wygnały dwóch poprzednich lekarzy przybyłych z daleka. Nadine postawiła przed Claire parującą filiżankę kawy.

- Pani pewnie wszystko o tym wie? - zapytała.
- O czym?
- O tej kości. - Nadine stała i czekała cierpliwie, co Claire dorzuci do powszechnego zasobu wiedzy. Podobnie jak większość kobiet z Maine, Nadine głównie słuchała. To mężczyźni mówili. Claire słyszała ich w miejscowym sklepie żelaznym, z tysiącem drobiazgów czy na poczcie. Stali i gadali, a ich żony czekały, spoglądając w milczeniu.
- Podobno to kość dziecka - powiedział Joe Bartlett, okręcając się na stołku, by spojrzeć na Claire. - Kość udowa.
- To prawda, pani doktor? - spytał inny.
- Dinozaury jak jeden mąż odwróciły się ku Claire.
- Najwyraźniej wszystko już o tym wiecie - odpowiedziała z uśmiechem.
- Słyszeliśmy, że była mocno pokiereszowana. Może nożem, może siekierą. A potem dobrały się do niej zwierzęta.
- Ale wam dziś wesoło! - parsknęła Nadine.
- Przez trzy dni w lesie szopy i kojoty oczyszczą każdą kość do białości. Potem złapały ją psy Elwyna. Wie pani, on je rzadko karmi, więc taka kość to dla nich smaczny kąsek. Może jego psy obrabiały ją już od tygodni. Elwynowi nie przyszłoby do głowy, żeby się kości przyjrzeć.
- Elwynowi w ogóle nigdy nic nie przychodzi do głowy - roześmiał się Joe.
- Może on sam zastrzelił to dziecko. Pomylił je z jeleniem.
- Ta kość wyglądała na bardzo starą - powiedziała Claire.

Joe Bartlett kiwnął na Nadine.

- Zdecydowałem się. Zjem kanapkę Monte Christo.
- Ho, ho, ho, Joe sobie dziś dogadza! - wykrzyknął Ned Tibbetts.
- A pani, pani doktor? - spytała Nadine.
- Poproszę kanapkę z tuńczykiem i zupę grzybową.

Jedząc lunch, Claire przysłuchiwała się snutym przez mężczyzn rozmowom na temat kości. Nie sposób było ich nie słyszeć: trzech z nich nosiło aparaty słuchowe. Większość pamiętała wydarzenia z ostatnich sześćdziesięciu lat i teraz roztrząsała rozmaite możliwości. Może to ta dziewczyna, która spadła z urwiska Bald Rock? Nie, przecież znaleźli jej ciało. A może to córka Jewettów? Uciekła, gdy miała szesnaście lat. Nie, jej matka mówiła, że mieszka w Hartford; zresztą ta dziewczyna ma teraz koło sześćdziesiątki i pewnie jest już babcią. Fred Moody powiedział, że zdaniem jego żony Floridy zabita dziewczyna musiała być z daleka - może z tych, które przyjeżdżają w lecie. Tranquility wiedziało, co się dzieje ze stałymi mieszkańcami. Ktoś by przecież pamiętał, że zniknął miejscowy dzieciak. Nadine ponownie napełniła kawę filizankę Claire.

- Ależ oni gadają i gadają. Można by pomyśleć, że od tego zależą losy świata.

- A skąd tyle wiedzą o tej kości?
- Joe jest cioteczno-ciotecznym bratem Floyda Speara, tego policjanta. - Nadine zaczęła wycierać ladę baru długimi, szybkimi ruchami, zostawiając w powietrzu lekki zapach chloru. - Słyszałam, że dziś ma przyjechać specjalista z Bangoru. Moim zdaniem, to musiał być jakiś turysta.

Była to odpowiedź na wszystko. Jakiś turysta. Czy chodziło o niewyjaśnioną zbrodnię czy niezidentyfikowane ciało „jakiś turysta” zawsze stanowił dobrą odpowiedź. Każdego roku w czerwcu liczba mieszkańców Tranquility rosła czterokrotnie, gdy zamożne rodziny z Bostonu i Nowego Jorku zaczynały napływać na wakacje. W tej spokojnej kolonii wysiadali przez lato na

gankach domków nad jeziorem, podczas gdy ich dzieci pluskały się w wodzie. W sklepach Tranquility kasy dźwięczały wesoło, bo turyści zasilali dolarami miejscową gospodarkę. Ktoś musiał sprzątać ich domki, naprawiać drogie samochody, pakować zakupy. Zarobki z tych kilku krótkich miesięcy utrzymywały tutejszą ludność przez resztę roku.

To dzięki pieniądзом tolerowało się tu przybyszów. Dzięki pieniądзом i temu, że we wrześniu, gdy zaczynały opadać liście, znikali, zostawiając miasteczko miejscowym.

Claire skończyła jeść i wyruszyła do gabinetu.

Elm Street, główna ulica Tranquility, biegła równolegle do brzegu jeziora. U jej szczytu znajdowały się warsztat samochodowy i stacja benzynowa Joego Bartletta, którą prowadził aż do emerytury, przez czterdzieści dwa lata. Teraz pałeczkę przejęły dwie jego wnuczki, które napełniały baki i zmieniały olej. Szyld nad warsztatem głosił dumnie: „Joe Bartlett i wnuczki”. Claire zawsze podobał się ten napis - uważała, że coś mówi o Joem Bartlecie.

Koło budynku poczty ulica zakręcała na północ. Wiatr z północnego zachodu świstał już nad jeziorem i wciskał się w wąskie przejścia między budynkami. Dlatego spacer po chodniku przypominał przechodzenie przez szereg lodowatych strumieni. Z okna nad sklepem Za Jedną Cenę przyglądał jej się kot, jakby zastanawiał się nad głupotą istot wychodzących na dwór w taką pogodę.

Tuż za sklepem z tysiącem drobiazgów stał żółty wiktoriański dom, w którym mieścił się gabinet Claire.

Budynek należał niegdyś do doktora Pomeroya, który miał w nim gabinet i mieszkanie. Na szybie z mlecznego szkła w drzwiach wciąż widniał napis: „Gabinet lekarski”. Choć tabliczkę „dr med. James Pomeroy” zastąpiła tabliczka ze słowami „dr med. Claire Elliot, lekarz rodzinny”, Claire czasem wydawało się, że cień starego nazwiska wciąż przegląda przez szybę, nie chcąc ustąpić

miejsca nowemu.

Recepcjonistka Vera nawijała w słuchawkę telefonu, a jej bransoletki dźwięczały głośno, gdy przewracała strony w książce wizyt. Fryzura Very odpowiadała osobowości: była rozwichrzona, gęsta i nieco nieświeża. Recepcjonistka przykryła dłonią słuchawkę i powiedziała do Claire:

- Mairead Tempie jest w gabinecie. Boli ją gardło.
- Jak wygląda reszta popołudnia?
- Jeszcze dwie osoby, i to wszystko.

Co daje dzisiaj tylko sześciu pacjentów, zmartwiła się Claire. Od wyjazdu letników praktyka lekarska Claire wyraźnie się skurczyła. Była jedynym lekarzem praktykującym w Tranquility, ale większość miejscowych jeździła do doktora do oddalonego o trzydzieści kilometrów Two Hills. Claire wiedziała, dlaczego tak jest: niewiele osób w miasteczku wierzyło, że ona przetrwa zimę, uważali więc, że nie ma sensu przyzwyczajać się do lekarza, którego za rok już tu nie będzie.

Mairead Tempie należała do tych nielicznych pacjentów, którzy przychodzili do Claire, ale tylko dlatego, że nie miała samochodu. Jej dom stał półtora kilometra za miasteczkiem. Siedziała teraz na kozetce, oddychając ze świstem po spacerze w zimnym powietrzu. Osiemdziesięcioletnia Mairead nie miała zębów ani migdałków i niewiele szacunku dla wiedzy. Claire obejrzała gardło staruszki.

- Rzeczywiście jest bardzo zaczerwienione.
- Sama to mogłam pani powiedzieć.
- Jednak nie ma pani gorączki, a węzły chłonne nie są powiększone.
- Paskudnie boli. Z trudem przełykam.
- Wezmę wymaz z gardła. Do jutra będziemy wiedzieć, czy to bakterie, ale sądzę, że po prostu wirus.

Mairead przyglądała się małymi, pełnymi podejrzliwości oczkami, gdy Claire otwierała opakowanie z wacikiem.

- Doktor Pomeroy zawsze dawał mi penicylinę.
- Antybiotyki nie działają na wirusy.
- Po penicylinie zawsze czułam się lepiej.
- Proszę powiedzieć „aaa”.

Mairead się zakrztusiła, gdy Claire dotknęła wacikiem jej gardła. Wyglądała jak żółw z wyciągniętą szyją o ciemnej skórze i bezzębnymi ustami, chwytającymi powietrze.

- Pomeroy praktykował wiele lat - powiedziała, a łzy napłynęły jej do oczu. - Zawsze wiedział, co robi. Wy, młodzi lekarze, moglibyście się niejednego od niego nauczyć.

Claire westchnęła. Czy zawsze będą ją porównywać z doktorem Pomeroyem? Jego grób zajmował honorowe miejsce na cmentarzu Mountain Street. Claire czytywała jego lakoniczne notatki na kartach pacjentów i czasem miała wrażenie, że duch starego doktora depta jej po piętach. Niewątpliwie to właśnie on stanął teraz między nią a Mairead. Umarł, ale zawsze zostanie w pamięci jako lekarz całego miasteczka.

- Ośłuchajmy teraz pani płuca - powiedziała Claire.

Mairead mruknęła coś z niechęcią i zaczęła zdejmować z siebie rzeczy. Na dworze było zimno, więc ubrała się odpowiednio. Sweter, bawełniana bluzka, bielizna antyreumatyczna i stanik - dopiero wtedy Claire mogła dotknąć stetoskopem jej piersi.

Przez bicie serca Mairead Claire usłyszała pukanie. Vera wsunęła głowę w uchylone drzwi.

- Rozmowa na drugiej linii.
- Czy możesz zanotować wiadomość?
- To pani syn. Nie chce ze mną rozmawiać.

- Przepraszam panią na chwilę - powiedziała Claire do Mairead Tempie i weszła do biura, by odebrać telefon. - Noah?

- Musisz po mnie przyjechać. Nie zdążę na autobus.

- Przecież jest dopiero piętnaście po drugiej. Autobus jeszcze nie odjechał.

- Zatrzymano mnie w szkole. Nie wolno mi wyjść przed wpół do czwartej.

- Dlaczego? Co się stało?

- Nie chcę teraz o tym mówić.

- Kochanie, i tak się dowiem.

- Nie teraz, mamó. - Usłyszała, jak pociąga nosem. W jego głosie słychać było łzy. - Proszę.

Proszę, możesz po mnie przyjechać?

Telefon zamilkł. Przestraszona wizją Noaha płaczącego i najwyraźniej w kłopotach Claire szybko wykręciła numer szkoły. Zanim jednak dodzwoniła się do sekretariatu, Noaha już tam nie było, a pani Cornwallis nie mogła z nią rozmawiać.

Claire miała godzinę, by skończyć z Mairead Tempie, przyjąć dwóch kolejnych pacjentów i pojechać do szkoły. Wróciła do pokoju zabiegowego i z rozdrażnieniem zobaczyła, że Mairead już zdążyła się ubrać.

- Nie skończyłam jeszcze pani badać - zaprotestowała Claire.

- Skończyła pani - mruknęła Mairead.

- Ależ proszę...

- Przyszłam po penicylinę, a nie po to, by ktoś mi wpychał patyki do gardła.

- Czy mogłaby pani usiąść? Proszę. Wiem, że nie postępuję tak samo jak doktor Pomeroy, ale robię to z określonego powodu. Antybiotyk nic nie pomoże na wirusa, a może wywołać skutki uboczne.

- Nigdy nie miałam żadnych skutków ubocznych.
- Analiza wymazu trwa tylko jeden dzień. Jeśli to infekcja bakteryjna, wówczas dam pani lekarstwo.
- Muszę iść pieszo do miasta. Zajmuje mi to pół dnia.

Nagle Claire zrozumiała, o co tak naprawdę chodzi. Każde badanie laboratoryjne, każda nowa recepta oznaczały dla Mairead pieszą wyprawę do miasta, półtora kilometra w jedną i tyle samo w drugą stronę.

Westchnęła i wyciągnęła bloczek recept. Po raz pierwszy podczas tej wizyty Mairead się uśmiechnęła. Z zadowoleniem. Triumfująco.

Isabel siedziała cichutko na kanapie, bojąc się poruszyć, bojąc się powiedzieć choć słowo.

Mary Rose była strasznie, strasznie wściekła. Mama nie wróciła jeszcze do domu, więc Isabel została sama z siostrą. Nigdy nie widziała, żeby Mary Rose zachowywała się w ten sposób: chodziła tam i z powrotem po pokoju niczym tygrys po klatce w zoo, wrzeszcząc na nią. Na nią, na Isabel! Mary Rose była tak zła, że jej twarz zrobiła się cała pomarszczona i brzydka, wcale nie jak księżniczki Aurory, ale złej królowej. To nie była jej siostra. To była jakaś zła istota w ciele jej siostry.

Isabel wcisnęła się głębiej w poduszki, patrząc ukradkiem, jak zła istota w ciele Mary Rose miota się po dużym pokoju.

Przez ciebie nigdy nigdzie nie mogę pójść! Cały czas muszę siedzieć w domu jak niewolnica! Chciałabym, żebyś umarła!

Przecież jestem twoją siostrą, chciała zaszlochać Isabel, ale nie odważyła się nawet pisnąć.

Zacząła płakać, a ciche łzy spadały na poduszki, rozlewając się w okrągłe, mokre plamy. Och, nie, Mary Rose o to także się rozgniewa.

Isabel zaczekała, aż siostra odwróci się do niej tyłem. Po cichutku ześliznęła się z kanapy i wpadła do kuchni. Schowa się tu przed Mary Rose, póki mama nie wróci do domu. Wcisnęła się w kącik za szafkami kuchennymi i usiadła na zimnych kafelkach, podciągając kolana do piersi. Jeśli będzie siedzieć cicho, Mary Rose jej nie znajdzie. Mogła stąd patrzeć na zegar na ścianie - wiedziała, że gdy krótsza wskazówka znajdzie się na piątce, mama wróci do domu. Chciało jej się siusiu, ale to będzie musiało poczekać, bo tu jest bezpiecznie.

I wtedy Rocky zaczął skrzeczeć. Jego klatka wisiała kilka kroków dalej, koło okna. Isabel wpatrywała się w niego, błagając w myślach, by siedział cicho, ale nie był zbyt inteligentny i wciąż skrzeczał. Mama mówiła wielokrotnie, że Rocky ma ptasi mózdzek, i teraz papuga dawała temu świadectwo.

Bądź cicho! Proszę, bądź cicho, bo inaczej mnie znajdzie!

Za późno. W kuchni rozległy się kroki. Z szarpniętej szuflady wysypały się sztucce. Mary Rose rozrzucała widelce i łyżki. Isabel zwinęła się w kłębek i mocniej wcisnęła w kąt.

Zdrajca Rocky gapił się na nią i skrzeczał, jakby chciał powiedzieć: „Tam jest! Tam jest!”.

Teraz Mary Rose pojawiła się w polu widzenia Isabel, ale nie patrzyła na nią. Patrzyła na Rocky'ego. Podeszła do klatki, nie odrywając wzroku od wciąż skrzeczącej papugi. Otworzyła drzwiczki, wsunęła do środka rękę, chwyciła spanikowanego, bijącego skrzydłami i rozrzucającego pokarm ptaka, wyjęła go z klatki i jednym szybkim ruchem skręciła papudze kark.

Rocky zwisał bezwładnie w jej dłoni.

Rzuciła ptakiem o ścianę. Spadł na ziemię jak żalosna kupka niebieskich piórek.

W gardle Isabel rósł niemy krzyk. Przełknęła go i wcisnęła twarz w kolana, czekając w

przerażeniu, aż siostra jej także skręci kark.

Ale Mary Rose wymaszerowała z kuchni. I z domu.

Rozdział trzeci

Gdy w końcu o czwartej Claire dotarła do szkoły, Noah czekał na nią na schodach. Mimo że w szybkim tempie przyjęła dwóch pacjentów i pokonała osiem kilometrów dzielących jej gabinet od szkoły, i tak spóźniła się pół godziny. Wiedziała, że Noah jest na nią o to zły. Nie odezwał się ani słowem, wsiadł tylko do samochodu i zatrzasnął drzwiczki.

- Pasy, kochanie - powiedziała.
- Szarpnął za pas i zapiął klamrę. Przez chwilę jechali w milczeniu.
- Czekam na ciebie od wieków. Dlaczego tak długo cię nie było? - spytał.
- Musiałam przyjąć pacjentów, Noah. Za co zostałeś ukarany?
- To nie była moja wina.
- A czyja?
- Taylora. Zrobił się z niego taki kretyn. Nie wiem, o co mu chodzi. - Westchnął i zsunął się niżej na siedzeniu. - A ja myślałem, że jesteśmy kumplami. Teraz chyba mnie nienawidzi.
- Czy mówisz o Taylorze Darnellu?
- Tak.
- Co się stało?
- Nic nie zrobiłem. Przypadkiem uderzyła go moja deskorolka, a on rzucił się na mnie. Więc mu oddałem, a on upadł.
- Dlaczego nie zwołałeś jakiegoś nauczyciela?
- Nie było żadnego w pobliżu. A potem pojawiła się pani Comwallis i nagle Taylor zaczął wrzeszczeć, że to wszystko moja wina. - Odwrócił twarz, ale Claire zdążyła dostrzec, że ukradkiem

ociera oczy dłonią. Tak bardzo stara się być dorosły, pomyślała z ukłuciem żalu, ale w gruncie rzeczy wciąż jeszcze jest dzieckiem.

- Odebrała mi deskę, mamó - powiedział cicho. - Możesz ją od niej wyciągnąć?
- Zatelefonuję jutro do pani Comwallis. Chciałabym jednak, żebyś zadzwonił do Taylora i go przeprosił.

- Napadł na mnie! To on powinien przeproszać!

- Taylorowi jest teraz bardzo ciężko, Noah. Jego rodzice właśnie się rozwiedli.

Spojrzał na nią.

- Skąd wiesz? Jest twoim pacjentem?

- Tak.

- Dlaczego do ciebie przyszedł?

- Wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć.

- Nigdy nic mi nie mówisz - mruknął i znów odwrócił się do okna.

Nie miała zamiaru podejmować wyzwania, nie odpowiedziała więc, by nie doprowadzić do kłótni.

Gdy w końcu się odezwał, mówił tak cicho, że ledwie go słyszała:

- Chciałbym wrócić do domu, mamó.

- Właśnie tam cię wiozę.

- Nie, chodzi mi o dom. O Baltimore. Nie chcę tutaj dłużej zostać. Nic tu nie ma oprócz drzew i gromady staruchów jeżdżących furgonetkami. To nie miejsce dla nas.

- Nasz dom jest teraz tutaj.

- Nie mój.

- Nawet nie dałeś szansy temu miasteczku.

- Miałem jakiś wybór? Spytałaś mnie, czy chcę się przeprowadzić?

- Oboje nauczymy się je lubić. Ja też jeszcze nie czuję się zbyt pewnie.

- Więc dlaczego musieliśmy się przeprowadzić?

Zacisnęła palce na kierownicy i nie odrywała wzroku od drogi.

- Wiesz dlaczego.

Oboje wiedzieli, o czym mówi. Wyjechali z Baltimore przez niego. Claire realistycznie spojrzała na przyszłość syna i przeraziła się tym, co zobaczyła. Coraz większy krąg przyjaciół z problemami. Kolejne wezwania na policję. Kolejne sądy, prawnicy i terapeuci. Tak miała wyglądać ich przyszłość w Baltimore, więc zabrała syna i uciekła jak najprędzej.

- Nie zmienię się w wymuskanego chłoptasia tylko dlatego, że zaciągnęłaś mnie w te lasy - powiedział. - Tutaj też mogę narozrabiać. Więc co za różnica?

Skręciła na podjazd przed ich domem i spojrzała mu w twarz.

- Twoje rozrabianie nie skłoni mnie do powrotu do Baltimore. Albo weźmiesz swoje życie w garść, albo nie. To twój wybór.

- Od kiedy to cokolwiek jest moim wyborem?

- Masz wiele wyborów. I chciałabym, żebyś od tej pory dokonywał właściwych.

- Czyli takich, jakie ty zaakceptujesz. - Wyskoczył z samochodu.

- Noah. Noah!

- Daj mi święty spokój! - krzyknął.

Trzasnął drzwiami i powlókł się do domu.

Nie poszła za nim. Siedziała, ściskając kierownicę, zbyt zmęczona i rozdrażniona, by próbować go przekonywać. Spontanicznie wrzuciła wsteczny i wycofała się z podjazdu. Oboje potrzebowali czasu, by ochłonąć i zacząć kontrolować swoje emocje. Skręciła w Toddy Point Road i ruszyła wzdłuż brzegu jeziora. Prowadzenie samochodu jako terapia.

Jakie łatwe wydawało się wszystko, gdy żył Peter, gdy wystarczyło, by zrobić zezna, a ich syn wybuchał śmiechem. Wtedy byli jeszcze szczęśliwi, jeszcze wszyscy razem.

Nie jesteśmy szczęśliwi, od kiedy umarłeś, Peter. Tęsknię za tobą. Tęsknię za tobą codziennie, w każdej godzinie, w każdej minucie mego życia.

Przez łąki widziała światła padające ze stojących wzdłuż brzegu domów. Pokonała zakręt, minęła Skały i nagle światła nie były już białe, tylko niebieskie, i zdawało się, że tańczą wśród drzew.

Przed domem Rachel Sorkin stał samochód policyjny.

Claire skręciła na podjazd. Na podwórzu parkowały trzy samochody - dwa policyjne i jeden biały mikrobus. Policjant stanowy rozmawiał na ganku z Rachel Sorkin. Białe plamy światła z latarki przesuwają się po ziemi pod drzewami.

Claire dostrzegła wychodzącego z lasu Lincolna Kelly'ego - rozpoznała jego sylwetkę, gdy na chwilę znalazł się w smudze światła. Lincoln nie był wysoki, trzymał się prosto, miał mocną budowę i poruszał się ze spokojną pewnością siebie, dzięki czemu wydawał się potężniejszy niż w rzeczywistości. Zamienił kilka słów z policjantem stanowym, zauważył Claire i skierował się ku niej.

Opuściła szybę.

- Znaleźliście jeszcze jakieś kości? - spytała.

Gdy pochylił się ku oknu, poczuła zapach lasu: sosny, ziemi i dymu z palącego się drewna.

- Tak. Psy doprowadziły nas na brzeg strumienia - powiedział. - Tej wiosny, podczas powodzi, woda podmyła cały brzeg i wypłukała kości. Niestety, dzikie zwierzęta rozłoczyły je po całym lesie.

- Czy lekarz sądowy uważa, że to było morderstwo?

- To już nie leży w gestii lekarza sądowego. Kości są za stare. Kierownictwo przejęła doktor Overlock, antropolog sądowy. Może chcesz z nią porozmawiać?

Otworzył drzwi furgonetki i Claire wysiadła. Weszli razem w mrok lasu. Wśród drzew wydawało się, że już zapadła noc. Ziemia była nierówna, pokryta opadłymi liśćmi. Claire potykała się o korzenie. Lincoln wyciągnął rękę, by ją podtrzymać. Sam poruszał się w ciemnościach bez wysiłku, mocno stąpając po ziemi.

Wśród drzew migały światła, rozlegały się głosy i szumiała woda. Claire i Lincoln wynurzyli się z lasu na brzegu strumienia. Policja odgrodziła część podmytego brzegu taśmą naciągniętą między palikami. Na brezencie leżało kilka odkrytych do tej pory, oblepionych ziemią kości. Claire rozpoznała piszczel i chyba fragment kości łonowej. Dwóch mężczyzn w wysokich butach, z lampami górniczymi na głowach, tkwiło po kolana w wodzie strumienia, badając ziemię brzegu.

Lucy Overlock stała między drzewami i rozmawiała przez telefon komórkowy. Sama przypominała drzewo: wysoka, mocno zbudowana, ubrana jak traper, w dżinsy i robocze buty. Niemal zupełnie siwe włosy ściągnęła w prosty koński ogon. Na widok Lincolna pomachała ręką i dalej mówiła do słuchawki:

- ...nie, jeszcze żadnych artefaktów, tylko pozostałości szkieletu. Zapewniam cię jednak, że ten pochówek nie podpada pod NAGPRA*. Czaszka wygląda mi na rasę kaukaską, nie na Indianina. Jak to skąd wiem? Przecież to oczywiste! I puszka mózgowa, i twarz są za wąskie. Nie, oczywiście, że nie mogę być absolutnie pewna. Ale jesteśmy koło jeziora Locust, a Penobscotowie nigdy nie mieli tu siedzib. To plemię nawet nie łowiło ryb w tym jeziorze, bo cała okolica była dla nich tabu. - Wzniosła oczy do nieba i pokręciła głową. - Naturalnie, możesz osobiście zbadać kości. Musimy jednak przeszukać to miejsce teraz, zanim zwierzęta wszystko zniszczą, albo nic tu więcej nie znajdziemy. - Wyłączyła telefon i spojrzała na Lincolna. - Walka o kontrolę - wyjaśniła z frustracją w głosie.

* *NAGPRA - Native American Graves Protection and Repatriation Act - Ustawa o ochronie grobów tubylczych Amerykanów i repatriacji.*

- Nad kośćmi?
- Chodzi o NAGPRA. Ochronę grobów indiańskich. Za każdym razem, gdy znajdujemy jakieś szczątki, plemiona żądają stuprocentowej gwarancji, że nie należą do ich przodków. Dziewięćdziesiąt pięć procent ich nie zadowala. - Zwróciła spojrzenie na Claire, która podeszła, by się przedstawić.
- Lucy Overlock - dokonał prezentacji Lincoln. - A to jest Claire Elliot. Lekarka, która znalazła kość udową.
Kobiety uściśniły sobie ręce - rzeczowy uścisk dłoni dwóch profesjonalistów spotykających się przy okazji ponurej sprawy.
- Mamy szczęście, że akurat pani zwróciła uwagę na tę kość - rzekła Lucy. - Kto inny mógłby nie zdawać sobie sprawy z tego, że jest ludzka.
- Szczerze mówiąc, nie byłam całkiem pewna. Cieszę się, że nie ściągnęłam tu wszystkich z powodu jakiejś krowy.
- To z całą pewnością nie była krowa.
- Znaleźliśmy coś jeszcze! - zawołał jeden z kopiących nad strumieniem.
Lucy wskoczyła po kolana w wodę i skierowała światło latarki na odsłonięty brzeg.
- Tutaj - powiedział kopacz, naruszając ziemię łopatką. - Wygląda mi to na drugą czaszkę.
Lucy naciągnęła rękawiczki.
- No dobra, wyciągnijmy ją ostrożnie.
Kopiący wsunął łopatkę głębiej w urwisko i ostrożnie odrzucał bryły ziemi. Znaleźisko spadło w ręce Lucy. Wydrapała się z wody na brzeg, uklękła nad płachtą brezentu i obejrzała swój skarb.
Rzeczywiście była to druga czaszka. W świetle reflektora Lucy obróciła ją ostrożnie i przyjrzała się zębom.

- Kolejny młodociany. Brak zębów mądrości - zauważyła. - Tu i tam widzę zepsute zęby trzonowe, ale bez plomb.

- Co znaczy, że nie zajmował się nimi dentysta - dopowiedziała Claire.

- Tak, to stare kości. Powinieneś się z tego cieszyć, Lincoln. Inaczej miałbyś tu robotę.

- O czym ty mówisz?

Obróciła w dłoniach czaszkę tak, że światło padło na czubek głowy, gdzie ze środkowego zagłębienia rozbiegały się rysy, podobne do pęknięć w uderzonej łyżką skorupce jajka na miękko.

- Nie ma chyba żadnych wątpliwości - powiedziała - że to dziecko zmarło gwałtowną śmiercią.

Aż się wzdrygnęli, gdy ciszę przeszył pisk bipera. Pośród spokoju tych lasów elektroniczny dźwięk wydawał się nie na miejscu. Niepokoił. Claire i Lincoln odruchowo sięgnęli po swoje pagery.

- To mój - powiedział Lincoln, patrząc na odczyt. Bez słowa ruszył przez las ku wozowi patrolowemu. Chwilę później Claire dostrzegła niebieskie światło, padające między drzewami z koguta na dachu odjeżdżającego samochodu.

- Widocznie coś pilnego - rzuciła Lucy.

Posterunkowy Pete Sparks był już na miejscu i starał się namówić starego Verna Fullera do odłożenia broni. Zapadał mrok. W pierwszej chwili Lincoln zauważył jedynie dwie wymachujące rękoma sylwetki, oświetlane co chwila migającym światłem koguta z wozu Pete'a. Lincoln zatrzymał samochód na podjeździe Verna i wysiadł, zachowując czujność. Słyszał beczenie owiec i niespokojne popiskiwanie kurcząt. Odgłosy gospodarstwa.

- Nie potrzebujesz strzelby - mówił Pete. - Wracaj do domu, Vern, a my się tym zajmiemy.

- Tak samo jak ostatnim razem?

- Ostatnim razem nic nie znalazłem.
- To dlatego, że za późno przyjechałeś!
- O co tu chodzi? - przerwał Lincoln.

Vern zwrócił się do niego.

- To pan, Kelly? Niech więc pan powie temu... temu chłopakowi, że nie mam zamiaru oddać mojej jedynej ochrony.

- Nie proszę, żebyś ją oddał - wyjaśnił Pete zmęczonym głosem - tylko żebyś przestał nią wymachiwać. Idź do domu i odłóż broń, bo inaczej coś się komuś stanie.

- To dobry pomysł - poparł go Lincoln. - Nie wiemy, z czym tu mamy do czynienia, więc wejdź do domu i zamknij drzwi, Vern. Miej blisko telefon, na wypadek gdybyśmy potrzebowali pomocy.

- Pomocy? - parsknął Vern. - No dobra.

Dwaj policjanci czekali, aż staruszek zamknie za sobą drzwi.

- Jest całkiem ślepy - powiedział Pete. - Szkoda, że nie możemy mu zabrać tej strzelby. Zawsze gdy tu przychodzę, boję się, że odstrzeli mi głowę.

- A o co tu właściwie chodzi?

- Już trzeci raz dzwonił pod dziewięćset jedenaście. Cały czas gonię za innymi wezwaniami, więc trochę trwa, zanim tu dotrę. Zawsze skarży się na to samo: że jakieś zwierzę napada na jego owce. Pewnie widzi tylko własny cień.

- Dlaczego wzywa właśnie nas?

- Bo departamentowi wędkarstwa i łowiectwa jeszcze mniej się śpieszy. Byłem tu w tym tygodniu już dwukrotnie i nic nie znalazłem. Nawet odcisku łapy kojota. Pomyślałem sobie, że lepiej cię zawiadomię, na wypadek gdyby pomylił mnie z jakimś dzikim zwierzęciem.

Lincoln zerknął na dom i zauważył sylwetkę staruszka, rysującą się na tle oświetlonego okna.

- Patrzy na nas. Ostatecznie możemy się rozejrzeć, żeby go uspokoić.

- Powiedział, że widział to zwierzę koło stodoły.

Pete włączył latarkę. Ruszyli przez podwórze w kierunku beczących owiec. Lincoln cały czas czuł na plecach spojrzenie Verna. Zróbmy mu przyjemność, pomyślał. Nawet jeśli to tylko strata czasu.

Zaskoczyło go, że Pete nagle się zatrzymał. Światło jego latarki dotarło do drzwi stodoły.

Były otwarte.

Coś się tu nie zgadzało. Zapadła już ciemność i wrota powinny być zamknięte.

Lincoln włączył swoją latarkę. Szli teraz wolniej, a podskakujące promienie światła wskazywały drogę. Zatrzymali się przy wejściu. Nawet przez mieszaninę zapachów typowych dla gospodarstwa poczuli odór krwi.

Weszli do środka. Beczenie się nasiliło i stało się tak męczące jak krzyki spanikowanych dzieci. Pete omiół światłem latarki pomieszczenie. Dostrzegli widły, niespokojne kurczęta i przestraszone owce, tłoczące się w zagrodzie.

Na posypanej trocinami podłodze leżało źródło odoru.

Pete, potykając się, wypadł ze stodoły i wymiotował w krzaki.

- O Jezu, Jezu.

- To tylko martwa owca - powiedział Lincoln.

- Nigdy nie widziałem, żeby kojot zrobił coś takiego. Tak rozciągnął wnętrzności...

Lincoln skierował światło latarki na podłogę koło drzwi. Widać było jedynie liczne ślady butów: jego własne, Pete'a i Verna Fullera. Żadnych tropów. Jak to możliwe, by zwierzę nie zostawiło śladów?

Trzasnęła gałązka za jego plecami. Odwrócił się błyskawicznie. Vern wciąż ścisnął w dłoniach strzelbę.

- To niedźwiedź - powiedział. - Właśnie niedźwiedzia widziałem.

- Niedźwiedź by tego nie zrobił.

- Wiem, co widziałem. Dlaczego mi nie wierzycie?

Bo wszyscy wiedzą, że jesteś na wpół ślepy.

- Uciekł tędy, do lasu - mówił Vern, wskazując w jedną stronę podwórza. - Poszedłem tam za nim, tuż przed zmrokiem. Potem straciłem ślad.

Lincoln zauważył, że ślady butów rzeczywiście prowadzą w stronę lasu, ale Vern kilkakrotnie cofał się i znów szedł naprzód, zacierając wszelkie tropy zwierzęcia.

Ruszył tym śladem. Zatrzymał się na chwilę wpatrzony w ciemność. Drzewa rosły tak gęsto, że tworzyły mur nie do pokonania - nawet światło latarki nie zdołało rozjaśnić panujących tam ciemności.

Pete doszedł już do siebie i zbliżył się do Lincolna.

- Powinniśmy poczekać, aż się rozwidni - szepnął. - Nie wiemy, z czym tu mamy do czynienia.

- W każdym razie to nie niedźwiedź.

- No tak, nie boję się niedźwiedzi. Ale jeśli to coś innego... - Pete wyjął broń. - Słyszałem, że w zeszłym tygodniu w Jordan Falls widziano pumę.

Teraz także i Lincoln wyciągnął broń. Powoli wszedł między drzewa. Trzask gałązek pod jego stopami rozlegał się głośno jak kanonada. Naraz zastygł w bezruchu, wpatrzony w ścianę drzew. Wydawało mu się, że las go okrąża. Zjeżyły mu się włosy na głowie.

Coś tam jest. Obserwuje nas.

Wszystkie zmysły kazały mu się natychmiast wycofać. Z bijącym szybko sercem zrobił krok w tył, a jego buty znów spowodowały eksplozję hałasu. Poczucie bliskiego zagrożenia zniknęło dopiero wówczas, gdy obaj wyszli z lasu.

Znów zatrzymali się przed stodołą Fullera. Owce wciąż beczwały. Patrzył pod nogi, na ślady butów. Nagle podniósł głowę.

- Co jest za tym lasem? - spytał.
- Ciągnie się spory kawałek - odrzekł Vern. - A dalej jest Barnstown Road. Trochę domów. Domy, pomyślał Lincoln. Rodziny.

Gdy Claire wróciła do domu, Noah oglądał telewizję. Jeszcze w holu rozpoznała melodię z kreskówki o Simpsonach i słyszała, jak Homer Simpson głośno czka, a Lisa mruczy z obrzydzeniem. Noah się roześmiał, a Claire pomyślała: Cieszę się, że mój syn wciąż się śmieje z kreskówek.

Weszła do frontowego pokoju. Syn, z rozjaśnioną twarzą, siedział rozparty na poduszkach kanapy. Spojrzał na nią przelotnie, ale nic nie powiedział.

Usiadła obok niego, opierając stopy na niskim stoliku, tuż koło stóp Noaha. Wielkie stopy, małe stopy - pomyślała z rozbawieniem. Noah ma tak duże stopy, że przy jej drobnych wyglądają jak buty kłowna.

Na ekranie telewizora okropnie gruby Homer skakał w kwiecistym szlafrocжку i wpychał sobie do ust jedzenie.

Noah znów się roześmiał, a Claire mu zawtórowała. Właśnie tak chciała spędzić resztę wieczoru. Będą razem oglądać telewizję, a zamiast obiadu zjedzą prażoną kukurydzę. Pochyliła się ku niemu. Zderzyli się lekko głowami.

- Przepraszam, mamó - powiedział.
- Nie ma sprawy, kochanie. Przykro mi, że się spóźniłam.

- Dzwoniła babcia Elliot. Niedawno.
- Tak? Czy chciała, żebym do niej zatelefonowała?
- Chyba tak. - Przez chwilę patrzył w telewizor, milcząc przez czas trwania reklam. - Babcia chciała się upewnić, że z nami dziś wszystko w porządku - dodał w końcu.

Claire spojrzała ze zdziwieniem.

- Dlaczego?
- Dzisiaj są urodziny taty.

Na ekranie telewizora Homer Simpson w kwiecistym szlafrocжку porwał ciężarówkę rozwożącą lody i prowadził ją teraz w szaleńczym tempie, przez cały czas wpychając sobie lody do ust. Claire wpatrywała się w ekran w pełnym zdumienia milczeniu. Dzisiaj twoje urodziny, myślała. Umarłeś zaledwie dwa lata temu, a my już cię po trochu zapominamy.

- O Boże, Noah - wyszeptała. - Nie rozumiem, jak mogłam o tym zapomnieć.

Oparł ciężko głowę na jej ramieniu.

- Ja też nie pamiętałem - przyznał ze wstydem.

Claire zadzwoniła do Margaret Elliot z sypialni. Zawsze lubiła swoją teściową, a przez lata sympatia tak się wzmogła, że czuła się znacznie bliższa Margaret niż swoim własnym, chłodnym i wyniosłym rodzicom. Czasem Claire wydawało się, że wszystkiego, co wie o miłości i namiętności, nauczyła się od rodziny Elliotów.

- Cześć, mamó. To ja - powiedziała.
- Dziś w Baltimore piętnaście stopni i słonecznie - odrzekła Margaret i Claire się roześmiała. Od kiedy przeprowadziła się do Tranquility, był to ich stały żart: porównywanie komunikatów meteorologicznych. Margaret była przeciwna jej wyjazdowi z Baltimore. - Nie masz pojęcia, co znaczy prawdziwe zimno - powiedziała do Claire - a ja będę ci przypominać, z czego

zrezygnowałaś.

- Tutaj dwa stopnie - doniosła Claire. Spojrzała w okno. - Robi się coraz zimniej i ciemniej.
- Noah ci powiedział, że dzwoniłam?
- Tak. U nas wszystko w porządku. Naprawdę.
- Czyżby?

Claire nie odpowiedziała. Margaret miała niesamowity talent odczytywania uczuć z tonu czyjegoś głosu i już wyczuła, że coś jest nie tak.

- Noah mówił mi, że chciałby tu wrócić - dodała Margaret.
- Dopiero cośmy się przeprowadzili.
- Zawsze możesz jeszcze zmienić zdanie.
- Już nie. Zbyt się tu zaangażowałam. Nowy gabinet, nowy dom.
- To są rzeczy, nie zobowiązania, Claire.
- W istocie rzeczy to zobowiązania wobec Noaha. Muszę tu zostać dla niego. - Przerwała, uświadamiając sobie nagle, że choć bardzo kocha Margaret, czuje pewną irytację. Zmęczyły ją już delikatne, lecz wciąż powtarzane sugestie powrotu do Baltimore. - Dzieciom zawsze jest trudno na początku, ale się przyzwyczai. Jest zbyt młody, by wiedzieć, czego chce.

- Tak, to chyba prawda. A ty? Wciąż chcesz tam zostać?
- Dlaczego pytasz?
- Bo wiem, że mnie trudno byłoby przenieść się gdzie indziej. Zostawić wszystkich przyjaciół.

Claire wpatrywała się w odbicie swojej zmęczonej twarzy w lustrze toaletki. Także w odbicie sypialni, której ściany wciąż pozostawały właściwie puste. Był to jedynie skład mebli, miejsce do spania, jeszcze nie część prawdziwego domu.

- Wdowa potrzebuje przyjaciół, Claire - powiedziała Margaret.

- Może to była jedna z przyczyn, dla których wyjechałam.
 - Nie rozumiem?
 - Tym właśnie stałam się dla wszystkich. Wdową. Gdy wchodziłam do ambulatorium, napotykałam spojrzenia pełne smutku i współczucia. W mojej obecności już nikt się nie śmiał ani nie opowiadał dowcipów. I nikt, ani jedna osoba, nie odważył się wspomnieć Petera. Zupełnie jakby się bali, że na dźwięk jego imienia załamie się i utone w łzach.
- W słuchawce zapanowała cisza i Claire nagle pożałowała swojej szczerości.
- To nie znaczy, że przestałam za nim tęsknić, mamo - dodała cicho. - Widzę go zawsze, gdy patrzę na Noaha. Są tak niezwykle podobni. Zupełnie jakbym patrzyła na dorastającego Petera.
 - Są podobni pod wieloma względami - powiedziała Margaret i Claire usłyszała z ulgą, że z głosu teściowej nie znikło ciepło. - Peter nie był łatwym dzieckiem. Nie opowiadałam ci chyba o kłopotach, w jakie się wpakował w wieku Noaha. Stąd właśnie skłonność mojego wnuka do popadania w tarapaty. Po Peterze.
- Claire musiała się roześmiać. Na pewno nie ma tego po mnie, nudnej, skrupulatnej matce, której największą zbrodnią jest jeżdżenie samochodem bez świadectwa kontroli technicznej.
- Noah ma dobre serce, ale zaledwie czternaście lat - dodała Margaret ostrzegawczo. - Nie bądź zdziwiona, jeśli znów w coś się wpakuje.
- Schodząc później na dół, Claire poczuła zapach palonych zapałek. No właśnie, już są kłopoty, pomyślała. Znów pali papierosy. Poszła za zapachem do kuchni i zatrzymała się w drzwiach.
- Noah trzymał w dłoni zapaloną zapałkę. Zerknął na matkę i szybko ją zgasił.
- Tylko tyle świeczek udało mi się znaleźć - powiedział.
- W milczeniu podeszła do kuchennego stołu. Przez łzy nagle napływające jej do oczu patrzyła na gotowy tort, który Noah wyjął z zamrażalnika. Płonęło już na nim jednaście świeczek.

Noah zapalił zapałkę i przytknął ją do dwunastej świeczki.
- Wszystkiego najlepszego, tatusiu - powiedział cicho.
Wszystkiego najlepszego, Peter, pomyślała, walcząc ze łzami.
Razem zdmuchnęli świeczki.

Rozdział czwarty

Pani Horatio miała zamiar przeprowadzić doświadczenie na żabie.

- Gdy już przebije się ich rdzeń przedłużony, przestają cokolwiek czuć - wyjaśniła. - Igła wchodzi u podstawy czaszki. Należy nią nieco pokręcić, by zniszczyć wszystkie połączenia czuciowe dochodzące do mózgu. To żabę paraliżuje i uniemożliwia wszelkie świadome ruchy, ale odruchy pozostają i można je badać. - Sięgnęła do słoja i wyciągnęła wiercącą się żabę. Drugą ręką ujęła igłę. Była olbrzymia.

Noah siedział nieruchomo w ławce w trzecim rzędzie. Starał się zachować niedbałą pozę i znudzony wyraz twarzy, choć w żołądku czuł ucisk i zbierało mu się na wymioty.

Słyszał, jak inni uczniowie, głównie dziewczęta, wiercą się na krzesłach. Po jego prawej stronie przerażona Amelia Reid zakryła usta dłonią.

Przesunął wzrokiem po klasie i w myślach formułował opinie na temat każdego ucznia. Łajza. Mięśniak. Wazeliniarz. Z nikim, poza Amelią Reid, nie miał ochoty spędzać czasu. Zresztą nikt z nich nie był także zainteresowany spędzaniem czasu z nim, ale tym się nie przejmował. Mamie być może odpowiada to miejsce, ale on nie ma zamiaru zostać tu na zawsze.

Skończyć szkołę, a potem wynosić się stąd, wynosić się stąd, wynosić się stąd.

- Taylor, przestań się wiercić i uważaj - powiedziała pani Horatio.

Noah spojrzął z ukosa i zauważył, że Taylor Darnell uchwycił ławkę obiema rękoma i wpatrywał się w klasówkę, na której pani Horatio czerwonym flamastrem napisała wielką dwójkę plus. Taylor

pokrył całą kartkę gniewnymi czarnymi krechami. Koło upokarzającego stopnia napisał: „Śmierć pani Kurwatio”.

- Noah, uważaj.

Noah zarumienił się i skierował spojrzenie na katedrę. Pani Horatio uniosła żabę, by wszyscy mogli ją zobaczyć. Miało się wrażenie, że przeprowadzanie tego doświadczenia sprawia jej przyjemność. Z błyszczącymi oczyma i ściągniętymi wargami przyłożyła koniec igły punkcyjnej do głowy żaby i wcisnęła ją w rdzeń przedłużony. Tylne nogi żaby tłukły w blat, błoniaste stopy kurczyły się z bólu.

Amelia pisnęła i opuściła głowę, a jej blond włosy opadły kaskadą na ławkę. W całej klasie skrzypiały krzesła.

- Proszę pani, czy mogę wyjść?! - zawołał ktoś z nutą desperacji w głosie.

- ...musimy energicznie poruszać igłą tam i z powrotem. Nie przejmujcie się tymi bijącymi nogami. To czysto odruchowa reakcja. Po prostu rdzeń kręgowy wysyła impulsy.

- Proszę pani, ja muszę do toalety...

- Za chwilę. Najpierw popatrzcie, jak to robię. - Pani Horatio pokręciła igłą i rozległ się lekki trzask.

Noah o mało nie zwymiotował. Starając się ze wszystkich sił zachować pozory chłodnej nonszalancji, odwrócił wzrok, zaciskając pod ławką dłonie. Nie rzygaj, nie rzygaj, nie rzygaj.

Skupił się na blond włosach Amelii, które tak mu się podobały. Włosy królewny z bajki. Wpatrywał się w nie, myśląc, jak bardzo chciałby je pogłaskać. Nigdy nie odważył się przemówić do Amelii. Była jak dziewczynka w złotej bańce mydlanej, poza zasięgiem zwykłego śmiertelnika.

- No właśnie - powiedziała pani Horatio. - Tylko o to chodzi. Widzicie? Całkowity paraliż.

Noah zmusił się, by spojrzeć na żabę. Leżała na katedrze nieruchoma i bezwładna. Jeśli wierzyć

starej Horatio, wciąż żyła, ale nie dawała żadnych oznak życia. Przeszyło go uczucie nagłego i przejmującego współczucia dla żaby. Wyobraził sobie siebie rozplaszczonego na stole, z otwartymi oczyma, świadomego, ale niezdolnego się poruszyć. Igły paniki biegnące donikąd, po prostu wybuchające jak petardy w mózgu. On też poczuł się sparaliżowany i bez czucia.

- A teraz niech każdy dobierze sobie partnera do doświadczenia - powiedziała pani Horatio. - Zsuńcie razem ławki.

Noah przełknął ślinę i spojrzał kątem oka na Amelię. Bezradnie skinęła głową.

Przesunął swój stolik do jej stolika. Nie rozmawiali ze sobą - partnerstwo polegało wyłącznie na siedzeniu obok siebie, ale wszystko jedno, ważne, że była blisko. Wargi Amelii drżały. Chciał ją pocieszyć, ale nie wiedział jak, więc po prostu siedział, a jego twarz z przyzwyczajenia przybrała znudzony wyraz. Powiedz jej coś miłego, kretynie. Coś, co zrobi na niej wrażenie. Może nigdy nie będziesz miał następnej okazji!

- Żaba wygląda na całkiem martwą - wykrztusił.

Wzdrygnęła się.

Pani Horatio szła przejściem między ławkami ze słojem pełnym żab. Zatrzymała się koło Noaha i Amelii.

- Weźcie jedną. Każda para pracuje na jednej żabie.

Krew odpłynęła z twarzy Amelii. Wypadło na Noaha.

Wsunął rękę do słoja i chwycił wyślizgującą się żabę. Pani Horatio rzuciła im na stolik igłę punkcyjną.

- Zaczynajcie - powiedziała i przeszła dalej.

Noah spojrzał na trzymane w dłoni zwierzątko. Wpatrywało się w niego wyłupiastymi oczyma. Ujął igłę i znów spojrzał na żabę. Te oczy błagały go: Pozwól mi żyć! Pozwól mi żyć! Odłożył igłę,

bo znów zbierało mu się na wymioty, i popatrzył z nadzieją w oczach na Amelię.

- Może ty?

- Nie mogę - szepnęła. - Proszę, nie zmuszaj mnie.

Jedna z dziewczynek krzyknęła. Noah rzucił okiem w tamtą stronę: Lydia Lipman zerwała się z krzesła i uciekła od swego partnera, Taylora Darnella. Z głośnym stukotem drewna Taylor zawzięcie wbijał igłę w żabę. Krew rozpryskiwała się po stoliku.

- Taylor! Przestań, Taylor! - powiedziała pani Horatio.

Nie przestawał. Stuk, stuk. Żaba przypominała już zielonego hamburgera.

- Dwa plus - mamrotał pod nosem. - Cały tydzień kułem do tego testu. Nie możesz dać mi dwa plus!

- Taylor, idź do gabinetu dyrektorki.

Mocniej wbił igłę w żabę.

- Nie możesz dać mi marnego dwa plus!

Nauczycielka chwyciła go za przegub i usiłowała odebrać mu igłę.

- Idź do pani Cornwallis, natychmiast!

Taylor wyrwał się, zrzucając martwą żabę ze stolika. Poleciała łukiem na kolana Amelii, która z krzykiem zerwała się na równe nogi. Małe ciało spadło na podłogę.

- Taylor! - krzyknęła pani Horatio. Znów chwyciła go za rękę, tym razem zmuszając do wypuszczenia z dłoni igły. - Natychmiast wyjdź z klasy!

- Odpierdol się!

- Coś ty powiedział?!

Wstał i cisnął krzesłem o podłogę.

- Odpierdol się!

- Zostajesz zawieszony! Od tygodnia zachowujesz się niegrzecznie i pokazujesz humory! Dostyć tego. Wynoś się z klasy!

Kopnął krzesło, które przeleciało wzdłuż przejścia i uderzyło w stolik. Pani Horatio złapała Taylora za koszulę i chciała odprowadzić go do drzwi, ale wyrwał się i pchnął ją z taką siłą, że upadła na katedrę, przewracając i rozbijając stół. Żaby wydostały się na wolność i rozpełzły na boki, tworząc zielony, drgający dywan.

Nauczycielka powoli wstała z podłogi. W jej oczach płonęła wściekłość.

- Postaram się, żebyś wyleciał ze szkoły!

Taylor sięgnął do plecaka.

Pani Horatio zamarła, patrząc na pistolet w jego dłoni.

- Odłóż to - powiedziała. - Taylor, odłóż to!

Strzał trafił ją w podbrzusze. Chwiejnie zrobiła krok w tył, trzymając się za brzuch, i upadła na ziemię z wyrazem niedowierzania na twarzy. Wydawało się, że czas stanął w miejscu. Noah gapił się w przerażeniu na strumień jasnej krwi płynący ku jego butom. W końcu przerażony krzyk którejś z dziewczynek przerwał ciszę i w jednej chwili rozpętał się chaos. Noah słyszał, jak trzaskają przewrócone krzesła, widział, jak uciekająca dziewczynka potyka się i pada na kolana w rozbite szkło. Powietrze wydawało się gęste od krwi i paniki.

Rozległ się kolejny strzał.

Noah rozejrzał się, jakby w zwolnionym tempie rejestrując miotające się tu i tam ciała, i zobaczył, jak Vernon Hobbs pada na stolik. Klasa wydawała się pełna rozwianych włosów i wierzgających nóg, ale Noah nie mógł się ruszyć. Jego stopy tkwiły niczym przyklejone do podłogi w żywym koszmarze, a ciało odmawiało posłuszeństwa idącym z mózgu rozkazom: Uciekaj! Uciekaj!

Wrócił wzrokiem do Taylora Darnella i z przerażeniem zobaczył, że pistolet jest teraz wymierzony w głowę Amelii.

Nie, przemknęło mu przez mózg. Nie!

Taylor strzelił.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na skroni Amelii ukazała się strużka krwi i spłynęła powoli na jej policzek, ale dziewczyna stała dalej wpatrzona w pistolet niby zahipnotyzowane zwierzę.

- Proszę, Taylor - szeptała. - Proszę, nie...

Taylor znów uniósł broń.

Nagle nogi Noaha wyzwoliły się z koszmarne paraliżu, a ciało zaczęło działać odruchowo. Jego mózg zarejestrował naraz całe mnóstwo szczegółów. Zobaczył, jak Taylor podrywa głowę i odwraca się w jego stronę. Pistolet powoli przesunął się łukiem w jego kierunku. Zobaczył jeszcze błysk zaskoczenia w oczach Taylora, gdy na niego skoczył.

Rozległ się kolejny strzał.

- Właśnie zauważyłam, że przyjęto do szpitala moją pacjentkę. Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił?

Gdy rejestratorka zobaczyła, że to Claire zadała jej pytanie, zaczęła się nerwowo wiercić w krześle.

- Oooo... Jaką pacjentkę, pani doktor?

- Katie Youmans. Zobaczyłam nazwisko na drzwiach, ale nie ma jej w pokoju. Nie mogę także znaleźć jej karty w kartotece.

- Kilka godzin temu zgłosiła się na izbę przyjęć. Jest teraz na prześwietleniu.

- Nikt mnie nie zawiadomił.

Rejestratorka spuściła wzrok.

- Doktor DelRay przejął nad nią opiekę.

Claire w milczeniu przyjęła tę nieprzyjemną wiadomość. Pacjenci często zmieniali prowadzących lekarzy, czasem z bardzo błahych powodów. Dwaj pacjenci Adama DelRay'a przenieśli się pod opiekę Claire. Zdziwiło ją jednak, że akurat ta pacjentka postanowiła odejść do innego lekarza.

Szesnastoletnia Katie Youmans, nieco opóźniona w rozwoju, mieszkała ze swoim ojcem, gdy po raz pierwszy zjawiała się u Claire z powodu zapalenia pęcherza. Claire od razu zauważyła wiele mówiące siniaki na przegubach dziewczyny. Po trzech kwadransach rozmowy i badaniu Claire upewniła się w swoich podejrzeniach. Katie zabrano z domu ojca i umieszczono w rodzinie zastępczej.

Od tego czasu dziewczyna rozkwitła. Jej fizyczne i psychiczne rany się zbliżyły. Claire uważała przypadek Katie za osobisty sukces. Dlaczego dziewczyna chciała zmienić lekarza?

Znalazła Katie w pracowni rentgenowskiej. Przez niewielkie okienko widziała leżącą na stole dziewczynę z jedną nogą umieszczoną pod głowicą aparatu.

- Mogę wiedzieć, z jaką diagnozą ją przyjęto? - spytała technika.

- Powiedziano mi, że to zapalenie tkanki łącznej prawej stopy.

Claire wzięła kartę Katie i przeczytała notatkę przyjęcia do szpitala. Adam DelRay podyktował ją o siódmej rano.

„Biała kobieta, lat szesnaście, dwa dni temu nadepnęła na gwóźdź. Dziś rano obudziła się z gorączką, dreszczami i obrzękiem stopy...”.

Claire przerzuciła historię i objawy, aż doszła do proponowanego leczenia.

Szybko chwyciła za telefon, by przez pager wezwać Adama DelRaya.

Chwilę później DelRay pojawił się w pracowni rentgenowskiej, jak zwykle sztywny i wyświeżony w długim białym kitlu. Choć zawsze był wobec Claire uprzejmy, nigdy nie okazał jej ani odrobiny ciepła, podejrzewała więc, że pod warstwą jankeskiej rezerwy płonie w nim męskie poczucie rywalizacji, a może nawet niechęci, odkąd dwóch jego pacjentów zmieniło lekarza.

Teraz DelRay z kolei przejął jej pacjentkę i to ona, Claire, musiała stłumić w sobie poczucie rywalizacji. Najważniejsze jest zdrowie Katie Youmans.

- Katie była moją pacjentką - powiedziała. - Znam ją dość dobrze i...
- Claire, to się zdarza. - Położył jej rękę na ramieniu w protekcyjnym geście. - Nie bierz sobie tego do serca.
- Nie dlatego cię wezwałam.
- Po prostu było wygodniej, żebym to ja ją przyjął. Byłem na izbie przyjęć, gdy została przywieziona. A jej opiekunka uważała, że Katie potrzebny jest internista.
- Doskonale potrafię leczyć zapalenie tkanki łącznej, Adamie.
- A jeśli wywiąże się z tego zapalenie tkanki kostnej? Mogą wystąpić komplikacje.
- Chcesz powiedzieć, że lekarz rodzinny nie ma wystarczających kwalifikacji, by zająć się tą pacjentką?
- Opiekunka dziewczyny podjęła decyzję. Ja po prostu znalazłem się tu w odpowiednim momencie.

Claire była zbyt wściekła, by odpowiedzieć. Odwróciła się i spojrzała przez okienko na pacjentkę. Na swoją była pacjentkę. Nagle jej uwagę przyciągnęła kroplówka, do której podłączono Katie. Do torebki z dekstrozą i wodą doczepiono ręcznie napisaną karteczkę.

- Czy dano jej już antybiotyk?

- Właśnie podłączyli kroplówkę - powiedział technik z pracowni rentgenowskiej.
- Ależ ona jest uczulona na penicylinę! Dlatego właśnie cię wezwałam, Adam!
- Nic nie mówiła o uczuleniu.

Claire wbiegła do sąsiedniego pomieszczenia, złapała wlew kroplówki i zamknęła. Jeden rzut oka na Katie wystarczył: twarz dziewczyny była zaczerwieniona.

- Potrzebuję epinefryny! - zawołała Claire do technika. - I benadrylu dożylnie!

Katie wierciła się na stole.

- Dziwnie się czuję, pani doktor - mruknęła. - Tak mi gorąco. - Na jej karku wystąpiły czerwone plamy.

Technik rzucił okiem na dziewczynę, mruknął: „O kurwa” i szarpnął szufladę, szukając zestawu anafilaktycznego.

- Nic mi nie mówiła o uczuleniu - powtórzył DelRay obronnym tonem.
- Jest epinefryna. - Technik podał Claire strzykawkę.
- Nie mogę oddychać!
- Wszystko będzie dobrze, Katie - uspokajała ją Claire, zakładając igłę. - Za moment poczujesz się lepiej... - Wbiła igłę w skórę dziewczyny i wstrzyknęła jej sto mililitrów epinefryny.

- Nie... mogę... oddychać!

- Dwadzieścia pięć miligramów benadrylu! - rzuciła Claire. - Adamie, daj jej benadryl!

DelRay wpatrywał się w osłupieniu w strzykawkę, którą technik wcisnął mu w dłoń. Automatycznie wstrzyknął lekarstwo w wenflon.

Claire wzięła stetoskop. W płucach dziewczyny słyszała gwizdy po obu stronach.

- Jakie ciśnienie krwi? - spytała technika.
- Osiemdziesiąt na pięćdziesiąt. Puls sto czterdzieści.

- Przenieśmy ją na ostry dyżur, natychmiast!

Trzy pary rąk położyły dziewczynę na wózku.

- Nie mogę oddychać... Nie mogę oddychać...

- Jezu, ona strasznie puchnie!

- Ruszajmy! - zawołała Claire.

Wspólnie wypchnęli wózek z pracowni rentgenowskiej, biegiem pokonali hol, okrążyli narożnik i przez podwójne drzwi z hałasem wpadli na ostry dyżur. Doktor McNally i dwie pielęgniarki w zaskoczeniu unieśli głowy.

- Szok anafilaktyczny! - zawołała Claire.

Reakcja była natychmiastowa. Przewieziono Katie do pokoju zabiegowego. Założono jej maskę tlenową, a do piersi przymocowano czujniki EKG. Po chwili w jej żyły sączyła się potężna dawka kortyzonu.

Z wciąż bijącym sercem Claire wyszła w końcu z izby przyjęć, zostawiając McNally'ego i jego personel. Adam DelRay stał przy dyżurce pielęgniarek, energicznie wpisując coś do karty szpitalnej Katie. Gdy Claire podeszła, szybko ją zamknął.

- Nie mówiła, że ma uczulenie - powiedział.

- Jest ociężała umysłowo.

- Więc powinna nosić bransoletkę MedAlert. Dlaczego jej nie ma?

- Bo odmawia noszenia.

- Nie mogłem tego wiedzieć!

- Wystarczyło do mnie zadzwonić, gdy ją przywieziono. Wiedziałeś, że jest moją pacjentką i że znam jej historię. Wystarczyło zapytać.

- Opiekunka powinna była mnie uprzedzić. Nie mieści mi się w głowie, że ta kobieta nie

pomyślała, by...

Przerwał mu głośny zgrzyt z radia pogotowia. Oboje unieśli głowy, by wysłuchać komunikatu.

- Szpital Knox, tu karetka siedemnaście, karetka siedemnaście. Mamy ofiarą postrzału, czas przybycia do szpitala za jakieś pięć minut. Czy mnie słyszycie?

Jedna z pielęgniarek wypadła z gabinetu zabiegowego i chwyciła mikrofon.

- Tu Knox, ostry dyżur. Co to za rana postrzałowa?
- W drodze kilka ofiar. Ta tutaj w stanie krytycznym. Pozostali w drodze.
- Ile? Powtarzam, ile?
- Nie wiadomo. Co najmniej trzy...

Na tej samej częstotliwości włączył się inny głos.

- Szpital Knox, tu karetka dziewięć. Jedziemy z raną postrzałową w ramię. Czy mnie słyszycie?

Pielęgniarka w panice złapała telefon i nacisnęła zero.

- Alarm! Ogłaszam alarm! To nie są ćwiczenia!

Pięciu lekarzy. Tylko tylu udało się znaleźć w budynku szpitala w tych gorączkowych chwilach przed przybyciem pierwszej karetki: Claire, DelRaya, McNally'ego z izby przyjęć, chirurga i jednego wystraszonego pediatrę. Nikt nie znał jeszcze żadnych szczegółów: ani gdzie doszło do strzelaniny, ani ile jest ofiar. Wiedzieli tylko, że stało się coś okropnego, a ten mały, prowincjonalny szpital nie jest przygotowany, by sobie z tym poradzić. Izbę przyjęć wypełniły hałas i bieganina personelu, gotującego się na przyjęcie rannych. Katie, której stan był już stabilny, wytoczono do holu, by zrobić miejsce w gabinecie zabiegowym. Trzaskały drzwiczki szafek, rozbłysły reflektory. Claire wieszała torebki z płynami do kroplówek, rozkładała na tacach instrumenty, otwierała paczki gazy i

nici chirurgicznych.

Potężniający w uszach ryk syreny pierwszej karetki na moment wyciszył izbę przyjęć. Po chwili wszyscy rzucili się do podwójnych drzwi, by przyjąć pierwszą ofiarę. Stojąc w grupie personelu, Claire zdawała sobie sprawę z panującej ciszy - wszyscy wsłuchiwali się w sygnał ambulansu.

Nagle syrena umilkła i w zasięgu wzroku pojawiło się migające czerwone światło.

Gdy karetka podjeżdżała tyłem do wejścia, Claire przepchnęła się naprzód. Otwarto tylne drzwi samochodu i wysunięto przez nie nosze z pierwszą ofiarą. Była to kobieta, już intubowana. Plaster, którym przytrzymano rurkę, zasłaniał dolną część twarzy. Opatrunek na podbrzuszu kobiety był przesiąknięty krwią.

Przewieziono ją prosto na salę urazową i przeniesiono na stół. Chór głosów wykrzykiwał coś równocześnie, gdy przecinano ubranie kobiety, podłączano EKG i tlen, na ramieniu mocowano aparat do mierzenia ciśnienia krwi. Na monitorze pracy serca pokazała się szybko biegnąca sinusoida.

- Skurczowe siedemdziesiąt! - zawołała pielęgniarka.
- Pobieram krew do zbadania grupy! - powiedziała Claire.

Z tacki chwyciła szesnastojednostkowy dożylny kateter i założyła opaskę uciskową na rękę pacjentki. Żyła była słabo widoczna; pacjentka znajdowała się w szoku. Claire wkuła się i wsunęła na miejsce plastikowy wenflon. Strzykawką pobrała krew, po czym przymocowała wlew kroplówki.

- Sól fizjologiczna w kroplówce podłączona! - zawołała.
- Skurczowe sześćdziesiąt, ledwo wyczuwalne!
- Mam wrażenie, że brzuch jest pełen krwi - powiedział chirurg. - Otworzyć tace z narzędziami chirurgicznymi i przygotować ssaki! - Spojrzał na McNally'ego. - Będiesz pierwszym asystentem.
- Ale trzeba ją przewieźć do sali operacyjnej...

- Nie ma czasu. Muszę znaleźć miejsce, skąd płynie ta krew.

- Straciłam tętno! - krzyknęła pielęgniarka.

Pierwsze cięcie było szybkie i brutalne - jedno długie pociągnięcie przez środek brzucha. Drugie, głębsze, przecięło warstwę podskórnego tłuszczu i otworzyło otrzewną. Krew trysnęła, wylewając się na podłogę.

- Nie widzę, skąd pochodzi!

Ssak nie dość szybko usuwał krew. McNally w desperacji wcisnął w otwarty brzuch dwa sterylne ręczniki i wyciągnął nasiąknięte krwią.

- Dobra, chyba widzę. Kula naruszyła aortę...

- Jezu, ależ krwawi!

Rejestratorka krzyknęła przez drzwi:

- Przywieziono dwie kolejne ofiary! Właśnie wnoszą je do środka!

McNally rzucił Claire spojrzenie przez stół. W jego oczach widziała panikę.

- Ty się tym zajmij - rzucił krótko. - Idź, Claire.

Żołądek podszedł jej do gardła. Pchnęła drzwi sali akurat wtedy, gdy pierwsze nosze znalazły się w jednym z gabinetów zabiegowych. Leżał na nich szlochający rudy chłopiec. Miał rozciętą koszulę, a przez bandaż na ramieniu przesączała się krew. Zaraz potem wniesiono drugie nosze z kilkunastoletnią blondyneczką. Połowa jej twarzy była zakrwawiona.

To dzieci, pomyślała Claire. To przecież dzieci. Boże, co się stało?

Najpierw podeszła do dziewczynki; płakała, ale mogła ruszać wszystkimi kończynami. Na widok krwi na jej twarzy Claire o mało nie wpadła w panikę, myśląc, że to rana postrzałowa głowy. Zmusiła się do spokoju, ujęła dłoń dziewczynki i spytała ją o imię. Serce waliło jej jak młotem, ale wystarczyło parę zdań, by przekonać się, że Amelia Reid jest przytomna i w dobrym stanie

umysłowym. Rana była powierzchowna, więc Claire szybko ją oczyściła i założyła opatrunek.

Gdy zwróciła się do rudego chłopca, okazało się, że zajmuje się nim już pediatra.

- Czy jeszcze ktoś jedzie? - spytała rejestratorkę.

- Nie. Być może ktoś jest jeszcze na miejscu...

W drzwiach izby przyjęć pojawił się drugi chirurg.

- Jestem! Kto mnie potrzebuje?

- Sala urazowa - powiedziała Claire. - Trzeba wspomóc doktora McNally'ego.

Skierował się w tamtą stronę, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie, niemal go uderzając.

- Czy mamy już tę krew zero Rh minus dla Horatio?! - zawołała pielęgniarka do rejestratorki.

Horatio? Claire nie rozpoznała pacjentki pod plastrem, ale знаła to nazwisko.

Dorothy Horatio, nauczycielka biologii mojego syna. Rzuciła okiem na zegar. Było wpół do dwunastej - trzecia lekcja. Noah miał mieć biologię w klasie pani Horatio.

Przybył kolejny lekarz, kolejna para rąk - położnik z Two Hills. Rozejrzała się po pokoju i stwierdziła, że sytuacja jest pod kontrolą.

Podjęła jedyną decyzję, jaką może podjąć przerażona matka.

Popędziła do samochodu.

Czterdzieści kilometrów dzielących ją od szkoły bieгло pośród jesiennych pól, nad którymi snuły się pasma mgły. Gdzieś tam stały grupy sosen oraz zagrody o pokrzywionych gankach. Od ośmiu miesięcy codziennie pokonywała tę drogę, ale nigdy w takim tempie, z trzęsącymi się rękami i lękiem w sercu. Na ostatnie wzniesienie wjechała na gazie wciśniętym do dechy. Subaru minęło znajomy znak:

WYJEŹDZASZ Z TWO HILLS. WRÓĆ WKRÓTCE!

Sto metrów dalej stała druga, mniejsza tablica z obłazącą farbą:

WITAJCIE W TRANCJUILITY

NAD JEZIOREM LOCUST

910 MIESZKAŃCÓW

Natychmiast po skręcie w School Road ujrzała migające światła kilku samochodów służb miejskich. Przy prowadzącej do szkoły bramie z czerwonej cegły stało parę wozów policyjnych i dwa wozy strażackie. Musiało tu dojść do prawdziwej katastrofy.

Claire wyskoczyła z samochodu i przebiegła przez trawnik, gdzie za rozciągniętą przez policję taśmą stało kilkudziesięciu zszokowanych uczniów i nauczycieli. Nie dostrzegła wśród nich Noaha.

Policjant z Two Hills zatrzymał ją przy drzwiach wejściowych.

- Nikomu nie wolno wchodzić.
- Ależ ja muszę!
- Tylko personel służb miejskich.

Odetchnęła głęboko.

- Jestem doktor Elliot - powiedziała spokojniejszym tonem. - Lekarz z Tranquility.

Pozwolił jej iść dalej.

Weszła do szkoły. Budynek miał blisko sto lat. Wewnątrz unosił się odór spoconych nastoletnich ciał i kurzu wzniesianego tysiącami stóp, dudniących po schodach w górę i w dół. Wbiegła na pierwsze piętro.

Przez otwarte drzwi pracowni biologicznej, przegrodzone policyjną taśmą widać było poprzewracane krzesła, potłuczone szkło i rozrzucone papiery. Pośród tego wszystkiego skakały żaby.

I krew - całe kałuże gęstniejącej już na podłodze krwi.

- Mama?

Na dźwięk tego głosu serce zabiło jej mocniej. Odwróciła się na pięcie - po drugiej stronie holu stał jej syn. W mroku długiego korytarza wydawał się zastraszająco mały, a jego pokryta krwią twarz była blada i zapadnięta.

Podbiegła do niego i objęła ramionami sztywne ciało, przyciągając Noaha, zmuszając do poddania się uściskowi. Czuła, jak najpierw rozluźniły się jego ramiona, potem oparł głowę na jej głowie i się rozpłakał. Z krtani chłopca nie wydobywał się żaden dźwięk, czuła tylko drżenie jego ramion i ciepłe łzy spływające jej na kark. W końcu objął ją w pasie. Być może jego ramiona były już szerokie jak u mężczyzny, ale teraz lgnęło do niej dziecko, a strach był strachem dziecka, znajdującym ujście we łzach.

- Jesteś ranny? - spytała. - Noah, ty krwawisz. Jesteś ranny?

- Nic mu nie jest, Claire. To nie jego krew, tylko nauczycielki.

Uniosła głowę. W holu stał Lincoln Kelly, a ponury wyraz jego twarzy mówił o strasznych przeżyciach tego dnia.

- Właśnie rozmawialiśmy z Noahem o tym, co się stało. Miałem po ciebie dzwonić.

- Byłam w szpitalu. Wiem, że doszło do jakiejś strzelaniny.

- Twój syn wyrwał temu chłopakowi pistolet - powiedział Lincoln. - To było szaleństwo. I przejaw odwagi. Prawdopodobnie uratował życie kilku osobom. - Lincoln przeniósł wzrok na Noaha. - Powinnaś być z niego dumna - dodał miękko.

- Nie byłem odważny - wyrzucił z siebie Noah. Odsunął się od Claire i z zażenowaniem wycierał oczy. - Bałem się. Nie wiem, dlaczego się na niego rzuciłem. Chyba nie wiedziałem, co robię...

- Ale zrobiłeś to, Noah. - Lincoln położył chłopcu rękę na ramieniu. Było to męskie błogosławieństwo, szybkie i konkretne. Wydawało się, że Noah czerpie siłę z tego prostego gestu. Matka nie może pasować na rycerza własnego syna, pomyślała Claire. Musi to zrobić inny mężczyzna.

Noah wyprostował się powoli, był już opanowany.

- Czy z Amelią wszystko w porządku? - spytał matki. - Zabrała ją karetka.
- W porządku. Tylko draśnięcie w twarz. Chłopcu też chyba nic nie będzie.
- A... pani Horatio?

Pokręciła głową.

- Nie wiem - powiedziała cicho.

Odetchnął głęboko i przesunął dłonią po twarzy.

- Ja... muszę umyć twarz.
- Tak, powinieneś - odparł łagodnie Lincoln. - Nie śpiesz się, Noah. Twoja mama na ciebie zaczeka.

Claire śledziła wzrokiem oddalającego się syna. Gdy przechodził koło pracowni biologicznej, zwolnił, a jego wzrok wbrew woli skierował się ku otwartym drzwiom. Przez kilka sekund stał w miejscu zahipnotyzowany straszliwym widokiem. I szybko ruszył do toalety dla chłopców.

- Kto to był? - spytała Lincoln. - Kto przyniósł do szkoły broń?
- Taylor Darnell.
- Och, nie. To mój pacjent.
- Tak nam powiedział jego ojciec. Paul Darnell twierdzi, że chłopca nie można obwiniać, bo ma

zespół zaburzeń koncentracji i nie potrafi kontrolować tego, co robi. Czy to prawda?

- Zespół zaburzeń koncentracji nie prowadzi do aktów przemocy. Zresztą Taylor wcale na to nie cierpi. Nie mogę jednak nic powiedzieć o tym przypadku, Lincoln. Zdradziłabym tajemnicę pacjenta.

- No, w każdym razie coś z tym chłopakiem jest nie w porządku. Skoro jesteś jego lekarzem, może powinnaś go zobaczyć, zanim zostanie przewieziony do Ośrodka dla Młodocianych.

- Gdzie jest teraz?

- Trzymamy go w gabinecie dyrektorki. - Lincoln się zawahał. - Tylko słowo ostrzeżenia, Claire. Nie zbliżaj się do niego.

Rozdział piąty

Taylor Darnell siedział przypięty kajdankami do krzesła i kopał w biurko dyrektorki. Gdy Claire z Lincolnem weszli do pokoju, nie podniósł wzroku - jakby wcale nie zauważył ich obecności. Dwaj policjanci stanowią siedzieli razem z nim. Spojrzeli na Lincolna i pokręcili głowami, wyraźnie dając do zrozumienia, że uważają chłopca za kompletnego świra.

- Przed chwilą dzwonił ze szpitala - powiedział jeden z policjantów. - Nauczycielka zmarła.

Nikt się nie odezwał. W milczeniu przetrawiali tę okropną wiadomość.

- Gdzie jest matka Taylora? - spytała w końcu Claire.

- Pojechała rano do Portland i jeszcze nie zdążyła wrócić.

- A pan Darnell?

- Wydaje mi się, że szuka prawnika. Będzie im potrzebny.

Taylor znów kopał w biurko, coraz szybciej i szybciej. Claire postawiła torbę lekarską na krześle i podeszła do chłopca.

- Taylor, pamiętasz mnie? Jestem doktor Elliot.

Nie odpowiedział. Zdecydowanie coś tu nie grało. Najwyraźniej nie chodziło jedynie o bunt i wściekłość nastolatka. Wyglądało to raczej na psychozę wywołaną narkotykiem.

Nagle, bez ostrzeżenia, Taylor uniósł głowę i wbił wzrok w lekarzkę z intensywnością drapieżnika. Źrenice miał rozszerzone - tęczęwkę zastąpiły czarne krążki. Wargi się rozciągnęły, zęby błysnęły, a z gardła wydobył się zwierzęcy dźwięk - na poły syk, na poły charkot.

Wszystko potoczyło się tak szybko, że nie zdążyła zareagować. Taylor skoczył na równe nogi, ciągnąc za sobą krzesło, i rzucił się na nią.

Siła uderzenia jego ciała była tak wielka, że Claire potknęła się, cofając, i upadła na plecy. Wbił zęby w jej kurtkę, rozdzierając materiał. Gęsi puch i pierze wypłynęły przez rozdarcie jak biały obłoczek. Dostrzegła w przelocie przerażone twarze policjantów, którzy starali się ich rozdzielić. W końcu odciągnęli Taylora.

Lincoln chwycił ją za ramię i pomógł jej wstać.

- Claire... Boże drogi...
- Nic mi nie jest - powiedziała, kaszląc, bo gęsi puch dostał jej się do gardła. - Naprawdę, wszystko w porządku.
- Ugryzł mnie! - krzyknął jeden z policjantów stanowych. - Zobaczcie, krwawie!
- Chłopiec, choć przykuty do krzesła, walczył i usiłował się wyswobodzić.
- Puśćcie mnie! - skowyczał. - Puśćcie mnie, bo was wszystkich pozabijam!
- Powinno się go zamknąć w klatce!
- Nie, nie, zdecydowanie coś tu jest nie w porządku - zaprotestowała Claire. - Wygląda mi to na psychozę narkotyczną. Fencyklidyna lub amfetamina. - Zwróciła się do Lincolna: - Chciałabym mieć tego chłopca w szpitalu. Jak najprędzej.

- Za dużo ruchu - powiedział doktor Chapman, radiolog. - Obraz nie będzie czysty.

Claire się pochyliła, wpatrując się z uwagą w pierwsze zdjęcie przekroju mózgu Taylora Darnella, które pojawiło się na ekranie monitora. Każdy obraz stanowił kompilację pikseli ukształtowanych przez tysiące małych wiązek promieni rentgenowskich, które skierowane pod różnymi kątami na jednej płaszczyźnie rozróżniały płyn od ciała stałego i powietrza. Te różne gęstości znajdowały odzwierciedlenie na obrazie komputerowym.

- Widzisz, jakie rozmazane? - spytał Chapman.

- Moglibyśmy go unieruchomić, jedynie dając mu narkozę.

- No cóż, to jest jakieś wyjście.

Claire pokręciła głową.

- Jego mózg jest i tak zaburzony. Wolałabym teraz nie ryzykować narkozy. Staram się tylko wyeliminować wszelkie większe odstępstwa od normy, zanim zrobię mu punkcję kręgosłupa.

- Naprawdę sądzisz, że zapalenie mózgu może wyjaśnić te objawy? - Dostrzegła wątpliwości we wzroku Chapmana.

W Baltimore była szanowanym lekarzem rodzinnym. Tutaj jednak wciąż musiała udowadniać, co umie. Jak długo jeszcze nowi koledzy będą kwestionować jej opinie? Kiedy nauczą się jej ufać?

- Na razie nie mam wyboru - powiedziała. - Pierwsze badania na amfetaminę i fencyklidynę były negatywne. Doktor Forrest uważa jednak, że jest to psychoza o podłożu organicznym, nie psychiatrycznym.

Zdanie doktora Forresta najwyraźniej nie zrobiło na Chapmanie wrażenia.

- Psychiatria nie jest nauką ścisłą.

- Ale ja się z nim zgadzam. Alarmujące zmiany osobowości wystąpiły u chłopca w ciągu zaledwie kilku ostatnich dni. Musimy wykluczyć infekcję.

- Ile ma białych ciałek?

- Trzynaście tysięcy.

- Nieco powyżej normy, ale bez przesady. A ich struktura?

- Liczba eozynofili jest wysoka. W gruncie rzeczy znacznie ponad normę, osiąga trzydzieści procent.

- Ale chłopak ma astmę, prawda? To może być przyczyna: jakiś rodzaj reakcji alergicznej.

Claire musiała się zgodzić. Eozynofile to rodzaj białych ciałek krwi, które najczęściej mnożą się w odpowiedzi na reakcje alergiczne lub astmę. Ich wysoki poziom może także wynikać z wielu innych chorób, takich jak rak, zakażenie pasożytami i choroby układu odpornościowego. U niektórych pacjentów nigdy nie stwierdzono żadnej wyraźnej przyczyny wzrostu ich liczby.

- I co teraz? - spytał policjant stanowy, który śledził całą procedurę z rosnącą niecierpliwością. - Możemy go przewieźć do Ośrodka dla Młodocianych czy nie?

- Musimy przeprowadzić jeszcze kilka badań - powiedziała Claire. - Ten chłopiec może być poważnie chory.

- Albo udaje. Tak to przynajmniej według mnie wygląda.

- Ale jeśli rzeczywiście jest chory, możecie znaleźć go martwego w celi. Nie chciałby pan chyba popełnić takiego błędu?

Nie odpowiedziawszy, policjant odwrócił się i przez okienko pracowni tomograficznej spojrzął na swego więźnia.

Taylor leżał na plecach ze związanymi rękoma i nogami. Głowa chłopaka tkwiła w środku tomografu, ale mogli widzieć nieustanny ruch jego stóp. Teraz dopiero mamy problem, pomyślała

Claire. Jak można unieruchomić go na tyle długo, by zrobić punkcję lędźwiową?

- Nie wolno mi przegapić możliwości infekcji centralnego układu nerwowego - oświadczyła. - Przy podwyższonym poziomie białych ciałek i zmianach psychicznych nie mam wyboru. Muszę zrobić punkcję kręgosłupa.

Wydawało się, że Chapman jest tego samego zdania.

- Z tego, co widzę na zdjęciu, nie ma przeciwwskazań.

Przetransportowali Taylora z pracowni tomograficznej do izolatki. Dwie pielęgniarki i salowy przenieśli szamoczącego się chłopca na łóżko.

- Proszę położyć go na boku - powiedziała Claire. - W pozycji embrionalnej.

- Nie będzie leżał spokojnie.

- Więc musicie na nim usiąść. Ta punkcja jest niezbędna.

Wspólnie udało im się położyć chłopca na boku, tyłem do Claire. Salowy zgiął nogi Taylora w biodrach, z całej siły podciągając mu kolana do piersi. Jedna z pielęgniarek popchnęła do przodu jego ramiona. Taylor o mało co nie ugryzł jej w palec.

- Uważajcie, on gryzie!

- Staramy się!

Claire musiała działać szybko - utrzymanie chłopca w tej pozycji przez dłuższy czas było niemożliwe. Uniosła szpitalny kitel, odsłaniając jego plecy. Dzięki embrionalnej pozycji ciała pod skórą wyraźnie rysowały się wyrostki kręgowe. Szybko znalazła miejsce między czwartym a piątym, przetarła skórę betadyną, następnie spirytusem. Naciągnęła sterylne rękawiczki i ujęła strzykawkę ze znieczuleniem miejscowym.

- Wstrzykuję ksylokainę. Nie spodoba mu się to.

Claire przebiła skórę igłą piątką i delikatnie wstrzyknęła znieczulenie. Przy pierwszym dotknięciu

Taylor wrzasnął z wściekłością. Claire zauważyła, że jedna z pielęgniarek podniosła przerażony wzrok. Nikt tu nigdy przedtem nie miał do czynienia z czymś takim. Gwałtowność chłopca przerażała wszystkich.

Claire sięgnęła po igłę do punkcji lędźwiowej. Była to dziesięciocentymetrowej długości siódemka z błyszczącej stali. Szerszy koniec był otwarty, by mógł tędy kapać płyn mózgowo-rdzeniowy.

- Trzymajcie go. Wkłuwam się.

Przekłuła skórę. Ksylokaina znieczuliła okolicę, więc Taylor nie czuł bólu - jeszcze nie. Wpychała igłę głębiej, kierując koniec między kręgi, ku oponie twardej rdzenia kręgowego. Poczowała lekki opór, a potem igła przebiła ochronną membranę.

Taylor znów krzyknął przeraźliwie i zaczął się rzucać.

- Trzymajcie go! Musicie go utrzymać!

- Staramy się! Nie może pani szybciej?

- Jestem już w środku. Jeszcze chwileczkę. - Podsunęła probówkę pod otwarty koniec igły.

Kapnęła pierwsza kropla płynu mózgowo-rdzeniowego. Ku zdumieniu Claire płyn był krystalicznie czysty, bez krwi czy wiele mówiącego zmętnienia. Nie chodziło więc o oczywisty przypadek zapalenia opon mózgowych. Co to może być? - zastanawiała się, starannie zbierając płyn do trzech różnych probówek. Zostaną one natychmiast przekazane do laboratorium i poddane analizie: zbada się liczbę komórek i bakterii, glukozę i białka. Jednak już sam wygląd płynu w probówkach mówił Claire, że wyniki analizy nie będą odbiegały od normy.

Wyciągnęła igłę i nałożyła opatrunek na miejsce wkłucia. Wydawało się, że wszyscy obecni w pokoju odetchnęli z ulgą. Ale zagadka pozostawała nierozwiązana.

Wieczorem, w małej przyszpitalnej kaplicy, znalazła matkę Taylora wpatrującą się tępo w ołtarz. Rozmawiały już wcześniej, gdy Claire zwróciła się do niej o zezwolenie na pobranie płynu mózgowo-rdzeniowego. Wanda Danieli była wówczas kłębkim nerwów, drżały jej ręce i wargi. Cały dzień spędziła w drodze - najpierw pokonała ponad trzysta kilometrów drogi do Portland, do swojego prawnika, w sprawie rozwodu, a potem - gdy policja przekazała jej koszmarnie wieści - musiała przebyć tę samą drogę z powrotem.

Teraz zdawała się tak wyczerpana, jakby skończył się jej zapas adrenaliny. Była to niewielka kobieta, ubrana w źle dopasowany kostium. Wyglądała w nim jak dziewczynka, która dla zabawy włożyła coś z garderoby swojej matki. Gdy Claire weszła do kaplicy, pani Darnell uniosła wzrok i z wysiłkiem skinęła jej głową.

Claire usiadła obok i łagodnie położyła rękę na dłoni Wandy.

- Dostałam już wyniki analizy. Są całkowicie normalne. Taylor nie ma zapalenia opon mózgowych.

Wanda Darnell westchnęła głęboko, jeszcze bardziej kuląc ramiona w zbyt obszernym żakiecie.

- To chyba dobrze?

- Tak. A sądząc po tomografii mózgu, nie ma tam żadnych guzów ani krwawienia. To też dobra wiadomość.

- Więc co z nim jest nie tak? Dlaczego to zrobił?

- Nie wiem, Wando. A może ty wiesz?

Siedziała nieruchomo, ale toczyła się w niej jakaś walka.

- Nie był... sobą. Prawie od tygodnia.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zachowywał się w nieopanowany sposób, wściekał na wszystkich. Przeklinał i trzaskał

drzwiami. Myślałam, że powodem jest rozwód. Tak ciężko to przeżywał...

Claire nie miała ochoty zadawać następnego pytania, ale nie mogła go pominąć.

- A narkotyki, Wando? Mogą zmienić osobowość dziecka. Czy nie miałaś żadnych podejrzeń, że próbuje narkotyków?

Wanda się zawahała.

- Nie.

- Nie zabrzmiało to zbyt pewnie.

- Po prostu... - przełknęła ślinę, a w jej oczach pojawiły się łzy - ...mam wrażenie, że go już wcale nie znam. To mój syn, ale ja go nie poznaję.

- Czy miałaś jakieś sygnały ostrzegawcze?

- Zawsze był dość trudnym dzieckiem. Dlatego doktor Pomeroy uważał, że może mieć zaburzenia koncentracji uwagi. Ale ostatnio zachowywał się coraz gorzej. Szczególnie od kiedy zaczął spędzać czas z tymi okropnymi chłopakami.

- Którymi?

- Mieszkają kawałek za nami. J.D. i Eddie Reidowie. No i Scotty Braxton. W marcu cała czwórka miała kłopoty z policją. W zeszłym tygodniu powiedziałam Taylorowi, że ma się trzymać z daleka od braci Reidów. Wtedy właśnie mieliśmy pierwszą wielką kłótnię. Uderzył mnie.

- Taylor cię uderzył?

Wanda spuściła głowę - ofiara wstydząca się tego, że została pobita.

- Od tamtej pory właściwie nie rozmawialiśmy ze sobą. A jeśli nawet rozmawialiśmy, to jasne było, że... - jej głos ścichł do szeptu - ...że się nienawidzimy.

Claire delikatnie dotknęła dłoni Wandy.

- Możesz mi nie wierzyć, ale nie lubić swojego nastoletniego syna to dość normalne uczucie.

- Ale ja się go w dodatku boję! I to jest jeszcze gorsze. Nie lubię Taylora i boję się go. Gdy mnie uderzył, miałam wrażenie, że to jego ojciec wrócił. - Dotknęła palcami warg, jakby wspominając dawny ból. - Paul i ja wciąż walczymy w sądzie o opiekę nad synem. Bijemy się o chłopca, który nie lubi żadnego z nas.

Odezwał się biper Claire. Spojrzała na odczyt - to laboratorium jej poszukiwało.

- Przepraszam na chwilę - powiedziała i wyszła z kaplicy, by zadzwonić z holu szpitala.

Telefon odebrał Anthony, szef laboratorium.

- Doktor Elliot? Zadzwoniono właśnie z Bangor. Mają dalsze wyniki analiz Taylora.

- Znaleźli coś?

- Niestety, nie. W jego krwi nie ma śladów alkoholu, marihuany, opiatów ani amfetaminy.

Niczego, czego pani szukała.

- A byłam taka pewna - powiedziała zaskoczona. - Nie wiem, co jeszcze mogło spowodować takie zachowanie. Musi być jakiś narkotyk, o którym zapomniałam.

- Być może coś jest. Przepuściłem jego krew przez nasz szpitalny chromatograf gazowy. W czasie retencji jedna minuta dziesięć sekund pojawił się odbiegający od normy pik.

- Co to znaczy?

- To nie wskazuje na żaden konkretny narkotyk. Ale wysoki wzrost świadczy o tym, że w jego krwi krąży coś nienormalnego. To może być coś zupełnie niewinnego, na przykład jakieś lekarstwo ziołowe.

- Jak można wykryć, co to jest?

- Trzeba by zrobić dokładniejszą analizę. Laboratorium w Bangor nie ma wystarczającego wyposażenia. Musimy pobrać więcej krwi i wysłać do naszego laboratorium w Bostonie. Mogą sprawdzić równocześnie setki różnych narkotyków.

- Więc zrobmy to.
 - Tylko że jest pewien problem. Także dlatego pani szukałem. Właśnie dostałem polecenie przerwania jakichkolwiek dalszych testów mających na celu identyfikację narkotyków. Polecenie podpisał doktor DelRay.
 - Co takiego? - Potrząsnęła głową zdumiona. - Przecież to ja jestem lekarzem Taylora.
 - Ale DelRay wydał mi polecenie sprzeczne z pani poleceniami. Nie jestem więc pewien, co mam robić.
 - Chwileczkę, porozmawiam z matką Taylora i od razu wyjaśnię tę sprawę. - Claire odłożyła słuchawkę i wróciła do kaplicy.
- Jeszcze zanim otworzyła drzwi, usłyszała gniewny męski głos:
- ...kompletnie żadnej kontroli! Do niczego się nie nadajesz, nic dziwnego, że mu odbiło!
- Claire weszła do kaplicy.
- Co się dzieje, Wando?
- Mężczyzna odwrócił się w jej stronę.
- Jestem ojcem Taylora.
- Osobiste kryzysy wyzwalają w ludziach najgorsze instynkty, ale Paula Damella trudno było chyba lubić nawet wtedy, gdy starał się pokazać od najlepszej strony. Był partnerem w największej firmie księgowej w Two Hills. Elegancja jego ubioru sprawiała, że kostium żony wydawał się jeszcze gorzej skrojony, a ona sama mała i nic nieznacząca. Krótkie spięcie między rozwiedzionymi małżonkami, którego Claire była świadkiem, jasno mówiło, jak wyglądało ich małżeństwo: Paul - agresywny, nieustannie stawiający żądania i narzekający, Wanda - łagodząca konflikty, uległa.
- Co to za historia z narkotykami, które rzekomo bierze mój syn? - spytał Darnell.
 - Usiłuję znaleźć przyczynę tego, co się dziś stało. Właśnie pytałam pana żony...

- Taylor niczego nie bierze, od kiedy przestała mu pani dawać ritalin. - Przerwał. - A kiedy go brał, wszystko było w porządku. Nie mogę zrozumieć, dlaczego przerwała pani leczenie.
 - Nie bierze go już od dwóch miesięcy. Zmiana osobowości nastąpiła niedawno.
 - Dwa miesiące temu było z nim wszystko w porządku.
 - Nieprawda. Był wciąż zmęczony i niespokojny. Poza tym diagnoza zespołu zaburzeń koncentracji uwagi nigdy nie została potwierdzona. To nie to samo co zdiagnozowanie nadciśnienia, gdzie możemy kierować się konkretnymi parametrami.
 - Doktor Pomeroy był pewien swojej diagnozy.
 - Zaburzenia koncentracji uwagi służą teraz jako wygodne wytłumaczenie złego zachowania dzieci. Gdy uczniowi źle idzie w szkole lub pakuje się w kłopoty, rodzice chcą mieć wyjaśnienie. Nie zgadzam się z diagnozą doktora Pomeroya. A kiedy nie jestem całkiem pewna, wolę nie faszzerować dzieci lekarstwami.
 - No i widzi pani, do czego doszło? Nie można sobie z nim dać rady. Od tygodni nie można sobie z nim dać rady.
 - Skąd wiesz, Paul? - spytała Wanda. - Kiedy ostatni raz poświęciłeś choć chwilę swojemu synowi?
- Paul odwrócił się ku byłej żonie z wyrazem takiej nienawiści na twarzy, że Wanda aż się cofnęła.
- Przecież to ty się nim zajmujesz - powiedział. - Byłem pewien, że nie dasz sobie z nim rady. Spieprzyłaś wszystko, jak zwykle, a teraz nasz syn wylądował w więzieniu!
 - W każdym razie to nie ode mnie miał broń - rzekła cicho.
 - Co takiego?
 - To twój pistolet przyniósł do szkoły. Czy w ogóle zauważyłeś, że go nie masz?
 - Co za gnojek! Skąd on...

- To do niczego nie prowadzi - przerwała Claire. - Musimy skupić się na Taylorze i poszukiwaniu wyjaśnień jego zachowania.

Paul spojrzął na żonę.

- Poprosiłem Adama DelRaya, żeby przejął opiekę nad Taylorem. Jest teraz u niego na górze. Claire zamurowała. A więc to dlatego DelRay wydawał polecenia - on był teraz lekarzem prowadzącym. Właśnie została zwolniona.

- Jego lekarzem jest doktor Elliot! - zaprotestowała Wanda.

- Znam Adama i mam do niego zaufanie. Czy to znaczy, że do mnie nie ma zaufania?

- Nie lubię Adama DelRaya - powiedziała Wanda. - To twój przyjaciel, nie mój.

- Nie musisz go lubić.

- Skoro ma się zajmować moim synem, to muszę.

Paul zaśmiał się zjadliwie.

- To tak wybierasz lekarzy, Wando? Stawiasz na tego, który cię bierze pod włos?

- Robię to, co jest najlepsze dla Taylora!

- I właśnie dlatego wylądował tutaj.

Claire nie wytrzymała.

- To nie jest odpowiednia pora, by robić żonie wyrzuty! - powiedziała.

Spojrzał na nią. W jego wzroku wyczytała pogardę.

- Byłej żonie - poprawił ją. Odwrócił się i wyszedł z kaplicy.

Adam DelRay siedział w dyżurce pielęgniarek i pisał coś w karcie Taylora. Mimo późnej pory jego biały fartuch był wykrochmalony i świeży, Claire przy nim poczuła się wymięta. Wszelkie

zmieszanie, jakie być może czuł rano w związku ze sprawą Katie Youmans, odeszło w niepamięć, spojrzał więc na Claire ze zwykłą, irytującą pewnością siebie.

- Właśnie miałem cię poszukać przez pager - powiedział. - Paul Darnell postanowił...
 - Już z nim rozmawiałam.
 - Ach, więc wiesz. - Przepraszająco wzruszył ramionami. - Mam nadzieję, że nie bierzesz tego do siebie.
 - To decyzja rodziców. Mają do niej prawo - przyznała niechętnie. - Skoro jednak przejmujesz pacjenta, powinieneś wiedzieć, że chromatografia gazowa wykazała odstępstwo od normy. Sugerowałabym przeprowadzenie całościowej analizy.
 - Nie sądzę, by to było konieczne. - Odłożył kartę i wstał. - Najbardziej prawdopodobne narkotyki zostały wyeliminowane.
 - Ten pik należy zidentyfikować.
 - Paul nie chce już żadnych testów.
 - Nie rozumiem jego sprzeciwu. - Pokręciła głową w zdumieniu.
 - Wydaje mi się, że podjął taką decyzję po rozmowie z prawnikiem.
- Gdy odszedł, Claire wzięła kartę Taylora. Otworzyła ją na informacjach o przebiegu badań i z rosnącym przerażeniem czytała wpis DelRaya.

Historia choroby i objawy podyktowane Diagnoza:

1. Ostra psychoza wywołana nagłym odstawieniem ritalinu.
2. Zespół zaburzeń koncentracji uwagi.

Claire opadła na najbliższe krzesło, bo nogi się pod nią ugięły i zrobiło jej się niedobrze. A więc taką przyjęli strategię obrony. Ze chłopiec nie odpowiada za swoje czyny. Ze wina leży po stronie

Claire, ponieważ odstawiła ritalin, wywołując załamanie psychotyczne. Że to ją należy oskarżyć. Wyląduję w sądzie.

A więc dlatego Paul nie chciał, by we krwi chłopca znaleziono jakiś narkotyk. Bo to zdjęłoby winę z Claire.

W zdenerwowaniu przewróciła strony karty i na początku przeczytała zalecenia DelRaya:

Odwołać szczegółową analizę na narkotyki i toksyny. Wszystkie pytania i raporty z laboratorium przekazywać mnie osobiście. Dr Elliot nie jest już lekarzem prowadzącym.

Zamknęła kartę, czując narastające mdłości. Teraz nie chodziło już tylko o życie Taylora, ale także o jej praktykę i reputację.

Pomyślała o pierwszej regule medycyny defensywnej: chroń własną dupę. Nie można pozwać do sądu kogoś, kto potrafi udowodnić, że nie popełnił błędu. Kto może poprzeć diagnozę wynikami badań laboratoryjnych.

Potrzebowała próbki krwi Taylora. Miała ostatnią szansę, by ją zdobyć - do jutra wszelki narkotyk zniknie z krwi.

Z magazynku za dyżurką pielęgniarek wzięła jednorazową strzykawkę, waciki z alkoholem i trzy sterylne, szczelnie zamykane próbówki na krew. Serce waliło jej jak młotem, gdy szła przez hol do pokoju Taylora. Chłopiec nie był już jej pacjentem i nie miała prawa tego robić, musiała jednak wiedzieć, co - jeśli w ogóle cokolwiek - krąży w jego żyłach.

Policjant stanowy kiwnął jej głową.

- Muszę pobrać krew - powiedziała. - Czy mógłby pan przytrzymać jego rękę?

Nie wyglądał na zachwyconego, ale wszedł za nią do pokoju.

Pobierz szybko krew i wynoś się stąd. Trzęsącymi się rękami założyła opaskę uciskową i otworzyła opakowanie strzykawki z igłą. Wynoś się stąd, zanim ktokolwiek odkryje, co robisz.

Przetarła miejsce wkłucia alkoholem. Taylor wrzasnął z wściekłością, usiłując wyzwolić się z mocnego uchwytu policjanta. Puls Claire przyśpieszył, gdy przebiła skórę i wyczuła ten szczególny moment wchodzenia igły w żyłę. Szybciej, szybciej. Napełniła jedną probówkę, wsunęła do kieszeni kitla, napełniła kolejną. Wyłynęła ciemna krew.

- Nie mogę go utrzymać - powiedział policjant, starając się unieruchomić przeklinającego i wierzgającego chłopca.

- Już prawie skończyłam.

- Chce mnie ugryźć!

- Proszę go trzymać! - ucięła krótko. Wrzask chłopca dzwonił jej w uszach. Podsunęła trzecią probówkę i patrzyła, jak świeży strumień krwi ją napełnia. Jeszcze tylko ta. No dalej, dalej.

- Co tu się, do diabła, dzieje?

Claire uniosła głowę tak zaskoczona, że pozwoliła igle wysunąć się z żyły. Krew kapała z miejsca wkłucia na prześcieradło. Szybko zdjęła opaskę uciskową i przyłożyła gazik. Z płonącymi ze wstydu policzkami odwróciła się do Paula Darnella i Adama DelRaya, którzy wpatrywali się w nią z niedowierzaniem. Zza drzwi zerknęły dwie pielęgniarki.

- Pobierała tylko krew - wyjaśnił policjant. - Chłopiec narobił hałasu.

- Doktor Elliot nie powinno tu być - powiedział Darnell. - Czy nie słyszał pan o nowym poleceniu?

- Jakim poleceniu?

- Teraz ja jestem lekarzem chłopca - oznajmił sucho DelRay. - Doktor Elliot nie ma żadnych praw. Nie powinna tu nawet być.

Policjant patrzył na Claire z wyraźnym gniewem. Wykorzystałaś mnie.

Darnell wyciągnął rękę.

- Proszę o próbówki z krwią, doktor Elliot.

Pokręciła głową.

- Trzeba wyjaśnić odstępstwo od normy w jego analizie krwi. Może to wpłynąć na leczenie pańskiego syna.

- Nie jest już pani jego lekarzem! Proszę o próbówki. Przełknęła ślinę.

- Bardzo mi przykro, ale nie mogę.

- To napaść! - Darnell zwrócił się do innych obecnych. - Wiecie, że tak jest! Zaatakowała go tą igłą, a wie, że nie ma do tego prawa. - Spojrzał na Claire. - Teraz będzie pani miała do czynienia z moim adwokatem.

- Paul - wtrącił się DelRay, z upodobaniem grając rolę mediatora. - Jestem przekonany, że doktor Elliot nie chce komplikować sobie życia. - Zwrócił się do niej, perswadując z fałszywą życzliwością: - Daj spokój, Claire. Robi się z tego cyrk. Po prostu oddaj mi próbówki.

Spojrzała na dwie trzymane w rękę próbówki, oceniając ich znaczenie. Na drugiej szali spoczywały oskarżenie o napaść i być może utrata przywilejów szpitalnych. Czuła, że wszyscy w pokoju na nią patrzą, a może nawet delektują się jej upokorzeniem.

W milczeniu wyciągnęła rękę z próbówkami. DelRay wziął je z wyrazem triumfu na twarzy.

- Ten chłopiec jest moim pacjentem - zwrócił się do policjanta. - Czy to jasne?

- Całkowicie, panie doktorze.

Nikt się nie odezwał do Claire, gdy wychodziła z pokoju, wiedziała jednak, że za nią patrzą. Nie spuszczać wzroku, minęła zakręt korytarza i nacisnęła guzik windy. Dopiero w kabinie, gdy drzwi się za nią zamknęły, wsunęła rękę do kieszeni.

Trzecia próbówka wciąż tam była.

Zjechała windą do laboratorium w suterenie. Anthony siedział przy stole laboratoryjnym

otoczony stojakami pełnymi probówek.

- Mam próbkę krwi chłopca - powiedziała.
- Na analizę szczegółową?
- Tak. Sama wypełnię zamówienie.
- Formularze są tam, na półce.

Wzięła jeden i zmarszczyła brwi, patrząc na nagłówek. Anson Biologicals.

- Czy korzystamy z nowego laboratorium? Nigdy przedtem nie widziałam tych formularzy.

Uniósł wzrok znad centryfugi.

- Przenieśliśmy się do Anson parę tygodni temu. Szpital podpisał z nimi nowy kontrakt na wszystkie skomplikowane badania chemiczne i radioimmunologiczne.

- Dlaczego?
- Chyba oferowali lepsze warunki finansowe.

Przejrzała formularz i postawiła znaczki przy „chromatografia/szczegółowa spektrometria” oraz „szczegółowa analiza leków i toksyn”. W miejscu na uwagi, u dołu strony, napisała: „Czternastoletni chłopiec z psychozą i agresją wywołaną prawdopodobnie narkotykiem. Ta analiza służy jedynie moim własnym celom badawczym. Proszę przesłać wyniki bezpośrednio do mnie”. I podpisała się.

Ktoś zapukał do drzwi. Noah otworzył i zobaczył stojącą w ciemnościach Amelię. Na głowie miała bandaż - biały pas przebiegał jej przez skroń. Najwyraźniej bolało ją, gdy się uśmiechała. Mogła jedynie krzywo unieść kącik ust z jednej strony.

Ta niespodziewana wizyta tak go zaskoczyła, że do głowy nie przychodziło mu żadne

inteligentne powitanie, gapił się więc tylko na nią onieśmielony jak prostak, który znalazł się w obecności królowej.

- To dla ciebie - powiedziała, podając mu małą brązową paczuszkę. - Niestety, nie znalazłam ładnego papieru do pakowania prezentów.

Wziął paczuszkę, nie spuszczać wzroku z twarzy Amelii.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, w porządku. Pewnie słyszałeś, że pani Horatio...

Łzy zdławiły jej głos.

- Mama mi powiedziała.

Amelia dotknęła bandaża. Znow zobaczył błysk łez w jej oczach.

- Poznałam twoją mamę. W szpitalu. Była naprawdę miła... - Odwróciła się i spojrzała w ciemność, jakby czując, że ktoś ją obserwuje. - Muszę już iść...

- Czy ktoś cię tu podwiózł?

- Przyszłam na piechotę.

- Na piechotę? Po ciemku?

- To niedaleko. Mieszkam po drugiej stronie jeziora, tuż za pochylnią dla łodzi. - Cofała się od drzwi, a jej blond włosy rozwiewały się lekko. - Do zobaczenia w szkole.

- Amelio, poczeka! - Uniósł paczuszkę. - Za co to?

- To podziękowanie. Za to, co dzisiaj zrobiłeś. - Postąpiła jeszcze jeden krok w tył, niemal znikając w ciemnościach.

- Amelio!

- Tak?

Noah nie wiedział, co powiedzieć. Ciszę zakłócał jedynie szelest liści miecionych wiatrem przez

trawnik. Dziewczyna stała na samej krawędzi plamy światła z otwartych drzwi, a jej jasna twarz rozmywała się na granicy nocy.

- Może wejdiesz? - zapytał.

Ku jego zdziwieniu zdawało się, że rozważa zaproszenie. Przez chwilę wahała się między światłem a ciemnością, pójściem naprzód a wycofaniem się. Znowu spojrzała przez ramię, jakby prosząc kogoś o zgodę. Po chwili skinęła głową.

Noah wpadł w panikę. W dużym pokoju panował bałagan. Jego mama wpadła tylko na dwie godziny, by dodać mu otuchy i ugotować obiad, a potem pojechała do szpitala, do Taylora. Pokoju nikt nie sprzątnął, więc wszystkie rzeczy leżały tam, gdzie Noah rzucił - plecak na kanapie, bluza na małym stoliku, brudne tenisówki przed kominkiem. Postanowił minąć pokój i zaprowadzić Amelię wprost do kuchni.

Usiedli, nie patrząc na siebie, dwoje przybyszów z różnych planet, usiłujących znaleźć wspólny język.

Zadzwoił telefon.

- Nie odbierzesz? - Amelia uniosła głowę.

- Nie. To znowu jakiś dziennikarz. Dzwonią, od kiedy wróciłem do domu po południu.

Włączyła się automatyczna sekretarka i zgodnie z przepowiednią Noaha odezwał się damski głos: „Mówi Damaris Horne z »Weekly Informer«. Naprawdę bardzo, bardzo chciałabym porozmawiać z Noahem Elliotem o jego niezwykłym akcie bohaterstwa. Cały kraj chce o tym usłyszeć, Noah. Zatrzymałam się w pensjonacie Lakeside. Mogę zaoferować ci pewną rekompensatę finansową za czas, który mi poświęcisz...”.

- Proponuje, że ci zapłaci za rozmowę? - spytała Amelia.

- Głupie, nie? Moja mama mówi, że choćby dlatego nie powinienem z tą panią rozmawiać.

- Ale ludzie naprawdę chcą o tym usłyszeć. O tym, co zrobiłeś.

Co zrobiłem.

Wzruszył ramionami. Czuł się niegodny tych wszystkich pochwał, a przede wszystkim pochwał Amelii. Wysłuchał do końca wiadomości. Znowu zapanowała cisza, przerywana jedynie cichym popiskiwaniem automatycznej sekretarki.

- Możesz to teraz otworzyć, jeśli chcesz - powiedziała Amelia.

Spojrzał na prezent. Choć zapakowany był w zwykły, szary papier, on starał się go nie rozerwać, bo wydawało mu się, że niegrzecznie byłoby się śpieszyć pod jej wzrokiem. Delikatnie odlepił taśmę i rozwinął opakowanie.

Scyzoryk nie był ani duży, ani szczególnie ładny. Noah zauważył zadrapania na ręczce i zdał sobie sprawę z tego, że nie jest nawet nowy. Podarowała mu używany nóż.

- Ooo... - Udało mu się zabarwić głos pewną dozą entuzjazmu. - Ładny.

- Należał do mojego taty. Mojego prawdziwego taty - dodała cicho.

Uniósł wzrok, gdy zrozumiał, co to znaczy.

- Jack jest moim ojczymem. - Ostatnie słowo wypowiedziała z wyraźnym obrzydzeniem.

- Więc J.D. i Eddie...

- Nie są naprawdę moimi braćmi. To synowie Jacka.

- Właśnie coś mi tu nie pasowało. Nie jesteś do nich podobna.

- Chwała Bogu.

Noah się roześmiał.

- Tak, ja też nie chciałbym takiego rodzinnego podobieństwa.

- Nie wolno mi nawet mówić o moim prawdziwym tacie, bo Jack się wścieka. Nienawidzi, jak mu się przypomina, że ktoś był przed nim. Ale ja chcę, żeby ludzie wiedzieli. Chcę, żeby wiedzieli, że

Jack nie ma ze mną nic wspólnego.

Łagodnie wsunął jej scyzoryk do ręki.

- Nie mogę tego przyjąć, Amelio.

- Ale ja chcę, żebyś go miał.

- Na pewno wiele dla ciebie znaczy, skoro należał do twego taty.

- Właśnie dlatego chcę, żeby był twój. - Dotknęła bandaża na głowie, jakby wskazując, dlaczego ma wobec Noaha dług. - Tylko ty coś zrobiłeś. Tylko ty nie uciekłeś.

Nie wyznał upokarzającej prawdy: chciałem uciekać, ale byłem tak przerażony, że nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

Spojrzała na zegar kuchenny i zerwała się z miejsca w nagłej panice.

- Nie wiedziałam, że jest tak późno.

Poszedł za nią do drzwi. Amelia właśnie wychodziła, gdy światła reflektorów samochodu omiotły drzewa. Odwróciła się i zamarła na widok furgonetki jadącej podjazdem.

Drzwiczki się otworzyły i z samochodu wysiadł chudy, wściekle patrzący Jack Reid.

- Wsiadaj, Amelio - powiedział.

- Jack, skąd...

- Eddie mi powiedział, że cię tu znajdę.

- Właśnie miałam wracać do domu.

- Wsiadaj do samochodu, natychmiast.

Zacisnęła wargi i w milczeniu wsunęła się na siedzenie pasażera.

Jej ojczym zamierzał wsiąść za nią, gdy napotkał wzrok Noaha.

- Ona nie zadaje się z chłopakami - oznajmił. - Lepiej, żebyś o tym wiedział.

- Przyszła tylko powiedzieć „cześć” - odrzekł gniewnie Noah. - O co panu chodzi?

- Chodzi o to, chłopcze, że moja córka jest poza zasięgiem. - Wsiadł do auta i zatrzasnął drzwi.
- Nawet nie jest pana córką! - krzyknął Noah, zdając sobie sprawę z tego, że mężczyzna nie słyszy go przez warkot silnika.

Gdy furgonetka wykręcała na podjeździe, Noah przez moment dostrzegł w oknie profil Amelii. Przerażony wzrok utkwiała wprost przed siebie.

Rozdział szósty

Pierwsze płatki śniegu wirowały między nagimi gałęziami drzew i lekkim puchem pokrywały teren wykopalisk. Lucy Overlock spojrzała na niebo i powiedziała:

- Mam nadzieję, że ten śnieg jest tylko przejściowy. Musi przestać padać, bo inaczej nic nie będziemy mogli znaleźć.

- Już się topi - odrzekł Lincoln. Zapach powietrza mówił mu, że śnieg nie poleży długo; całe życie spędzone w tych lasach wyrobiło w nim dodatkowy zmysł. Te płatki to jedynie zwodniczo łagodny przedsmak nadchodzących zimowych miesięcy. Ale śnieg mu nie przeszkadzał - nie dbał nawet o wszystkie niewygody z nim związane: odśnieżanie, rozbijanie lodu na chodnikach, noce bez elektryczności, gdy przewody przerywały się pod białym ciężarem. Nie lubił tylko ciemności. Ciemność nadchodziła teraz tak wcześnie. Już zmierzchało, a drzewa wyglądały jak rozmazane czarne krechy na tle nieba.

- No, na dzisiaj możemy kończyć - powiedziała Lucy. - Miejmy nadzieję, że do jutra nie przykryje tego trzydziestocentymetrowa warstwa śniegu.

Ponieważ kości nie interesowały już policji, Lucy i jej słuchacze ze studiów podyplomowych musieli sami zabezpieczyć teren. Dwóch studentów naciągnęło płachtę brezentu na miejsce wykopalisk i umocowało do ziemi palikami. Było to bezsensowne zabezpieczenie: byle szop, który by tu przywędrował, mógł rozedrzeć materiał jednym pociągnięciem pazurów.

- Kiedy skończycie? - zapytał Lincoln.
 - Chętnie spędziłabym tu parę tygodni - powiedziała Lucy - ale pogoda się psuje, więc musimy się śpieszyć. Jeden porządny mróz i już koniec, nic nie możemy robić.
- Wśród drzew mignęły światła. Lincoln zobaczył, że jakiś samochód zatrzymuje się na podjeździe przed domem Rachel Sorkin.
- Przedarł się przez las. W ciągu paru ostatnich dni podwórko przed budynkiem zamieniło się w parking. Koło wozu Lincolna stały jeep Lucy Overlock i poobijana honda, zapewne należąca do któregoś studenta.
- Na samym końcu podjazdu, pod drzewami, zatrzymał się kolejny samochód - ciemnoniebieskie volvo. Lincoln rozpoznał je i podszedł do okna kierowcy.
- Szyba uchylła się na kilka centymetrów.
- Lincoln - powiedziała kobieta.
 - Dobry wieczór, pani sędzino.
 - Masz czas porozmawiać? - Usłyszał kliknięcie odblokowywanych zamków. Przeszedł na stronę pasażera i wsiadł, zamykając za sobą drzwi. Na chwilę ogarnęła ich cisza.
 - Czy coś jeszcze znaleźli? - spytała sędzia Keating. Nie patrzyła na niego; jej nieruchome spojrzenie utkwione było gdzieś między drzewami. W mroku samochodu nie wyglądała na swoje sześćdziesiąt sześć lat, zmarszczki na jej twarzy wydawały się gładsze. Robiła wrażenie młodszej i nie tak onieśmielającej.
 - Były tylko dwa szkielety - powiedział Lincoln.
 - Oba dziecięce?
 - Tak. Doktor Overlock ocenia, że dzieci miały po jakieś dziewięć, dziesięć lat.
 - Śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych?

- Nie, dzieci zostały zabite.

Zapadło długie milczenie.

- I kiedy to się stało?

- Trudno ustalić. Jakąś wskazówką mogą być jedynie te nieliczne przedmioty, które znaleziono przy szczątkach. Mają tam kilka guzików i uchwyt od trumny. Doktor Overlock sądzi, że natrafiliśmy na rodzinny cmentarz.

Przez długą chwilę sędzina analizowała tę informację.

- Więc szczątki są dość stare? - spytała cicho i niepewnie.

- Mają około stu lat.

Lincolnowi wydawało się, że napięcie nagle zniknęło. Kobieta odetchnęła głęboko. Oparła głowę o zagłówek, jej ciało się rozluźniło.

- Sto lat - powiedziała. - Więc nie ma się czym przejmować. To nie jest...

- Nie. Nie ma związku.

Spojrzała przed siebie, w gęstniejący mrok.

- A jednak to dziwny zbieg okoliczności. Ta sama część jeziora... - Przerwała. - Ciekawa jestem, czy to się zdarzyło jesienią.

- Ludzie codziennie umierają, pani sędzino. Stulecie pełne szkieletów, wszystkie je trzeba było gdzieś pochować.

- Słyszałam, że na jednej z kości udowych był ślad uderzenia siekierą.

- To prawda.

- Ludzie zaczną się zastanawiać. Przypominać sobie.

Lincoln słyszał strach w jej głosie. Chętnie by ją pocieszył, ale nie mógł się zmusić do fizycznego kontaktu. Iris Keating nie była kobietą, której się dotykało. Otaczała ją tak gruba bariera

prywatności, że nie zdziwiłby się, gdyby natrafił na skorupę.

- To było dawno temu - powiedział. - Nikt nie pamięta.
- W miasteczku pamiętają.
- Tylko kilka osób, tych starszych. I tak samo jak pani nie mają ochoty o tym mówić.
- Była to jednak sprawa publiczna. A teraz jest tu tylu dziennikarzy... Zaczną zadawać pytania.
- To nieistotne, co się stało pół wieku temu.
- Tak uważasz? - Spojrzała na niego. - Tak właśnie zaczęło się tamtym razem. Te morderstwa...

Zaczęły się na jesieni.

- Nie każdy akt przemocy musi być uznany za powtarzającą się historię.
- Ależ historia jest zbiorem aktów przemocy. - Znow patrzyła przed siebie, ku jezioru. Noc już zapadła i tylko woda lśniła słabo między drzewami.
- Nie czujesz tego, Lincoln? - spytała cicho. - Z tym miejscem jest coś nie w porządku. Nie wiem, co takiego, ale czułam to już jako mała dziewczynka. Już wówczas nie lubiłam tu mieszkać. A teraz... - Sięgnęła do kluczyka i zapaliła silnik.

Lincoln wysiadł z samochodu.

- Droga jest dziś śliska. Proszę uważać.
 - Dobrze. Aha, Lincoln...
 - Tak?
 - Słyszałam, że mają wolne miejsce w tym programie odwykowym w Auguście. To byłoby dobre dla Doreen. Jeśli uda ci się ją namówić.
 - Spróbuję. Wciąż mam nadzieję, że kiedyś do niej dotrę.
- Wydawało mu się, że w oczach sędziny dostrzega litość.
- Życzę ci szczęścia. Zasługujesz na lepszy los, Lincoln.

- Daję sobie radę.
- Oczywiście. - Nagle zrozumiał, że to nie litość, ale podziw. - Jesteś jednym z tych nielicznych mężczyzn na świecie, którzy zawsze dają sobie radę.

Na trumnie umieszczono fotografię pani Horatio. Miała na niej osiemnaście lat, była uśmiechnięta i prawie ładna. Noah nigdy nie myślał o nauczycielce biologii, że jest ładna, trudno mu było także sobie wyobrazić, że kiedyś była młoda. Jego zdaniem, Dorothy Horatio pojawiła się na świecie jako kobieta w średnim wieku i tak już na zawsze zostanie.

Szedł w długim szeregu uczniów ku trumnie ze zdjęciem pani Horatio w poprzednim wcieleniu: prawdziwej ludzkiej istoty. Szokiem było odkrycie tego dziwnie znajomego wizerunku nauczycielki z okresu sprzed dodatkowych kilogramów, zmarszczek i siwych włosów. Uświadomienie sobie, że gdy robiono to zdjęcie, była niewiele starsza od niego teraz. Co się dzieje, gdy się starzejemy? - zastanawiał się. Gdzie się podziewa nasza dziecięcość?

Zatrzymał się przed trumną. Na szczęście była zamknięta - chyba nie zniósłby widoku martwej twarzy nauczycielki. Już i tak wyobrażanie sobie, jak musi wyglądać pod tym mahoniowym wiekiem, było dość okropne. Nieszczególnie lubił Dorothy Horatio. W gruncie rzeczy w ogóle jej nie lubił. Dzisiaj jednak, gdy zobaczył jej męża i dorosłą córkę, gdy ujrzał, jak szlochają i się obejmują, nagle zdał sobie sprawę z zaskakującej prawdy: że nawet takie panie Horatio bywają przez kogoś kochane.

W błyszczącym wieku trumny widział odbicie własnej twarzy, spokojnej i bez wyrazu. Uczucia kryły się pod nic niemówiącą maską.

Nie był tak spokojny na poprzednim pogrzebie, w którym uczestniczył.

Dwa lata temu stali z matką, trzymając się za ręce, i patrzyli na trumnę ojca. Trumna była otwarta, więc żegnający się z nim ludzie mogli widzieć wychudłą twarz zmarłego. Gdy nadszedł czas, by odejść, Noah nie ruszył się z miejsca. Mama próbowała go odciągnąć, ale szlochał tylko: Nie możesz tam taty zostawić! Wracaj, wracaj!

Zamrugnął i dotknął lekko trumny pani Horatio. Była gładka i lśniąca. Jak dobre meble.

Gdzie się podziewa nasza dziecięcość?

Zdał sobie sprawę z tego, że szereg ludzi przed nim zniknął, a stojący za nim czekali, żeby ruszył naprzód. Minął trumnę, przeszedł między ławkami i wyszedł z kostnicy.

Na dworze lekko prosił śnieg, a zimne pocałunki płatków chłodziły mu twarz. Na szczęście nie czyhał na niego żaden reporter. Przez całe popołudnie ścigali go z mikrofonami w rękę, chcąc wyciągnąć choć jedno zdanie od chłopca, który tak odważnie rozbroił zabójcę. Od bohatera szkoły średniej Knox.

Ale dowcip.

Stanął po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko kostnicy, i przyglądał się ludziom wychodzącym z budynku. Wszyscy wykonywali te same rytualne zimowe gesty: rzucali okiem na niebo, wzdrygali się i mocniej otulali płaszczami. Chyba większość mieszkańców miasta przybyła, by oddać zmarłej hołd, ale niektórych z nich nie mógł rozpoznać, tak inaczej wyglądali w garniturach, krawatach i ciemnych sukniach. Nikt nie nosił codziennej flanelowej koszuli i dżinsów. Nawet Kelly, szef policji, włożył garnitur i krawat.

Noah zobaczył, że z kostnicy wychodzi Amelia Reid. Oddychała szybko i głęboko. Oparła się o ścianę, jakby przed kimś uciekała i musiała rozpaczliwie złapać oddech.

Przejechał samochód, rozgniatając kołami krystaliczny śnieg między nimi.

- Amelio?! - zawołał Noah.

Zaskoczona uniosła wzrok. Zobaczywszy go, zawahała się, rzuciła spojrzenie w górę i w dół ulicy, jakby upewniając się, że może bezpiecznie przejść, i ruszyła w jego kierunku. Serce zabiło mu szybciej.

- Ale tam ponuro - powiedział.

Pokiwała głową.

- Nie mogłam już tego słuchać. Bałam się, że się przy nich wszystkich rozpłaczę.

Ja też, pomyślał, ale nigdy by się głośno do tego nie przyznał.

Stali w mroku, nie patrząc na siebie, przytupując dla rozgrzewki. Oboje szukali jakiegoś tematu rozmowy. Noah odetchnął głęboko.

- Nienawidzę pogrzebów - wyrzucił z siebie nagle. - Przypominają mi... - Zamilkł.

- Mnie też przypominają pogrzeb mojego taty - powiedziała cicho. I uniosła wzrok ku padającym z ciemniejącego nieba płatkom śniegu.

Warren Emerson szedł brzegiem drogi, a usztywniona mrozem trawa chrzęściła mu pod nogami. Miał na sobie pomarańczową odblaskową kamizelkę i pomarańczową czapkę, ale i tak kulił się przy każdym wystrzale w lesie. Ostatecznie kule nie rozpoznają kolorów. Rano było zimno, zimniej niż wczoraj. W cienkich wełnianych rękawiczkach zmarzły mu palce, wsunął więc ręce do kieszeni i szedł dalej, nie przejmując się chłodem. Jeszcze kilometr i przestanie go zauważać.

Pokonał tę drogę już ponad tysiąc razy, o każdej porze roku, i mógł określić, gdzie jest, dzięki znanym punktom. Zburzony kamienny mur znajdował się czterysta kroków od domu, zavalona stodoła Murrayów - dziewięćset kroków. Po dwóch tysiącach kroków był zakręt w stronę Toddy Point Road - tu była połowa drogi. W miarę zbliżania się do miasteczka punktów orientacyjnych

przybywało. Gęstniał także ruch i co chwila mijały go samochód lub ciężarówka, wzniesając tumany kurzu.

Miejscowi kierowcy rzadko się zatrzymywali, by zaproponować mu podwiezienie. W lecie często podrzucali go turyści, którzy uważali, że Warren Emerson w ciężkich butach i rozciągniętych spodniach to żywy przykład lokalnego kolorytu. Zatrzymywali się więc i pytali, czy nie podwieźć go do miasteczka. Podczas jazdy nieustannie zadawali mu pytania, zawsze takie same: „Co wy tu robicie w zimie?“, „Czy mieszka pan tu całe życie?“, „Czy zna pan Stephena Kinga?“. Odpowiedzi Warrena stałe ograniczały się do prostego „tak” i „nie”, a tę oszczędność słów turyści nieodmiennie uważali za zabawną. W miasteczku wypuszczali go przed sklepem i machali na do widzenia tak serdecznie, jakby był ich najlepszym przyjacielem. Paskudnie przyjacielscy ludzie, ci turyści: każdej jesieni żał mu było, że wyjeżdżają bo oznaczało to dziewięć miesięcy wędrowania po szosie, bez nadziei, że ktoś go podwiezie.

Ludzie z miasteczka wszyscy się bali.

Często myślał, że gdyby miał prawo jazdy, nie byłby tak nieczuły dla starych ludzi. Ale Warren nie umiał prowadzić. W stodole stał wspaniały stary ford - samochód jego ojca, kupiony w 1945 roku i mało używany - i gromadził się na nim kurz, bo Warrenowi nie wolno nim było jeździć. „Niebezpieczny dla siebie i otoczenia” - tak orzekli lekarze, gdy wypłynęła sprawa prowadzenia samochodu.

Ford stał więc w stodole już od ponad pięćdziesięciu lat i lśnił tak samo jak w dniu, gdy zaparkował go tam ojciec. Czas był łaskawszy dla chromu niż dla ludzkich twarzy. Ludzkich serc. Jestem niebezpieczny dla siebie i otoczenia.

Dłonie zaczynały mu się rozgrzewać.

Wyjął je z kieszeni i szedł, machając rękami. Serce biło szybciej, pod czapką zbierał się pot.

Nawet w mroźny dzień, jeśli szedł dość prędko, zimno przestawało się liczyć.

Zanim dotarł do miasteczka, rozpiął kurtkę i zdjął czapkę. W sklepie Cobb i Morong, Towary Mieszane było mu niemal nieznośnie gorąco.

Gdy tylko wszedł, w sklepie zapanowała cisza. Ekspedientka rzuciła nań jedno spojrzenie i odwróciła wzrok. Dwie kobiety stojące przy stoiskach z warzywami przestały rozmawiać. Choć nikt się w niego nie wpatrywał, czuł skupioną na sobie uwagę wszystkich obecnych. Wziął koszyk i skierował się ku działowi konserw. Nappełnił koszyk tym samym co zwykle. Jedzenie dla kota. Chili z wołowiną. Tuńczyk. Kukurydza. Na następnym stelażu znalazł fasolę i płatki owsiane, a w dziale warzyw - cebulę.

Zaniósł ciężki już koszyk do kasy.

Kasjerka nie patrzyła na niego, wyjmując towary z koszyka i podliczając rachunek. Stał przy kasie w pomarańczowej kamizelce, która wręcz krzyczała: „Spójrz na mnie, spójrz na mnie”. Ale nikt nie patrzył. Nikt nie spojrzał mu w oczy.

W milczeniu zapłacił rachunek, chwycił plastikowe torby i ruszył ku wyjściu, przygotowując się na długą drogę do domu. Przy drzwiach się zatrzymał.

Na stelażu z gazetami zobaczył „Tranquility Gazette” z bieżącego tygodnia. Został jeszcze jeden egzemplarz. Wpatrywał się w tytuł na pierwszej stronie i nagle torby z zakupami wysunęły mu się z rąk i z łoskotem upadły na podłogę. Drżącymi rękoma sięgnął po gazetę.

STRZELANINA W SZKOLE ŚREDNIEJ.

NAUCZYCIELKA ZABITA, DWOJE UCZNIÓW RANNYCH.

CZTERNASTOLATEK ARESZTOWANY.

- Hej, płaci pan za tę gazetę?! - zawołała ekspedientka.
Warren nie odpowiedział. Stał tylko przy drzwiach, z przerażeniem wpatrując się w drugi tytuł, niemal niewidoczny w prawym dolnym rogu:

CHŁOPIEC KATUJE SZCZENIAKA NA ŚMIERĆ.

OSKARŻONY O ZNEĆCANIE SIĘ.

Znowu dzieje się to samo, pomyślał.

Damaris Home utkwiała w czyścucu i potrafiła myśleć tylko o tym, jak wrócić do Bostonu. Więc tak karze mnie mój naczelny, myślała. Mamy starcie, więc wysyła mnie gdzieś, gdzie nikt nie chce jechać. Witajcie w Dziurze nad Jeziorem, znanej także jako Tranquility w stanie Maine. Dobra nazwa. To miejsce jest tak spokojne, że można mu wystawić akt zgonu. Jechała Main Street, myśląc, że tak właśnie będą wyglądały miasta po wybuchu bomby neutronowej: żadnych ludzi, żadnych oznak życia, jedynie budynki i puste ulice. W tym miasteczku podobno żyje dziewięćset dziesięć osób, więc gdzie one są? W lasach, ogryzają porosty z drzew?

Minęła Monaghan's Diner. W oknie mignęła jej czyjaś koszula w kratę. Tak! Oto tubylec w obrzędowym stroju. I jakież to mistyczne znaczenie ma kratka? Dalej miała kolejną wizję: marnie ubrany stary człowiek wyszedł ze sklepu Towary Mieszane, ściskając w dłoniach torby z zakupami. Zatrzymała się, by go przepuścić. Nawet nie podniósł głowy, minął kobietę zgiętą w pozie

nieustannego zmęczenia. Patrzyła za nim, jak idzie, powłócząc nogami, wzdłuż brzegu jeziora, powoli przesuając się na tle nagich drzew i szarej wody.

Ruszyła dalej, do pensjonatu Nad Jeziorem, swojego domu na czas nieokreślony. Było to jedyne miejsce w okolicy otwarte o tej porze roku. Choć szydziła z pensjonatu, wiedziała, że miała dużo szczęścia, w ogóle znajdując jakiś pokój, ponieważ do miasteczka zjechało wielu reporterów.

W jadalni większość jej rywali wciąż jeszcze siedziała przy śniadaniu. Damaris nigdy nie jadła śniadań, dzięki czemu tego ranka wszystkich wyprzedziła. O ósmej rano była już na nogach od dwóch i pół godziny. O szóstej pojechała do szpitala, by zobaczyć przewóz chłopca do jego nowego domu: Ośrodka dla Młodocianych Stanu Maine. Kwadrans po siódmej zjawiała się przed szkołą. Siedziała tam w zaparkowanym samochodzie i przyglądała się, jak dzieciaki w workowatych spodniach gromadzą się przed budynkiem, czekając na pierwszy dzwonek i wyglądając tak samo jak nastolatki w całym kraju.

Damaris podeszła do ekspresu i naląła sobie kawy. Pijąc ją powoli, przyglądała się innym siedzącym przy śniadaniu dziennikarzom, aż jej spojrzenie zatrzymało się na Mitchellu Groome, dziennikarskim wolnym strzelcu. Choć Groome nie mógł mieć więcej niż jakieś czterdzieści pięć lat, jego twarz składała się ze smętnie zwisających kawałków skóry - wyglądał jak pies w żałobie. A jednak jego ciało wydawało się wysportowane. Przede wszystkim jednak zauważył spojrzenie Damaris i przyglądał jej się ze zdziwieniem.

Odstawiła pustą filiżankę i wyszła z jadalni, wiedząc instynktownie, że Groome się jej przypatruje.

Dziura nad Jeziorem zyskała odrobinę na atrakcyjności.

Na górze, w pokoju, przejrzała notatki z rozmów przeprowadzonych w ciągu ostatnich paru dni. Teraz dopiero zaczynały się schody - wszystko to trzeba było ująć w artykule, który zadowoliliby

wydawcę i przyciągnął wzrok znudzonych gospodyń domowych z Nowej Anglii, pchających wózki z zakupami koło stelaży z kolorowymi magazynami.

Patrząc przez okno, zastanawiała się, jak z tego tragicznego, ale dość zwykłego wydarzenia skleić opowieść nieco bardziej podniecającą. Dlaczego ten przypadek ma być taki szczególny? Jaki aspekt zachęci czytelnika do sięgnięcia po „Weekly Informer”?

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że pomysł ma wręcz przed oczami.

Po drugiej stronie ulicy stała stara rudera o zabitych deskami oknach. Wyblakły szyld obwieszczał: Meble Kimballa.

Dom miał numer 666.

Znak bestii.

Gdy jej laptop się nagrzewał, przejrzała jeszcze raz notatki, szukając zapamiętanej z poprzedniego dnia wypowiedzi kobiety w miejscowym sklepie spożywczym.

Znalazła. „Znam wyjaśnienie tego, co się stało w szkole - powiedziała kobieta. - Wszyscy je znają, ale nikt nie chce tego przyznać. Boją się, że wyjdą na przesądnych czy niewykształconych. Ale ja pani powiem, co to jest. To ta nowa bezbożność. Ludzie usunęli Boga ze swojego życia. Zastąpili go czymś innym. Czymś, o czym nikt nie ma odwagi mówić”.

Właśnie tak! - pomyślała Damaris, uśmiechając się szeroko. Zaczęła pisać: „W zeszłym tygodniu szatan przybył do idyllicznego miasteczka Tranquility w stanie Maine...”.

Faye Braxton siedziała na wózku inwalidzkim przy oknie dużego pokoju i patrzyła, jak jej trzynastoletni syn wysiada ze szkolnego autobusu i zaczyna pokonywać długi podjazd prowadzący do domu. Było to coś, na co codziennie czekała. Lubiła przyglądać się, jak drobna sylwetka

Scotty'ego pojawia się w drzwiach autobusu, jak jego ramiona uginają się pod ciężarem plecaka, a głowa pochyla z wysiłku, gdy wchodzi pod górę, przez zarośnięte i strome podwórze.

Wciąż był taki drobny. Bolało ją, że tak mało urósł w ciągu ostatniego roku. Wielu kolegów prześcignęło go i wzrostem, i wagą; jej Scotty wciąż wyglądał, jakby dopiero zaczynał dojrzewać. Tak bardzo śpieszyło mu się, żeby dorosnąć, że tydzień temu się skaleczył, usiłując ogolić nieistniejącą brodę. Był jej pierworodnym synem, jej najlepszym przyjacielem. Wcale by się nie sprzeciwiała, gdyby czas nagle stanął, a ona mogła zatrzymać go takim, jaki był - słodkim, kochającym dzieckiem. Wiedziała jednak, że dziecko w nim wkrótce zniknie.

Metamorfoza już się rozpoczęła.

Była świadkiem pierwszych jej objawów kilka dni temu, gdy jak zwykle wysiadł z autobusu. Siedziała przy oknie i patrzyła, jak idzie ku domowi, gdy nagle zauważyła coś niewytłumaczalnego i przerażającego. Przystanął raptem na podwórzu i zaczął się przyglądać trzem szarym wiewiórkom siedzącym na drzewie. Myślała, że jest po prostu ciekaw, że - jak jego młodsza siostra Kitty - będzie je wołał, by zeszły na dół i dały się pogłaskać. Dlatego też zaskoczyło ją, że pochylił się, chwycił kamień i rzucił w górę.

Wiewiórki przeskoczyły na wyższą gałąź.

Patrzyła w osłupieniu, jak Scotty ciska kolejny kamień, potem jeszcze jeden, a jego szczupłe ciało napina się niby ciasno zwinięta sprężyna wściekłości. Gdy w końcu przestał atakować wiewiórki kamieniami, dyszał ciężko z wyczerpania. Potem skierował się ku domowi.

Wyraz jego twarzy sprawił, że Faye cofnęła się od okna. Przez jedną okropną chwilę przeniknęło jej przez głowę: To nie mój syn.

Teraz, gdy patrzyła, jak zbliża się do domu, myślała z niepokojem, który chłopiec wejdzie do środka: jej syn, jej prawdziwy syn, słodki i usmiechnięty, czy ten wstrętny nieznajomy, który tylko

wygląda jak Scotty? Dawniej umiałaby zdecydowanie potraktować próby rzucania kamieniami w zwierzęta.

Dawniej nigdy nie bała się własnego dziecka.

Faye usłyszała kroki Scotty'ego na ganku. Z bijącym sercem obróciła wózek, by widzieć syna w chwili, gdy stanie w drzwiach.

Rozdział siódmy

Nie mogło być żadnych wątpliwości, że czternastoletni Barry Knowlton jest dzieckiem swojej matki. Podobieństwo po prostu rzucało się w oczy. Barry i Louise wyglądali jak para radosnych kluseczek: oboje radzi, o rumianych policzkach i różowych wargach. Ich powitalne uśmiechy potrafiły rozproszyć nawet ponury nastrój Claire.

Od strzelaniny w szkole, do której doszło niemal tydzień temu, codziennie budziła się z okropną świadomością, że jej przeprowadzka do Tranquility była błędem. Zaledwie osiem miesięcy temu przyjechała tu pełna wiary i większość oszczędności wydała na kupno praktyki medycznej, która miała odnieść sukces. I czemu nie? W Baltimore była przecież wziętym lekarzem. Ale jeden nagłośniony proces może wszystko zniszczyć.

Codziennie na widok listonosza zbliżającego się do drzwi gabinetu przygotowywała się psychicznie na list, którego się obawiała. Paul Darnell groził, że odda sprawę w ręce adwokata, i nie miała wątpliwości, że tak właśnie zrobi.

Czy jest już za późno, żeby wyjechać? - to pytanie zadawała sobie codziennie. Czy jest już za późno na powrót do Baltimore?

Wchodząc do gabinetu, zmusiła się do uśmiechu. Barry i jego matka stanowili jasny punkt w ciągu dnia.

Oboje robili wrażenie naprawdę zadowolonych z tej wizyty. Barry zdjął już buty i stanął na

wadze, czekając z nadzieją, aż wskazówka się uspokoi.

- Hej, chyba straciłem pół kilo! - oznajmił.

Claire sprawdziła kartę, po czym spojrzała na odczyt.

- Waga spadła do stu dwunastu kilogramów. Straciłeś prawie kilogram. Tak trzymaj!

Barry zszedł z wagi, która wyzerowała się z głośnym kliknięciem.

- Chyba mam już luźniej pod paskiem!

- Teraz posłucham twojego serca - powiedziała Claire.

Barry poczłapał do stołu badań, ostrożnie wspiął się na stołeczek i klapnął na blat. Zdjął koszulę, ukazując fałdy bladego, miękkiego ciała. Claire słuchała jego serca i płuc, i mierzyła ciśnienie krwi, czując na sobie pełne ciekawości spojrzenie, śledzące każdy jej ruch. Podczas pierwszego spotkania Barry powiedział jej, że chciałby zostać lekarzem. Wydawało się, że odbywane co dwa miesiące wizyty traktuje jak wizje lokalne na polu przyszłego zawodu. Okresowe pobieranie krwi, znienawidzone przez większość pacjentów, było dla Barry'ego fascynującą procedurą i szansą zadawania niezliczonej ilości pytań na temat rozmiarów igieł, pojemności strzykawek i przeznaczenia każdej inaczej zabarwionej próbówki na krew.

Gdyby tylko Barry równą uwagę przywiązywał do tego, co bierze do ust!

Skończyła badanie, zrobiła krok w tył i przyglądała mu się przez chwilę.

- Dobrze ci idzie, Barry. Jak tam dieta?

- Chyba w porządku. - Wzruszył ramionami. - Bardzo się staram.

- Och, on tak kocha jeść! W tym cały problem - powiedziała Louise. - Staram się, jak mogę, żeby gotować niskotłuszczowe posiłki. A potem jego tata wraca do domu z pudełkiem pączków, no i... tak trudno jest się oprzeć. Serce mi krwawi, gdy widzę, jak Barry patrzy na nas wielkimi, głodnymi oczyma.

- Czy nie mogłaby pani wyperswadować mężowi, by nie przynosił ciastek do domu?
 - Och, nie. Mel ma... - pochyliła się do przodu i oświadczyła tonem poufnego zwierzenia - ...ma problem z jedzeniem.
 - Naprawdę?
 - Jeśli chodzi o Mela, poddałam się już dawno. Ale Barry jest jeszcze taki młody. Nie jest dobrze, gdy chłopiec w jego wieku ma taką nadwagę. Inne dzieciaki potrafią być okrutne.
- Claire spojrzała na Barry'ego ze współczuciem.
- Masz problemy w szkole?
- Światło w oczach chłopca przygasło. Spuścił wzrok i sposepniał.
- Nie lubię już chodzić do szkoły.
 - Inne dzieci się z ciebie śmieją?
 - Nigdy nie przestają opowiadać kawałów o grubasach.
- Claire zerknęła na Louise, która ze smutkiem pokiwała głową.
- Jego iloraz inteligencji wynosi sto trzydzieści pięć, a on nie chce chodzić do szkoły. Nie wiem, co robić.
 - Wiesz, co ci powiem, Barry? - rzekła Claire. - Pokażemy wszystkim, jaką masz silną wolę. Jesteś zbyt inteligentny, by dać wygrać tym innym chłopakom.
 - To prawda, oni nie są zbyt bystrzy - przyznał z nadzieją.
 - Musisz także być bardziej cwany niż twoje własne ciało. To wymaga wysiłku. A mama i tata muszą cię wspomagać, a nie działać przeciwko tobie. - Spojrzała na Louise. - Ma tu pani inteligentnego, wspaniałego chłopaka, ale on sam tego nie dokona. Rodzina musi mu pomóc.
- Louise westchnęła, przygotowując się już do czekającej ją ciężkiej batalii.
- Tak, wiem - odrzekła. - Pogadam z Melem. Koniec z pączkami.

Gdy Knowltonowie wyszli, Claire zajrzała do sekretariatu Very.

- Zdaje się, że mamy pacjenta na trzecią?
- Miałyśmy - powiedziała Vera, odkładając słuchawkę z zaskoczoną miną. - Pani Monaghan właśnie dzwoniła. Dzisiaj to już druga odwołana wizyta.

Claire zauważyła, że w poczekalni ktoś jest. Przez odsuwane okienko widziała siedzącego na kanapie mężczyznę. Był duży i wyglądał zwyczajnie, a wyraz twarzy smutnego klauna dodatkowo podkreślała niezbyt twarzowa fryzura - ostrzyżone na jeża włosy. Robił wrażenie, jakby gabinet lekarski był ostatnim miejscem, w którym chciałby przebywać.

- A to kto?
- To tylko jakiś dziennikarz, który chce z panią porozmawiać. Nazywa się Mitchell Groome.
- Oczywiście powiedziałaś mu, że mnie nie ma.
- Powiedziałam mu to, co pani zwykle mówi: bez komentarzy. Ale ten facet upiera się, żeby na panią poczekać.
- Jeśli o mnie chodzi, może sobie czekać do końca świata. Nie rozmawiam z żadnymi dziennikarzami. Czy mamy kogoś jeszcze wyznaczonego na dzisiaj?

- Elwyna Clyde'a. Kontrola jego stopy.

Elwyn. Claire przycisnęła dłoń do czoła, z góry nastawiając się na ból głowy.

- Mamy tu gdzieś odświeżacz powietrza?

Vera roześmiała się i postawiła aerozol na biurku.

- Jesteśmy gotowe na przyście Elwyna. Potem ma już pani wolne, i dobrze, bo na popołudnie wyznaczono spotkanie z doktorem Sarnickim. Dzwonił przed chwilą.

Doktor Sarnicki był szefem personelu szpitala. Claire po raz pierwszy usłyszała o jakimś spotkaniu.

- Czy mówił, o co chodzi?
- Coś o liście, który otrzymał. Powiedział, że to pilne. - Vera spojrzała przez okno i skoczyła na równe nogi.

- Do diabła, znowu tu są! - zawołała i wypadła przez boczne drzwi.

Claire wyjrzała za nią przez okno. Vera wygrażała pięściami dwu chłopcom z deskorolkami, a jej loczki i kolczyki podskakiwały wraz z nią. Jeden z chłopców odpowiadał jej załamującym się w mutacji wrzaskiem.

- Nie ruszaliśmy pani głupiego samochodu!

- No to kto zadrapał mi drzwi, co?! No kto?! - krzyczała Vera.

- Dlaczego pani nas oskarża? Zawsze wszystko zwała się na młodych!

- Jeśli jeszcze raz was tu zobaczę, wezwę policję!

- To chodnik publiczny! Mamy prawo tu jeździć!

Uwagę Claire odciągnęło pukanie w szybę. Po drugiej stronie okienka recepcjonistki widniała należąca do Mitchell'a Groome'a twarz smutnego psa.

Odsunęła szybę.

- Nie rozmawiam z reporterami.

- Chciałem pani tylko coś powiedzieć.

- Jeśli to dotyczy Taylora Darnella, proszę rozmawiać z doktorem Adamem DelRayem. On jest teraz lekarzem chłopca.

- Nie, to o samochodzie pani recepcjonistki. O tych porysowanych drzwiach. Ci chłopcy tego nie zrobili.

- Skąd pan wie?

- Wczoraj widziałem, jak to się stało. Jakaś starsza kobieta zaczepiła jej samochód swoim.

Myślałem, że zostawi karteczkę za wycieraczką, ale najwyraźniej tego nie zrobiła, a recepcjonistka wyciągnęła własne wnioski. - Spojrzał przez okno na rozgrywającą się tam gniewną scenę i pokręcił głową. - Dlaczego zawsze traktujemy dzieci jak wrogów?

- Może dlatego, że tak często zachowują się jak przybysze z innej planety?

Uśmiechnął się współczująco.

- I to mówi ktoś, kto ma w domu przybysza z obcej planety.

- Czternastoletniego. Zapewne wskazują na to siwe włosy na mojej głowie. - Przez chwilę przyglądali się sobie przez okienko.

- Może jednak pani ze mną porozmawia? - spytał mężczyzna. - To zajmie tylko parę minut.

- Nie mogę rozmawiać o moich pacjentach. To sprawa tajemnicy lekarskiej.

- Nie, nie chodzi mi konkretnie o Taylora Darnella. Szukam bardziej ogólnych informacji o wszystkich dzieciach w miasteczku. Jest pani jedynym lekarzem w Tranquility i zapewne orientuje się pani dość dobrze, co się tutaj dzieje.

- Mieszkam tu dopiero od ośmiu miesięcy.

- Byłaby pani jednak świadoma, gdyby miejscowe dzieciaki nadużywały narkotyków, prawda? To mogłoby wyjaśnić zachowanie się chłopca.

- Nie sądzę, by na podstawie jednego wypadku, choćby nie wiem jak tragicznego, można było wyciągać wnioski, że w miasteczku są problemy z narkotykami. - Nagle utkwiała wzrok w oknie. Chłopcy z deskorolkami zniknęli. Pojawił się natomiast listonosz, który teraz gawędził z Verą przed domem.

Podał jej cały plik listów. Czy był wśród nich list od adwokata Paula Darnella?

Groome coś powiedział; zdała sobie sprawę z tego, że przysunął się bliżej i niemal się wychyla z okienka recepcjonistki.

- Opowiem pani pewną historię, pani doktor. Dotyczy ona ślicznego miasteczka o nazwie Flanders, w stanie Iowa. Cztery tysiące mieszkańców. Czyste, uroczne miejsce, gdzie wszyscy się znają. Ludzie tego rodzaju, co to chodzą do kościoła i biorą udział w pracy komitetu rodzicielskiego. Po czterech morderstwach, wszystkich popełnionych przez nastolatków, całkowicie zaszokowani mieszkańcy Flanders w końcu stawili czoło rzeczywistości.

- A jaka była rzeczywistość?

- Amfetamina. Epidemia narkotyków w miejscowych szkołach. To miasteczko zetknęło się z ciemną stroną Ameryki.

- A co to ma wspólnego z Tranquility?

- Czy nie czyta pani lokalnej gazety? Proszę spojrzeć, co się dzieje u sąsiadów. Zaczęło się od tej rozróby w Halloween. Potem jeden chłopiec skatował na śmierć swojego psa. W szkole nieustannie wybuchają bójki. No i w końcu strzelanina.

Znów nie odrywała wzroku od okna. Listonosz wciąż gawędził z Verą. Na miłość boską, przynieś tu tę pocztę!

- Przez wiele miesięcy śledziłem historię Flanders. Widziałem, jak miasteczko się załamuje. Rodzice obwiniali szkoły. Dzieci zwracały się przeciw nauczycielom, przeciw własnym rodzinom. Gdy usłyszałem o problemach w waszym miasteczku, od razu pomyślałem o amfetaminie. Wiem, że musiała pani przeprowadzić analizę krwi Darnella pod kątem obecności narkotyków. Proszę mi odpowiedzieć tylko na jedno pytanie: czy wykryto amfetaminę?

- Nie - odparła, wciąż skupiona na pliku listów.

- A jakiś inny narkotyk?

Nie odpowiedziała. W gruncie rzeczy nie wiedziała, ponieważ laboratorium w Bostonie nie przysłało jej jeszcze wyników.

- A zatem coś było - powiedział, źle odczytując jej milczenie.
- Nie jestem lekarzem chłopca. Musi pan spytać doktora DelRaya.
Groome parsknął pogardliwie.
- DelRay mówi, że to reakcja po odstawieniu ritalinu. Coś tak rzadkiego, że mamy jedynie kilka anegdotycznych relacji, które potwierdzałyby istnienie problemu.

- Nie akceptuje pan diagnozy DelRaya?

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Pani też chyba nie?

Zaczynała lubić Mitchella Groome'a.

Drzwi się otwały i do środka wparowała Vera z naręczem poczty. Bezceremonialnie rzuciła wszystko na biurko. Na widok całego stosu urzędowych kopert Claire zaschło w gardle.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała do Groome'a. - Mam robotę.

- Flanders w stanie Iowa. Proszę o tym pamiętać. - Pomachał jej dłonią i wyszedł z budynku.

Claire zgarnęła listy, weszła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

Szybko przejrzała koperty i opadła na fotel z westchnieniem ulgi. Jeszcze jeden dzień oddechu - na żadnej kopercie nie było nadruku kancelarii adwokackiej. Może Paul Darnell blefował, może nie będzie żadnych konsekwencji.

Przez chwilę siedziała z odchyłoną głową, zmuszając się do rozluźnienia napiętych mięśni. Potem sięgnęła po pierwszą kopertę i otworzyła ją. W następnej chwili poderwała się gwałtownie.

W kopercie znajdowała się krótka notka od Rachel Sorkin, kobiety, która zawiadomiła o ranie postrzałowej Elwyna Clyde'a.

Doktor Elliot

Dzisiaj rano dostałam pocztą ten list. Sądzę, że powinna Pani o tym wiedzieć.

Rachel

PS Nie wierzą w ani jedno słowo.

Do kartki był przyczepiony liścik:

Do wszystkich zainteresowanych

Piszę, by zawiadomić wszystkich o niepokojącym incydencie. Trzeciego listopada doktor Claire Elliot dokonała na-paści na pacjenta szpitala. Choć było kilku świadków, sprawa nie ujrzała światła dziennego. Jeśli doktor Elliot jest Twoim lekarzem, być może powinieneś zastanowić się, czy to dobry wybór. Pacjenci mają prawo wiedzieć.

Zaniepokojony pracownik służby zdrowia

W biurze personelu medycznego czekało na nią trzech mężczyzn. Doktora Sarnickiego znała słabo, ale zrobił na niej dobre wrażenie. Był miłym, bezpośrednim, cicho mówiącym człowiekiem, znanym jako troskliwy lekarz i zręczny dyplomata, który skutecznie łagodził napięcia podczas niedawnych negocjacji kontraktów z pielęgniarkami. Drugim człowiekiem był administrator szpitala Roger Hayes, którego właściwie nie znała - zawsze uśmiechnięty i bez wyrazu.

Trzeciego znała aż za dobrze. Adam DelRay.

Przywitali ją uprzejmym skinieniem głowy. Gdy siadała przy stole konferencyjnym, była tak

napięta, że czuła się, jakby miała za chwilę pęknąć na dwie części. Przed doktorem Sarnickim leżała kopia tego samego anonimowego listu, który przesłała jej Rachel Sorkin.

- Widziała to już pani? - zapytał.

Skinęła głową.

- Jedna z moich pacjentek przesłała mi odbitkę. Zadzwoiłam do kilku osób i jak dotychczas potwierdziłam co najmniej sześć kolejnych.

- Ja swój egzemplarz dostałem dziś rano w poczcie szpitalnej.

- Ta sprawa została wyolbrzymiona - oznajmiła Claire. - Nie dokonałam napaści na pacjenta. Ten list ma tylko jeden cel: zniszczenie mojego dobrego imienia. - Spojrzała wprost na Adama DelRaya. Patrzył jej w twarz bez zmrużenia powiek, nawet bez błysku winy w oku.

- Co konkretnie zdarzyło się trzeciego listopada? - zapytał Hayes.

- Pobrałam krew od Taylora Darnella, by ją wysłać do dokładnej analizy na obecność leków i toksyn - wyjaśniła spokojnie. - Mówiłam już doktorowi Sarnickiemu, kto jeszcze był obecny w pokoju. Kto był świadkiem tego zajścia. Nie napadłam na pacjenta. Pobrałam mu tylko krew.

- Powiedz im resztę - wtrącił się DelRay. - A może masz zamiar opuścić najważniejszy szczegół? Czyli ten, że nie miałaś do tego prawa.

- Więc dlaczego pani to zrobiła? - spytał Hayes.

- Chłopiec miał objawy psychozy wywołanej narkotykiem. Chciałam go zidentyfikować.

- Nie było żadnego narkotyku - oświadczył DelRay.

- Tego nie wiesz - odparła. - Nie przeprowadziłam żadnych analiz.

- Nie ma żadnego narkotyku. - Rzucił na stół jakąś kartkę.

Z konsternacją patrzyła na nagłówek: Anson Biologicals.

- Mam tu wyniki. Najwyraźniej doktor Elliot udało się bez wiedzy i pozwolenia ojca chłopca

wysłać próbkę krwi do laboratorium analitycznego. Dziś rano Anson przesłało faksem wyniki. Są negatywne - dodał z satysfakcją. - Żadnych narkotyków, żadnych toksyn.

Dlaczego laboratorium zignorowało jej instrukcje? Dlaczego przesłało raport do szpitala?

- Nasze własne laboratorium - wyjaśniła - znalazło na chromatogramie niewyjaśniony pik. We krwi chłopca jednak coś było.

DelRay się roześmiał.

- Widziałaś nasz chromatograf gazowy? To antyk. Wyrzucony ze Stanowego Centrum Medycznego. Nie można ufać jego wynikom.

- Powinno się jednak zrobić test potwierdzający. - Spojrzała na Sarnickiego. - Właśnie dlatego pobrałam krew. Bo doktor DelRay odmówił.

- Pobrała krew bezprawnie - powtórzył DelRay.

- Robisz z igły widły, Adam - westchnął Hayes. - Chłopcu nic się nie stało i dochodzi do siebie w Ośrodku dla Młodocianych.

- Zignorowała życzenia ojca.

- Jedno pobranie krwi nie może stanowić podstawy do procesu.

Claire gwałtownie podniosła głowę.

- Czy Paul Darnell grozi procesem?

- Nie, absolutnie nie - uspokoił ją Hayes. - Dziś rano z nim rozmawiałem i zapewnił mnie, że nikogo nie pozywa do sądu.

- Powiem wam, dlaczego tego nie robi - parsknął DelRay. - Ponieważ ta jego była żona grozi, że będzie sabotować wszelkie działania prawne. To automatyczna reakcja zgorzkniałych byłych żon. Gdy tylko mąż czegoś chce, żona natychmiast się temu sprzeciwia.

Dziękuję ci, Wando, pomyślała Claire.

- A zatem nie ma sprawy - rzekł z ulgą Sarnicki. - Z mojego punktu widzenia nie ma potrzeby podejmowania jakichkolwiek działań.
 - A co z tym listem? - spytała Claire. - Ktoś pragnie zniszczyć moją praktykę.
 - Nie wiem, co możemy zrobić z anonimem.
 - Jest podpisany „pracownik służby zdrowia”. - Spojrzała wymownie na DelRaya.
 - Ej, chwileczkę - powiedział ten gniewnie. - Nie mam z tym nic wspólnego.
 - W takim razie Paul Darnell.
 - Były tam też dwie pielęgniarki, pamiętasz? W gruncie rzeczy taki podstępny list jest bardziej w kobiecym stylu.
 - „W kobiecym stylu”? A to co, do diabła, znaczy?! - wykrzyknęła z gniewem.
 - Mówią, jak to widzą. Mężczyźni są w takich sprawach bezpośredni.
 - Adamie, to do niczego nie prowadzi - ostrzegł Sarnicki.
 - A ja uważam, że prowadzi - zaprotestowała Claire. - Pokazuje dokładnie, co doktor DelRay myśli o kobietach. Czy sugerujesz, Adamie, że wszystkie kłamiemy?
 - To też do niczego nie prowadzi - powiedział Sarnicki.
 - Wkłada mi słowa w usta! Nie wysłałem tych listów, Paul też nie! Po co mielibyśmy to robić? Całe miasto już słyszało plotki!
 - W tej chwili zamykam zebranie! - Sarnicki uderzył ręką w stół i zapadła cisza.
- Wtedy właśnie usłyszeli ogłoszenie przez megafony szpitalne. Ledwie docierało przez zamknięte drzwi sali konferencyjnej.
- Alarm na OIOM-ie. Alarm na OIOM-ie.
- Claire natychmiast zerwała się na równe nogi. Na OIOM-ie leżał jej pacjent z udarem. Wypadła z sali konferencyjnej i pobięła ku schodom. Piętro wyżej, na OIOM-ie, z ulgą

stwierdziła, że to nie jej pacjent jest w niebezpieczeństwie. Kryzys nastąpił na łóżku numer sześć. Zgromadziło się już przy nim sporo personelu.

Rozstąpili się, by przepuścić Claire.

Przed wszystkim poczuła zapach. Swąd dymu i spalonych włosów. Jego źródłem był leżący na łóżku wielki, osmalony mężczyzna. Doktor McNally ukucnął za głową pacjenta, usiłując bezskutecznie wsunąć mu rurkę dotchawiczną. Claire rzuciła okiem na monitor pracy serca.

Bradykardia. Serce pacjenta biło, ale powoli.

- Jakie ciśnienie krwi? - spytała.

- Wydaje mi się, że skurczowe dziewięćdziesiąt - powiedziała pielęgniarka. - Jest taki wielki, że z trudem je słyszę.

- Nie mogę go intubować! - zawołał McNally. - Dajcie mu jeszcze tlen!

Technik przytknął maskę tlenową do twarzy pacjenta i nacisnął zbiornik tlenu, włączając go do płuc pacjenta.

- Ma tak krótką i grubą szyję, że nie widzę strun głosowych - narzekał McNally.

- Anestezjolog już jedzie z domu - zawiadomiła pielęgniarka. - Czy mam wezwać także chirurga?

- Tak, proszę. Potrzebna będzie tracheotomia. - Spojrzał na Claire. - Chyba że tobie uda się go zaintubować.

Nie sądziła, by jej się udało, ale chciała spróbować. Z bijącym sercem przesunęła się do głowy pacjenta i miała mu właśnie wsunąć laryngoskop, gdy zauważyła, że powieki mężczyzny drgają.

Wyprostowała się zaskoczona.

- On jest przytomny!

- Co takiego?

- Wydaje mi się, że jest przytomny!

- To dlaczego nie oddycha?
 - Dajcie mu tlen! - powiedziała Claire, odsuwając się, by technik mógł podejść z respiratorem. Gdy nakładano maskę i włączano tlen do płuc pacjenta, Claire błyskawicznie zastanawiała się nad sytuacją. Powieki mężczyzny rzeczywiście drgały, jakby starał się je otworzyć. A jednak nie oddychał, a jego kończyny pozostawały bezwładne.
 - Jaka jest jego historia?
 - Dziś po południu przywiozło go pogotowie - powiedział McNally. - Jest strażakiem ochotnikiem, który zemdlął podczas akcji. Nie wiemy, czy nałykał się dymu, czy serce mu wysiadło, ale musieli go wynieść z budynku. Przyjęliśmy go z powodu powierzchniowych oparzeń i groźby zawału serca.
 - Dotychczas był całkiem w porządku - powiedziała pielęgniarka z OIOM-u. - Nawet rozmawialiśmy przed chwilą. Dałam mu dawkę gentamycyny, a wtedy nagle nastąpiło zwolnienie akcji serca. Zdałam sobie sprawę z tego, że przestał oddychać.
 - Dlaczego otrzymał gentamycynę? - spytała Claire.
 - Z powodu oparzeń. Jedna z ran była bardzo zanieczyszczona.
 - Słuchaj, nie możemy przez całą noc dawać mu tlenu - powiedział McNally. - Czy chirurg został wezwany?
 - Tak.
 - To przygotujmy go do tracheotomii.
 - Może nie będzie potrzebna, Gordon - oznajmiła Claire.
 - Nie dałem rady wsunąć rurki dotchawicznej. Może ty? - McNally spojrzał sceptycznie.
 - Spróbujmy najpierw czegoś innego. - Claire zwróciła się do pielęgniarki: - Dajcie mu dożylnie ampułkę wapna.
- Pielęgniarka spojrzała pytająco na McNally'ego, który pokręcił ze zdziwieniem głową.

- Dlaczego chcesz mu dać wapno? - zapytał.
 - Tuż przed zatrzymaniem oddechu dostał antybiotyk, tak? - powiedziała Claire.
 - Tak, z powodu otwartej rany oparzeniowej.
 - I zaraz potem zatrzymał mu się oddech. Ale nie stracił przytomności. Wydaje mi się, że jest wciąż świadomy. Co to znaczy?
Nagle McNally zrozumiał.
 - Paraliż nerwowo-mięśniowy. Po gentamycynie?
Kiwnęła głową.
 - Nigdy tego nie widziałam, ale czytałam o takich przypadkach. Przeciwdziała się temu, podając wapno.
 - Podaję wapno - oznajmiła pielęgniarka.
- Wszyscy patrzyli. Przedłużającą się ciszę przerywał tylko równomierny syk włączanego przez maskę tlenu. Pierwsze zareagowały powieki pacjenta. Strażak powoli otworzył oczy, usiłując skupić wzrok na twarzy Claire.
- Wciąga powietrze - powiedział technik znad respiratora.
- Po kilku sekundach pacjent zakaszłał, odetchnął głośno i znów zakaszłał. Podniósł rękę i próbował odepchnąć maskę.
- Chyba chce coś powiedzieć - rzekła Claire. - Pozwólmy mu.
- Gdy zdjęto maskę, pacjentowi wyraźnie ulżyło.
- Czy chce pan coś powiedzieć? - spytała Claire.
- Mężczyzna kiwnął głową. Wszyscy nachylili się, by usłyszeć jego pierwsze słowa.
- Proszę - wyszeptał.
 - Tak?

- Nie... róbcie... tego... więcej.

Zgromadzeni wybuchnęli śmiechem. Claire poklepała mężczyznę po ramieniu i spojrzała na pielęgniarki.

- Chyba możemy odwołać tracheotomię.

- Cieszę się, że ktoś tu jeszcze ma poczucie humoru - oświadczył McNally, odchodząc z Claire od łóżka strażaka kilka minut później. - Ostatnio było dosyć ponuro. - Zatrzymał się przy dyżurce pielęgniarek i spojrzał na rząd monitorów. - Nie wiem, gdzie moglibyśmy jeszcze kogoś zmieścić.

Claire ze zdumieniem patrzyła na osiem zapisów pracy serca, biegnących przez monitory. Odwróciła się i z niedowierzaniem objęła wzrokiem OIOM.

Wszystkie łóżka były zajęte.

- Cóż się tu, do licha, dzieje? - spytała. - Gdy byłam rano na obchodzie, leżał tutaj tylko mój pacjent.

- Zaczęło się na moim dyżurze. Najpierw mała dziewczynka z urazem głowy. Potem wypadek na Barnstown Road. Później jakiś stuknięty dzieciak podpalił dom. - McNally pokręcił głową. - Na ostrym dyżurze przez cały dzień nie ma chwili spokoju, a pacjenci nie przestają napływać.

Odezwał się megafon szpitalny: „Doktor McNally na ostry dyżur. Doktor McNally na ostry dyżur”. Westchnął i odwrócił się, żeby odejść.

- To chyba przez pełnię Księżyca.

Noah zdjął kurtkę i położył na skale. Granit był ciepły, nagrany całodziennym słońcem. Odwrócił się i przez zmrużone powieki spojrzał na jezioro. Popołudnie było bezwietrzne, a w wodzie, jak w gładkim, lśniącym lustrze, odbijały się bezlistne drzewa na tle nieba.

- Tęsknię za latem - powiedziała Amelia.

Spojrzał na nią. Siedziała na najwyższej skale, opierając brodę na kolanach okrytych niebieskimi dżinsami. Blond włosy odgarnęła za jedno ucho, odsłaniając gojącą się ranę na skroni. Ciekaw był, czy zostanie jej blizna, i właściwie miał nadzieję, że tak - taka malutka, tyle tylko, by go nigdy nie zapomniała. Codziennie rano, patrząc w lustro, będzie widziała niewielki ślad kuli i wspomni Noaha Elliota.

Amelia uniosła twarz do słońca.

- Szkoda, że nie możemy pominąć zimy. Choć jednej zimy.

Wspiął się wyżej i usiadł koło niej. Nie za blisko, nie za daleko. Prawie jej dotykając, ale niezupełnie.

- No nie wiem, ja się jakoś tam cieszę na zimę.

- Nie wiesz, jak tu wtedy jest.

- Jak?

Patrzyła na jezioro niemal z wyrazem lęku na twarzy.

- Za parę tygodni zacznie zamarzać. Najpierw pojawią się kawałki lodu wzdłuż brzegu. Do grudnia lód pokryje całe jezioro tak grubo, że będzie można po nim chodzić. Wtedy w nocy zacznie wydawać dźwięki.

- Jakie dźwięki?

- Jakby ktoś jęczał. Jakby cierpiał.

Zaczął się śmiać, ale umilkł pod jej spojrzeniem.

- Nie wierzysz mi, co? - powiedziała. - Czasami budzę się w nocy i wydaje mi się, że to zły sen. A to tylko jezioro wydaje te okropne odgłosy.

- W jaki sposób?

- Pani Horatio mówi... - Przerwała, bo uświadomiła sobie, że pani Horatio nie żyje. Przeniosła wzrok na wodę. - To przez lód. Woda zamarza i się rozszerza. Zawsze się rozpycha, napiera na brzegi, stara się uciec, ale nie może, bo jest zamknięta. To wtedy słychać jęki. Ciśnienie rośnie, rośnie, aż już bardziej nie może. Wtedy lód pęka. Nic dziwnego, że wydaje takie straszne odgłosy - dodała cicho.

Starzał się wyobrazić sobie, jak będzie wyglądało jezioro w styczniu. Śnieżne zaspasy na brzegach, woda w postaci błyszczącej lodowej tafli. Ale dziś świeciło jasne słońce, skała promieniowała ciepłem i potrafił wyobrazić sobie jedynie lato.

- A co się dzieje z żabami? - spytał.

- Co takiego? - Odwróciła się ku niemu.

- Z żabami. I rybami, i tak dalej. No wiesz, kaczki odlatują wynoszą się stąd. A co robią żaby?

Czy po prostu zamarzają, jak zielone lizaki?

Chciał ją rozbawić i ucieszył się, gdy na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Nie, głuptasie, nie robią się z nich lizaki. Chowają się w mule, na samym dnie. - Wzięła kamyk i rzuciła w wodę. - Dawniej mieliśmy tu mnóstwo żab. Pamiętam, jak byłam mała, łapaliśmy je całymi wiadrami.

- Dawniej?

- Nie ma ich już teraz tak dużo. Pani Horatio mówi... - I znów ta przerwa, kiedy sobie przypominała. I znów smutne westchnienie. - Powiedziała, że to może być przez kwaśny deszcz - dokończyła.

- Ale w lecie słyszałem mnóstwo żab. Siadywałem tu i słuchałem ich.

- Szkoda, że cię wtedy nie znałam - powiedziała w zadumie.

- A ja cię znałem.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Zaczerwienił się i odwrócił wzrok.

- Przyglądałem ci się w szkole - wyjaśnił. - Przyglądałem ci się podczas każdej przerwy na lunch w szkolnej kafejce. Chyba nie zauważyłaś.

Czuł, że palą go policzki, więc wstał, nie odrywając oczu od jeziora, unikając jej wzroku.

- Czy przychodzisz czasem popływać? Bywałem tu codziennie.

- Wszyscy przychodzą.

- Więc czemu cię nie było tego lata?

Wzruszyła ramionami.

- Miałam zapalenie ucha. Lekarz nie pozwalał mi pływać.

- Głupek.

Zapadło milczenie.

- Noah? - odezwała się w końcu.

- Tak?

- Czy masz czasami ochotę... nie wracać do domu?

- Chodzi ci... żeby uciec?

- Nie, po prostu nie wracać.

- Nie wracać do czego?

Nie odpowiedziała mu na pytanie. Gdy się odwrócił, by na nią spojrzeć, zdążyła już wstać i objąć się ramionami.

- Robi się zimno.

Nagle on także poczuł chłód. Jedynie skała zatrzymała w sobie nieco ciepła, ale czuł, jak szybko ono znika, teraz, gdy słońce schowało się za drzewami.

Na powierzchni wody pojawiły się bąbelki, a po chwili znowu przybrała wygląd czarnego szkła. Przez chwilę jezioro wydawało się żywe, jakby stanowiło jeden płynny organizm. Zastanawiał się, czy wszystko, co powiedziała o jeziorze, jest prawdą - czy rzeczywiście jęczy w zimowe noce. Cóż, mogło tak być. Woda rozszerza się, zamarzając - to fakt potwierdzony naukowo. Lód najpierw tworzy się na powierzchni, cienka tafla nabiera grubości w ciągu ciemnych zimowych miesięcy, warstwa za warstwą. A gdzieś głęboko, w mule na dnie, chowają się żaby, które nie mają dokąd pójść. Zostają zamknięte pod lodem. Jak w grobie.

Pot pokrywał twarz Claire, gdy napierała na wiosła. Czuła, jak przecinają równo wodę, czuła miłe ślizganie się łodzi po powierzchni jeziora. W ciągu paru miesięcy jej wiosłowanie zyskało na koordynacji i skuteczności. Gdy w maju po raz pierwszy zanurzyła wiosła w wodzie, było to upokarzające doświadczenie. Albo jedno, albo oba uderzały dziko w wodę, wzbijając fontanny kropel; czasem znów zbyt mocno naciskała na jedno z nich i pływała w kółko. Chodziło o kontrolę. O doskonale wyważoną siłę. O płynne ruchy, o ślizganie się, nie chlapanie.

Teraz już to opanowała.

Powiosłowała na środek jeziora. Tam podniosła wiosła, położyła je na łodzi i usiadła, pozwalając jej dryfować. Słońce właśnie schowało się za drzewami i wiedziała, że pot na jej skórze wkrótce zrobi się zimny, ale przez parę chwil, gdy wciąż rozgrzewał ją wysiłek, cieszyła się zmierzchem, nie zauważając chłodu. Czarna jak smoła woda pluskała. Po drugiej stronie jeziora Claire widziała światła domów, w których przygotowywano kolacje, w których rodziny gromadziły się, tworząc

ciepłe, zamknięte światy. My też tak żyliśmy, zanim umarłeś, Peter. Nie rozbici, lecz tworząc jedną całość.

Patrzyła przez wodę na blask padający z okien tych domów i ogarnęła ją nagle tak dojmująca tęsknota za Peterem, że nawet oddychanie stało się bolesne. W lecie, gdy pływali po stawie niedaleko domu, to Peter zawsze trzymał wiosła. Claire siedziała na rufie i podziwiała jego pełne harmonii, rytmiczne ruchy, jego napięte mięśnie i spoconą twarz. Zawsze była rozpieszczaną pasażerką, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki niesioną po wodzie przez ukochanego.

Słuchała, jak drobne fale kołyszą łódką, i mogła sobie niemal wyobrazić, że naprzeciwko siedzi Peter, patrząc na nią smutnym wzrokiem. Musisz się nauczyć sama wiosłować, Claire. Teraz ty musisz kierować łodzią.

Jak mogę to zrobić, Peter? Ledwo utrzymuję się na powierzchni. Ktoś chce mnie stąd przegnać. A Noah, nasz kochany Noah, stał się taki obcy.

Czuła, jak łyzy chłodzi jej twarz. Obecność Petera była tak wyraźna, że gdyby tylko mogła sięgnąć ręką, na pewno zdołałaby go poczuć. Ciepłego i żywego, z krwi i kości.

Ale go nie było, siedziała w łodzi sama.

Nad głową rozbiły gwiazdy. Łódź ciągle dryfowała, wiatr spychał ją ku brzegowi. Obróciła się z wolna, odsłaniając w oddali północny brzeg, z letnimi domkami, zamkniętymi po sezonie.

Nagły chlupot sprawił, że zaskoczona Claire usiadła prosto. Odwróciła się ku pobliskiemu brzegowi i dostrzegła czyjąś sylwetkę. Stojący na brzegu mężczyzna, chudy i nieco pochylony, wpatrywał się w wodę. Szarpnął coś i rzucił się w bok. Znow rozległ się chlupot, a jego sylwetka zniknęła. To mogła być tylko jedna osoba.

Claire szybko otarła łyzy z twarzy.

- Doktorze Tutwiler! - zawołała. - Czy wszystko w porządku?

Głowa mężczyzny znów pojawiła się w jej polu widzenia.

- Kto tam jest?

- Claire Elliot. Myślałam, że wpadł pan do wody.

W końcu dostrzegł ją w mroku i pomachał ręką. Poznała tego biologa, specjalistę od mokradeł, już kilka tygodni wcześniej - wkrótce po tym, jak zamieszkał w wynajętym na miesiąc domku Alfordów. Tamtego ranka oboje wiosłowali po jeziorze i gdy ich łodzie mijaly się we mgle, wymienili powitania. Od tego czasu mówili sobie „dzień dobry”. Czasami, gdy przepływała koło jego domku, pokazywał jej słoje z najnowszymi nabytkami do kolekcji zwierząt ziemnowodnych. Noah nazywał go starym skrzekiem.

Gdy jej łódka przybliżyła się jeszcze do brzegu, Claire zobaczyła, że słoje Maksa stoją nad wodą.

- Jak tam kolekcja żab? - spytała.

- Robi się już za zimno. Wszystkie uciekają na głęboką wodę.

- Czy znalazł pan jeszcze jakieś okazy z sześcioma nogami?

- W tym tygodniu jeden. Naprawdę martwię się o to jezioro.

Jej łódka dopłynęła tymczasem do brzegu i otarła się o piasek.

Pająkowata sylwetka Maksa wznosiła się nad nią, a światło księżyca odbijało mu się w okularach.

- To samo dzieje się we wszystkich północnych jeziorach - powiedział. - Zdeformowane ziemnowodne. Potężne wymieranie.

- A co wykazały próbki wody z jeziora? Te, które pan pobierał w zeszłym tygodniu?

- Wciąż czekam na wyniki. To może trwać parę miesięcy. - Przerwał zaskoczony nagłym świergotem. - Co to takiego?

- Mój biper - westchnęła Claire. Niemal zapomniała, że przypięła go do paska. Na wyświetlaczu zobaczyła miejscowy numer.

- Do pani domu jest daleko - powiedział. - Proszę skorzystać z mojego telefonu.

Zadzwoiła z jego kuchni, nie odrywając wzroku od szklanych słoików ustawionych na blacie. To nie ogórki pływały w zalewie. Podniosła jeden słoik i zobaczyła wpatzone w nią oko. Żaba była bardzo blada, miała kolor ludzkiego ciała, upstrzonego fioletowymi plamami. Obie tylne nogi dzieliły się na jeszcze dwie, tworząc cztery osobne płetwy. Claire spojrzała na naklejkę: „Jezioro Locust, 10 listopada”. Wzdrygnęła się i odstawiła słoik. Telefon odebrała kobieta.

- Halo? Kto mówi? - Jej głos był niewyraźny, zamazany alkoholem.

- Mówi doktor Elliot. Odebrałam wezwanie. - Claire się skrzywiła, bo słuchawka została rzucona.

Usłyszała kroki i rozpoznała głos Lincolna Kelly'ego.

- Doreen, możesz mi oddać telefon?

- Dlaczego te wszystkie baby do ciebie wydzwanają?

- Daj mi telefon.

- Nie jesteś chory. Po co lekarz dzwoni do ciebie?

- Czy to Claire Elliot?

- Ach, teraz już Claire. Jesteście po imieniu!

- Doreen, za chwilę odwiozę cię do domu. A teraz chcę z nią porozmawiać.

W końcu usłyszała w słuchawce zdenerwowany głos:

- Claire, jesteś tam jeszcze?

- Jestem.

- Słuchaj, strasznie mi przykro.

- Nie przejmuj się - odpowiedziała, myśląc: Masz w życiu dosyć spraw, którymi się musisz przejmować.

- Lucy Overlock zaproponowała, bym do ciebie zadzwonił. Zakończyła wykopaliska.

- Jakieś ciekawe wnioski?
- Chyba większość z tego już słyszałaś. Kości mają co najmniej sto lat. Były to szczątki dwojga dzieci z wyraźnymi urazami.
- Czyli jest to dawne zabójstwo.
- Najwyraźniej. Jutro przedstawia rezultaty badań swoim studentom. Być może nie masz na to ochoty, ale zaproponowała, byśmy przyjechali. Ponieważ to ty znalazłaś pierwszą kość.
- Gdzie odbywają się zajęcia?
- W laboratorium muzeum w Orono. Jadę tam samochodem, jeśli chcesz, moglibyśmy się wybrać razem. Wyruszam koło południa.
- Ale jutro jest sobota! Od kiedy to pracujesz w soboty? - marudziła w tle Doreen.
- Doreen, pozwól mi skończyć rozmowę.
- Zawsze tak jest! Wciąż jesteś zajęty! Nigdy cię nie ma, gdy cię potrzebuję...
- Włóż płaszcz i wsiadaj do samochodu. Zawiozę cię do domu.
- Do cholery, sama pojedę. - Trzasnęły drzwi.
- Doreen! - zawołał Lincoln. - Oddaj kluczyki! Doreen! - Claire znów usłyszała w słuchawce jego pośpieszny, zdenerwowany głos. - Muszę iść. Zobaczymy się jutro?
- W południe. Będę czekać.

Rozdział ósmy

- Doreen się stara - powiedział Lincoln, nie odrywając oczu od drogi. - Naprawdę się stara. Ale nie jest jej łatwo.
 - Ani tobie, jak sądzę - odparła Claire.
 - Wszystkim jest trudno. Już od lat.
- Padło, gdy wyjeżdżali z Tranquility. Teraz deszcz przechodził powoli w deszcz ze śniegiem.

Słyszeli, jak uderza w przednią szybę. Droga była zdradliwa, bo temperatura spadła do niebezpiecznej granicy między mrozem a odwilżą, a na asfalcie gromadziła się warstewka wodnistej lodu. Claire cieszyła się, że to Lincoln prowadzi, nie ona. Człowiek, który przeżył czterdzieści pięć zim w tym klimacie, niewątpliwie nauczył się szacunku dla wszystkich pułapek.

Podkreślił ogrzewanie i zaparowane szyby zaczęły się przejaśniać.

- Od dwóch lat jesteśmy w separacji - powiedział. - Problem polega na tym, że ona nie potrafi odpuścić. A ja nie mam serca, żeby się jej wyrwać.

Oboje się spięli, gdy jadący przed nimi samochód nagle zahamował i zaczął tańczyć po jezdni. Ledwo udało mu się opanować poślizg tuż przed nadjeżdżającą ciężarówką.

Claire opadła na oparcie z bijącym sercem.

- O Jezu.

- Wszyscy jeżdżą za szybko.

- Może powinniśmy zawrócić?

- Minęliśmy już połowę drogi, więc nie ma sensu zawracać. Chyba że wolisz?

Przełknęła ślinę.

- Jeśli ty się nie boisz jechać, to ja też nie.

- Po prostu nie będziemy się śpieszyć. To znaczy, że pewnie późno wrócimy do domu. - Zerknął w jej stronę. - A co z Noahem?

- Jest już dość samowystarczalny. Na pewno nic mu nie będzie.

- Wygląda na wspaniałego chłopaka.

- I jest - potwierdziła, dodając po chwili z ponurym uśmiechem: - W każdym razie przeważnie.

- To chyba nie jest takie łatwe, jak się wydaje - powiedział Lincoln. - Cały czas to słyszę od rodziców. Że wychowywanie dziecka to najtrudniejsze zadanie pod słońcem.

- A staje się jeszcze sto razy trudniejsze, jeśli trzeba to robić samemu.

- A gdzie jest tata Noaha?

Claire milczała. Musiała się niemal zmusić do udzielenia odpowiedzi:

- Zmarł. Dwa lata temu.

Ledwo dotarli do niej ciche słowa Lincolna:

- Tak mi przykro.

Przez chwilę jedynym dźwiękiem było szuranie wycieraczek po szybie. Dwa lata, a wciąż z trudem tylko mogła o tym mówić. Wciąż nie potrafiła się zmusić do używania słowa „wdowa”. Kobiety nie powinny zostawać wdowami w wieku trzydziestu ośmiu lat. A roześmiani, kochający, trzydziestodziewięcioletni mężczyźni nie powinni umierać na chłoniaka.

Przez marznącą mgiełkę zobaczyła błyskające przed nimi światła. Wypadek. W samochodzie tego mężczyzny czuła się jednak dziwnie bezpiecznie. Chroniona przed jakąkolwiek krzywdą. Przejechali wolniutko wzdłuż rzędu pojazdów: dwóch wozów policyjnych, ciężarówki pomocy drogowej i karetki pogotowia. Ford bronco ześlizgnął się z szosy i leżał na boku, cały pokryty już szronem. Minęli go w milczeniu wstrząśnięci tak dobitnym przypomnieniem, jak szybko życie może się zmienić. Skończyć się. Była to jeszcze jedna ponura nuta dodana do i tak przygnębiającego dnia.

Lucy Overlock spóźniła się na zajęcia. Jej dziesięciu studentów i dwóch doktorantów od piętnastu minut czekało w suterenie, gdzie mieściło się laboratorium muzeum, gdy Lucy pojawiła się w drzwiach, spływając wodą.

- Przy tej pogodzie powinnam była chyba odwołać zajęcia - powiedziała. - Ale cieszę się, żeście tu wszyscy dotarli. - Odwiesiła płaszcz przeciwdeszczowy, pod którym miała codzienne dżinsy i

flanelową koszulę. Praktyczny strój, biorąc pod uwagę otoczenie. Suterena muzeum była wilgotna i pełna kurzu, zavalona różnymi przedmiotami i przesiąknięta ich zapachem. Na stojących wzdłuż dwóch ścian półkach zgromadzono setki drewnianych skrzynek, opisanych wyblakłym pismem: „Stonington, nr 11: narzędzia z muszli, groty strzał, drobiazgi”. „Pittsfield, nr 32: część szkieletu, dorosły mężczyzna”.

Na środku pokoju na szerokim, roboczym stole, pod brezentem, leżały nowe dodatki do tej starannie skatalogowanej kostnicy.

Lucy zapaliła światło. Z szumem włączyły się neonówki, a ich nienaturalny blask skupiał się na stole. Claire i Lincoln dołączyli do kręgu studentów. Światło było bezlitosne, ostro podkreślało rysy twarzy zgromadzonych osób.

Lucy odsłoniła brezent.

Szczałki szkieletów dwojga dzieci leżały obok siebie. Kości umieszczono mniej więcej zgodnie z układem anatomicznym. Jeden szkielet nie miał żeber, łydki i stopy jednej nogi, a także prawej górnej kończyny. Drugi szkielet wydawał się niemal cały, poza brakującymi kośćmi dłoni.

Lucy stanęła przy szczycie stołu, od strony czaszek.

- Mamy tu zbiór kostnych szczątków ludzkich z odkrywki numer siedemdziesiąt dwa, przy południowym krańcu jeziora Locust. Prace zakończono wczoraj. Dla odniesienia przyczepiłam tam, na ścianie, mapkę terenu odkrywki. Jak widzicie, odkrywka znajdowała się na samym brzegu potoku Meegawki. Ostatniej wiosny padały tu obfite deszcze i wystąpiła powódź, co prawdopodobnie przyczyniło się do odsłonięcia tego miejsca pochówku. - Spojrzała na stół. - Zaczynamy więc. Przede wszystkim chcę, byście wszyscy przyjrzeni się szczątkom. Możecie je wziąć do ręki i starannie obejrzeć. Zadawajcie pytania dotyczące terenu. A potem chciałabym usłyszeć, jakie wyciągacie wnioski na temat wieku i rasy ofiar oraz daty pochówku. Ci, którzy brali

udział w pracach, niech siedzą cicho. Zobaczmy, co innym uda się wydedukować.

Jeden ze studentów sięgnął po czaszkę.

Lucy cofnęła się i cicho obeszła stół, czasem zerkając ponad ramionami uczniów, by zobaczyć, jak pracują. To zgromadzenie skojarzyło się Claire z jakimś groteskowym rytuałem jedzenia: szczątki rozłożone jak ucztą na stole, chciwe ręce sięgające po kości, obracające je w ostrym świetle, podające dalej. Początkowo nie słychać było żadnych rozmów, a ciszę przerywał jedynie świst wyciąganej i chowanej miarki.

Jedną z czaszek, pozbawioną żuchwy, podano Claire.

Ostatni raz trzymała w dłoni ludzką czaszkę podczas studiów medycznych. Obróciła ją powoli w świetle. Niegdyś potrafiła podać nazwę każdego otworu, każdego wyrostka, ale te nazwy anatomiczne - tak samo jak wiele innych faktów, wtłaczanych studentom do głowy podczas czterech lat studiów - uległy zapomnieniu, zastąpione przez bardziej praktyczne dane, takie jak kody rachunków i numery telefonów w szpitalu. Odwróciła czaszkę i zobaczyła, że górne zęby wciąż tkwią na miejscu. Trzecie zęby trzonowe jeszcze nie wyrosły. To szczeka dziecka.

Delikatnie odłożyła czaszkę wstrząśnięta rzeczywistością tego, co przed chwilą trzymała w dłoniach. Przypomniał się jej Noah w wieku dziewięciu lat, z masą ciemnych kędziorów, jedwabście gładką skórą twarzy. Teraz wpatrywała się w czaszkę dziecka, którego ciało dawno już odpadło od kości.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że Lincoln dotyka jej ramienia.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

Skinęła potakująco głową. W jego spojrzeniu widziała smutek, niemal żal. Czy tylko nas prześladowają myśli o życiu tego dziecka? - zastanawiała się. Czy tylko my widzimy tu coś poza pustym czerepem z wapnia i fosforanów?

Pierwsze pytanie zadała studentka wyglądająca jak młodsze i szczuplejsze wcielenie Lucy.

- Czy ciała pochowano w trumnach? A teren był leśny czy łąkowy?
- Teren był umiarkowanie zalesiony nowymi drzewami - odparła Lucy. - Znaleźliśmy żelazne gwoździe i fragmenty trumny, ale drewno w większości wygniło.
- A ziemia? - spytał jeden ze studentów.
- Glina, średnio wilgotna. Czemu pytasz?
- Wysoka zawartość gliny sprzyja zachowaniu szczątków.
- Tak jest. Jakie inne czynniki wpływają na zachowanie szczątków? - Lucy rozejrzała się wokół. Jej studenci odpowiadali z entuzjazmem, który Claire wydał się niemal niewłaściwy. Tak byli skupieni na zmineralizowanych szczątkach, że zapomnieli, czym te kości niegdyś były. Żyjącymi, śmiejącymi się dziećmi.

- Spoistość ziemi... wilgotność...
- Temperatura otoczenia.
- Drapieżniki.
- Głębokość pochówku. Czy był wystawiony na światło słoneczne.
- Wiek w chwili śmierci.

Lucy zatrzymała wzrok na studentce, która odezwała się ostatnia. Była to ta młodsza wersja Lucy, także w dzinsach i koszuli w kratę.

- W jaki sposób wiek zmarłego wpływa na szczątki kostne?
- Czaszki młodych dorosłych osób pozostają nienaruszone dłużej niż czaszki ludzi starszych, być może z powodu większej mineralizacji.
- To mi nie mówi, jak długo te konkretne szkielety leżały w ziemi. Kiedy nastąpiła śmierć? Nie było odpowiedzi.

Lucy nie wydawała się rozczarowana.

- Prawidłowa odpowiedź - wyjaśniła - brzmi: nie wiemy. Po stu latach niektóre szkielety mogą zamienić się w proch i pył, inne natomiast być może nie wykażą niemal żadnych oznak starzenia się. Możemy jednak wyciągnąć pewne wnioski. - Sięgnęła przez stół i wzięła do ręki kość piszczelową. - Zwróćcie uwagę na łuszczenie się niektórych kości długich, gdzie błaszkowata otoczka kości ma naturalne rowki. O czym to świadczy?

- O zmiennych okresach suchych i wilgotnych.

- Właśnie. Te szczątki przez jakiś czas chroniła trumna. Później jednak trumna przegniła i kości zostały wystawione na działanie wody, szczególnie że w pobliżu znajdowały się koryta potoku. - Spojrzała na młodego człowieka. Claire rozpoznała go: był to doktorant, który pomagał w odkrywce. Długie jasne włosy związane w kucyk i trzy złote kolczyki w jednym uchu upodabniały go do pirata z dawnych wieków. Jedynie typowe dla naukowca okulary w drucianej oprawie nie pasowały do jego wyglądu. - Vince - rzekła Lucy - powiedz nam, kiedy występowały tam powodzie.

- Przeszukałem raporty od samego początku, czyli od lat dwudziestych - odparł Vince. - Mieliśmy dwa okresy katastrofalnych powodzi: na wiosnę tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku i ostatnio, minionej wiosny, gdy rzeka Locust wystąpiła z brzegów. Prawdopodobnie dlatego właśnie to miejsce pochówku zostało odkryte. Erozja koryta strumienia Meegawki wywołana obfitymi deszczami.

- Mamy więc dane na temat dwóch okresów nasycenia terenu wodą, po których następowały lata suche. To właśnie spowodowało łuszczenie się warstwy korowej kości. - Lucy odłożyła piszczel i podniosła kość udową. - A teraz najciekawsze znalezisko. Chodzi mi o tę rysę tutaj, z tyłu trzonu kości udowej. Wydaje się, że jest to ślad cięcia, ale kość jest już tak zniszczona, że rysa straciła

cechy charakterystyczne. Nie możemy zatem stwierdzić, czy były przy niej podokostnowe wylewy krwawe. - Dostrzegła pytające spojrzenie Lincolna. - Występują one wówczas, gdy zostanie ugodzona żywa kość. Wskazują, czy nastąpiło to po śmierci czy przed.

- I z tej kości nie da się tego wydedukować?
- Nie. Zbyt długo działały na nią różne żywioły.
- Skąd więc wiadomo, że było to zabójstwo?
- Musimy przyjrzeć się innym kościom. I tu znajdziemy odpowiedź. - Sięgnęła po małą, papierową torebkę i wysypała na stół jej zawartość.

Drobne kostki potoczyły się jak szare kości do gry.

- Kości nadgarstka - wyjaśniła. - Pochodzą z prawej ręki. Kości nadgarstka mają dużą gęstość, nie rozpadają się tak szybko jak inne. Te znaleziono głęboko, otoczone kawałem spoistej gliny, co dodatkowo pomogło je zachować. - Przesypywała kostki jak szwaczka szukająca właściwego guzika. - O właśnie - powiedziała, biorąc jedną kostkę i unosząc do światła.

Nacięcie rzucało się w oczy - było tak głębokie, że kość niemal rozpadła się na dwoje.

- Mamy tu ranę obronną - tłumaczyła Lucy. - To dziecko, uznajmy, że to dziewczynka, uniosło ramiona, by zasłonić się przed napastnikiem. Ostrze trafiło w rękę tak mocno, że niemal rozłupało kość nadgarstka. Dziewczynka ma zaledwie osiem czy dziewięć lat i jest dość drobnej budowy, więc nie może się bronić. A ten, kto wbił nóż, to człowiek bardzo silny. Tak silny, że potrafi przebić jej dłoń na wylot. Dziewczynka się odwraca. Ostrze być może wciąż tkwi w jej ciele, a może napastnik wyciągnął je i szykuje się do zadania następnego ciosu. Dziewczynka stara się uciec, ale on ją ściga. Wtedy potyka się lub to on ją przewraca na ziemię twarzą w dół. Zakładam, że twarzą w dół, ponieważ na kręgach piersiowych widnieją szczyrby - szerokie ostrze, być może tasaka, cięło od tyłu. Mamy także nacięcie z tyłu kości udowej, co znaczy, że leży teraz na ziemi.

Żadna z tych ran nie musi być śmiertelna. Jeśli dziewczynka wciąż żyje, obficie krwawi. Nie wiemy, co było później, bo tego nam kości nie mówią. Wiemy jedynie, że leży twarzą w dół na ziemi i nie może biec, nie może się bronić. A ktoś właśnie wbił tasak lub siekierę w jej kość udową. - Delikatnie odłożyła kość nadgarstka na stół.

Rozdział dziewiąty

Marchewka, gotowane kartofle i mikroskopijny kawałek kurzej piersi.

Louise Knowlton spojrzała na niemal pusty talerz, który postawiła przed swoim synem, i jej matczyne serce ścisnęło się z żalu. Głodzi własne dziecko. Widziała to w jego twarzy, w pełnych głodu oczach, opuszczonych ramionach. Tysiąc sześćset kalorii dziennie! Jak w ogóle można na tym przeżyć!

Barry rzeczywiście tracił na wadze, ale za jaką cenę! Był zaledwie cieniem dawnego, krzepkiego, ważącego sto dwadzieścia kilogramów chłopca. I choć wiedziała, że powinien schudnąć, czuła także - właśnie ona, która znała go najlepiej - że jej ukochane dziecko cierpi.

Przed sobą postawiła talerz ze smażonym kurczakiem i całą górę racuszków. Solidny, zdrowy posiłek przed zimną nocą. Nad stołem spotkała wzrok męża. Mel w milczeniu kręcił głową. On także nie mógł znieść widoku głodnego syna.

- Barry, kochanie, może zjesz choć jednego racuszka? - zaproponowała Louise.
- Nie, mamo.
- To nie ma wiele kalorii. Możesz zdjąć sos.
- Nie chcę.
- Popatrz, jakie są kruche! To recepta od mamy Barbary Perry. Są pyszne, bo zrobione na tłuszczu z bekonu. Jeden mały gryz, Barry. Spróbuj tylko! - Wyciągnęła ku niemu racuszek. Nie mogła się powstrzymać, nie mogła zdławić impulsu, wzmocnionego przez czternaście lat

macierzyństwa, który nakazywał jej karmić te różowe, głodne usta. To było coś więcej niż jedzenie. To była miłość w formie kruchego racuszka, pozostawiająca warstewkę tłuszczu na palcach. Czekala, by syn przyjął ten dar.

- Powiedziałem, że nie chcę! - wrzasnął.

Był to dla niej taki szok, jakby syn dał jej w twarz. Osłupiała Louise opadła na krzesło. Racuszek wysunął się z jej palców i wpadł w jeziorko sosu na talerzu.

- Barry - upomniał chłopca ojciec.

- Zawsze wpycha we mnie jedzenie! Nic dziwnego, że tak wyglądam! Spójrzcie na siebie!

- Twoja mama cię kocha. Popatrz, jaką przykrość jej sprawiłeś.

Louise drżały wargi. Starala się powstrzymać łzy. Patrzyła na obfitą kolację stojącą na stole, rezultat dwóch godzin pracy w kuchni, dzieło miłości. Przecież tak kochała swojego syna! Teraz zobaczyła, czym posiłek naprawdę był: zmarnowanym wysiłkiem grubej, głupiej matki. Zaczęła płakać, a jej łzy spadały na puree kartoflane.

- Mamo! - jęknął Barry. - Do licha. Przepraszam.

- Nieważne. - Uniosła rękę, by odgrodzić się od jego litości. - Rozumiem, Barry. Rozumiem i więcej tego nie zrobię. Przysięgam. - Wytarła łzy serwetką i na chwilę udało jej się odzyskać godność. - Ale tak bardzo się staram... i... - Ukryła twarz w serwetce, a całe jej ciało drżało z wysiłku, by powstrzymać łzy. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, że Barry do niej mówi.

- Mamo? Mamo?

Wciągnęła głęboko powietrze i zmusiła się, by na niego popatrzeć.

- Dasz mi racuszka?

Bez słowa podała mu półmisek. Wziął racuszka, przekroił i posmarował masłem. Wstrzymywała oddech, gdy zatopił w nim zęby i na twarzy rozlała mu się błogość. Przez cały czas marzył o

jedzeniu, ale odmawiał sobie tej przyjemności. Teraz się poddał, zjadł drugiego racuszka, potem trzeciego. Nie spuszczała z niego oka i czuła matczyną, głęboką i pierwotną satysfakcję.

Noah oparł się o ścianę budynku szkoły i zapalił papierosa. Nie palił już od kilku miesięcy, rozkaszał się więc, bo płuca buntowały się przeciw dymowi. Wyobrażał sobie, jak te wszystkie trucizny, przed którymi zawsze ostrzegała go matka, wypełniają mu pęcherzyki płucne, ale uważał, że wobec ogólnego obrazu życia w tym koszmarnym miasteczku nie ma co się przejmować odrobiną trucizny. Zaciągnął się ponownie i znów rozkaszał. W gruncie rzeczy wcale tego nie lubił, ale nie było co robić podczas przerw, od kiedy zakazano jeździć na deskorolkach. W każdym razie tutaj nikt go nie będzie nachodził.

Usłyszał miękki pomruk silnika i spojrzał ku ulicy. Przejeżdżał nią ciemnozielony samochód, tak wolno, że niemal niezauważalnie. Przydymione okna były zbyt ciemne, by można było przez nie zajrzeć do środka, więc Noah nie wiedział, czy za kierownicą siedzi mężczyzna, czy kobieta.

Samochód zatrzymał się po drugiej stronie ulicy. Noah wyczuwał, że kierowca przygląda mu się, tak samo jak on patrzy na niego.

Rzucił na ziemię papierosa i szybko przydeptał. Nie było sensu dać się złapać - kolejne zatrzymanie po lekcjach to ostatnia rzecz, której by chciał. Ponieważ dowód został zniszczony, odwrócił się i otwarcie zaczął gapić na niewidocznego kierowcę. Poczł triumf, gdy samochód odjechał.

Noah spojrzał na zgniecionego, tylko w połowie wypalonego papierosa. Cóż za marnotrawstwo. Zastanawiał się, czy nie próbować uratować resztki, gdy rozległ się szkolny dzwonek, obwieszczając koniec przerwy.

Wtedy usłyszał krzyki. Dochodziły sprzed szkoły.

Okrzyki narodziły się w narożniku budynku i zobaczył tłumek uczniów, zgromadzonych na frontowym trawniku i skandujących: „Walka kocic! Walka kocic!”.

To chyba warto zobaczyć.

Przepchnął się naprzód, usiłując dostrzec, co się dzieje, zanim wtrącą się nauczyciele. Dwie walczące dziewczyny niemal na niego wpadły. Noah wycofał się na bezpieczniejszą odległość zdumiony zaciekleścią walki. Było to gorsze niż jakakolwiek rozróżba między dwoma chłopcami - rzeczywiście wyglądało jak walka kocic. Dziewczyny próbowały rozdrapać sobie nawzajem twarze, szarpały się za włosy. W uszach dźwięczały mu okrzyki tłumu. Rozejrzał się po kręgu widzów, dostrzegając ich rozgorączkowane twarze, czując pragnienie krwi.

Gdzieś w głębi zbudziło się w nim dziwne podniecenie. Dłonie same zacisnęły mu się w pięści, a fala gorąca uderzyła do głowy. Obie dziewczyny były już zakrwawione i ten widok wprowadził go w trans. Sprowokował. Znowu przepchnął się do przodu, pracując łokciami, by znaleźć lepsze miejsce, i wściekł się, że nie może dostać się do pierwszego rzędu.

- Walka kocic! Walka kocic!

Noah także zaczął skandować, a widok zakrwawionych twarzy podniecał go coraz bardziej.

I nagle zauważył stojącą na brzegu trawnika Amelię. Zamilkł natychmiast. Dziewczyna wpatrywała się w tłum z niedowierzaniem i przerażeniem.

Odwrócił się zawstydzony, zanim go dostrzegła, i uciekł do szkoły.

W toalecie dla chłopców długo wpatrywał się w swoje odbicie. Co im się tam wszystkim stało? - zastanawiał się. Co się stało ze mną?

Obmył twarz lodowatą wodą ledwo czując jej temperaturę.

- Walczyły o chłopca - wyjaśniła Fern. - W każdym razie tak mi powiedziano. Zaczęło się od kilku obraźliwych uwag, a po chwili już rozdrapywały sobie twarze. - Pokręciła głową. - Po śmierci pani Horatio miałam nadzieję, że dzieciaki jakoś będą się wzajemnie wspierać. Pomagać sobie. Ale to już czwarta bójka w ciągu dwóch dni, Lincoln. Nie potrafię ich opanować. Potrzebuję policjanta, który pilnowałby szkoły.

- Wydaje mi się, że to byłaby przesada - odrzekł pełen wątpliwości - ale jeśli chcesz, powiem Floydowi Spearowi, by zaglądał tu parę razy w porze lekcji.

- Nie, nie rozumiesz. Potrzebujemy tu kogoś przez cały dzień. Nie wiem, co innego mogłoby zadziałać.

Lincoln westchnął i przeczesał palcami czuprynę. Fern wydawało się, że siwieje z dnia na dzień, tak samo jak ona. Dziś rano zauważyła u siebie siwe nitki w blond włosach i zdała sobie sprawę z tego, że z lustra patrzy na nią twarz kobiety w średnim wieku. Jednak zmiany w twarzy Lincolna były w jakiś sposób bolesniejsze niż konfrontacja z własnym starzejącym się odbiciem, ponieważ tak wyraźnie pamiętała, jakim mężczyzną był w wieku dwudziestu pięciu lat: ciemnowłosym, ciemnokim, z twarzą już wtedy zdradzającą siłę i charakter. To były czasy, zanim Doreen przykuła jego uwagę. Fern patrzyła na coraz głębsze bruzdy na jego twarzy i myślała często: ze mną byłbyś o wiele szczęśliwszy niż z nią.

Przeszli razem do jej gabinetu. Czwarta lekcja już się zaczęła, więc ich kroki niosły się echem po pustym holu. Z sufitu zwieszał się transparent: „Zabawa Dożynkowa - 20 listopada!”. Z klasy pana Rubio dochodził chór znudzonych głosów: Me llamo Pablo. Te llamas Pablo. Se llama Pablo...

Gabinet stanowił jej prywatne terytorium i odzwierciedlał sposób życia: wszystko tu było

czyściutki i na swoim miejscu. Książki stały równiutko, ukazując grzbiety, na biurku nie leżały żadne papiery. Wszystko pod kontrolą. Dzieci najlepiej rozwijały się w uporządkowanym otoczeniu i Fern była przekonana, że szkoła może właściwie funkcjonować jedynie dzięki absolutnemu porządkowi.

- Wiem, że proszę cię o uszczuplenie sił, jakimi dysponujesz - powiedziała - ale chcę, byś zastanowił się nad wyznaczeniem policjanta na posterunek w tej szkole.

- To oznacza zabranie kogoś z patrolu, Fern. Nie jestem pewien, czy istnieje taka konieczność.

- A co wy tam właściwie patrolujecie? Puste drogi! Problemy tego miasta skupiają się tutaj, w tym budynku. Tu właśnie potrzebny jest policjant.

W końcu kiwnął głową.

- Zrobię, co będzie w mojej mocy - powiedział i wstał.

Jego ramiona pochylały się pod ciężarem problemów. Przez cały dzień mocije się z niepokojami w mieście, myślała z poczuciem winy, i nikt go nie chwali; napotyka jedynie żądania i krytykę. A potem nie ma do kogo wrócić do domu, nikogo, kto by go wsparł. Mężczyzna, który popełnia błędy żeni się z niewłaściwą kobietą, nie powinien z tego powodu cierpieć przez resztę życia. Nie mężczyzna tak przyzwoity jak Lincoln.

Odprowadziła go do drzwi. Stali bardzo blisko, mogli się dotknąć. Pokusa, by wyciągnąć ręce i go objąć, była tak wielka, że Fern musiała zacisnąć pięści, by ją zwalczyć.

- Patrzą na to, co się dzieje - powiedziała - i zastanawiam się, co zrobiłam nie tak.

- Nic nie zrobiłaś nie tak.

- Od sześciu lat jestem dyrektorką i nagle muszę walczyć, by utrzymać w szkole porządek. By utrzymać własną posadę.

- Fern, naprawdę uważam, że to tylko chwilowa reakcja na strzelaninę. Dzieciaki potrzebują

czasu, by dojsć do siebie. - Poklepał ją uspokajająco po ramieniu i skierował się ku drzwiom. - To minie.

I znów Claire wpatrywała się w gardło Mairead Tempie. Wydawało jej się już znajome - obłożony język, opuchnięte migdałki, jęczyczek, mały, drgający kawałek różowego ciała. I ten zapach starej popielniczki, ten sam zapach, który przenikał kuchnię Mairead. Był wtorek, dzień wizyt domowych Claire, a Mairead była tego dnia jej przedostatnią pacjentką. Gdy praktyka lekarska się kurczy, gdy pacjenci odchodzą do innych lekarzy, trzeba chwycić się rozpaczliwych środków. Wizyta domowa w zadymionej kuchni Mairead Tempie stanowiła właśnie tego rodzaju rozpaczliwy środek. Wszystko, byle tylko pacjenci byli zadowoleni.

Claire wyłączyła latarkę punktową.

- Pani gardło wygląda tak samo. Jest nieco zaczerwienione.
- Wciąż mnie paskudnie boli.
- Posiew nic nie wykazał.
- To znaczy, że nie dostanę już więcej penicyliny?
- Bardzo mi przykro, ale nie ma to żadnego uzasadnienia.

Mairead zacisnęła sztuczne szczęki i niechętnie spojrzała na Claire wyblakłymi oczami.

- A cóż to za leczenie?
- Powiem pani, Mairead. Najlepszym leczeniem jest zapobieganie.
- To znaczy?
- To znaczy... - Claire spojrzała na paczkę mentolowych papierosów leżących na kuchennym stole. W reklamach tę markę pałity zazwyczaj wytworne, szczupłe kobiety w jedwabnych sukniach,

za którymi ciągnęły się futrzane etole, a w tle majaczyli mężczyźni. - Chyba pora, żeby przestała pani palić.

- A co jest złego w penicylinie?

Claire zignorowała pytanie, zamiast tego skupiając uwagę na piecu na drewno, stojącym pośrodku przegrzanej kuchni.

- To także nie jest dobre dla pani gardła. Wysusza powietrze, napełnia kuchnię drażniącym dymem. Ma pani przecież piec olejowy, prawda?

- Drewno jest tańsze.

- Czułaby się pani lepiej.

- Drewno dostaję za darmo od siostrzeńca.

- No dobrze - westchnęła Claire. - Więc może przestanie pani palić?

- Więc może da mi pani penicylinę?

Patrzyły na siebie. Nad garścią tabletek po trzy dolary rodziła się między nimi wrogość.

W końcu Claire się poddała. O tej porze dnia nie miała już siły na sprzeczkę, nie z kimś tak upartym jak Mairead Tempie. Tylko ten jeden raz, mówiła sobie, szukając odpowiednich próbek antybiotyku.

Mairead dorzuciła do pieca. Buchnął dym, dodatkowo zaciemniając powietrze w pomieszczeniu.

Nawet Claire zaczynało drapać w gardle. Mairead wzięła pogrzebacz i zaczęła poprawiać płonące polana.

- Słyszałam więcej o tych kościach - powiedziała.

Claire wciąż odliczała tabletki. Dopiero gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że pacjentka przygląda jej się badawczo.

Mairead odwróciła się i zamknęła żeliwne drzwiczki pieca.

- Mówią, że to stare kości.
- Owszem.
- Jak stare? - Wyblakłe oczy znów wpatrywały się w nią uważnie.
- Stuletnie, może nawet starsze.
- Są tego pewni?
- Chyba nie mają wątpliwości. Dlaczego?

Mairead odwróciła wzrok.

- Nigdy nie wiadomo, co się tu dzieje. Nic dziwnego, że znaleźli kości na jej działce. Wie pani, kim ona jest, nie? I nie ona jedna. W ostatnie Halloween rozpalili sobie wielkie ognisko na polu kukurydzy Warrena Emersona. Ten Emerson to kolejny taki.

- Kolejny jaki?
- Jak się ich nazywa, jeśli to mężczyźni? Czarownikami. Czarownik.

Claire wybuchnęła śmiechem. To był błąd.

- Niech pani popyta w mieście - upierała się Mairead rozgniewana. - Wszyscy pani powiedzą, że tamtej nocy na polu Emersona płonęło ognisko. A zaraz potem te dzieciaki zaczęły rozróbę w mieście.

- To się może zdarzyć wszędzie. Dzieci zawsze rozrabiają w Halloween.
- To ich święta noc. Ich czarne Boże Narodzenie.

Claire spojrzała Mairead Tempie w oczy i uświadomiła sobie, że nie lubi tej starej kobiety.

- Każdy ma prawo wierzyć, w co chce. Tak długo, dopóki nie czyni to krzywdy innym.

- No właśnie, o to chodzi, nie? Po prostu nie wiemy. Niech pani patrzy, co się tu od tamtej pory dzieje.

Claire zamknęła gwałtownie torbę lekarską i wstała.

- Rachel Sorkin pilnuje własnego nosa, Mairead. I uważam, że inni w miasteczku powinni robić to samo.

Znowu kości, myślała Claire, jadąc na ostatnią tego dnia wizytę domową. Wszyscy chcą wiedzieć, co to za kości. Czyje były, kiedy zostały pochowane. A dzisiaj nowe pytanie, które ją całkowicie zaskoczyło: dlaczego znaleziono je na terenie należącym do Rachel Sorkin.

To ich święta noc. Ich czarne Boże Narodzenie.

W kuchni Mairead Claire się roześmiała, ale teraz, jadąc przez coraz gęstszy mrok, nie widziała już nic zabawnego w tej rozmowie. Rachel Sorkin była outsiderką, czarnowłosą kobietą, która przybyła z daleka i mieszkała sama nad jeziorem. Tak przecież było od wieków - samotna młoda kobieta jest zawsze podejrzana i stanowi przedmiot plotek. W małym miasteczku jest anomalią wymagającą wyjaśnienia. Miejską syreną, neodpartą pokusą dla skądinąd cnotliwych małżonków. Albo jędzą, której nie chce poślubić żaden mężczyzna. Albo pokrętną osobą o nienaturalnych zachciankach. A jeśli do tego jest atrakcyjna - jak Rachel - lub egzotyczna, bądź ma szczególne gusta i kaprysy, to podejrzliwość miesza się z fascynacją. Fascynacją, która może przerodzić się w obsesję u kogoś takiego jak Mairead Tempie, która przez cały dzień duma w zadymionej kuchni, paląc niby to wytworne papierosy wywołujące jedynie bronchit i żółcące zęby. Rachel nie ma żółtych zębów. Rachel jest piękna, swobodna i nieco ekscentryczna.

A zatem Rachel musi być wiedźmą.

Warren Emerson zaś, który w noc Halloween rozpałił ognisko na polu, także musi być czarownikiem.

Choć nie było jeszcze ciemno, Claire włączyła reflektory i poczuła się nieco pewniej, widząc

światełka tablicy rozdzielczej. Ta pora roku, myślała, budzi w nas wszystkich irracjonalne lęki. A nie nadszedł jeszcze jej najmroczniejszy moment. Gdy noce stają się coraz dłuższe i zaczyna padać coraz gęstszy śnieg, odcinając nas od świata zewnętrznego, naszym światem staje się ten ponury i samotny krajobraz. I to bezlitosnym - język czarnego lodu i dojmujące zimno nocy mogą stać się i sędzią, i katem.

Dojechała do skrzynki pocztowej z nazwiskiem Braxton i skręciła na żwirową drogę. Wokół domu pacjentki rozciągały się zaniedbane pola. Deski ścian były nagie, drewno aż srebrne na skutek działania pogody. Na frontowym ganku pół sągu drewna ułożono niedbale przy przekrzywionej balustradzie. Pewnego dnia wszystko to razem się zawali - balustrada, ganek, cały dom. Rozwiedziona, czterdziestjednoletnia Faye Braxton, która mieszkała tu z dwójką dzieci, miała tak samo chorą budowę jak ten dom. Oba jej biodra zniszczył artretyzm, nie mogła więc nawet wyjść z tego nieszczęsnego domostwa bez pomocy.

Z torbą lekarską w ręku Claire weszła po stopniach na ganek. Dopiero wówczas uświadomiła sobie, że coś jest nie w porządku.

Na dworze było ledwie powyżej zera, a drzwi frontowe stały otworem.

Wsunęła głowę do środka i zawołała w ciemność:

- Pani Braxton? - Słyszała, jak na wietrze łomocze okiennica, i jeszcze coś: niewyraźny tupot stóp w pokoju na górze. Jedno z dzieci?

Claire weszła do środka i zamknęła drzwi przed zimnem. Nie paliła się żadna lampa, a słabe światło dnia ledwo przeświecało przez zasłony w dużym pokoju. Po omacku przeszła przez hol, szukając kontaktu. W końcu go znalazła i zapaliła światło.

U jej stóp na wytartym chodniku leżała naga lalka Barbie. Claire schyliła się po nią.

- Pani Braxton? Tu doktor Elliot.

Odpowiedziało jej milczenie.

Spojrzała na Barbie i zobaczyła, że połowa blond włosów została obcięta. Gdy odwiedzała ten dom trzy tygodnie temu, widziała podobną lalkę w objęciach siedmioletniej Kitty, córki Faye Braxton. Barbie miała wówczas na sobie różową balową suknię, a długie blond włosy były związane kawałkiem zielonej tasiemki.

Claire przebiegł dreszcz.

Znów to usłyszała: szybkie tup-tup-tup kroków na górze. Spojrzała ku schodom, ku pierwszemu piętru. Ktoś był w domu, a jednak ogrzewanie nie działało, panował lodowaty chłód i nie paliło się żadne światło.

Powoli się wycofała, odwróciła i wybiegła z domu.

Siedząc w samochodzie, zadzwoniła na policję z telefonu komórkowego.

Odebrał policjant Mark Dolan.

- Mówi doktor Elliot. Jestem w domu Braxtonów. Coś tu jest nie w porządku.
- O czym konkretnie pani mówi, pani doktor?
- Zastałam drzwi frontowe otwarte. Ogrzewanie jest wyłączone, nie pali się żadne światło. Ale słyszałam, jak ktoś chodzi na górze.
- Czy rodzina jest w domu? Sprawdziła pani?
- Wolę nie wchodzić na górę.
- Wystarczy, jeśli pani tylko zerknie. Mamy mnóstwo wezwań i nie wiem, kiedy uda mi się tam kogoś wysłać.
- Może pan jednak kogoś tu skieruje? Powtarzam, że coś jest zdecydowanie nie w porządku.

Dolan westchnął wymownie. Mogła go sobie niemal wyobrazić, siedzącego przy biurku i szyderczo wznoszącego oczy ku górze. Teraz, gdy głośno wyraziła swoje obawy, nie wydawały się

one ważne. Może wcale nie słyszała kroków, tylko okiennicę trzaskającą na wietrze. Może rodzina gdzieś wyjechała. Policja przyjedzie i nic nie znajdzie, a jutro całe miasteczko będzie się śmiać z tchórzliwej pani doktor. Jej reputacja została w tym tygodniu już wystarczająco nadszarpnięta.

- Lincoln jest gdzieś w tamtej okolicy - powiedział w końcu Dolan. - Poproszę go, by tam wpadł, gdy będzie wolny.

Wyłączyła telefon, już żałując, że zadzwoniła. Znów wysiadła z samochodu i spojrzała na dom. Zmrok przeszedł w noc. Odwołam, co powiedziałam, i oszczędzę sobie wstydu, pomyślała i weszła do środka.

Stojąc u stóp schodów, spojrzała w górę, ku podestowi pierwszego piętra, ale nie usłyszała z góry żadnych dźwięków. Chwyciła się poręczy - dębowej i solidnej. To ją trochę uspokoiło. Ruszyła schodami w górę, powodowana dumą i silnym postanowieniem, że nie stanie się przedmiotem kpin całego miasteczka.

Na pierwszym piętrze zapaliła światło i spojrzała w głąb korytarza. Ściany były brudne od dotyku małych rączek. Wsunęła głowę do pierwszego pokoju po prawej.

Była to sypialnia Kitty. Na zasłonach tańczyły baletnice, a na łóżku leżały rzucone rzeczy dziewczynki: plastikowe spinki do włosów, czerwony sweterek w śniegowe gwiazdki, szkolny różowo-fioletowy plecak. Na podłodze leżał zbiór ukochanych lalek Kitty. Nie były to jednak wypieszczone obiekty miłości dziewczynki. Te Barbie spotkały się z potworną przemocą: ich ubrania zwisały w strzępach, ręce i nogi były wygięte we wszystkich kierunkach. Jedna lalczyna główka, oderwana od reszty ciała, spoglądała na Claire niebieskimi oczyma.

Znów przeszedł ją dreszcz.

Wycofała się na korytarz i spojrzała na kolejne drzwi i znajdujący się za nimi ciemny pokój. Coś błyszczało w ciemnościach, jakby dziwna poświata, jakby zielonkawa luminescencja cyferblatu.

Weszła do pokoju i zapaliła światło. Zielony poblask znikł. Była teraz w zabałaganionym pokoju chłopca. Na łóżku i podłodze leżały rozrzucone książki i brudne skarpetki. Z kosza na śmiecie wysypywały się pomięte papiery i puszki po coli. Typowy bałagan pozostawiony przez trzynastolatka. Zgasiła światło.

I znów zobaczyła to samo - zieloną poświatę. Rozchodziła się z łóżka.

Spojrzała na poduszkę, jakby skropioną jasną luminescencją, i dotknęła powłoczki - była chłodna, ale nie wilgotna. Teraz dostrzegła słabe ślady światła także na ścianie nad łóżkiem oraz jedną jasną szmaragdową plamę na prześcieradle.

Bum, bum, bum. Uniosła głowę i usłyszała szloch, cichy okrzyk dziecka.

Strych. Dzieci są na strychu.

Wyszła z pokoju chłopca, potykając się w progu o porzuconą tenisówkę. Schody na strych były wąskie i strome, musiała więc chwycić się chwiejnej poręczy. Na szczycie panowały nieprzeniknione ciemności.

Zrobiła krok do przodu. Wiszący łańcuszek, zapalający lampę, musnął ją po twarzy. Pociągnęła go i goła żarówka rozbłysła pod sufitem, oświetlając jedynie niewielki fragment strychu. W pełnym mroku wnętrzu zdołała rozróżnić tylko stare, połamane meble i kartonowe pudła. Wieszak na ubrania o haczykach wielkich jak rogi jelenia rzucał groźny cień na podłogę.

Coś ruszało się koło jednego z pudeł.

Szybko odrzuciła karton na bok. Za nim, zwinięta w kłębek na stosie starych płaszczy, leżała siedmioletnia Kitty. Skóra dziewczynki była lodowato zimna, ale Kitty jeszcze żyła. Z każdym oddechem z jej gardła dobywał się cichy jęk. Claire się schyliła, by ją podnieść, i zdała sobie sprawę z tego, że ubranie dziewczynki jest czymś przesiąknięte. Przerazona uniosła dłoń do światła.

Krew.

Jedynym ostrzeżeniem było skrzyknięcie deski podłogowej. Ktoś za mną stoi.

Claire odwróciła się akurat w chwili, gdy cień rzucił się na nią. Cios trafił ją w pierś. Poleciała do tyłu pod ciężarem napastnika. Dłonie chwyciły ją za gardło. Usiłowała je odepchnąć, rozpaczliwie uderzając w lewą, potem w prawą, a przed oczami wirowały jej pełne cienia obrazy. Wieszak na płaszcze przewrócił się z hukiem. W migotliwym świetle żarówki dostrzegła twarz napastnika.

Chłopiec.

Zacisnął dłonie na gardle Claire. Przed oczami zaczęły jej latać ciemne plamy. Zauważyła jeszcze, że drapieźnie obnażył zęby, a oczy zwęziły mu się w szparki.

Wbiła mu palce w oko. Chłopiec zaskowyczał i puścił ją, odskakując. Zdążyła stanąć na nogi, gdy rzucił się na nią ponownie. Uchyliła się, przeleciał więc obok i wpadł między pudła, rozrzucając książki i narzędzia.

Oboje w tej samej chwili dostrzegli śrubokręt.

Równocześnie skoczyli ku niemu, ale on był bliżej. Chwycił go i uniósł wysoko nad głową. Wyrzuciła przed siebie obie ręce, by uchwycić nadgarstek chłopca przed zadaniem ciosu. Jego siła ją zaskoczyła. Aż przyklękła pod naporem. Ostrze śrubokrętu błysnęło tuż przed jej twarzą, choć walczyła, by je odepchnąć.

Przez dudniące tętno przedarł się nagle do jej uszu głos, wołający ją po imieniu.

- Pomocy! - krzyknęła z całych sił.

Na schodach zatupotały kroki. Nagle grożący jej śrubokręt zniknął. Chłopiec okręcił się w miejscu, kierując swą broń ku skaczącemu na niego Lincolnowi. Zobaczyła, jak obaj potoczyli się po podłodze, rozrzucając meble i kartony. Śrubokręt poturlał się gdzieś w cień. Lincoln przytrzymał chłopca twarzą w dół na podłodze i Claire usłyszała metaliczny szcęk zatrzasnkujących się

kajdanek. Mimo to chłopiec dalej walczył i kopał na oślep. Lincoln podciągnął go do słupa podtrzymującego dach i ciasno przywiązał do niego pasem.

Gdy w końcu zwrócił się ku Claire, oddychał ciężko, a na policzku puchł mu siniak. Po raz pierwszy zauważył leżącą między pudłami dziewczynkę.

- Ona krwawi! - powiedziała Claire. - Pomóż mi znieść ją na dół, tam jest światło!

Podniósł dziewczynkę i zaniósł do kuchni.

Zanim położył ją na stole kuchennym, przestała oddychać. Claire dała jej trzy szybkie oddechy i starała się wymacać puls w tętnicy szyjnej, ale nie mogła go wyczuć.

- Wezwij karetkę! - zawołała do Lincolna. Położyła ręce na mostku dziewczynki i równomiernie zaczęła uciskać klatkę piersiową. Bluzka małej nasiąkła krwią, więc ręce Claire wciąż się ześlizgiwały. Przez materiał wypłynęła świeża krew. Ona ma tylko siedem lat. Ile krwi dziecko może stracić? Jak długo jeszcze uda mi się utrzymać przy życiu komórki jej mózgu?

- Karetka już jedzie - powiedział Lincoln.

- Dobrze, teraz rozetnij jej bluzkę. Musimy zobaczyć, skąd pochodzi krwawienie. - Claire przestała uciskać mostek dziewczynki, by znów trzykrotnie napełnić płuca małej powietrzem. Usłyszała darcie materiału i zobaczyła, że Lincoln odsłonił już klatkę piersiową dziecka.

- O Jezu - mruknął.

Krew sączyła się z kilku ran kłutych.

Znów położyła ręce na mostku dziewczynki i podjęła masaż serca, ale przy każdym ucisku z ran wypływało coraz więcej krwi.

Niedaleko odezwała się syrena, a przez kuchenne okno dostrzegli migające światło ambulansu wjeżdżającego na podjazd przed domem. Dwaj pielęgniarze z pogotowia wpadli do domu, rzucili okiem na leżące na stole dziecko i otworzyli walizkę ze sprzętem pierwszej pomocy. Claire dalej

uciskała klatkę piersiową, pielęgniarze zaś intubowali dziecko, wprowadzali dożylny kateter i podłączali EKG.

- Jest rytm? - spytała Claire, wstrzymując masaż.
- Częstoskurcz.
- Ciśnienie krwi?

Usłyszała „puff, puff” opaski ciśnieniomierza.

- Ledwie wyczuwalne przy pięćdziesięciu. Sól fizjologiczna podłączona dożylnie. Mam kłopoty z wprowadzeniem drugiego kateteru...

Kolejna syrena zawyła na podwórku i w domu znów zatupotały kroki. Policjanci Mark Dolan i Pete Sparks wpadli do kuchni. Dolan napotkał spojrzenie Claire i szybko odwrócił wzrok, czując jej wyrzut: Mówiłam, że coś jest nie w porządku!

- Na górze, na strychu, jest chłopak - rzekł Lincoln. - Już go skułem. Teraz musimy znaleźć matkę.

- Sprawdź w stodole - zgłosił się Dolan.
- Faye porusza się na wózku inwalidzkim! - zaprotestowała Claire. - Nie mogłaby dostać się do stodoły. Musi być gdzieś w domu!

Dolan zignorował ją, odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

Skupiła uwagę na dziewczynce. Teraz, gdy mieli wyczuwalny puls, mogła przestać uciskać klatkę piersiową. Widziała, że jej ręce aż lepią się od krwi. Słyszała, jak Lincoln i Pete sprawdzają pokoje w poszukiwaniu Faye, i słyszała trzask radia załogi pogotowia, gdy z urazówki szpitala Knox zadawano pytania.

- Jak duża utrata krwi? - pytał McNally przez radio.
- Całe ubranie jest przesiąknięte krwią - odrzekł pielęgniarz. - Co najmniej sześć ran kłutych

klatki piersiowej. Mamy częstoskurcz przy stu sześćdziesięciu, ciśnienie krwi słabo wyczuwalne przy pięćdziesięciu. Jeden dożylny kateter. Nie możemy wprowadzić drugiego.

- Oddycha?
- Nie. Została zaintubowana i dajemy jej tlen. Doktor Elliot jest tutaj z nami.
- Gordon - zawołała Claire - ona potrzebuje natychmiastowej torakotomii! Ściągnij chirurga i ruszmy ją stąd!
- Będziemy na was czekać.

Choć przeniesienie dziewczynki do karetki trwało zaledwie sekundy, Claire wydawało się, że wszystko dzieje się jak na zwolnionym filmie. Jej wzrok zaćmiewała panika: boleśnie małe ciało, przymocowane do noszy, plątanina przewodów EKG i rurki dożylnej, napięte twarze pielęgniarzy, niosących biegiem nosze przez werandę, po schodkach i do karetki.

Claire i jeden z pielęgniarzy wskoczyli do samochodu za noszami. Zatrzęsnięto drzwi. Uklękła obok dziewczynki, trzymając torbę z tlenem i usiłując utrzymać równowagę, gdy jechali po wybojach podjazdu Braxtonów, a następnie skręcali na główną drogę.

Na monitorze pracy serca wystąpiły zaburzenia rytmu. Dwa przedwczesne skurcze komory. Po chwili trzy.

- Przedwczesny skurcz komorowy - powiedział pielęgniarz.
- Daj jej lidokainę.

Pielęgniarz zaczął wstrzykiwać lek, gdy karetka wpadła w dziurę. Poleciał do tyłu, po drodze zaczepiając ręką o wlew dożylny. Kateter wysliznął się z żyły dziecka, a strumień soli fizjologicznej spryskał twarz Claire.

- Cholera, wyleciał mi wlew! - krzyknął pielęgniarz.

Monitor wydał sygnał alarmowy. Claire uniosła wzrok i zobaczyła na ekranie szereg

przedwczesnych skurczów. Natychmiast podjęła masaż serca.

- Pośpiesz się z tym drugim podłączeniem!

Pielęgniarka otwierała już opakowanie i wyciągała świeży kateter. Założył opaskę uciskową na ramię Kitty i klepnął je kilka razy, starając się znaleźć żyłę.

- Nie mogę znaleźć! Straciła za dużo krwi!

Dziewczynka była w szoku. Jej żyły zwiotczały.

Zapisał alarm. Po ekranie monitora galopowały często skurcze.

Spanikowana Claire uderzyła mocno w pierś Kitty. Nie zadziałało.

Usłyszała zawroty głowy defibrylatora. Pielęgniarka nacisnął już guzik zasilania i przystawiał elektrody do piersi Kitty. Claire się odsunęła, by mógł umieścić elektrody i włączyć prąd.

Na monitorze linia podskoczyła w górę, by po chwili powrócić do częstoskurczu. Claire i pielęgniarka odetchnęli z ulgą.

- To tętno się nie utrzyma - stwierdziła Claire. - Potrzebujemy wejścia do żyły.

Walcząc o utrzymanie równowagi w zarzucającym ambulansie, pielęgniarka założył opaskę uciskową na drugie ramię i poszukał żyły.

- Nie znajduję.

- Nawet przedłokciowej?

- Już jest pęknięta. Straciliśmy ją wcześniej, starając się wkłuć w drugą żyłę.

Spojrzała na monitor. Na ekranie znów pojawiły się częstoskurcze. Wciąż jeszcze całe kilometry dzieliły ich od szpitala, a tętno dziewczynki słabło. Musieli podłączyć się do żyły.

- Przejmij sztuczne oddychanie - powiedziała do pielęgniarki. - Wkłuję się w żyłę podobojczykową.

Zamienili się miejscami.

Claire przyklękła przy piersiach Kitty z bijącym sercem. Wpatrzyła się w obojczyk. Od wielu lat nie miała okazji, by wkłuwać się w centralną żyłę u dziecka. Będzie musiała wprowadzić igłę pod obojczykiem, mierząc jej czubkiem w dużą żyłę podobojczykową, ryzykując przebicie płuca. Ręce i tak jej drżały, a w podskakującej na wybojach karetce będą jeszcze mniej pewne.

Mała jest w szoku i umiera. Nie mam wyboru.

Otworzyła zestaw do iniekcji w centralną żyłę, przetarła skórę betadyną i nałożyła sterylne rękawiczki. Odetchnęła głęboko.

- Wstrzymać kompresję - poleciła. Przyłożyła koniec igły do ciała pod obojczykiem i przebiła skórę. Równomiernie naciskając, wprowadzała igłę coraz głębiej, równocześnie ostrożnie odciągając tłoczek strzykawki.

Nagle trysnęła ciemna krew. Zapiszczał alarm.

- Szybciej! Jest w częstoskurczu! - powiedział pielęgniarz.

Boże, niech na drodze nie będzie żadnej dziury. Nie teraz. Trzymając nieruchomo igłę, usunęła strzykawkę i przez otwór w igle przesunęła drucik, aż wszedł w żyłę podobojczykową.

Drucik kierujący był na miejscu - najdelikatniejsza część operacji została zakończona. Teraz już szybko wprowadziła na miejsce kateter, wyciągnęła drucik i podłączyła wlew dożylny.

- Dobra robota, pani doktor!

- Lidokaina idzie. Wlew soli fizjologicznej całkowicie otwarty. - Claire zerknęła na monitor.

Wciąż w częstoskurczu. Sięgnęła po elektrody i właśnie przystawiała je do piersi Kitty, gdy pielęgniarz powiedział:

- Proszę poczekać.

Rzuciła okiem na monitor. Lidokaina zaczynała działać, częstoskurcze ustały.

Nagle szarpnięcie hamującego ambulansu ostrzegło ich, że są na miejscu. Claire przytrzymała

się, gdy samochód wykręcał i podjeżdżał tyłem do drzwi pogotowia.

Drzwi otwarły się nagle. McNally ze swoim personelem już czekał. Kilka par rąk sięgnęło, by wysunąć nosze z samochodu.

W pokoju urazowym czekał zaledwie minimalny zespół chirurgiczny, ale tylko tyle osób udało się McNally'emu zgromadzić w tak krótkim czasie: anestezjolog, dwie pielęgniarki z położnictwa i doktor Byrne, chirurg ogólny.

Byrne natychmiast wkroczył do akcji. Przeciął skalpelem skórę Kitty powyżej żebra i z niemal dziką siłą wsunął do środka plastikową rurkę płucną. Krew trysnęła przez rurkę do szklanego pojemnika. Rzucił okiem na gwałtowny strumień.

- Musimy przeciąć klatkę piersiową - stwierdził.

Nie mieli czasu na rytualne mycie rąk. Podczas gdy McNally naciął ramię dziewczynki, by wprowadzić drugi kateter dożylny i zacząć podawać krew 0 Rh minus, Claire włożyła kitel chirurgiczny, naciągnęła sterylne rękawiczki i zajęła miejsce naprzeciw Byrne'a. Widziała po jego pobladłej twarzy, że się boi. Nie był specjalistą od chirurgii klatki piersiowej i najwyraźniej wiedział, że sprawa go przerasta. Ale Kitty umierała i nie było nikogo innego.

- Święta Maryjo, łaskiś pełna - wyszeptał i włączył piłę do przecinania mostka.

Claire skrzywiła się na dźwięk zawodzenia piły i zmrużyła oczy, wpatrując się przez pył kostny w poszerzającą się szczelinę w klatce piersiowej Kitty. Widziała jedynie krew, błyszczącą jak czerwona satyna w świetle reflektorów. Potężne krwawienie w klatce piersiowej. Byrne zakładał retraktory, poszerzając szczelinę, a Claire odsysała krew, przejściowo oczyszczając jamę.

- Skąd to płynie? - mruknął Byrne. - Serce wydaje się nieuszkodzone.

I takie malutkie, pomyślała Claire w udręce. To dziecko jest takie małe...

- Musimy usunąć stąd krew.

Claire wsunęła głębiej ssaki i nagle odsłoniła się rana w płucu, skąd tryskała krew.

- Widzę - powiedział i założył klamrę.

Pojawiło się kolejne miejsce krwawienia - świeża krew jasną strużką wyciekała w ciemniejsze jezioro.

- Już dwa - oznajmił głosem pełnym napięcia i triumfu, zakładając drugą klamrę.

- Słyszę ciśnienie krwi! - oznajmiła pielęgniarka. - Skurczowe siedemdziesiąt!

- Wieszam drugą torbę z zero Rh minus.

- Tam - wskazała Claire i Byrne zatamował trzecie miejsce krwawienia.

Claire znów usunęła ssakiem krew. Przez chwilę wpatrywali się w otwartą klatkę piersiową, czekając z lękiem, czy krew znów nie zacznie się zbierać. Wszyscy w pokoju milczeli. Upływały sekundy.

W końcu Byrne spojrzął na Claire przez stół.

- Słyszałeś to „Zdrowaś Maryjo”, które odmawiałem?

- Tak.

- Chyba zadziało.

Gdy Claire w końcu wynurzyła się z sali urazowej, czekał na nią Pete Sparks. Ubranie miała poplamione krwią, ale wydawało się, że tego nie dostrzega. Tej nocy byli świadkami takiego koszmaru, że być może nie szokował ich już widok krwi.

- Jak dziewczynka? - zapytał.

- Przeżyła operację. Gdy tylko jej ciśnienie krwi będzie stabilne, przewiozą ją do Bangor. -

Uśmiechnęła się wyczerpana. - Chyba przeżyje, Pete.

- Przywieźliśmy tutaj chłopca - powiedział.

- Scotty'ego?

Kiwnął głową potakująco.

- Pielęgniarki umieściły go w tamtym gabinecie. Lincoln uważa, że powinna pani na niego rzucić okiem. Coś z nim jest nie w porządku.

Z rosnącym niepokojem przeszła przez hol i zatrzymała się w drzwiach gabinetu. Nic nie powiedziała, patrzyła tylko, a po plecach znów przebiegł jej dreszcz.

Niemal podskoczyła, gdy Pete powiedział cicho:

- Rozumie pani, o co mi chodzi?

- A co z jego matką? - spytała. - Znaleźliście Faye?

- Tak, znaleźliśmy.

- Gdzie?

- W piwnicy. Wciąż jeszcze była w wózku inwalidzkim. - Pete zerknął do gabinetu i jak gdyby ogarnięty wstrętem na widok siedzącego w środku chłopca, cofnął się o krok. - Miała skręcony kark. Zepchnął ją ze schodów.

Rozdział dziesiąty

Claire i technik przeprowadzający badanie tomograficzne przyglądali się przez okienko pracowni radiologicznej, jak głowa Scotty'ego Braxtona znika w otworze skanera. Jego kończyny i klatka piersiowa były mocno przywiązane do stołu, ale ręce nieustannie szarpały się w skórzanych obejmach. Przeguby miał już obtarte do krwi.

- Nie uzyskamy przyzwoitych zdjęć - powiedział technik. - Za bardzo się rusza. Może dałaby mu pani jeszcze trochę valium?

- Dostał już pięć miligramów. Bardzo bym nie chciała zniekształcić jego obrazu neurologicznego

- wyjaśniła Claire.

- W takim razie nie będzie tomogramu.

Nie miała wyboru. Napełniła strzykawkę i przeszła do pracowni. Wiedziała, że przez okienko przygląda jej się policjant stanowy. Podeszła do stołu i sięgnęła po zawór kroplówki. Nagle, bez uprzedzenia, chłopiec rozczapierzył dłoń. Claire szarpnęła się do tyłu, o włos unikając uchwycenia.

Policjant wszedł do pokoju.

- Nic się nie stało, pani doktor?

- Nic mi nie jest - powiedziała z bijącym sercem. - Po prostu mnie przestraszył.

- Jestem tu. Może mu pani dać lekarstwo.

Szybko chwyciła rurkę dożylną, wbiła igłę w gumowy zawór i wstrzyknęła pełne dwa miligramy.

W końcu dłonie chłopca się uspokoiły.

Zza okna obserwowała, jak skaner zaczął mruścić i klikać, bombardując głowę Scotty'ego zmienną sekwencją promieni rentgenowskich. Na ekranie komputera ukazał się pierwszy przekrój, z samego czubka czaszki.

- Na razie wygląda normalnie - powiedział technik. - Co spodziewa się pani zobaczyć?

- Jakiegokolwiek anatomiczne odstępstwo od normy, które mogłoby tłumaczyć jego zachowanie.

Guz, rumor. Musi być przyczyna. To już drugi chłopiec, u którego spotykamy się z tak nieopanowaną agresją.

Wszyscy się odwrócili, gdy do pokoju wszedł Lincoln. Tragedia odcisnęła na nim swoje piętno - Claire widziała to w jego twarzy, w podbitych oczach i smutku spojrzenia. Dla niego śmierć Faye Braxton oznaczała początek nocy niekończących się konferencji prasowych i spotkań ze śledczymi z policji stanowej. Zamknął drzwi. Wydawało się, że oddycha z ulgą znajdując w końcu spokojne, choć chwilowe schronienie.

Podszedł do okienka i spojrzał na leżącego na stole chłopca.

- Znaleźliście coś?

- Z Bangor przekazano właśnie wstępne wyniki analiz na narkotyki. W jego krwi nie ma amfetaminy, fencyklidyny ani kokainy, czyli narkotyków zazwyczaj kojarzonych z agresją. Teraz musimy wyeliminować inne przyczyny jego działań. - Spojrzała przez szybę na swojego pacjenta. - Wszystko jest tak samo jak u Taylora Darnella. A ten chłopiec nigdy nie brał ritalinu.

- Jesteś pewna?

- Jestem lekarzem rodzinnym Braxtonów. Mam wszystkie karty Scotty'ego z kartoteki doktora Pomeroya.

Stali obok siebie, opierając o okno zmęczone ramiona, oszczędzając energię na czekające ich godziny. Zdała sobie sprawę z tego, że tylko w takich okolicznościach mieli ze sobą jakiś kontakt. Gdy oboje byli zmęczeni albo przestraszeni, albo przygnębieni kryzysową sytuacją. Żadne z nich nie wyglądało najlepiej. Nie żywili na swój temat złudzeń, ponieważ razem przeszli przez najgorsze. Tyle że zaczęłam bardziej go podziwiać, pomyślała ze zdziwieniem.

- To już ostatnie zdjęcia - powiedział technik.

Claire i Lincoln otrząsnęli się z wywołanego wyczerpaniem otępienia i podeszli do monitora. Lekarka usiadła, by przyrzeć się przekrojom mózgu, pojawiającym się na ekranie. Lincoln stanął za nią, położył dłonie na oparciu krzesła, a jego oddech ogrzewał jej włosy.

- I co widzisz? - zapytał.

- Żadnego przesunięcia między półkulami - odrzekła. - Żadnych guzów. Żadnego krwawienia.

- Skąd wiesz, na co patrzysz?

- Im coś na zdjęciu bielsze, tym gęstsze. Kość jest biała, powietrze zaś czarne. W miarę przechodzenia do niższych warstw czaszki zaczynasz widzieć fragmenty kości klinowej, u podstawy mózgu. Szukam symetrii. Ponieważ patologia zazwyczaj dotyczy tylko jednej strony mózgu, szukam różnic między obiema półkulami.

Pojawiło się nowe zdjęcie.

- Moim zdaniem, to nie wygląda symetrycznie - powiedział Lincoln.
 - Masz rację. Jednak tą asymetrią akurat bym się nie przejmowała, bo nie dotyczy mózgu. To jedna z zatok kostnych.
 - Na co patrzycie? - spytał technik.
 - Na prawą zatokę przynosową. Widzi pan? Nie jest całkiem przejrzysta. Wygląda na to, że coś ją zaciemnia.
 - Pewnie torbiel śluzowa - powiedział technik. - Czasem widzimy coś takiego u pacjentów z chronicznymi alergiami.
 - W każdym razie to nie wyjaśnia jego zachowania - orzekła Claire.
- Zadzwoił telefon. Był to Anthony z laboratorium.
- Doktor Elliot? Może by pani zeszła do mnie i spojrzała na to, co mam - powiedział. - Chodzi o chromatogram gazowy pani pacjenta.
 - Czy znalazł pan coś w jego krwi?
 - Nie jestem pewien.

- Proszę mi wytłumaczyć, na czym polega ten test - rzekł Lincoln. - Co pan tu mierzy?
- Anthony poklepał przypominający pudło chromatograf i uśmiechnął się jak dumny ojciec. Stojący na stole instrument był niedawnym nabytkiem, cennym sprzętem przejętym ze Stanowego Centrum Medycznego w Bangor, więc strzegł go jak oka w głowie.
- Ten instrument - wyjaśnił - rozdziela mieszanki na poszczególne składniki. Opiera się na znanej dla wszystkich molekuł równowadze między fazą płynną a fazą gazową. Pamięta pan

jeszcze chemię ze szkoły średniej?

- Nie był to mój ulubiony przedmiot - przyznał Lincoln.
- No cóż, każda substancja może istnieć w postaci ciekłej lub gazowej. Na przykład jeśli grzeje się wodę, tworzy się para, czyli gazowa postać H dwa O.
- Na razie rozumiem.
- W środku tej maszyny znajduje się kolumna kapilarna; jest to bardzo długa i cienka rurka, która gdyby ją wyprostować, miałaby długość mniej więcej połowy boiska do futbolu. Wypełnia ją obojętny gaz, który z niczym nie wchodzi w reakcje. Teraz wstrzykuję próbkę, którą mam zbadać, tu, do dozownika. Zostaje ona podgrzana i przechodzi w stan gazowy. Cząsteczki poszczególnych związków przesuwają się wzdłuż rurki z różną prędkością, zależnie od ich masy. Tam się rozdzielają. Na drugim końcu rurki przechodzą przez detektor, a następnie zostają zapisane na papierze. Czas, jakiego dana substancja potrzebuje, by przejść przez całą rurkę, nazywa się czasem retencji. Znamy już czasy retencji dla setek różnych leków i toksyn. Ten test mówi nam, że we krwi pacjenta znajduje się konkretna substancja. - Ujął strzykawkę i przykręcił do dozownika chromatografu. - Patrzcie na monitor. Zobaczycie, co się dzieje, gdy wstrzykuję próbkę krwi pacjenta. - Anthony nacisnął tłoczek strzykawki.

Na ekranie komputera pojawiła się nierówna linia. Przez chwilę przyglądali się wykresowi, ale dla Claire wyglądało to tylko jak „szum” - drobne, niespecyficzne odczyty, wskazujące biochemiczną zupę, tworzącą ludzką plazmę.

- Cierpliwości - powiedział Anthony. - Pojawia się po minucie i dziesięciu sekundach.
- Co się pojawia? - zapytała Claire. Pokazał palcem ekran.
- To.

Claire zobaczyła, że linia nagle wystrzeliła w górę i zaraz znów opadła z powrotem do nierównej

linii podstawowej.

- Co to takiego było? - spytała.

Anthony podszedł do drukarki, która równocześnie rejestrowała kopię na papierze. Oderwał wydruk i rozłożył na stole laboratoryjnym przed Claire i Lincolnem.

- Tego sygnału - rzekł - nie potrafię zidentyfikować.

Czas retencji umieszcza go w klasie sterydów, ale podobne piki dają niektóre witaminy i endogenny testosteron. Jedynie bardziej wyrafinowana aparatura mogłaby wykryć, co to takiego.

- Wspomniał pan o endogennym testosteronie - powiedziała Claire. - Czy możemy mieć tu do czynienia ze sterydem anabolicznym? Czymś, czego nastoletni chłopiec mógłby nadużyć? - Spojrzała na Lincolna. - To by wyjaśniało objawy. Kulturyści czasami stosują sterydy do budowania masy mięśniowej. Niestety, dają one skutki uboczne, a jednym z nich jest niekontrolowana agresja.

- Warto się nad tym zastanowić - potwierdził Anthony. - Jakiś rodzaj sterydu anabolicznego. A teraz spójrzcie na to. - Podszedł do biurka i wyciągnął inny zwój papieru z wykresem.

- Co to takiego?

- To chromatogram gazowy Taylora Darnella, zrobiony w dniu przyjęcia do szpitala. - Położył wykres koło wykresu Scotty'ego Braxtona.

Były identyczne. Pojedynczy, wyraźnie określony pik po jednej minucie i dziesięciu sekundach.

- Cokolwiek to jest - powiedział Anthony - obaj chłopcy mieli to we krwi.

- Wszechstronna analiza krwi Taylora nic nie wykazała.

- Tak, zadzwoniłem w tej sprawie do laboratorium. Kwestionowali nasze wyniki. Zupełnie jakbym sobie wymyślił ten pik. Przyznaję, że ta maszyna jest starszego typu, ale rezultaty są za każdym razem takie same.

- Z kim pan rozmawiał?
- Z jakimś biochemikiem z Anson Biologicals.

Claire spojrzała na oba wykresy, papiery leżące jeden nad drugim. Linie przebiegały niemal identycznie. Dwóch chłopców zachowujących się w taki sam, niewytłumaczalny sposób. Ta sama niezidentyfikowana substancja w ich krwiobiegu.

- Proszę wysłać im krew Scotty'ego Braxtona - poleciła. - Chcę wiedzieć, jaka jest przyczyna tego wzrostu.
- Mam już wypełnione zamówienie. Wystarczy, by pani podpisała - powiedział Anthony.

Do drugiej nad ranem Claire zdążyła przestudiować wszystkie zdjęcia rentgenowskie, wszystkie analizy krwi, ale nie zbliżyła się do odpowiedzi. Siedziała wyczerpana przy łóżku chłopca, przyglądając mu się w ciszy. Próbowwała uświadomić sobie, co przeoczyła. Punkcja kręgosłupa była w porządku, tak samo jak analizy krwi i EEG. Tomografia wykazała jedynie torbiel śluzową w prawej zatoce przynosowej - prawdopodobnie skutek chronicznej alergii. Alergia wyjaśniałaby także jedyne odstępstwo od normy w białych ciałkach krwi: wysoki poziom eozynofili. Tak samo jak u Taylora Darnella, przypomniała sobie nagle.

Scotty poruszył się przez wymuszony dzięki valium sen i otworzył oczy. Zamrugał i utkwiał wzrok w Claire.

Zgasiła światło i ruszyła do drzwi. Nawet w ciemnościach widziała błysk jego szeroko otwartych oczu.

I nagle zdała sobie sprawę z tego, że to nie jego oczy błyszczą.

Powoli zawróciła do łóżka. Mogła rozróżnić białą pościel pod głową chłopca, ciemniejszy kształt

głowy na poduszce. Na górnej wardze lśniła fosforyzująca zielona plama.

- Siadaj, Noah - powiedziała Fern Cornwallis. - Jest coś, o czym musimy porozmawiać.

Noah zawahał się na progu, nie śpiesząc się, by wejść do gabinetu dyrektorki. Wrogie terytorium. Nie wiedział, dlaczego wyciągnięto go z klasy, ale sądząc po wyrazie twarzy pani Cornwallis, nie mogło to być nic dobrego.

Inne dzieciaki patrzyły na niego z ciekawością, gdy interkom na lekcji muzyki zaskrzeczał: „Noah Elliot, pani Cornwallis chce cię widzieć u siebie w gabinecie. Natychmiast”. Świadomy spojrzeń wszystkich kolegów odłożył saksofon i przedarł się do drzwi przez labirynt krzeseł i pulpity nutowych. Wiedział, że wszyscy w klasie zastanawiają się, co narozrabiał.

Nie miał pojęcia.

- Noah? - powtórzyła dyrektorka, wskazując krzesło.

Usiadł. Nie patrzył na nią, ale na niewyobrażalnie czyste biurko. Żadna ludzka istota nie mogła mieć takiego biurka.

- Dostałam dziś pocztą coś, o co muszę cię spytać - powiedziała. - Nie wiem, kto to przysłał. Ale cieszę się, że tak się stało, ponieważ gdy jeden z moich uczniów wymaga szczególnej opieki, powinnam o tym wiedzieć.

- Nie rozumiem, o czym pani mówi.

W odpowiedzi pchnęła w jego stronę fotokopię wycinka prasowego. Rzucił okiem i czuł, że błędnie. Wycinek pochodził z „The Baltimore Sun”.

*KRAKSA KRADZIONEGO SAMOCHODU.
JEDEN CHŁOPIEC W CIĘŻKIM STANIE;
CZTERECH CHŁOPCÓW ZATRZYMANÝCH.*

Kto o tym wiedział, myślał. I, co ważniejsze, dlaczego mi to robią?

- Przeprowadziłeś się tu z Baltimore, prawda? - spytała pani Cornwallis.

Noah przełknął ślinę.

- Tak, proszę pani - wykrztusił.

- W tym artykule nie wymieniono żadnych nazwisk. Była jednak do niego przyczepiona karteczka, sugerująca, że powinnam z tobą o tym porozmawiać. - Spojrzała na niego. - To o tobie, prawda?

- Kto to przysłał?

- To teraz nie jest ważne.

- Na pewno któryś z reporterów. - Nagle gniewnie uniósł podbródek. - Ciągłe za mną łążą, zadają pytania. A teraz chcą mi odpłacić!

- Za co?

- Za to, że nie mam ochoty z nimi rozmawiać.

Westchnęła.

- Noah, wczoraj trzem nauczycielom włamano się do samochodów. Czy coś o tym wiesz?

- Szuka pani kogoś, na kogo można zrzucić winę, tak?

- Pytam tylko, czy wiesz coś o samochodach.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie - odrzekł i wstał. - Czy mogę już iść?

Nie wierzyła mu - widział to po jej minie. Jednak nic więcej nie mogła powiedzieć.

- Wracaj na lekcję.

Wyszedł z jej gabinetu, przeszedł obok wścibskiej sekretarki i wpadł do holu. Nie wrócił do klasy, ale wyszedł na dwór i trzęsąc się, usiadł na schodkach przed szkołą. Nie miał kurtki, ale właściwie nie zauważał zimna - zbyt skupił się na powstrzymaniu łez.

I tu też już nie mogę żyć, myślał. Nigdzie nie mogę żyć. Wszystko jedno, gdzie pojedę, zawsze się ktoś dowie o tym, co zrobiłem. Objął rękami kolana i kołysał się, desperacko pragnąc znaleźć się w domu, ale było to za daleko, żeby iść na piechotę, a mama nie mogła teraz po niego przyjechać.

Usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwi sali gimnastycznej.

Spojrzał w tamtym kierunku i zobaczył wychodzącą blondynkę. Rozpoznał ją - to ta reporterka, Damaris Horne. Przeszła przez ulicę i wsiadła do samochodu. Ciemnozielonego samochodu.

To ona.

Przebiegł przez jezdnię.

- Hej! - krzyknął i ze złością uderzył w drzwi jej samochodu. - Niech się pani, do cholery, trzyma ode mnie z daleka!

Opuściła okno i wbiła w niego niemal drapieżny wzrok.

- Cześć, Noah. Chciałbyś o czymś pogadać?

- Chciałbym tylko, żeby pani przestała rozwalać mi życie!

- W jaki sposób rozwalam ci życie?

- Jeżdżąc za mną! Opowiadając ludziom o Baltimore!

- A co ma tu do rzeczy Baltimore?

Wlepił w nią wzrok, nagle uświadamiając sobie, że reporterka nie ma pojęcia, o czym on mówi. Cofnął się.

- Nieważne.
- Noah, nie jeżdżę za tobą.
- Owszem, jeździ pani. Widziałem pani samochód. Wczoraj, koło mojego domu. I przedwczoraj.
- To nieprawda.
- A w mieście śledziła pani moją mamę i mnie!
- Ależ wtedy po prostu przypadkiem za wami stanęłam. I co z tego? Czy masz pojęcie, ilu reporterów jest w tej chwili w miasteczku? Ile zielonych samochodów jeździ po ulicach?

Cofnął się jeszcze dalej.

- Po prostu proszę trzymać się ode mnie z daleka.
- A może porozmawiamy? Może mi powiesz, co się dzieje w szkole? O co toczą się te wszystkie bójkę? Noah? Noah!

Odwrócił się i uciekł do szkoły.

Dwa pitbulle warczały i szczekały na samochód Claire, drapiąc pazurami drzwiczki. Siedziała bezpiecznie zamknięta w środku i przez szerokość podwórka patrzyła na zaniedbany dom. Na podwórzu przez lata nagromadziły się różne śmieci. Widziała przyczepę opartą na cegłach i trzy rozwalone samochody w różnym stadium zniszczenia. Przez otwarte drzwiczki rdzewiejącej suszarki lekko wyjrzał kot. W kraju oszczędnych jankesów takie podwórza nie były niczym niezwykłym. Rodziny, które zaznały biedy, przechowywały swoje śmiecie jak skarby.

Nacisnęła na klakson, opuściła nieco szybę i zawołała:

- Hej? Czy jest ktoś w domu?

W jednym z okien poruszyła się podarta firanka, a chwilę później otworzyły się drzwi i na ganek wyszedł mniej więcej czterdziestoletni blondyn. Przeciął podwórko, stanął przy samochodzie i patrzył na nią bez uśmiechu. Psy czekały i skakały przy jego nogach. Wszystko w tym człowieku było niewyraźne - chuda twarz, rzadkie włosy, mały wąsik. Niewyraźne i wrogie.

- Jestem doktor Elliot - przedstawiła się. - Czy pan Reid?

- Taaa.

- Jeśli można, chciałabym porozmawiać z państwa synami. Chodzi o Scotty'ego Braxtona.

- Co z nim?

- Jest w szpitalu. Mam nadzieję, że pańscy synowie potrafią mi powiedzieć, co z nim jest nie tak.

- To pani jest lekarzem. Pani nie wie?

- Myślę, że to psychoza ponarkotykowa. Moim zdaniem, i on, i Taylor Darnell brali to samo. Pani Darnell powiedziała mi, że Scotty i Taylor spędzali wiele czasu z pańskimi synami. Gdybym mogła z nimi porozmawiać...

- Nic pani nie powiedzą - oznajmił Jack Reid i odsunął się od samochodu.

- Być może wszyscy eksperymentowali z tym samym narkotykiem.

- Moi chłopcy nie są tacy głupi. - Odwrócił się ku domowi, okazując swoją pogardę gniewnym wyprostowaniem ramion.

- Nie chcę wpakować ich w kłopoty! - zawołała za nim. - Chodzi mi tylko o informację!

Na werandzie pojawiła się kobieta. Rzuciła Claire pełne niepokoju spojrzenie i powiedziała coś do Reida. W odpowiedzi wepchnął ją na powrót do domu. Psy odbiegły teraz od Claire i czekały pod gankiem w nadziei na nową awanturę.

Claire opuściła okienko i wysunęła głowę.

- Jeśli ja nie mogę porozmawiać z państwa synami, po proszę policję, żeby zrobiła to w moim imieniu. Czy woli pan rozmawiać z Lincolnem Kellym?

Odwrócił ku niej ściągniętą gniewem twarz. Kobieta ostrożnie wysunęła głowę i także patrzyła na Claire.

- Rozmowę z państwa synami zachowam w tajemnicy - obiecała Claire. - Proszę mi pozwolić się z nimi spotkać, a nie wciągnę w to policji.

Kobieta powiedziała coś do Reida - sądząc z języka jej ciała, o coś go prosiła. Parsknął z wściekłością i wszedł, tupiąc, do domu.

Kobieta podeszła do samochodu Claire. Tak samo jak Reid, miała blond włosy i bezbarwną twarz, ale w jej oczach nie było wrogości. Raczej widniał tam niepokojący brak jakichkolwiek emocji, jak gdyby dawno pochowała swoje uczucia w głębokim, bezpiecznym miejscu.

- Chłopcy dopiero co wrócili ze szkoły - powiedziała.

- Czy pani Reid?

- Tak, proszę pani. Jestem Grace. - Rzuciła okiem na dom. - Ci chłopcy już nieraz wpakowali się w kłopoty. Pan Kelly powiedział, że jeśli to się jeszcze raz zdarzy...

- Nic mu nie powiem. Przyjechałam tu tylko ze względu na mojego pacjenta, Scotty'ego. Muszę wiedzieć, co zażywał, a pani chłopcy zapewne będą mogli mi to powiedzieć.

- To chłopcy Jacka, nie moi. - Spojrzała Claire w twarz, jakby szczególnie zależało jej, by to zrozumiała. - Nie mogę ich zmusić, żeby z panią rozmawiali. Ale proszę wejść do środka. Najpierw przywiążę psy.

Chwyciła oba pitbulle za obroże i zaciągnęła pod klon, żeby je przywiązać. Natychmiast napięły łańcuchy, szczekając wściekle, gdy Claire wysiadała z samochodu i szła za kobietą na ganek.

Dom robił wrażenie labiryntu jaskiń o niskich sufitach, zastawionych licznymi sprzętami.

- Zawołam ich - powiedziała Grace i zniknęła na schodach, zostawiając Claire samą w dużym pokoju. Telewizor był włączony na kanale telezakupów. W leżącym na stole notatniku ktoś napisał: „Chanel No. 5, 4 uncje, \$14.99”. Claire pomyślała, że chyba perfumy nie zdołałyby zagłuszyć panującego w tym domu zapachu biedy, wilgoci i papierosów.

Na schodach zadudniły ciężkie kroki i do pokoju weszło dwóch nastoletnich chłopców. Dzięki identycznemu ostrzyżeniu na zapałkę ich blond głowy wydawały się nienaturalnie małe. Nie odezwali się, stali tylko, patrząc na nią obojętnie niebieskimi oczyma. Uprzejmość nastolatków.

- To Eddie i J.D. - powiedziała Grace.

- Jestem doktor Elliot - przedstawiła się Claire. Spojrzała na Grace, która zrozumiała i cicho wyszła z pokoju.

Chłopcy padli na kanapę, a ich wzrok automatycznie skierował się na ekran telewizora. Nawet gdy Claire sięgnęła po pilota i wyłączyła telewizor, nadal gapili się w ciemny ekran, jakby z przyzwyczajenia.

- Wasz przyjaciel Scotty Braxton jest w szpitalu - powiedziała. - Wiecie o tym?

Zapadła długa cisza. Przerwał ją w końcu młodszy z braci, może czternastoletni.

- Słyszeliśmy, że wczoraj wieczorem mu odbiło.

- No właśnie. Jestem jego lekarzem i staram się dowiedzieć, dlaczego tak się stało. Cokolwiek mi powiecie, zostanie między nami. Muszę wiedzieć, jaki brał narkotyk.

Chłopcy wymienili spojrzenie, którego Claire nie rozumiała.

- Wiem, że coś brał. Tak samo jak Taylor Darnell. Wykazały to analizy krwi ich obu.

- To po co pani nas pyta? - odezwał się J.D. Jego głos był niższy od głosu Eddiego i wibrował pogardą. - Skoro pani wie.

- Nie wiem, co to konkretnie było.

- Czy to pigułka? - spytał Eddie.

- Niekoniecznie. Sądzę, że jakiś rodzaj hormonu. To mogła być pigułka, zastrzyk, a nawet jakaś roślina. Hormony to związki chemiczne produkowane przez żywe organizmy. Rośliny, zwierzęta, owady. Wpływają na działanie naszego ciała na różne sposoby. Ten konkretny hormon sprawia, że ludzie stają się gwałtowni. Że zabijają. Czy wiecie, skąd go dostał?

Eddie nagle spuścił wzrok, jakby bał się na nią spojrzeć.

- Widziałam dziś rano w szpitalu Scotty'ego - powiedziała sfrustrowana. - Jest przywiązany, jak zwierzę. Teraz jest mu źle, ale będzie jeszcze gorzej, gdy narkotyk przestanie działać. Gdy oprzytomnieje i uświadomi sobie, co zrobił swojej matce. I swojej siostrze. - Przerwała, mając nadzieję, że jej słowa docierają do ich tępych głów. - Jego matka nie żyje. Jego siostra wciąż jest w ciężkim stanie po ranach, które jej zadał. Przez resztę życia Kitty będzie wspominać brata jako chłopca, który próbował ją zabić. Ten narkotyk zrujnował życie Scotty'ego. I Taylora. Musicie mi powiedzieć, skąd go mieli.

Obaj chłopcy patrzyli w dół, na stolik, widziała więc jedynie jasną szczecinką na czubkach ich głów. Znużony J.D. wziął pilota i włączył telewizor. Telesklep zachęcał do okazji: ręcznie robiony wisiołek ze szmaragdem na łańcuszku z czternastokaratowego złota oferowano za jedyne siedemdziesiąt dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów.

Claire wyrwała pilota z ręki J.D. i gniewnie wyłączyła telewizor.

- Skoro mnie nie macie nic do powiedzenia, będziecie musieli porozmawiać z panem Kellym.

Eddie zaczął mówić, ale zerknął na starszego brata i się zamknął. Dopiero wtedy Claire zauważyła podstawową różnicę między nimi dwoma. Eddie bał się J.D.

Położyła na stoliku swoją wizytówkę.

- Gdybyście zmienili zdanie, tu mnie możecie zastać - powiedziała, patrząc na Eddiego. I wyszła

z domu.

Gdy pojawiła się na ganku, oba pitbulle rzuciły się ku niej, niemal zawisając na łańcuchach. Jack Reid rąbał przed domem drzewo na opał - jego siekiera dźwięcznie uderzała w pień. Nie starał się uspokoić psów, być może odpowiadało mu to, że straszą niechcianego gościa. Claire przeszła przez podwórze, koło rdzewiejącej suszarki i samochodu z wybebeszonym silnikiem. Gdy mijala Reida, przestał machać siekierą i spojrzał na lekarzkę. Miał pot na czole i cienkim wąsiku. Oparł się na siekierze, a w oczach świeciła mu złośliwa satysfakcja.

- I co, nic pani nie powiedzieli, nie?

- Myślę, że mają wiele do powiedzenia. W końcu i tak wszystko się wyda.

Psy szczekały z nową siłą, szarpiąc łańcuchy. Spojrzała na nie, a potem znów na Reida, który zacisnął dłonie na trzonku siekiery.

- Jeśli szuka pani kłopotów - powiedział - proszę najpierw sprawdzić pod własnym dachem.

- Co takiego?

Uśmiechnął się złośliwie, uniósł siekierę i mocno wbił ją w polano.

Tego samego popołudnia Claire była w gabinecie, gdy zadzwonił telefon. W drzwiach pojawiła się Vera.

- Chce rozmawiać z panią. Mówi, że była pani dzisiaj w jej domu.

- Kto dzwoni?

- Amelia Reid.

Claire natychmiast chwyciła słuchawkę.

- Mówi doktor Elliot.

Głos Amelii był stłumiony.

- Mój brat Eddie prosił, żebym do pani zadzwoniła. Sam się boi.
- A co Eddie chce mi powiedzieć?
- Chce, żeby pani wiedziała... - Nastąpiła przerwa, jak gdyby dziewczyna słuchała, co ktoś jej mówi. Gdy znów się odezwała, jej głos był tak cichy, że niemal niesłyszalny. - Chce, żebym powiedziała pani o grzybach.
- Jakich grzybach?
- Wszyscy je jedli. Taylor, Scotty i moi bracia. Małe niebieskie grzybki, rosną w lesie.

Lincoln Kelly wysiadł z samochodu. Trzask suchej gałązki pod jego butem rozległ się echem jak strzał nad cichym jeziorem. Było późne popołudnie. Niebo zakrywały deszczowe chmury, a woda lśniła jak czarne szkło.

- Trochę późno na grzybobranie, Claire - powiedział sucho.
- „Na grzyby, na grzyby, w ten jesienny ciemny las...”. - Z bagażnika furgonetki wyjęła dwie pary grabi. Jedne wręczyła Lincolnowi, który przyjął je z wyraźną niechęcią. - Podobno są jakieś sto metrów w górę strumienia od Skał - rzekła. - Rosną pod grupą dębów. Małe niebieskie grzybki na cienkich nóżkach.

Zwróciła się w stronę lasu. Nie wyglądał zachęcająco: pod pozbawionymi już liści i całkowicie nieruchomymi drzewami gęstniał mrok. Nie miała ochoty na tak późną wyprawę, ale zapowiadano burzę śnieżną. Spadło już kilkanaście milimetrów deszczu, a ponieważ temperatura w nocy miała opaść poniżej zera, do jutra wszystko znajdzie się pod śniegiem. To ostatnia szansa, by przeczesać nagą ziemię.

- To może być ten wspólny czynnik, Lincoln. Naturalna toksyna z roślin rosnących tu, w lesie.

- A dzieciaki jadły te grzyby?

- Chłopcy uczynili z tego pewien rytuał. Zjedz grzyb, udowodnij, że jesteś mężczyzną.

Szli wzdłuż strumienia, brodząc w sięgających powyżej kostek liściach, przedzierając się przez zarośla dzikich malin. Na ziemi leżało mnóstwo suchych gałązek, więc każdy krok powodował ostry trzask. Późną jesienią nie można chodzić po lesie cicho.

Wśród drzew otwarła się niewielka polanka, otoczona wielkimi dębami.

- To chyba tutaj - powiedziała.

Zacząli grabić liście. Pracowali spokojnie, ale szybko, bo zaczął padać śnieg z deszczem, pokrywając wszystko cienką warstewką lodu. Odkrywali muchomory, kręgi białej pleśni i jaskrawopomarańczowe strzępki grzybów.

To Lincoln pierwszy natrafił na niebieski grzybek. Dostrzegł maleńki kapelusik wystający ze szczeliny między dwoma korzeniami. Odsunął dębowe liście i odsłonił całość. Zapadł już zmierzch i kolor kapelusza widoczny był jedynie w świetle latarki. Przykucnęli obok siebie zmęczeni deszczem i zimnem, zbyt przemarznięci i wyczerpani, by odczuwać satysfakcję, gdy Claire wsunęła grzybek do torebki na próbki.

- Tam dalej, przy drodze, mieszka biolog specjalizujący się w wodnej florze i faunie - powiedziała. - Może on będzie wiedział, co to jest.

W ciszy wrócili przez bagno i wyszli z lasu. Na brzegu jeziora Locust zatrzymali się zaskoczeni. Połowa wybrzeża tonęła w ciemnościach. Tam, gdzie powinny błyszczeć światła domów, widać było w oknach jedynie słaby odblask świateł.

- Niedobrze jest zostać bez prądu w taką noc - powiedział Lincoln. - Temperatura spadnie parę stopni poniżej zera.

- Wygląda na to, że mój koniec jeziora wciąż ma elektryczność - zauważyła z ulgą.
- Tak. Ale trzymaj opał pod ręką. Prawdopodobnie na przewodach zbiera się lód. Za chwilę i ty możesz zostać bez prądu.

Wrzuciła grabie do bagażnika i kierowała się już ku drzwiom samochodu, gdy coś na jeziorze przyciągnęło jej wzrok. Był to jedynie słaby poblask i mogłaby go wcale nie zauważyć, gdyby nie kontrastująca czerni Skał wcinających się w wodę.

- Lincoln - powiedziała. - Lincoln!

Był już przy swoim wozie.

- Co takiego?

- Spójrz na jezioro. - Powoli podeszła do brzegu, gdzie woda drobnymi falami obmywała piasek. Poszedł za nią.

Początkowo nie mógł zrozumieć, co właściwie widzi. Była to jedynie niewyraźna jasność, jakby światło księżyca tańczyło na wodzie. Ale tej nocy księżyc nie świecił, a plama unosząca się na powierzchni fosforyzowała zielenią. Wspięli się na jedną ze skał i spojrzeli na jezioro. Przyglądali się ze zdumieniem, jak jasny pas wije się na powierzchni niczym wąż o jasno-szmaragdowych skrętach. Nie był to celowy ruch, lecz leniwe dryfowanie. Błyszcząca plama raz się zmniejszała, raz rozciągała.

Nagle deszcz ze śniegiem się wzmógł, a igiełki lodu pocięły powierzchnię jeziora.

Fosforyzujące pasmo rozpadło się na tysiące malutkich fragmentów i znikło.

Przez długi czas ani Claire, ani Lincoln się nie odzywali.

- Co to, do diabła, mogło być? - wyszeptał w końcu.
- Nigdy przedtem tego nie widziałeś?
- Claire, mieszkam tu całe życie, ale do dziś nie spotkałem się z niczym podobnym.

Woda była teraz ciemna. Niewidoczna.

- A ja tak - powiedziała.

Rozdział jedenasty

- Nie jestem specjalistą od grzybów - powiedział Max Tutwiler - ale być może będę umiał rozpoznać trującą odmianę.

Claire wyjęła grzybek z torebeczki.

- Potrafisz powiedzieć, co to takiego?

Włożył okulary i przyglądał się okazowi w świetle lampy naftowej. Obracał go na wszystkie strony, przyglądając się dokładnie delikatnemu trzonowi i niebieskozielonemu kapeluszowi.

Deszcz ze śniegiem uderzał w okna domku, a wiatr jęczał w kominie. Prądu nie było już od godziny i w domku Maksa robiło się z minuty na minutę zimniej. Wydawało się, że z powodu nadciągającej burzy Lincoln nie może usiedzieć na miejscu. Claire słyszała, jak chodzi po pokoju, czyści zimny piec na drewno, mocniej dociąga okna. Odruchowe czynności mężczyzny, który zaznał ciężkich zim. Wrzucił do pieca gazety i drobne gałązki na rozpałkę, a po chwili dodał większe polano, ale drewno było świeże i dawało więcej dymu niż ciepła.

Max nie wyglądał dobrze. Siedział owinięty w koc, trzymając pod ręką pudełko chusteczek do nosa. Szczękająca zębami ofiara nieszczęsnej zimowej grypy i domku pozbawionego ogrzewania. W końcu spojrzał na Claire załzawionymi oczyma.

- Gdzieście znaleźli ten grzybek?

- Nad strumieniem, w górę od Skał.

- Których skał?

- Tak się nazywa to miejsce. Tam najczęściej zbierają się miejscowe dzieciaki. Tego lata znaleźli mnóstwo tych grzybów. Nigdy przedtem ich nie zauważyli. Ale to był w ogóle dziwny rok.

- W jakim sensie? - spytał Max.
- Na wiosnę mieliśmy te wszystkie powodzie. A potem najgorętsze lato, jakie zapisano w kronikach.

Max pokiwał głową.

- Globalne ocieplenie. Oznaki tego są wszędzie.

Lincoln spojrzął na okno oblepione mokrym śniegiem i roześmiał się.

- Nie dzisiaj.

- Trzeba patrzeć szerzej - powiedział Max. - Wzorce pogodowe zmieniają się na całym świecie. Katastrofalne susze w Afryce. Powodzie na naszym Środkowym Zachodzie. Nienormalne warunki wzrostowe powodują wzrost nienormalnych rzeczy.

- Na przykład niebieskich grzybów.

- Lub ośmionogich płazów. - Pokazał palcem półkę, na której stały słoje z okazami. Było ich osiem, a w każdym znajdował się jakiś przyrodniczy dziwoląg.

Lincoln podniósł jeden ze słoików i popatrzył na dwugłową salamandrę.

- O Jezu. Znalazł pan to w naszym jeziorze?

- W jednym z oczek wodnych.

- I, pana zdaniem, jest to wynik globalnego ocieplenia?

- Nie znam przyczyn tego zjawiska. Nie wiem także, jakie gatunki zostaną tym dotknięte w następnej kolejności. - Max wrócił wzrokiem do grzyba. - Nic dziwnego, że także i rośliny podlegają przemianom. - Odwrócił grzybek i powąchał. - Przez moje paskudne przeziębienie mam zatłoczony nos, ale chyba to czuję.

- Co?

- Zapach anyżu. - Wyciągnął w stronę Claire rękę z grzybkiem.

- Też go czuję. Co to znaczy?
Wstał i zdjął z półki atlas grzybów.
- Ten gatunek rośnie w lasach liściastych i iglastych, od początku lata do końca jesieni. -
Otworzył książkę na kolorowej tablicy grzybów. - *Clitocybeodora*. Lejkówka wonna. Zawiera nieco muskaryny, to wszystko.
- Czy to właśnie jest nasza toksyna? - spytał Lincoln.
Claire ciężko oparła się na krześle i westchnęła z rozczarowaniem.
- Niestety, nie. Muskaryna daje głównie objawy żołądkowe lub kardiologiczne. Nie powoduje agresji.
Max włożył grzybek do torebeczki.
- Czasami - powiedział - nie ma wytłumaczenia dla agresji. I to właśnie jest w niej takie przerażające. To, że może być tak nieoczekiwana. Ze często się zdarza bez najmniejszego powodu.
Wiatr załomotał drzwiami. Na dworze śnieg z deszczem przeszedł w śnieg, który wirował teraz za oknem gęstym białym tumanem. Piec na drewno dawał jedynie cień ciepła. Lincoln przykucnął, by sprawdzić ogień.
Piec zgasł.

- Lincoln i ja widzieliśmy coś dzisiaj na jeziorze - powiedziała Claire. - To było prawie jak halucynacja.
Siedziała z Maksem przed kominkiem w dużym pokoju, odwróciwszy się plecami do cieni.
Namówiła go, żeby opuścił swój nieogrzany domek, i zaoferowała mu łóżko w gościnnym pokoju.

Teraz, po kolacji, siedzieli przy ogniu i na zmianę nalewali do szklaneczek brandy. Ogień skakał wokół polan w kominku, ale mimo jasnego światła i buzujących płomieni chłód pokoju nie znikał. Na dworze miecione wiatrem płatki śniegu oblepiały szyby, a nagie gałązki forsycji stukwały w okno.

- Co widzieliście na jeziorze? - zapytał.

- To pływało po powierzchni wody w pobliżu Skał. Jakby pas zielonego światła dryfujący po jeziorze. Nie żadne ciało stałe, ale coś płynnego, co zmieniało kształty, jak plama oleju. - Łyknęła brandy i wpatrzyła się w ogień. - A potem zaczęło mocniej padać i krople rozbiły powierzchnię wody. I to zielone światło po prostu się rozpadło. - Spojrzała na niego. - Brzmi idiotycznie, nie?

- Może to jakiś wyciek chemiczny. Na przykład farba fluorescencyjna, która dostała się do jeziora. Albo też zjawisko biologiczne.

- Biologiczne?

Pomasował dłonią czoło, jakby chciał rozpędzić zaczynający się ból głowy.

- Istnieją bioluminescencyjne odmiany alg. Poza tym nie które bakterie świecą w ciemnościach. Jest taki jeden gatunek, który wchodzi w symbiozę z kałamarnicą. Kałamarnica przyciąga partnerów, migając światłem wydzielanym przez organ świetlny, napędzany przez świecące bakterie.

Bakterie, pomyślała. Cała masa pływających bakterii.

- Poduszka Scotty'ego Braxtona była poplamiona jakąś substancją luminescencyjną - powiedziała. - Najpierw myślałam, że używał do czegoś takiej farbki, ale teraz zastanawiam się, czy przypadkiem nie były to bakterie.

- Wzięłaś próbkę na posiew?

- Pobrałam mu wydzielinę z nosa. Poprosiłam laboratorium, by zidentyfikowali wszystkie organizmy, które znajdują, więc to trochę potrwa. Co znalazłeś w wodzie jeziora?

- Żadna hodowla dotąd nie wróciła, ale może powinienem pobrać jeszcze jakieś próbki, zanim wyjadę.

- A kiedy wyjeżdżasz?

- Wynająłem domek do końca miesiąca, ale skoro pogoda tak się popsowała, być może wcześniej wrócę do Bostonu. Do centralnego ogrzewania. Mam już dość danych. Próbki z kilkunastu różnych jezior w stanie Maine. - Rzucił spojrzenie na okno, za którym padał coraz gęstszy śnieg. - Zostawię to miejsce bardziej odpornym osobnikom. Takim jak ty.

Płomienie przygasaly. Wstała, wyjęła ze stosu drewna brzozone polano i dorzuciła do kominka. Cienka jak papier kora natychmiast zapłonęła, trzeszcząc i rozsiewając iskry. Claire przez chwilę patrzyła w ogień, ciesząc się jego ciepłem, czując, jak rozgrzewa jej policzki.

- Wcale nie jestem taka odporna - powiedziała cicho. - I wcale nie mam pewności, czy to jest moje miejsce.

Nalał sobie jeszcze brandy.

- Do tego miejsca trzeba się długo przyzwyczajać. Do odcięcia od świata. Do ludzi. Nie jest łatwo ich poznać. Mieszkam tu od miesiąca, a tylko ty zaprosiłaś mnie na kolację.

Usiadła i przyjrzała mu się z sympatią. Pamiętała własne przybycie do Tranquility. Po ośmiu miesiącach pobytu ilu ludzi właściwie znała? Ostrzegano ją, że tak będzie, że miejscowi nieufnie odnoszą się do przybyszów. Ludzie z różnych stron zjawiają się w Maine niby liście przywiane wiatrem, zostają na rok czy dwa, a potem znów gdzieś znikają. Nie zapuszczają tu korzeni, nie wiążą ich wspomnienia. Żadnej trwałości. Miejscowi to wiedzą, dlatego witają przybyszów podejrzliwie. Zastanawiają się, co przyciągnęło obcego właśnie tutaj, jakie sekrety kryje jego dotychczasowe życie. Niepokoją się, czy obcy nie wlecze za sobą tej zarazy, przed którą usiłuje uciec. Życie, które rozpadło się na kawałki w jednym mieście, często rozpada się tak samo w

następnym.

Miejscowi widzą, jak to się rozwija. Najpierw nowy dom, kupiony z entuzjazmem, ogród o świeżo skopanych rabatkach żonkili, śniegowce i kurtki polarne firmy L.L. Bean. Mija zima lub dwie, żonkile kwitną, przekwitają, znów kwitną, nikt się nimi nie zajmuje. Rachunki za ogrzewanie ścinają z nóg. Okiennice wciąż są zamknięte, choć odwilż przyszła już miesiąc temu. Obcy zaczyna krążyć po mieście z bladą twarzą, opowiadać tęsknie o Florydzie, wspominać plaże, na których się wylegiwał, i marzyć o miastach, w których nie ma ani błota, ani śniegu. A dom, odnawiany z taką miłością, wkrótce zyskuje dodatkową dekorację: tablicę „Na sprzedaż”.

Przybysze skądinąd rzeczywiście nie gwarantują trwałości. Ona też nie była pewna, czy tu zostanie.

- A ty dlaczego tu przyjechałaś? - zapytał.

Opadła na oparcie krzesła i patrzyła, jak płomienie obejmują brzoźową szczapę.

- Nie przeniosłam się tu ze względu na siebie, tylko ze względu na Noaha. - Uniosła wzrok ku pierwszemu piętru, gdzie znajdowała się sypialnia syna. Na górze panowała cisza, zresztą Noah przez cały wieczór zachowywał milczenie. Przy kolacji nie powiedział do gościa niemal słowa. A potem poszedł prosto do siebie i zamknął drzwi.

- To przystojny chłopak - zauważył Max.

- Jego ojciec był bardzo przystojny.

- A matka to niby nie jest? - Szklaneczka Maksy była niemal pusta, a on sam wydawał się rozpalony w świetle kominka. - Uważam, że jest.

Uśmiechnęła się.

- Chyba się upiłeś.

- Nie, czuję się po prostu... wygodnie. - Odstawił szklaneczkę na stół. - To Noah chciał się

przeprowadzić?

- Och, nie. Trzeba go było tu przyciągnąć za włosy, wbrew jego woli. Nie chciał zostawiać swojej starej szkoły ani przyjaciół. Ale właśnie dlatego musieliśmy wyjechać.

- Złe towarzystwo?

Kiwnęła głową.

- Wpakował się w kłopoty. Cała ich paczka. Byłam absolutnie zaskoczona, gdy to się stało. Nie potrafiłam go kontrolować, upilnować. Czasami... - westchnęła - czasami wydaje mi się, że zupełnie go straciłam.

Brzozowa szczapa osunęła się w rozżarzone polana. Iskry wyskoczyły w górę i spokojnie spłynęły w popiół.

- Musiałam coś radykalnie zmienić - powiedziała. - To była moja ostatnia szansa. Jeszcze rok czy dwa i byłby za duży. Za silny.

- I zadziałało?

- Chodzi ci o to, czy kłopoty się skończyły? Oczywiście że nie. Zamiast tego spadły mi na głowę całkiem nowe. Ten trzeszczący stary dom. Praktyka medyczna, którą powoli, ale skutecznie tracę.

- Nie potrzeba im tu lekarza?

- Mieli lekarza w miasteczku, starego doktora Pomeroya, który zmarł rok temu. Mnie jakoś nie potrafią zaakceptować, nawet jako słabe zastępstwo.

- Na to trzeba czasu, Claire.

- Jestem tu od ośmiu miesięcy i nie mam żadnych zysków. Ktoś, kto ma mi coś za złe, wysyła anonimowe listy do moich pacjentów. Ostrzegając ich przede mną. - Spojrzała na butelkę brandy, pomyślała: Ach, do diabła z tym, i nalała sobie kolejną szklaneczkę. - Wpadłam z deszczu pod rynnę.

- Więc dlaczego zostajesz?
 - Bo mam nadzieję, że coś się zmieni na lepsze. Że zima minie, znów nadejdzie lato i oboje będziemy szczęśliwi. W każdym razie takie jest moje marzenie. To marzenia dają nam siłę, by iść dalej. - Pociągnęła ze szklaneczki, zauważając, że płomienie stają się w miły sposób nieostre.
 - A o czym marzysz?
 - Że mój syn będzie mnie znów kochał, tak jak dawniej.
 - Czyżbyś miała wątpliwości?
- Westchnęła i podniosła szklaneczkę do ust.
- Rodzicielstwo - powiedziała - składa się wyłącznie z wątpliwości.

Leżąc w łóżku, Amelia słyszała odgłosy razów w pokoju matki, stłumiony szloch i gniewne pomruki towarzyszące każdemu uderzeniu.

- Głupia dziwka. Nigdy więcej mi się nie sprzeciwiaj, słyszysz? Słyszysz?
- Amelia myślała o wszystkich rzeczach, które mogłaby zrobić - wszystkich rzeczach, które już robiła w przeszłości. Żadne nie skutkowały. Dwukrotnie wzywała policję, dwukrotnie policja aresztowała Jacka, ale po kilku dniach wracał witany z radością przez matkę. Nie miało to żadnego sensu. Grace była słaba. Grace bała się zostać sama.
- Nigdy, nigdy nie pozwolę, żeby mężczyźnie, który by mnie skrzywdził, uszło to na sucho, pomyślała Amelia. Zakryła dłońmi uszy i wsunęła głowę pod poduszkę.

J.D. wsłuchiwał się w odgłosy razów i czuł, że się podnieca. Tak, tak właśnie należy je traktować, tato. Tak mi zawsze mówiłeś. Trzeba je trzymać krótko. Podturlał się do ściany, przyciskając ucho do tynku. Łóżko ojca stało dokładnie po drugiej stronie. Jak wielokrotnie przedtem, J.D. przysunął się możliwie najbliżej do ściany, by słyszeć rytmiczne skrzypienie. Doskonale wiedział, co się dzieje w tamtym pokoju. Jego tata był kimś, był człowiekiem innym niż wszyscy. I choć J.D. trochę się go bał, przede wszystkim go podziwiał. Podziwiał sposób, w jaki Jack sprawował kontrolę nad domem i nigdy nie pozwalał kobietom rządzić się i zadzierać nosa. Jack zawsze mówił, że tak właśnie zapisano w Biblii: mężczyzna ma być panem i opiekunem swojego domostwa. Tak dyktuje rozsądek. Mężczyzna jest większy i silniejszy - najwyraźniej to on ma rządzić.

Odgłosy bicia ucichły i słychać było jedynie skrzypienie łóżka. Tak się to zawsze kończyło. Najpierw surowe przywołanie do porządku, a potem dobre, staroświeckie metody godzenia się. J.D. był coraz bardziej podniecony. Ból tam w dole stawał się nie do wytrzymania.

Wstał i wymacał drogę do drzwi wokół łóżka Eddiego. Eddie, ten głupol, spał głęboko. To przykre, gdy ma się za brata takiego słabeusza. Poszedł przez hol do łazienki.

W pół drogi zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami pokoju przyrodniej siostry. Przyłożył do nich ucho, zastanawiając się, czy Amelia śpi, czy też słucha skrzypienia łóżka rodziców. Słodka, mała, niedotykalna Amelia. Tuż obok, pod tym samym dachem. Tak blisko, że niemal słyszał jej oddech, niemal mógł wyczuć dziewczęcy zapach. Nacisnął klamkę i stwierdził, że drzwi są zamknięte. Zawsze je zamykała, od tamtej nocy, gdy wślizgnął się do pokoju, by popatrzeć, jak śpi, a ona obudziła się akurat wtedy, gdy rozpinał jej piżamę. Wrzasnęła, a tata wpadł do pokoju z naładowaną bronią, chcąc zastrzelić napastnika.

Gdy kobiety już przestały pisać, a J.D. wycofał się do własnego pokoju, usłyszał, jak tata

mówi: „Ten dzieciak zawsze chodził we śnie. Nie wiedział, co robi”. Chłopak uznał, że mu się upiekło. Ale potem tata przyszedł do niego i tak go strzelił w pysk, że J.D. zobaczył wszystkie gwiazdy.

Następnego dnia Amelia wstawiła w swoje drzwi zamek.

J.D. zamknął oczy. Jego górną wargę zwilżył pot, gdy wyobrażał sobie swoją piękną siostrę w łóżku, z rozrzuconymi szczupłymi ramionami. Myślał o jej nogach, takich, jakie widział w lecie - długich i opalonych, z lekkim złotawym meszkiem na udach. Zaczynały mu się pocić czoło i dłonie. Serce waliło. Jego zmysły wyostrzyły się do tego stopnia, że słyszał, jak wokół niego mruczy noc, a pola energii krążą w elektrycznych błyskach.

Nigdy nie czuł się tak potężny.

Znowu chwycił klamkę i opór drzwi nagle go rozwścieczył. To ona go gniewała przez to zadzieranie nosa i okazywaną dezaprobatę. Sięgnął w dół i dotknął się, ale tak naprawdę dotykał jej, podporządkowywał ją sobie, zmuszał, by robiła to, czego on sobie zażyczy. A chociaż jego ciało pragnęło seksu, to gdy się w końcu rozładował, oczyma duszy widział własne palce niczym gruba lina zaciśnięte na szczupłej szyi Amelii.

Rozdział dwunasty

Noah włożył dwie kromki chleba do tosterka i nacisnął dźwignię.

- Został na całą noc?
- Było za zimno, by mógł spać w domku. Dzisiaj wraca do siebie.
- Więc teraz przygarniamy każdego obcego faceta, który nie umie utrzymać ognia w piecu?
- Proszę, mów ciszej. Jeszcze śpi.
- To także mój dom! Dlaczego muszę szeptać?

Claire siedziała przy śniadaniu, patrząc na plecy syna. Noah odmawiał spojrzenia na nią i stał

zgarbiony przy blacie kuchennym, jakby toster wymagał całej jego uwagi.

- Wściekasz się, bo miałam gościa? O to ci chodzi?
- Nawet go nie znasz! Obcego faceta zapraszasz na noc!
- Nie jest obcym facetem. Jest naukowcem.
- To naukowcy nie bywają obcy?
- Twój ojciec był naukowcem.
- Czy z tego powodu mam lubić tego faceta?

Grzanki wyskoczyły z tosteru. Noah rzucił je na talerz i usiadł przy stole. Patrzyła ze zdumieniem, jak chwycił nóż i zaczął je kroić na coraz mniejsze kawałeczki. Było to dziwne - nigdy przedtem nie widziała, żeby tak postępował. Przenosi swoją złość, pomyślała. Wyładowuje się na chlebie.

- Chyba moja matka nie jest jednak taką doskonałością - powiedział. Zaczerwieniła się dotknięta okrucieństwem tej uwagi. - Zawsze mi mówisz, żebym nie pakował nosa, gdzie nie trzeba. Ja tam nie zapraszam nikogo na noc.

- Jest tylko znajomym, Noah. Mam prawo mieć znajomych. A nawet mężczyzn przyjaciół - dodała odważnie.

- No dalej, dalej!

- Za cztery lata pójdziesz na uczelnię. Będziesz prowadził własne życie. Dlaczego ja nie mogę prowadzić swojego?

Noah podszedł do zlewu.

- Ty uważasz, że ja mam jakieś życie? - Roześmiał się. - Jestem na nieustannym okresie próbnym. Ciągłe obserwowany. Przez wszystkich.

- O czym ty mówisz?

- Nauczyciele patrzą na mnie, jakbym był jakimś kryminalistą. Jakby to była tylko kwestia czasu,

aż coś spierdole.

- Czy zrobiłeś coś, co pobudziło ich uwagę?

Odwrócił się ku niej z wściekłością.

- Taaa, to moja wina! Zawsze moja wina!

- Noah, czy jest coś, o czym mi nie powiedziałaś?

Gniewnym ruchem dłoni zepchnął dwie filiżanki po kawie do zlewu.

- Ty i tak myślisz, że jestem cały popierdolony! Nigdy cię nie zadowalam! Wszystko jedno, jak bardzo się staram być ideałem!

- Przestań się tu skarżyć, że masz być ideałem! Mnie też nie wolno popełnić żadnego błędu. Ani jako matce, ani jako lekarzowi. I zaczynam mieć już tego dosyć. Zwłaszcza, że wszystko jedno, jak bardzo się staram, zawsze mnie o coś obwiniasz.

- Obwiniam cię o to - odciął się gniewnie - że przywlokłaś mnie do tej gównianej dziury. - Wypadł z domu, a trzaśnięcie drzwi frontowych rozległo się długo niemilknącym echem.

Sięgnęła po wystygłą już kawę i piła ją, obejmując filiżankę drżącymi dłońmi. Co się dzieje? Skąd ta wściekłość? Zdarzało im się kłócić i dawniej, ale nigdy nie starał się tak bardzo jej zranić. Nigdy nie zadawał ciosów równie dobrze wymierzonych.

Słyszała warkot odjeżdżającego szkolnego autobusu. Spojrzała na jego talerz, na niezjedzoną grzankę. Była posiekana na okruszki.

- To nie jest właściwe dla niego miejsce, pani doktor - powiedziała siostra przełożona. Eileen Culkin była niska, ale mocno zbudowana jak na kobietę, a na dodatek jej głęboki głos i przeszłość wojskowej pielęgniarki sprawiały, że wszyscy odnosili się do niej z szacunkiem. Gdy Eileen mówiła,

lekarze słuchali.

Choć Claire właśnie studiowała kartę Scotty'ego Braxtona, odłożyła ją i zwróciła się ku Eileen.

- Nie widziałam dziś jeszcze Scotty'ego - oznajmiła. - Czy były dalsze problemy?
- Nawet po tej dodatkowej dawce środków nasennych, którą pani zaordynowała po północy, nie zasnął. Teraz zachowuje się spokojnie, ale nie spał przez całą noc, wrzeszcząc na strażnika, by ten mu zdjął kajdanki. Przeszkadzał wszystkim pacjentom. Pani doktor, tego chłopaka należy zamknąć w ośrodku dla młodocianych albo na oddziale psychiatrycznym. Nie na zwykłym oddziale szpitalnym.

- Nie skończyłam oceny. Wciąż czekam na wyniki z laboratorium.

- Jeśli jego stan jest stabilny, czy nie mogłaby go pani przenieść? Pielęgniarki boją się wchodzić do pokoju. Nie dały rady nawet zmienić pościeli, trzy osoby musiały go trzymać. Chciałabym, żeby został przeniesiony, i im prędzej się to stanie, tym lepiej.

Najwyższy czas podjąć decyzję, myślała Claire, idąc do pokoju Scotty'ego. Jeśli nie zdiagnozuje choroby zagrażającej jego życiu, nie będzie go mogła dłużej trzymać w szpitalu.

Policjant stanowy czuwający przed pokojem Scotty'ego Braxtona kiwnął jej głową na powitanie.

- Dzień dobry, pani doktor.
- Dzień dobry. Jak słyszałam, mieliście pełne ręce roboty.
- Przez ostatnią godzinę był spokojny. W ogóle go nie słyhać.
- Muszę chłopca jeszcze raz zbadać. Może pan stać obok na wszelki wypadek?
- Jasne. - Otworzył drzwi i zrobił krok do środka. Nagle zamarł. - Jezus Maria.

Początkowo do Claire dotarło jedynie przerażenie w jego głosie. Przepięła się obok niego do pokoju. Poczła zimne powietrze, wpadające przez otwarte okno, i zobaczyła krew. Plamy krwi znaczyły puste łóżko, powłoczkę poduszki i prześcieradło, a także zwisające z bocznej poręczy

kajdanki. Na podłodze, tuż pod kajdankami, zebrała się czerwona kałuża. Tkanka ludzka leżąca na granicy tej kałuży byłaby nie do rozpoznania, gdyby nie paznokieć i biały szczyt kości, wystający z rozdartego ciała. Był to kciuk. Chłopiec go sobie odgryzł.

Policjant z jękiem padł na kolana i opuścił głowę.

- Jezus Maria - mamrotał. - Jezus Maria...

Claire spojrzała na ślady bosych stóp prowadzące ku otwartemu oknu. Podbiegła doń i wyjrzała na dwór.

Piętro niżej, na ziemi, widać było krew zmieszaną ze skotłowanym śniegiem. Ślady i plamy krwi prowadziły od budynku ku zadrzewionej części przyszpitalnego terenu.

- Poszedł do lasu! - zawołała i wybiegła z pokoju.

Pognała schodami na parter i dalej wyjściem ewakuacyjnym na dwór, natychmiast za drzwiami zapadając się po kostki w mokrym śniegu. Zanim zdążyła okrążyć budynek i dotrzeć pod okno pokoju Scotty'ego, lodowata woda chlupotała jej w butach. Ruszyła przez pokryte śniegiem pole po krwawych śladach.

Zatrzymała się na brzegu lasu, usiłując dostrzec, co kryje się w cieniu iglaków. Widziała ślady chłopca prowadzące w głąb, tu i tam towarzyszyły im jasne plamy krwi.

Z bijącym sercem zagłębiła się między drzewa. Najniebezpieczniejszym zwierzęciem jest zwierzę cierpiące.

Ręce bez rękawiczek drętwiały jej już z zimna i strachu, gdy odsuwała gałęzie i wpatrywała się w głąb lasu. Nagle za nią trzasnęła gałązka. Claire okręciła się na pięcie i niemal rozpłakała z ulgi na widok policjanta, który podążył za nią z budynku.

- Widziała go pani? - zapytał.

- Nie. Ślady prowadzą w głąb lasu.

Przebrnął ku niej przez śnieg.

- Strażnicy są w drodze. Tak samo jak personel oddziału urazowego.

Zwróciła się ku drzewom.

- Słyszysz pan?

- Co?

- Wodę. Słyszysz wodę. - Rzuciła się biegiem, schylając pod niskimi gałęziami, potykając o poszycie. Ślady chłopca prowadziły teraz to tu, to tam, jakby plątały mu się nogi. W jednym miejscu śnieg był wygnieciony - tu pewnie upadł. Zbyt wielka utrata krwi, pomyślała. Potyka się i wkrótce straci przytomność.

Odgłos płynącej wody był coraz bliżej.

Przebiła się między splątanymi gałęziami i wyszła na brzeg strumienia. Deszcz i topniejący śnieg sprawiły, że przybrał i płynął szybciej. Desperacko szukała śladów chłopca - w końcu je dostrzegła. Przez parę metrów prowadziły wzdłuż strumienia.

Potem, na samym brzegu, nagle zniknęły.

- Widzi go pani?! - krzyknął policjant.

- Wszedł do wody! - Sama weszła po kolana w strumień. Sięgnęła pod powierzchnię i chwyciła na oślep wszystko, co jej wpadło w ręce. Wyciągała gałęzie, butelki po piwie, stary but. Zanurzyła się głębiej, aż po uda, ale woda płynęła za szybko i Claire czuła, jak prąd zaczyna ją znosić w dół.

Z uporem wparła się stopami w kamień. Znowu zagłębiła ręce w lodowatej wodzie.

Jej palce natrafiły na ramię.

Na jej krzyk policjant wbiegł do wody i znalazł się u jej boku. Szpitalna koszula chłopca zaczepiła się o gałąź, musieli więc rozerwać materiał. Wspólnie unieśli go nad wodę i wyciągnęli na ośnieżony brzeg. Miał siną twarz, nie oddychał, jego puls był niewyczuwalny.

Claire rozpoczęła sztuczne oddychanie. Trzy oddechy, napełnić jego płuca, masaż serca. Jeden-jeden-tysiąc, dwa-jeden-tysiąc, automatyczna i dobrze wyćwiczona sekwencja. Gdy nacisnęła klatkę piersiową chłopca, z nosa wypłynęła krew, rozlewając się plamą na śniegu. Przywrócenie krążenia oznacza, że krew zaczyna płynąć do mózgu, do wszystkich istotnych organów, ale także to, że ciało znów zaczyna krwawić. Zobaczyła, że świeży strumień ciemnoczerwonej krwi wypływa już z jego zmasakrowanej dłoni.

Usłyszała głosy, potem kroki biegnących ludzi. Mokra i trzęsąca się z zimna Claire odsunęła się na bok, a sanitariusze położyli Scotty'ego na noszach.

Poszła za nimi do szpitala, do pokoju zabiegowego, w którym panował hałas i chaos. Obraz pracy serca na monitorze wykazywał migotanie komór.

Pielęgniarka włączyła defibrylator i przystawiła elektrody do piersi chłopca. Scotty podskoczył, gdy prąd elektryczny przebiegł mu przez ciało.

- Migotanie trwa - stwierdził McNally. - Podjąć masaż serca. Czy dostał już bretylium?
 - Właśnie dostaje - odpowiedziała pielęgniarka.
 - Cofnąć się! - Kolejny wstrząs elektryczny.
 - Nadal migocze - powiedział McNally. Rzucił okiem na Claire. - Jak długo był pod wodą?
 - Nie wiem. Prawdopodobnie około godziny. Ale jest młody, a temperatura wody bliska zeru. - Nawet pozornie martwe dziecko czasami udawało się przywrócić do życia po zanurzeniu w zimnej wodzie. Nie mogli się jeszcze poddawać.
 - Temperatura ciała wzrosła do trzydziestu dwóch stopni - powiedziała pielęgniarka.
 - Kontynuujcie sztuczne oddychanie i ogrzewajcie go. Być może mamy szansę.
 - Co to za krew z nosa? - spytała pielęgniarka. - Uderzył się w głowę?
- Jasnoczerwony strumyczek spłynął z nozdrza chłopca po policzku i kapnął na podłogę.

- Krwawił już, gdy go wyciągnęliśmy - wyjaśniła Claire. - Może upadł na kamienie.
 - Nie ma żadnych uszkodzeń twarzy ani czaszki.
- McNally sięgnął po elektrody.
- Cofnijcie się. Zrobimy jeszcze jeden wstrząs.

Lincoln znalazł ją w pokoju lekarskim. Przebrała się w szpitalny kitel i siedziała skulona na kanapie, bezmyślnie popijając kawę, gdy usłyszała zamykające się drzwi. Poruszał się tak cicho, że nie wiedziała, kto to, dopóki koło niej nie usiadł.

- Powinnas jechać do domu, Claire - powiedział. - Nie masz po co tu siedzieć. Jedź do domu, proszę.

Zamrugła i oparła głowę na rękach, powstrzymując łzy. Publiczne opłakiwanie śmierci pacjenta oznaczało utratę kontroli nad sobą. Zdjęcie profesjonalnej maski. Zesztywniała cała, usiłując powstrzymać łzy.

- Muszę cię ostrzec - powiedział. - Gdy wyjdiesz ze szpitala, zobaczysz tłum. Ekipy telewizyjne zaparkowały samochody tuż koło wyjścia. W drodze na parking musisz się przez nich przedrzeć.

- Nie mam im nic do powiedzenia.

- To nie mów. Pomogę ci przejść, jeśli chcesz. - Czuła, że Lincoln położył jej rękę na ramieniu. Delikatne przypomnienie, że pora się ruszyć.

- Zadzwoiłam do najbliższej rodziny Scotty'ego - powiedziała, ocierając dłonią oczy. - Jest tylko kuzynka matki, która właśnie przyjechała z Florydy, by być z Kitty podczas rekonwalescencji. Powiedziałam jej, że Scotty nie żyje, i wiesz, co usłyszałam? Uznała, że to „błogosławieństwo”. - Spojrzała na Lincolna i dostrzegła w jego oczach niedowierzanie. - Tak właśnie to nazwała:

błogosławieństwo. Kara boska.

Objął ją, a ona przycisnęła twarz do jego ramienia. W milczeniu zachęcał ją do łez, ale nie pozwoliła sobie na taki luksus. Wciąż jeszcze musiała stanąć twarzą w twarz z gromadą reporterów - nie pokaże im przecież oczu zapuchniętych od płaczu.

Szedł tuż obok niej, gdy wychodzili ze szpitala. Razem z zimnym powietrzem uderzyła w nich kanonada pytań.

- Doktor Elliot! Czy to prawda, że Scotty Braxton nadużywał narkotyków?
- ...pogłoski o gangu młodocianych morderców?
- Czy naprawdę odgryzł sobie kciuk?

Ogłuszona krzykiem na ślepo weszła w tłum, nie rozróżniając żadnych twarzy. Pod nos podetknięto Claire magnetofon. Drogę zagroziła jej kobieta o obfitej grzywie złotych włosów.

- Czy to prawda, że w historii tego miasteczka morderstwa występują regularnie od stuleci?
- Co takiego?
- Te stare kości znalezione nad jeziorem. To było masowe morderstwo. A sto lat wcześniej... Lincoln szybko wsunął się między kobiety.

- Idź sobie, Damaris.

Kobieta roześmiała się niewinnie.

- Hej, przecież wykonuję jedynie swoją pracę.
- Idź sobie pisać o dzieciach Marsjan! Ją zostaw w spokoju.

Nowy głos zawołał:

- Doktor Elliot!

Claire się odwróciła, by spojrzeć, kto woła, i rozpoznała Mitchella Groome'a. Reporter wysunął się naprzód, nie spuszczając z niej wzroku.

- Flanders, Iowa - powiedział cicho. - Czy to samo dzieje się tutaj?
- Pokręciła głową.
- Nie wiem - odparła bezradnie.

Rozdział trzynasty

Od zimnego powietrza Warrena Emersona bolały już płuca. Dziś rano na termometrze za oknem było dwanaście stopni mrozu, ubrał się więc ciepło. Pod kurtkę włożył dwie koszule i sweter, na głowę naciągnął czapkę, na ręce rękawiczki, a wokół szyi okręcił szalik. Nie mógł jednak ogrzać wciąganego do płuc powietrza. Drapało go w gardle, w płucach czuł ból. Jego oddech brzmiał, jakby lokomotywa pędziła po torach. Ziuuu - kaszel, ziuuu - kaszel. Przecież to jeszcze nie zima, pomyślał, a już cały świat zamarzło. Nagie gałęzie krystalicznie błyszcząły od szronu. Musiał iść powoli, bo droga była śliska. Ostrożnie stapał po lodzie tam, gdzie przejeżdżające ciężarówki zostawiły po sobie nieco piasku spod kół. Trudno mu było utrzymać się na nogach, a gdy w końcu dotarł do pierwszych zabudowań miasteczka, nogi drżały pod nim z wysiłku.

Słyszając dzwonek otwieranych drzwi, kasjerka w sklepie Cobb i Morong, Towary Mieszane uniosła głowę. Warren uśmiechnął się do niej, jak co tydzień, nie tracąc nadziei, że kobieta kiedyś odwzajemni powitanie. Zobaczył, jak kąciki jej warg unoszą się automatycznie, ale nagle zdaje sobie sprawę z tego, kim jest przybysz, i jej uśmiech zamarza w pół drogi. Odwróciła wzrok.

Milczący i upokorzony Warren sięgnął po wózek na zakupy.

Zgodnie ze zwykłą rutyną ruszył wzdłuż półek po trzeszczących deskach podłogi. Przystanął przed warzywami konserwowymi, wpatrując się w półki zastawione puszkami kukurydzy, zielonej fasolki i buraczków. Ich barwne etykiety przywodziły na myśl letnią świeżość. Etykiетки kłamią, pomyślał. Nie ma porównania między puszką pełną kostek pomarańczowego koloru a słodką, świeżo wyciągniętą z ziemi marchewką. Stał przed półką, nie sięgając po żadne towary, myśląc

zamiast tego o letnich warzywach, które uprawiał i których mu teraz tak bardzo brakowało. Liczył miesiące do wiosny, dodał parę na wyrośnięcie nowych upraw. Wydawało mu się, że całe życie spędził na czekaniu, aż minie zima, albo na przygotowywaniu się do nadchodzącej. Pomyślał: Dość. Przeżyłem już zbyt wiele zim. Nie mogę znieść myśli o kolejnej.

Zostawił wózek w miejscu, przeszedł obok tradycyjnie nieuśmiechniętej kasjerki i wyszedł ze sklepu.

Zatrzymał się na chodniku przed wejściem i spojrzał na drugą stronę drogi, na świeżo zamrożone jezioro. Jego powierzchnia błyszczała niby wypolerowane lustro, wysrebrzone, niezmatowione nawet odrobiną śniegu. Łód do ślizgania się, pomyślał, wspominając zimy z czasów swojego dzieciństwa, pęd po lodzie na łyżwach, cudowne skrzypienie ostrzy.

Przeżyłem dość zim. Nie chcę więcej.

Wciągnął powietrze i gdzieś głęboko w płucach poczuł ukłucie lodowatego wiatru. Ostre. Karzące.

Kot znów siedział w witrynie sklepu Za Jedną Cenę przy Elm Street. Mył się właśnie, a jego futerko było błyszczące i czarne jak smoła. Na widok Claire przerwał na chwilę ablucje i spojrzał na nią z pogardą.

Zerknęła na niebo. Było czyste i niebieskie - po takim nieskazitelnym błękicie nadchodzi paskudnie zimna noc. Od śmierci Scotty'ego Braxtona przed czterema dniami zima zapanowała okrutnie i zdecydowanie. Całe jezioro pokrywała już równomierna tafla lodu, a zamieszczone tego ranka w gazecie nekrologi wszystkie kończyły się tym samym zdaniem: „Pogrzeb odbędzie się na wiosnę”. Gdy ziemia rozmarźnie. Gdy wróci wiosna.

Czy wiosną jeszcze tu będę?

Skręciła w zaułek Tannery. Tablica nad drzwiami chwiała się na wietrze jak szyld tawerny:

POSTERUNEK POLICJI MIASTA TRANQUILITY

Podeszła wprost do biurka Lincolna i położyła przed nim najnowsze wydanie „Weekly Informer”.
Zerknął na nią znad okularów.

- Jakież problemy, Claire?
- Właśnie idę z Monaghan's Diner, gdzie wszyscy mówili wyłącznie o tym. Najnowszy śmieć pióra Damaris Horne.

Zerknął na tytuł:

MIASTEczKO W SZPONACH ZŁA

- To tylko bostoński magazyn - powiedział. - Nikt tego nie traktuje poważnie.
 - Czytałeś to?
 - Nie.
 - Wszyscy u Monaghana czytali. I są tak wystraszeni, że mówią o trzymaniu pod ręką nabitej broni, na wypadek gdyby jakiś opętany przez diabła nastolatek chciał im ukraść samochód czy coś takiego.
- Lincoln jęknął i zdjął okulary.
- Cholera. Jeszcze tego mi brakowało.
 - Wczoraj zaszyłam rany trzem pacjentom. Jednym z nich był dziewięcioletek, który rozwalił szybę pięścią. Mamy dość kłopotów z dziećmi. Teraz i dorosłym zaczyna odbijać. - Oparła się o

jego biurko obiema dłońmi. - Lincoln, nie możesz czekać do zebrania, by pogadać z tymi ludźmi. Musisz teraz zapobiec hysterii. Te Dinozaury ogłosiły sezon polowań na dzieci.

- Nawet kretyni mają prawo do wolności słowa.
- Więc przynajmniej zamknij twarze własnym ludziom! Którego to z twoich policjantów Damaris cytuje? - Popukała palcem w stronicę. - Sam przeczytaj.

Spojrzał na wskazywany przez nią fragment.

Co się kryje za epidemią agresji w tym miasteczku?

Wiele osób sądzi, że zna odpowiedź, ale ich wyjaśnienia są tak niepokojące dla miejscowych władz, że mało kto zgadza się rozmawiać oficjalnie. Jeden z miejscowych policjantów (który pragnie zachować anonimowość) prywatnie potwierdził ponure domysły miejscowych mieszkańców: to sataniści opanowali Tranquility.

- Wiemy bardzo dobrze, że wśród nas mieszkają czarownice - powiedział. - Jasne, nie nazywają tak siebie i mówią, że tylko wielbią duchy ziemi i takie tam. Ale czarnoksiężstwo od wieków było związane z kultem diabła, trudno więc nie zadawać sobie pytania, co ci tak zwani czciciele ziemi naprawdę robią nocą w lasach.

Poproszony o bliższe wyjaśnienia, powiedział:

- Mieliśmy sporo skarg od ludzi, którzy słyszeli w lesie odgłosy bębnów. Niektórzy widzieli światła migające na Beech Hill, gdzie przecież nikt nie mieszka.

Odgłosy bębnów i dziwne światła w lesie to nie jedyne alarmujące

znaki, że coś jest nie w porządku w tym odciętym od świata miasteczku. Opowieści o satanistycznych rytuałach od dawna stanowią trzon lokalnego folkloru. Pewna kobieta wspomina, że już w dzieciństwie słyszała szeptane opowieści o tajemnych obrzędach i niemowlętach znikających wkrótce po urodzeniu. Inni cytują przerażające dziecięce relacje o uroczystościach, podczas których małe zwierzęta, a nawet dzieci, ofiarowywano w imię szatana...

- Który to z twoich ludzi rozmawiał z tą reporterką? - powtórzyła Claire.
- Z pociemniałą z gniewu twarzą Lincoln skoczył na równe nogi.
- Floyd! Floyd! - krzyknął od drzwi. - Kto z was, do cholery, gadał z tą Damaris Horne?
- Hmm... ty, Lincoln. W zeszłym tygodniu. - Głos Floyda nie brzmiał zbyt pewnie.
- Jeszcze ktoś musiał z nią rozmawiać. Kto to był?
- Nie ja. - Floyd przerwał i po chwili dodał cicho: - Ta baba mnie naprawdę przeraża. Robi wrażenie, jakby chciała pożreć człowieka żywcem.
- Lincoln wrócił do biurka i usiadł, wciąż wyraźnie zły.
- Mamy tu sześciu ludzi - powiedział. - Postaram się znaleźć winnego. Ale anonimowe przecieki są niemal nie do wykrycia.
- Czy mogła wymyślić sobie tę wypowiedź?
- Znając Damaris, tak.
- A jak dobrze ją znasz?
- Lepiej niżbym chciał.
- Cóż to znaczy?

- No, nie mam zamiaru uciec z nią do Rio - uciął. - To cholernie uparta baba i najwyraźniej zawsze dostaje to, co chce.

- Łącznie z miejscową policją.

Zobaczyła, że w oczach znów błysnął mu gniew. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Nagle poczuła niespodziewaną iskrę zainteresowania. Zdumiało ją, że stało się to akurat w tym momencie. Tego ranka nie wyglądał najlepiej. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, jakby sfrustrowany przeczesywał je wielokrotnie palcami, ubranie też miał bardziej pomięte niż zazwyczaj, a oczy zaczerwienione z niewyspania. Z jego twarzy można było wyczytać cały stres wynikający z pracy i życia osobistego.

W sąsiednim pokoju zadzwonił telefon. W drzwiach gabinetu Lincolna pojawił się Floyd.

- Właśnie dzwoniła kasjerka ze sklepu Cobb i Morong. Pani doktor, mogłaby pani tam pojechać?

- Po co? - zapytała. - Co się stało?

- Och, to tylko ten stary Warren Emerson. Znowu ma atak.

Na chodniku zgromadził się mały tłumek. W środku leżał stary człowiek w znoszonym ubraniu. Nogi kopały w ataku epilepsji. Z rany na głowie płynęła krew, a na chodniku zaczęła już zamarzać jej spora, czerwona kałuża. Nikt z obecnych nie starał się pomóc choremu; wszyscy się odsunęli, jakby bojąc się go dotknąć, a nawet doń zbliżyć.

Claire przyklękła przy chorym mężczyźnie. Chciała zapobiec dalszym obrażeniom i przypadkowemu wciągnięciu wydzieliny do płuc. Przekręciła go na bok, rozluźniła mu szalik i wsunęła pod policzek, by ochronić chorego przed zetknięciem z lodowatym chodnikiem. Skórę miał zaczerwienioną od zimna, ale nie siną, puls przyśpieszony, lecz silny.

- Kiedy zaczął się atak? - zapytała.

Nikt jej nie odpowiedział. Uniosła głowę i zobaczyła, że gapie cofnęli się jeszcze dalej, a wpatrywali się nie w nią, tylko w mężczyznę. Słychać było jedynie wiatr wiejący od jeziora, szarpiący płaszcze i szaliki.

- Kiedy? - powtórzyła z nutą zniecierpliwienia.

- Jakies pięć, może dziesięć minut - usłyszała w końcu.

- Czy wezwano karetkę?

Wszyscy pokręcili głowami, wzruszyli ramionami.

- To tylko stary Warren - powiedziała kobieta, w której Claire rozpoznała kasjerkę ze sklepu. - Nigdy dotąd nie potrzebował karetki.

- Ale teraz potrzebuje! - ucięła Claire gniewnie. - Proszę zadzwonić po pogotowie!

- Atak już mija - oznajmiła kasjerka. - Za chwilę mu przejdzie.

Nogi mężczyzny podrygiwały teraz tylko sporadycznie - jego mózg wystrzeliwał ostatnie iskry swojej burzy elektrycznej. W końcu się uspokoił. Claire znów sprawdziła Warrenowi puls - wciąż był mocny i równomierny.

- Widzi pani, już wszystko w porządku - powiedziała kasjerka. - Zawsze się to tak kończy.

- Potrzebuje szwów. I zbadania przez neurologa - oświadczyła Claire. - Kto jest jego lekarzem?

- Dawniej leczył go doktor Pomeroy.

- Chyba teraz też ktoś mu przepisuje lekarstwa na epilepsję. Jaka jest jego historia choroby? Ktoś wie?

- Czemu pani nie spyta samego Warrena? Już się budzi.

Opuściła wzrok i zobaczyła, że Warren Emerson powoli unosi powieki. Choć otaczali go ludzie, patrzył wprost w niebo, jakby je widział po raz pierwszy w życiu.

- Panie Emerson - powiedziała Claire. - Może pan na mnie popatrzeć?

Przez chwilę nie zareagował. Wydawało się, że przebywa jeszcze gdzie indziej - śledził wzrokiem płynącą po niebie chmurkę.

- Warren?

W końcu przeniósł na nią wzrok, marszcząc brwi, jakby usiłował zrozumieć, czego chce od niego ta nieznajoma kobieta.

- Znów to miałem - mruknął. - Tak?

- Jestem doktor Elliot. Zaraz będzie tu karetka pogotowia i zabierzemy pana do szpitala.

- Chcę iść do domu...

- Rozciął pan sobie głowę i trzeba założyć szwy.

- Ale mój kot... mój kot jest w domu.

- Pańskiemu kotu nic się nie stanie. Kto jest pana lekarzem?

Wydawało się, że Warren walczy z pamięcią.

- Doktor Pomeroy.

- Doktor Pomeroy nie żyje. Kto obecnie jest pana lekarzem?

Pokręcił głową i zamknął oczy.

- To nieważne. To już nieważne.

Claire usłyszała syrenę nadjeżdżającej karetki. Ambulans zaparkował przy krawężniku. Wsiadło z niego dwóch sanitariuszy.

- Och, to tylko Warren Emerson - powiedział jeden z nich, jakby codziennie miał do czynienia z tym pacjentem. - Znowu miał atak?

- I dość głęboko rozciął sobie głowę.

- No dobra, Warren, kolego, chyba zrobimy sobie przejażdżkę - oznajmił sanitariusz.

Gdy ambulans odjechał, gniew Claire w końcu znalazł ujście. Spojrzała na zamarzną plamę krwi.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała. - Czy nikt nie próbował mu pomóc? Czy nikogo nic nie obchodzi?

- Boją się - wyznała kasjerka.

Claire zwróciła się do kobiety:

- Przynajmniej mogliście ochronić jego głowę. Ataku niema się co bać.

- Nie boimy się ataku. Tylko jego.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Boicie się starego mężczyzny? A czymże on wam może zagrazać?

Na to pytanie odpowiedzią było milczenie. Claire rozejrzała się po twarzach innych gapiów, ale nikt nie podniósł wzroku. Nikt się nie odezwał.

Zanim Claire dotarła do szpitala, lekarz w izbie przyjęć założył już szwy na głowie Warrena Emersona. Teraz zapisywał wszystko na kartce.

- Potrzebował ośmiu szwów - poinformował ją McNally. - Poza tym ma drobne odmrożenia nosa i uszu. Chyba przez dobrą chwilę leżał na mrozie.

- Przynajmniej dwadzieścia minut - powiedziała Claire. - Czy sądzisz, że trzeba go przyjąć na oddział?

- No cóż, ataki są chroniczne i wydaje się, że nie ma wskazań neurologicznych. Jednak uderzył się w głowę. Nie potrafię osądzić, czy stracił przytomność na skutek ataku, czy urazu.

- Czy on ma lekarza pierwszego kontaktu?

- W tej chwili nie. Według naszej dokumentacji ostatni raz był hospitalizowany w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, gdy przyjął go doktor Pomeroy. - McNally podpisał

kartę pogotowia i spojrzał na Claire. - Chcesz go wziąć?

- Właśnie miałam zamiar to zaproponować - odrzekła.

McNally wręczył jej dokumentację Emersona.

- Wesołej lektury - powiedział.

Plik zawierał kartą z hospitalizacji w 1989 roku oraz notatki z licznych wizyt pogotowia w ciągu wielu lat. Najpierw zajrzała do szpitalnej karty choroby z 1989 roku. Rozpoznała pajęcze pismo doktora Pomeroya. Był to suchy wpis, podający jedynie najważniejsze fakty:

Historia choroby: biały mężczyzna, lat 57, przypadkiem uderzył się w stopę siekierą, rąbiąc drzewo pięć dni temu. Rana opuchnięta, bolesna, pacjent nie może stanąć na nodze.

Objawy: temperatura 37,2. W lewej stopie pięciocentymetrowe przecięcie, brzegi zamknięte. Skóra wokół ciepła, zaczerwieniona, bolesna. Pachwinowe węzły chłonne z lewej strony powiększone.

Rozpoznanie: zapalenie tkanki łącznej.

Leczenie: antybiotyk dożylnie.

Nie było żadnej dawniejszej historii chorób, żadnego wywiadu społecznego, nic, co by wskazywało, że ta zainfekowana stopa należy do żywego, oddychającego człowieka.

Przejrzała notatki z pogotowia. Było dwadzieścia pięć wpisów z dwudziestu pięciu wizyt na przestrzeni trzydziestu lat. Wszystkie z tego samego powodu: chroniczna epilepsja z atakami... Atak, rana głowy... Atak, przecięty policzek... Atak, atak, atak. Za każdym razem doktor Pomeroy po prostu leczył objawy, bez żadnych głębszych badań. Nie znalazła ani jednego zapisu świadczącego o dokładniejszej analizie diagnostycznej.

Być może Pomeroya pacjenci kochali, ale w tym wypadku postąpił zdecydowanie niedbale. Weszła do gabinetu.

Warren Emerson leżał na wznak na kozetce. W otoczeniu lśniącego wyposażenia jego ubranie wydawało się jeszcze bardziej zniszczone, jeszcze bardziej sfatygowane. Ogolono mu znaczną część głowy, a rana ze świeżo założonymi szwami była przykryta gazą. Usłyszał, jak Claire wchodzi do pokoju, i powoli odwrócił głowę, by na nią spojrzeć. Wydawało się, że ją poznaje, na ustach pojawił mu się słaby uśmiech.

- Panie Emerson - powiedziała - jestem doktor Elliot.
 - Pani tam była.
 - Tak, kiedy miał pan atak.
 - Chciałem pani podziękować.
 - Za co?
 - Nie lubię budzić się sam. Nie lubię, kiedy... - Zamilkł i utkwiał wzrok w suficie. - Czy mogę już iść do domu?
 - O tym właśnie musimy porozmawiać. Od śmierci doktora Pomeroya nikt się panem nie zajmował. Czy chciałby pan, żebym została pańskim lekarzem?
 - Nie potrzebuję lekarza. Nikt już nie może dla mnie nic zrobić.
- Uśmiechając się, ścisnęła go za ramię. Wydawało się, że pod tymi wszystkimi warstwami ubrania kryje się mumia.
- Myślę, że mogę panu pomóc. Przede wszystkim musimy opanować ataki. Jak często pan je ma?
 - Nie wiem. Czasami budzę się na ziemi, więc pewnie wtedy się to zdarza.
 - Nie ma nikogo innego w domu? Mieszka pan sam?

- Tak, proszę pani. - Uśmiechnął się smutno. - To znaczy tylko z kotem, Moną.

- Jak często, pana zdaniem, ma pan ataki?

Zawahał się.

- Kilka razy w miesiącu.

- A jakie lekarstwa pan bierze?

- Od lat już nic nie biorę. Te wszystkie pigułki wcale mi nie pomagały.

Westchnęła ze zniecierpliwieniem.

- Ależ nie może pan po prostu przestać zażywać lekarstw!

- Nie potrzebuję ich już. Jestem gotów umrzeć. - Powiedział to spokojnie, bez lęku, bez jakiegokolwiek litowania się nad sobą. Było to jedynie stwierdzenie faktu. Wkrótce umrę i nic na to nie można poradzić.

Słyszała już, jak inni pacjenci tak mówili. Przyjmowano ich do szpitala w stanie dalekim od terminalnego, a jednak twierdzili ze spokojną pewnością: „Tym razem nie wrócę już do domu”. Zawsze próbowała ich uspokajać, ale sama też czuła ostrzegawczy chłód śmierci. Wydaje się, że pacjenci zawsze wiedzą. Gdy mówią, że umrą, naprawdę umierają.

Patrząc w spokojne oczy Warrena Emersona, poczuła ten sam chłód. Otrząsnęła się i kontynuowała badanie.

- Muszę obejrzeć dno oka - powiedziała, sięgając po oftalmoskop.

Westchnął z rezygnacją i pozwolił jej zbadać siatkówkę.

- Czy kiedykolwiek zwracał się pan do neurologa z tymi atakami? Do specjalisty od mózgu?

- Kiedyś, dawno. Gdy miałem siedemnaście lat.

Wyprostowała się zaskoczona i wyłączyła oftalmoskop.

- To prawie pięćdziesiąt lat temu.

- Powiedział, że mam padaczkę. Że zostanie mi to na całe życie.
 - Czy od tego czasu nigdy pan nie był u neurologa?
 - Nie, pani doktor. Gdy wróciłem do Tranquility, zajmował się mną doktor Pomeroy.
- Kontynuowała badanie, nie znajdując jednak żadnych neurologicznych odstępstw od normy. Serce i płuca też były w porządku, brzuch miękki.
- Czy doktor Pomeroy robił panu tomografię mózgu?
 - Parę lat temu skierował mnie na prześwietlenie. Upadłem wtedy i uderzyłem się w głowę. Myślał, że może pękła mi czaszka, ale nie. Chyba mam za twarde kości.
 - Czy był pan w jakimś innym szpitalu?
 - Nie, pani doktor. Większą część życia spędziłem w Tranquility. Nigdy nigdzie nie wyjeżdżałem.
- W jego głosie słychać było żal. - A teraz już jest za późno.
- Na co za późno?
 - Bóg nie daje nam drugiej szansy.
- Nie znalazła nic, co odbiegałoby od normy. A jednak z niepokojem myślała o wypisaniu go do domu, gdzie nie było nikogo.
- Poza tym niepokoiło ją to, co powiedział: „Jestem gotów umrzeć”.
- Pani Emerson - powiedziała - chciałabym zatrzymać pana na jedną dobę w szpitalu i zrobić parę badań. Po prostu żeby się upewnić, że nie ma nic nowego, co mogłoby wywoływać te ataki.
 - Mam je prawie przez całe życie.
 - Ale od wielu lat nikt pana nie badał. Chciałabym znów zacząć panu dawać lekarstwa i zrobić parę zdjęć pana mózgu. Jeśli wszystko jest w porządku, jutro pana puszczę do domu.
 - Mona nie lubi być głodna.
 - Kotu nic nie będzie. Teraz musi pan myśleć o sobie. O własnym zdrowiu.

- Nie karmiłem jej od wczoraj. Będzie miauczeć...
 - Dopilnuję, żeby pana kot został nakarmiony, jeśli dzięki temu pan tu zostanie. To jak? Przez chwilę przyglądał jej się uważnie, usiłując podjąć decyzję, czy może powierzyć swojego najlepszemu - być może jedynej - przyjacieli kobiecie, której prawie nie zna.
 - Tuńczyk - powiedział. - Dzisiaj spodziewa się tuńczyka.
- Claire kiwnęła głową.
- Zatem tuńczyk.
- Po powrocie do dyżurki pielęgniarek zadzwoniła przede wszystkim do pracowni radiologicznej.
- Przyjęłam pacjenta, nazywa się Warren Emerson. Chcę zlecić tomografię jego głowy.
 - Rozpoznanie?
 - Ataki. Wykluczenie guza mózgu.

Wypisywała właśnie na karcie historię choroby i objawy Warrena, gdy do izby przyjęć wkroczył Adam DelRay.

- Właśnie widziałem, jak wywożono z windy Warrena Emersona - powiedział do jednej z pielęgniarek. - Kto go, na Boga, przyjął?

Claire uniosła głowę, czując, że nie lubi go coraz bardziej.

- Ja - oświadczyła chłodno. - Miał dziś atak.

Parsknął z wyższością.

- Emerson od lat ma ataki. Jest dożywotnim epileptykiem.

- Zawsze mógł sobie wyhodować guza mózgu.

- Hej, masz ochotę go brać, to bierz i załóż sobie aureolę. Pomeroy od lat na niego narzekał.

- Dlaczego?
- Nigdy nie brał lekarstw. Dlatego ma ciągle ataki. Poza tym koszty jego leczenia pokrywa Medicaid, więc wszystkiego najlepszego, poczekasz na swoje pieniądze. No cóż, pewnie bywają gorsze sposoby wydawania naszych podatków niż zaserwowanie staremu Emersonowi śniadania w łóżku. - Roześmiał się i wyszedł.

Podpisała się tak zamasyście, że czubek pióra niemal przebił papier. Wszystkie zlecone testy plus doba w szpitalu składały się na dość kosztowny pomysł z jej strony. Może Emersona zawodziła pamięć; może doktor Pomeroy wykonywał niedawno badania potwierdzające diagnozę, choć raczej w to wątpiła. Z tego, co widziała w prowadzonych przez niego kartach pacjentów, Pomeroy był dość beztrojskim klinicystą, bardziej skłonny do przepisywania różnych nowych specyfików niż do wnikliwego poszukiwania przyczyn choroby.

Opuściła szpital i wróciła do Tranquility. Gdy dojeżdżała do gabinetu, miała w głowie już tylko jedno: sprawdzenie kart ambulatoryjnych Emersona i udowodnienie sobie, że decyzja o zostawieniu go w szpitalu była uzasadniona.

Gdy Claire weszła, Vera rozmawiała przez telefon.

- Dzwoni niejaki Max Tutwiler - powiedziała, machając słuchawką.
- Odbiorę u siebie w gabinecie. Czy możesz mi wyjąć teczkę Warrena Emersona?
- Warrena Emersona?
- Tak, właśnie przyjechał do szpitala.
- Po co?!

Claire zatrzymała się w drzwiach swojego gabinetu i spojrzała nieprzychylnie na Verę.

- Dlaczego wszyscy w tym mieście kwestionują moje decyzje?
- No, po prostu się zdziwiłam - powiedziała Vera.

Claire zamknęła drzwi i opadła na krzesło przy biurku. Teraz będzie musiała przeprosić Verę. Dodać to do wciąż rosnącej listy *mea culpa*. Nie miała nastroju, żeby z kimkolwiek rozmawiać, więc niechętnie ujęła słuchawkę.

- Halo, Max?
- Dzwonię nie w porę?
- Lepiej nie pytaj.
- Och. Zatem postaram się streszczać. Myślałem, że będziesz chciała wiedzieć: potwierdziła się tożsamość tego niebieskiego grzybka. Wysłałem to jednemu mykologowi, który orzekł, że to rzeczywiście *Clitocybeodora*, lejkowka wonna.
- Jak bardzo jest toksyczny?
- Nie bardzo. Niewielka ilość muskaryny spowoduje najwyżej pewne dolegliwości żołądkowe.
- Więc to ślepa uliczka - westchnęła.
- Na to wygląda.
- A co z tymi próbkami wody z jeziora? Masz już rezultaty?
- Tak, mam tu pewne wstępne dane. Poczekaj, wezmę wydruk...

Vera zapukała do drzwi i weszła z teczką Warrena Emersona. Nie mówiąc ani słowa, rzuciła ją na biurko i wyszła. Czekając, aż Max wróci do telefonu, Claire otworzyła teczkę i spojrzała na pierwszą kartę. Wynikało z niej, że pani Agnes Emerson urodziła siłami natury zdrowego chłopca. Lekarz odbierający poród nazywał się Higgins. Kilka następnych stron zajmowały kontrole w okresie niemowlęcym i rutynowe wizyty w wieku dziecięcym.

Przewróciła kartkę i zmarszczyła brwi: na nowej stronie widniała data: 1956 rok. Od poprzedniego wpisu upłynęło dziesięć lat. Po raz pierwszy na karcie pojawił się podpis doktora Pomeroya. Zaczęła czytać, ale przerwał jej głos Maksa w słuchawce.

- Hodowla kultur bakterii jeszcze trwa - powiedział. - Z tego, co widzę, poziomy dioksyny, ołowiu i rtęci mieszczą się w bezpiecznych granicach...

Uwagę Claire przykuło nagle coś, co zobaczyła na karcie. W ostatnim paragrafie doktor Pomeroy napisał: „Od aresztowania w 1946 roku nie popełnił żadnych aktów agresji”.

- ...powinienem wiedzieć więcej w przyszłym tygodniu - mówił Max. - Ale jak na razie, woda jest dobrej jakości. Żadnych śladów chemicznych zanieczyszczeń.

- Muszę iść - przerwała mu. - Zadzwoń do ciebie później.

Odłożyła słuchawkę i od początku do końca uważnie przeczytała wpis Pomeroya. Dokonano go w roku, w którym Warren Emerson ukończył dwadzieścia pięć lat.

Wtedy to wypuszczono go ze Stanowego Szpitala Psychiatrycznego w Auguście.

Tysiąc dziewięćset czterdziesty szósty. W którym miesiącu Warren Emerson dopuścił się aktu agresji?

Claire stała w suterenie mieszczącej archiwum „Tranquility Gazette”, patrząc na zajmującą całą ścianę drewnianą szafę.

Na każdej szufladzie wypisano rok. Otworzyła szufladę oznaczoną „czerwiec-grudzień 1946”.

W środku leżało sześć numerów „Gazette”. W 1946 roku wychodziła raz na miesiąc. Kartki były kruche i żółkłe, na reklamach widniały kobiety o talii osy w krynolinowych spódniczkach i eleganckich kapelusikach. Ostrożnie przekartkowała numer lipcowy, czytając tytuły:

REKORDOWE UPAŁY WYNAGRADZAJĄ MOKRĄ WIOSNĘ...

NAJWIĘKSZY NAPŁYW LETNICH GOŚCI...

UWAGA NA KOMARY...

CHŁOPCY ZŁAPANI Z NIELEGALNYMI FAJERWERKAMI...

PARADA CZWARTEGO LIPCA PRZYCIĄGA NIESPOTYKANE TŁUMY.

Te same tytuły pojawiają się w lipcu co roku, pomyślała. Lato to zawsze okres parad i gryzących owadów. Te nagłówki przywołały wspomnienie jej pierwszego lata w Maine. Smak słodkiej kukurydzy w kolbach i słodkiego groszku w strączkach, skóra pachnąca olejkiem cytronelowym przeciw komarom. To było dobre lato, tak samo jak to w 1946 roku.

Przejrzała numer sierpniowy i wrześniowy, w których znalazła mniej więcej to samo - informacje o smażonych rybach, przyjęciach kościelnych i wyścigach pływackich w jeziorze. Były także niemiłe wiadomości: w wyniku kraksy trzech samochodów dwoje turystów wylądowało w szpitalu. Jeden dom spalił się na skutek nieuwagi podczas gotowania. W sklepach zanotowano plagę kradzieży. Życie w wakacyjnej krainie miewało swoje ciernie.

Wyjęła numer październikowy i już na pierwszej stronie zobaczyła pogrubiony tytuł:

15-LETNI CHŁOPIEC MORDUJE RODZICÓW I ZABIJA SIĘ NA SKUTEK UPADKU Z WYSOKOŚCI; MŁODSZA SIOSTRA DZIAŁAŁA „EWIDENTNIE W OBRONIE WŁASNEJ”.

Nie wymieniono nazwiska chłopca, ale były tam fotografie zamordowanych rodziców - przystojnej ciemnowłosej pary w odświętnych strojach. Pod zdjęciem widniał podpis identyfikujący zabite małżeństwo: Martha i Frank Keatingowie. Nazwisko nie było Claire obce; spotkała miejscową sędzinę Iris Keating. Czy byli spokrewnieni?

Poniżej zauważyła inny tytuł:

BÓJKA W SZKOLNEJ STOŁÓWCE.

Dalej kolejny:

ZAGINIĘCIE DZIEWCZYNY Z BOSTONU; OSTATNIO WIDZIANA Z MIEJSCOWYMI CHŁOPCAMI.

W suterenie było chłodno i ręce Claire zlodowaciały. Ale jej zimno pochodziło ze środka. Sięgnęła po numer listopadowy i popatrzyła na pierwszą stronę. Na bijący w oczy tytuł.

14-LATEK ARESZTOWANY ZA ZAMORDOWANIE RODZICÓW. PRZYJACIELE I SĄSIEDZI ZDUMIENI PRZESTĘPSTWEM „WRAŻLIWEGO CHŁOPCA”.

Dreszcze przenikały ją na wskroś, wędrując wzdłuż kręgosłupa. Wszystko się powtarza, pomyślała.

Rozdział czternasty

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego trzymałaś to w tajemnicy?

Lincoln przeszedł przez pokój, by zamknąć drzwi. Dopiero wtedy odwrócił się do Claire.

- To było dawno temu. Nie widziałem sensu w wyciąganiu starych historii.

- Ależ to historia tego miasteczka! Biorąc pod uwagę to, co zdarzyło się w ciągu ostatniego miesiąca, nie sposób jej uznać za nieistotną!

Położyła mu na biurku fotokopie artykułów z „Tranquility Gazette”.

- Popatrz tylko. W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku zamordowano siedmioro ludzi, a jednej dziewczyny z Bostonu nigdy nie odnaleziono. Najwyraźniej agresja nie jest w tym miasteczku niczym nowym. - Postukała palcem w plik papierów. - Przeczytaj to, Lincoln. A może znasz wszystkie szczegóły?

Usiadł ciężko, patrząc na stertę kartek.

- Tak, znam większość szczegółów - powiedział cicho. - Słyszałem te historie.

- Kto ci powiedział?

- Jeff Willard. Był szefem policji, gdy dwadzieścia dwa lata temu dostałem tu pracę.

- Przedtem nigdy o niczym nie słyszałeś?

- Nie. A przecież tu się wychowałem. Nic o tym nie wiedziałem, póki Willard mi nie powiedział.

Ludzie po prostu o tym nie rozmawiają.

- Wolą udawać, że tu nigdy nic się nie stało.

- Musimy myśleć o swojej reputacji. - Uniósł wzrok i wreszcie spojrzął jej w oczy. - To miejscowość letniskowa, Claire. Ludzie przyjeżdżają tutaj, by uciec od miasta, od przestępczości.

Nie śpieszy nam się, by opowiadać całemu światu, że my też mamy swoje problemy. Naszą własną epidemię morderstw.

Usiadła. Ich oczy były teraz na tej samej wysokości.

- Kto o tym wie?

- Ludzie, którzy tu wtedy byli. Starsi, ci, którzy teraz mają po sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat. Ale ich dzieci już nie. Nie moje pokolenie.
- Pokręciła głową z niedowierzaniem.
- Trzymali to w tajemnicy przez te wszystkie lata?
- Rozumiesz chyba dlaczego? Chronią w ten sposób nie tylko miasteczko. Także rodziny. Dzieciaki, które popełniły wszystkie te przestępstwa, były stąd. Ich rodziny wciąż tu mieszkają i być może wciąż się wstydzą. Nadal cierpią z powodu następstw.
- Tak jak Warren Emerson.
- No właśnie. Popatrz, jak on żyje. Mieszka sam, nie ma przyjaciół. Nigdy więcej nie popełnił żadnego przestępstwa, a jednak wszyscy go unikają. Nawet dzieciaki, które nie mają pojęcia, dlaczego powinny trzymać się od niego z daleka. Po prostu wiedzą od dziadków, że Emersona trzeba unikać.
- Spojrzał na fotokopie.
- Takie więc jest tło życia twojego pacjenta. Warren Emerson jest mordercą. Nie był zresztą jedyny.
- Musiałeś dostrzec podobieństwa, Lincoln.
- Okej, przyznaję, że jest ich kilka.
- Zbyt wiele, by je wymieniać.
- Sięgnęła po fotokopie i znalazła numer październikowy.
- W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku zaczęło się od bójek w szkole. Dwaj chłopcy zostali wydaleny. Potem mamy w miasteczku tłuczenie szyb, niszczenie domów. Znowu oskarżono o to nastolatków. W końcu, w ostatnim tygodniu października, piętnastoletni chłopiec zarąbuje siekierą swoich rodziców. Młodsza siostra w obronie własnej wypycha go przez okno.
- Uniosła głowę, by na niego spojrzeć.
- I dalej jest coraz gorzej. Jak to wyjaśniesz?
- Gdy zdarza się zbrodnia, Claire, ludzką rzeczą jest pytać dlaczego. Ale prawda jest taka, że nie zawsze wiemy, czemu ludzie się zabijają.

- Prześledź kolejność wydarzeń. Najpierw mamy ciche, spokojne miasteczko. Potem nagle dzieciaki zaczynają rozrabiać. Bić się. Po kilku tygodniach już zabijają. Miasto wrze, ludzie żądają, żeby coś zrobić. I nagle wszystko się uspokaja, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Miasto z powrotem zapada w sen. - Zamilkła, patrząc na tytuły. - Jeszcze jedna rzecz jest dziwna, Lincoln. W miastach najbardziej niebezpieczną porą roku jest zawsze lato, gdy upał rozdrażnia wszystkich dokoła. Gdy robi się zimno, przestępczość spada. Ale tu jest inaczej. Agresja zaczyna się w październiku i osiąga szczyt w listopadzie. - Uniosła wzrok. - W obu przypadkach zabójstwa zaczęły się na jesieni.

Nagle drgnęła zaskoczona świergotem pagera we własnej kieszeni. Zerknęła na wyświetlony na ekranie numer i sięgnęła po telefon Lincolna. Odebrał technik radiolog.

- Właśnie skończyliśmy tomografią mózgu pani pacjenta, Warrena Emersona. Doktor Chapman jest już w drodze, żeby ją odczytać.

- Czy coś widać?

- Niewątpliwie odbiega od normy.

Doktor Chapman przypiął zdjęcia tomograficzne do podświetlanego ekranu i przekręcił kontakt. Światło się zapaliło, rozjaśniając poprzeczne cięcia przez mózg Warrena Emersona.

- O tym właśnie mówię - powiedział. - Tutaj, wchodzi w lewy płat czołowy. Widzi pani?

Claire podeszła bliżej. Chapman wskazywał małe, koliste skupienie tkanki, umiejscowione z przodu mózgu, tuż za łukiem brwi. Wydawało się twarde, nie torbielowate. Rzuciła okiem na pozostałe zdjęcia, ale nie zauważyła innych skupisk. Jeśli był to guz, to niewątpliwie umiejscowiony.

- Jak pan sądzi? - spytała. - To oponiak?

Kiwnął głową.

- Najprawdopodobniej. Widzi pani, jakie gładkie ma brzegi? Oczywiście będzie potrzebna biopsja, by stwierdzić, czy nie jest złośliwy. Ma jakieś dwa centymetry średnicy i dosyć grubą otoczkę. Wydzielony przez tkankę włóknistą. Przypuszczam, że da się go usunąć w całości.

- Czy to może być przyczyną ataków Warrena?

- Od jak dawna je ma?

- Od czasów, gdy był nastolatkiem. Czyli od niemal pięćdziesięciu lat.

Chapman rzucił jej zaskoczone spojrzenie.

- I nigdy nie wykryto tego guza?

- Nie. Ponieważ przez większość życia Warren miewał ataki, Pomeroy zapewne uznał, że nie warto tego bliżej badać.

Chapman pokręcił głową.

- W takim razie muszę przemyśleć swoją diagnozę. Przede wszystkim rzadko spotyka się oponiaka u młodych dorosłych. Poza tym oponiak wciąż rośnie. Albo więc nie to jest przyczyną jego ataków, albo to nie oponiak.

- A co jeszcze mogłoby to być?

- Glejak. Przerzut jakiegoś innego guza. - Wzruszył ramionami. - Może to być nawet stara, otorbiona cysta.

- To skupisko wygląda na twarde.

- Jeśli przyczyną były na przykład gruźlica lub jakiś pasożyt, organizm uruchomiłby reakcję zapalną. Otoczyłby to lub związał tkanką bliznowatą. Sprawdzała pani, czy pacjent nie ma gruźlicy?

- Dziesięć lat temu próby były negatywne.

- No cóż, w końcu jest to jednak wciąż rozpoznanie patologiczne. Ten pacjent potrzebuje kraniotomii i usunięcia guza.
 - Zapewne oznacza to, że musimy przewieźć go do Bangor?
 - Tutaj, u nas, nie wykonujemy kraniotomii. Nasi lekarze zazwyczaj odsyłają pacjentów neurochirurgicznych do Clarence'a Rothsteina w Stanowym Centrum Medycznym.
 - Polecałby go pan?
- Chapman kiwnął głową i wyłączył podświetlarkę.
- Ma bardzo dobrą rękę.

Brokuły na parze, ryż i żałosny kawałeczek dorsza.

Louise Knowlton nie wiedziała, jak długo jeszcze zdoła znieść to, że jej syn powoli się zagładzą. Stracił kolejny kilogram, ale w jego ponurym spojrzeniu i atakach rozdrażnienia przejawiało się napięcie. Nie był to już jej pogodny Barry.

Louise spojrzała ponad stołem na męża i w oczach Mela odczytała tę samą myśl: To ta dieta. Zachowuje się tak z powodu diety. Louise wskazała na talerz frytek, który dzieliła z Melem.

- Barry, kochanie, wyglądasz na głodnego! Kilka frytek ci nie zaszkodzi.

Barry nie zwracał na nią uwagi. Skrobał widelcem po talerzu, a od tego dźwięku ciarki przechodziły po plecach.

- Barry, przestań!

Spojrzał na nią. Nie było to zwykłe spojrzenie, lecz najzimniejszy, najbardziej pozbawiony wyrazu wzrok.

Drżącymi rękami Louise wyciągnęła w jego kierunku talerz frytek.

- Proszę cię, Barry - zamruczała. - Zjedz choć jedną. Zjedz je wszystkie. Poczujesz się o wiele lepiej, jeśli po prostu coś zjesz.

Aż szarpnęła się zaskoczona, gdy Barry odepchnął krzesło i wstał. Bez słowa odszedł i zatrzasnął za sobą drzwi pokoju. Chwilę później usłyszeli nieprzerwaną strzelaninę gry wideo. Ich syn rozwaliał całe zastępy wirtualnych wrogów.

- Czy coś się dziś wydarzyło w szkole? - spytał Mel. - Chłopaki znów mu dokuczali?

- Nie wiem - westchnęła Louise. - Nic już nie wiem.

Siedzieli wsłuchani w potęgający się ryk karabinów, w krzyki i jęki wirtualnych ofiar, umierających w jakimś piekle Super Nintendo.

Louise spojrzała na stos rozmiękłych frytek i się wzdrygnęła. Po raz pierwszy w życiu odsunęła od siebie niedokończony obiad.

Stereo Noaha grało na cały regulator, gdy Claire wróciła do domu. Ból głowy, który przybierał na sile przez całe popołudnie, opasał jej czaszkę ciasną obręczą, wbijając szpony w czoło.

Odwiesiła płaszcz i zatrzymała się u stóp schodów, słuchając bezlitosnego walenia bębnow i głosu piosenkarza. Nie rozumiała ani jednego słowa. Jak mam śledzić, jakiej muzyki słucha moje dziecko, skoro nawet nie wiem, o czym mówią piosenki?

Tak nie mogło dłużej być. Nie potrafiła znieść hałasu, nie dzisiaj.

- Noah, ścisz to! - zawołała w górę schodów.

Muzyka grała dalej, nie cichnąc. Nie do zniesienia.

Weszła na piętro, a jej irytacja przeradzała się w gniew.

Drzwi pokoju syna były zamknięte na klucz. Walnęła w nie pięścią krzycząc:

- Noah!

Trwało chwilę, zanim otworzył. Muzyka runęła na nią obmyła ją falą hałasu. Noah opierał się o framugę. Jego koszula i spodnie były tak obszerne, że wisiały na nim niby jakieś uroczyste szaty.

- Scisz to! - krzyknęła.

Przekręcił potencjometr i muzyka nagle zamarła. Cisza aż zadzwoniła jej w uszach.

- Co ty wyprawiasz, chcesz ogłuchnąć? A po drodze doprowadzić mnie do szału?

- Nie było cię w domu.

- Byłam w domu. Wołałam, ale mnie nie słyszałeś.

- No to teraz cię słyszę.

- Za dziesięć lat nie będziesz słyszał niczego, jeśli nie przestaniesz puszczać muzyki tak głośno. Nie mieszkas pod tym dachem sam.

- Jakże mogę o tym zapomnieć, skoro ciągle mi przypominasz? - Opadł jak kamień na krzesło i okręcił się przodem do biurka. Tyłem do niej.

Stała, patrząc na niego. Choć przerzucał kartki czasopisma, wiedziała po napiętych mięśniach jego ramion, że tak naprawdę nie czyta. Zbyt był świadom jej obecności, jej gniewu. Weszła do pokoju i ze znużeniem usiadła na łóżku.

- Przepraszam, że na ciebie wrzasnęłam - powiedziała po chwili.

- Ciągle teraz na mnie wrzeszczysz.

- Naprawdę?

- Tak. - Przewrócił kartkę.

- Przepraszam, Noah. Tyle rzeczy naraz wali mi się na głowę, że nie daję sobie z tym rady.

- Wszystko jest popieprzone, od kiedy przeprowadziliśmy się tutaj, mamó. Wszystko. - Zamknął czasopismo i oparł głowę na rękach. Jego głos był ledwo słyszalny. - Szkoda, że taty tu nie ma.

Przez chwilę oboje milczeli. Słyszała, jak jego łzy padają na strony magazynu, słyszała, jak gwałtownie wciąga powietrze, starając się opanować.

Wstała i położyła mu ręce na ramionach. Wszystkie mięśnie miał napięte od powstrzymywania łez. Jesteśmy tacy podobni, pomyślała, oboje nieustannie walczymy, by zapanować nad emocjami, nie stracić kontroli. To Peter był tym otwartym członkiem rodziny, to on krzyczał z radości w wesołym miasteczku i wybuchał głośnym śmiechem w kinie. To on śpiewał pod prysznicem i uruchamiał alarm przeciwpożarowy przy próbach ugotowania czegokolwiek. To on nigdy nie wahał się powiedzieć: „Kocham cię”.

Jak bardzo byś się zasmucił, widząc nas teraz, Peter. Boimy się wyciągnąć do siebie rękę. Wciąż jesteśmy w żałobie, wciąż okaleczeni przez twoją śmierć.

- Też mi go brak - szepnęła. Objęła syna ramionami i oparła policzek na jego czuprynie, wdychając chłopięcy zapach, który tak kochała. - Też mi go brak.

Zadzwonił dzwonek do drzwi wejściowych.

Nie teraz. Nie teraz.

Trwała dalej bez ruchu, ignorując ten dźwięk, wyłączając cały zewnętrzny świat, skupiona tylko na ciepłe trzymanego w ramionach syna.

- Mamo - powiedział Noah, wysuwając się z jej objęć. - Mamo, ktoś dzwoni do drzwi.

Niechętnie rozwarła ramiona i się wyprostowała. Ta ulotna chwila, ta szansa minęła. Teraz Claire znów wpatrywała się w sztywny kark Noaha.

Zeszła na dół zła na intruza, na jakieś nowe żądania, odciągające ją od syna. Otworzyła drzwi. Za nimi, w lodowatym wietrze, stał Lincoln z ręką w rękawiczce ponownie uniesioną do dzwonka. Nigdy dotychczas do niej nie zachodził, więc ta wizyta zdziwiła ją i zaskoczyła.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział. - Mogę wejść?

Nie rozpała jeszcze w kominku we frontowym pokoju, było tam więc zimno i przygnębiająco ciemno. Szybko włączyła wszystkie lampy, ale światło nie równoważyło chłodu.

- Po twoim wyjściu - zaczął - przemyślałem to, co powiedziałaś. Że przemoc w tym mieście rozwija się według pewnego wzorca. Że istnieje jakiś związek między rokiem tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym a tym, co dzieje się teraz. - Sięgnął do kurtki i wyjął plik fotokopii artykułów, który mu zostawiła. - Wiesz co? Odpowiedź jest właśnie tutaj.

- Jaka odpowiedź?

- Spójrz na pierwszą stronę. Październik, czterdziesty szósty rok.

- Czytałam już ten artykuł.

- Nie, nie chodzi mi o morderstwo, tylko o artykuł na dole strony. Pewnie go nawet nie zauważyłaś.

Wyglądziła kartkę na kolanach. Artykuł, o którym mówił Lincoln, był częściowo odcięty, fotokopia objęła jedynie jego górną część. Tytuł brzmiał:

UKOŃCZONO NAPRAWĘ MOSTU NA RZECE LOCUST

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - powiedziała.

- W tym roku musieliśmy naprawiać ten sam most. Pamiętasz?

- Tak.

- A dlaczego musieliśmy go naprawiać?

- Bo jest stary?

Z irytacją przeczesał włosy palcami.

- Myśl, Claire, myśl! Dlaczego trzeba było naprawiać most? Bo uszkodziła go powódź. Na wiosnę mieliśmy rekordowe opady, rzeka Locust wystąpiła z brzegów, zalała dwa domy i zerwała cały ciąg

kładek dla pieszych. Zadzwoiłem po potwierdzenie do Amerykańskiego Centrum Kontroli Geologicznej. W tym roku mieliśmy największe opady od pięć dziesięciu dwóch lat.

Uniosła głowę, nagle pojmując, co próbuje jej powiedzieć.

- A zatem ostatni raz tak wielkie opady były...
- Na wiosnę tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku.

Opadła na oparcie fotela zaskoczona zbiegiem okoliczności.

- Deszcze - mruzczała pod nosem. - Wilgotna ziemia. Bakterie. Grzyby...
- Właśnie, grzyby. Co z tymi niebieskimi?

Pokręciła głową.

- Max potwierdził ich tożsamość. Nie są bardzo toksyczne. Ale obfite deszcze przyczyniają się do rozwoju wielu grzybów. W rzeczywistości to właśnie pewien rodzaj grzybka powodował masowe występowanie tańca świętego Wita.

- Czy to rodzaj ataków?

- Medycznym określeniem tańca świętego Wita jest chorea, inaczej płasawica. To płasający, przypominający taniec ruch kończyn. Czasami donoszono o masowym jego występowaniu.

Niewykluczone, że on właśnie leżał u podstaw oskarżeń o praktyki magiczne w Salem.

- Choroba?

- Tak. Po zimnej, mokrej wiosnie ten grzybek może atakować żyto. Ludzie je jedzą i zapadają na płasawicę.

- Czy my też mamy tu do czynienia z jakąś formą tańca świętego Wita?

- Nie, chodzi mi tylko o to, że w historii znajdujemy przykłady ludzkich chorób wynikających z klimatu. Wszystko w przyrodzie jest ściśle ze sobą powiązane. Myślimy, że kontrolujemy środowisko, ale podlegamy wpływom wielu organizmów, z których istnienia nie zdajemy sobie

nawet sprawy. - Przerwała, myśląc o negatywnych wynikach w hodowli bakterii Scotty'ego Braxtona. Jak na razie, nic nie wyrosło ani z jego krwi, ani z płynu mózgowo-rdzeniowego. Czy możliwe, że istnieje jakieś gniazdo infekcji, które przeoczyła? Organizm tak niezwykle, tak nieoczekiwany, że laboratorium uznałoby go za pomyłkę?

- U tych dzieci musi istnieć jakiś wspólny czynnik - powiedziała. - Na przykład dostęp do tego samego zainfekowanego pożywienia. Na razie mamy jedynie domniemany związek między opadami deszczu a agresją. Być może to tylko przypadek.

Przez chwilę siedział w milczeniu. Często przyglądała się jego twarzy, podziwiając siłę i spokojną pewność siebie rysujące się na niej. Dzisiaj dostrzegła w jego oczach także inteligencję. Zestawił dwie odległe od siebie informacje i zwrócił uwagę na prawidłowość, której ona nawet nie zauważyła.

- A zatem to, co musimy znaleźć - podsumował - to wspólny czynnik.

Kiwnęła głową.

- Czy możesz mi załatwić wizytę w Ośrodku dla Młodocianych? Żebym mogła porozmawiać z Taylorem?

- To nie będzie łatwe. Wiesz, że Paul Darnell wciąż cię obwinia.

- Ale Taylor nie jest jedynym dzieckiem, którego to dotknęło. Darnell nie może obwiniać mnie o wszystko, co w tym mieście idzie nie tak.

- Nie, nie może. - Lincoln wstał. - Potrzebujemy odpowiedzi przed zebraniem mieszkańców. Załatwię ci wizytę u tego chłopaka, Claire. Tak czy inaczej.

Przez okno frontowego pokoju widziała, jak idzie oblodzonym podjazdem do samochodu. Poruszał się wyważonym krokiem człowieka, który wyrósł w tym ciężkim klimacie: stawiał stopy całą powierzchnią, naciskając podeszwy, by mocno trzymały się podłoża. Gdy dotarł do

samochodu, otworzył drzwi i z jakiegoś powodu odwrócił się, by spojrzeć jeszcze na dom.

Na moment ich spojrzenia się splotły.

Z dziwnym poczuciem zdumienia pomyślała: Od jak dawna ten mężczyzna mnie pociąga? Kiedy to się zaczęło? Nie pamiętam. Była to jeszcze jedna komplikacja w jej życiu.

Odjechał, a ona stała przy oknie wpatrzona w wyprany z koloru krajobraz. Śnieg, lód i nagie drzewa, wszystko powoli czerniało.

Na górze Noah znów włączył muzykę.

Odwróciła się od okna i zgasiła lampę. Wtedy nagle przypomniała sobie obietnicę złożoną Warrenowi Emersonowi. Jęknęła głośno.

Kot.

Było już ciemno, gdy w końcu pokonała zbcze Beech Hill i zaparkowała przed domem Emersona. Zatrzymała samochód koło stosu drewna, absolutnie okrągłej wieży z ułożonych na sobie szczap. Pomyślała o długich godzinach, które musiało mu zająć układanie szczap z taką precyzją, starannością, z jaką zazwyczaj buduje się mur z kamienia. A potem będzie wieżę po trochu rozbierał, kawałek po kawałku, w miarę jak zima zacznie pochłaniać jego coroczne dzieło sztuki.

Wyłączyła silnik i spojrzała na stary dom. W środku nie świeciła się żadna lampa. Włączywszy latarkę, wspięła się po oblodzonych schodkach na ganek. Wydawało się jej, że wszystko tu się zapada. Miała dziwne wrażenie, że ona także przechyla się na bok, ześlizguje ku krawędzi, ku zapomnieniu. Warren powiedział jej, że drzwi nie będą zamknięte. Weszła do środka i zapaliła światło.

Jej oczom ukazała się kuchnia z wytartym linoleum i obitymi sprzętami. Ze środka podłogi patrzył na nią mały szary kot. Zaskoczyły się nawzajem, Claire i kotka, i na parę sekund obie zastygły w bezruchu.

W następnej chwili kot wystrzelił jak z procy i zniknął gdzieś w głębi domu.

Claire planowała zabranie Mony do schroniska na przechowanie. Warrena Emersona przewieziono już do Stanowego Centrum Medycznego na kraniotomię, więc spędzi w szpitalu co najmniej tydzień. Claire zaś nie uśmiechały się codzienne wyprawy tutaj tylko po to, by nakarmić kota. Ten najwyraźniej jednak miał inny pogląd na sprawę.

W miarę jak zapalając kolejne światła, przechodziła z pokoju do pokoju w poszukiwaniu niechętej Mony, jej frustracja rosła. Podobnie do wielu innych domostw z tego okresu, także i to zbudowano dla wielkiej rodziny, było więc w nim dużo małych pomieszczeń. Ich klaustrofobiczny nastrój potęgowało jeszcze zagrzenie wszystkich pokoi. Widziała sterty starych gazet i magazynów, stosy reklamówek, pojemniki pełne pustych butelek. W holu musiała bokiem przeciskać się między piramidą książek. Takie gromadzenie przedmiotów świadczy zazwyczaj o chorobie umysłowej, ale Warren zorganizował swoje zbiory w logiczny sposób. Książki leżały oddzielnie od czasopism, torby z szarego papieru były złożone i związane sznurkiem. Być może zresztą była to jedynie doprowadzona do ekstremum jankeska oszczędność.

Nie brakowało tu kryjówek dla kota, który chce umknąć.

Obeszła wszystkie pomieszczenia na parterze, nigdzie nie widząc Mony. Zapewne kotka schowała się gdzieś na piętrze.

Claire ruszyła po schodach na górę, ale zatrzymała się w pół ruchu. Spociły jej się dłonie. Deja vu, pomyślała. Już to raz przeżyłam. Obcy dom, obce schody. Coś straszego czeka na mnie na strychu...

Nie był to jednak dom Scotty'ego Braxtona, a na górze czaiło się jedynie przestraszone zwierzę. Zmusiła się, by iść dalej, a dla podtrzymania słabnącej odwagi zaczęła wołać „kici, kici”. Na pierwszym piętrze było czworo drzwi, ale tylko jedno otwarte. Jeśli kot uciekł na górę, to musi tam być.

Claire weszła do środka i zapaliła światło.

Jej wzrok natychmiast przyciągnęły czarno-białe fotografie. Kilkadziesiąt zdjęć wisiało na ścianie, stało na komodzie i nocnej szafce. Galeria wspomnień Warrena Emersona. Podeszła bliżej i patrzyła na uśmiechające się z fotografii trzy twarze - pary w średnim wieku i chłopca. Kobieta miała okrągłą, pospolitą twarz, a jej kapelusz przekrzywiony był pod śmiesznym, zwariowanym kątem. Stojącego obok mężczyznę też chyba to bawiło - w jego oczach błyszczała wesołość. Oboje opierali ręce na ramionach stojącego między nimi chłopca, fizycznie niemal świadcząc, że należą do nich, że jest ich wspólną własnością.

A chłopiec o sterczących włosach i bez przednich zębów - to musiał być młody Warren, promieniejący radością pod okiem rodziców.

Przesunęła wzrokiem po innych fotografiach i na wszystkich zobaczyła te same twarze, w różnych porach roku, w różnych miejscach. Tutaj zdjęcie mamy, z dumą pokazującej upieczone ciasto. Tam zdjęcie ojca i syna z wędkami na brzegu rzeki. W końcu szkolna fotografia dziewczynki, najwyraźniej ukochanej Warrena, ponieważ na dole ktoś narysował serduszko i napisał w nim: „Warren i Iris na zawsze”. Claire widziała przez łyżę nocną szafkę, stojącą na niej na wpół opróżnioną szklankę wody, łóżko, gdzie na poduszce leżało kilka siwych włosów. Łóżko Warrena.

Codziennie rano budzi się samotnie w tym pokoju, w obecności fotografii rodziców. I codziennie wieczorem zasypia, widząc ich uśmiechające się do niego twarze.

Płakała teraz za dzieckiem, jakim niegdyś był. Samotny mały chłopiec uwięziony w ciele starego mężczyzny.

Wróciła do kuchni.

Nie było sensu biegać za kotem, który nie chciał dać się złapać. Po prostu zostawi jedzenie w misce i wróci kiedy indziej. Otworzyła drzwi spiżarni i zobaczyła kilkadziesiąt puszek jedzenia dla kota, ustawionych równo na półkach. W kuchni niewiele było jedzenia dla człowieka, ale wypieszczonej Monie niewątpliwie niczego nie odmawiano.

„Dzisiaj spodziewa się tuńczyka”.

A zatem tuńczyk. Claire wyrzuciła zawartość puszek do miski i postawiła na podłodze, obok miseczki z wodą. Do następnej miseczki nasypała suchego kociego jedzenia na parę dni. Wymieniła piasek w kuwecie. A potem zgasiła światła i wyszła.

Siedząc już w samochodzie, ostatni raz spojrzała na dom. Warren Emerson mieszkał w tych ścianach przez większą część życia, bez ludzkiego towarzystwa, bez miłości. Prawdopodobnie także umrze samotnie w tym domu i jedynie kot będzie świadkiem jego odejścia.

Otarła łzy z oczu. A potem zawróciła samochód i ciemną drogą ruszyła do domu.

Późnym wieczorem zadzwonił Lincoln.

- Rozmawiałem z Wandą Darnell - powiedział. - Wyjaśniłem jej, że być może istnieje biologiczna przyczyna postępowania jej syna. Że inne dzieci w miasteczku zachowują się podobnie i staramy się odkryć przyczynę tego stanu rzeczy.

- Jak na to zareagowała?

- Chyba jej ulżyło. To oznacza, że istnieje coś, czemu można przypisać winę. Nie rodzina. Nie

ona sama.

- Doskonale ją rozumiem.
- Wyraziła zgodę na twoją rozmowę z synem.
- Kiedy?
- Jutro. W Stanowym Ośrodku dla Młodocianych.

Wzdłuż ścian cichej sypialni stał długi rząd łóżek. Poranne słońce padało przez umieszczone wysoko okna; jasny kwadrat światła kładł się na szczupłych ramionach chłopca. Taylor siedział na łóżku z podkurczonymi nogami i opuszczoną głową. Nie przypominał chłopca, którego widziała cztery tygodnie wcześniej, przeklinającego i rzucającego się. To dziecko zostało złamane, jego nadzieje i marzenia rozpadły się w proch i pył, pozostała jedynie fizyczna skorupa.

Nie uniósł głowy, gdy kroki Claire rozległy się na drewnianych deskach podłogi. Stała obok łóżka.

- Cześć, Taylor. Czy możemy porozmawiać?

Chłopiec uniósł jedno ramię. Był to ledwo widoczny gest, ale przynajmniej stanowił coś w rodzaju przyzwolenia.

Sięgnęła po krzesło. Jej wzrok przesunął się po małym sosnowym stoliku koło łóżka. Był to bardzo zniszczony mebel, o powierzchni pokrytej wyciętymi czteroliterowymi słowami i inicjałami niezliczonych młodych mieszkańców. Ciekawa była, czy Taylor zostawił już swój ślad na tym trwałym świadectwie rozpacz.

Przysunęła krzesło do jego łóżka i usiadła.

- Cokolwiek sobie dzisiaj powiemy, Taylor, zostanie między nami, dobrze? - Wzruszył ramionami,

jakby nie miało to znaczenia. - Opowiedz mi, co się stało tamtego dnia w szkole.

Dlaczego to zrobiłeś?

Oparł policzki na kolanach, jakby nagle nie miał już siły trzymać głowy prosto.

- Nie wiem dlaczego.

- Pamiętasz tamten dzień?

- Mhm.

- Wszystko?

Przełknął ślinę z wysiłkiem, ale nic nie powiedział. Jego twarz nagle ściągnęła udreka i zamknął oczy, zaciskając mocno powieki. Zaczerpnął powietrza i to, co powinno być wyciem bólu, okazało się wysokim, cienkim piskiem.

- Nie wiem. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

- Tamtego dnia przyniosłeś do szkoły broń.

- Żeby udowodnić, że mam pistolet. Nie wierzyli mi. Mówili, że zmyślam.

- Kto ci nie wierzył?

- J.D. i Eddie. Zawsze się przechwalali, że ich tata pozwala im strzelać ze swoich pistoletów.

Znowu synowie Jacka Reida. Wanda Darnell mówiła, że wywierają zły wpływ. I miała rację.

- Więc przyniosłeś broń do szkoły - powiedziała Claire. - Czy zamierzałeś jej użyć?

Pokręcił głową.

- Po prostu miałem ją w plecaku. Ale potem dostałem dwóję z testu. A pani Horatio zaczęła na mnie wrzeszczeć o tę głupią żabę. - Zaczął się kołysać, obejmując kolana, a szloch dławił go w gardle. - Chciałem ich wszystkich pozabijać. Po prostu nie mogłem się powstrzymać. Chciałem, żeby wszyscy za to zapłacili. - Przestał się kiwać i zamarł wpatrzony gdzieś w przestrzeń. - Teraz wściekłość mi już minęła. Ale jest za późno.

- Być może to nie twoja wina, Taylor.
- Wszyscy wiedzą, że to ja zrobiłem.
- Powiedziałaś przed chwilą, że nie mogłeś się powstrzymać.
- A jednak to wciąż moja wina...
- Taylor, spójrz na mnie. Nie wiem, czy ktoś powiedział ci o twoim przyjacielu, Scottym

Braxtonie.

Powoli uniósł wzrok.

- Przytrafiło mu się to samo. I jego matka nie żyje.

Wyraz szoku na twarzy Taylora powiedział jej, że chłopiec słyszy tę nowinę po raz pierwszy.

- Nikt nie potrafi wytłumaczyć, co spowodowało wybuch i dlaczego rzucił się na nią. Nie tylko tobie się to przydarzyło.

- Mój tata mówi, że tak się stało, bo przestała mi pani dawać lekarstwo.
- Scotty nie brał żadnych leków. - Przerwała, patrząc mu uważnie w oczy. - A może brał?
- Nie.
- To bardzo ważne. Musisz powiedzieć mi prawdę, Taylor. Czy któryś z was coś zażywał?
- Mówię prawdę.

Patrzył jej prosto w oczy. Uwierzyła mu.

- A co ze Scottym? - zapytał. - Czy Scotty też tu przyjedzie?

Oczy zapiekły ją od nagłych łez.

- Przykro mi, Taylor - powiedziała cicho. - Wiem, że byliście dobrymi przyjaciółmi...
- Najlepszymi. Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi.
- Był w szpitalu. I coś się stało. Próbowaliśmy go uratować, ale było... nie było nic...
- Nie żyje, tak?

Bezpośrednie pytanie wymagało szczerzej odpowiedzi.

- Niestety - przyznała cicho.

Ukrył twarz w podkurczonych kolanach. Jego słowa przerywał szloch.

- Scotty nigdy nie zrobił nic złego! Był takim ciamajdą. Tak go zawsze nazywał J.D.: głupi ciamajda. Nigdy się za nim nie ująłem. Powinienem być coś powiedzieć, ale nigdy... bo ja...

- Taylor. Taylor, muszę ci zadać jeszcze jedno pytanie.

- ...bałem się.

- Spędzałeś ze Scottym dużo czasu. Dokąd chodziliście?

Nie odpowiedział, kołysał się tylko na łóżku.

- Naprawdę muszę to wiedzieć, Taylor. Dokąd zwykle chodziliście?

Wciągnął powietrze.

- Z... z innymi chłopakami.

- Dokąd?

- Nie wiem! Wszędzie.

- Do lasu? Do kogoś do domu?

Przestał się kiwać i przez chwilę sądziła, że nie usłyszał ostatniego pytania. W końcu podniósł głowę i spojrzał na nią.

- Nad jezioro.

Jezioro Locust. Było centrum wszystkiego, co działo się w Tranquility, miejscem pikników i wyścigów pływackich, ulubionym terenem wioślarzy i wędkarzy. Bez jeziora nie byłoby letnich przybyszów i strumienia pieniędzy. Samo miasteczko straciłoby rację bytu.

To wszystko ma coś wspólnego z jeziorem, pomyślała nagle. Woda i opady. Powódź i bakterie. Noc, gdy świeciła się woda.

- Taylor - zapytała - czy ty i Scotty pływaliście w jeziorze?
- Codziennie - potwierdził.

Rozdział piętnasty

Zebranie mieszkańców miało się rozpocząć o wpół do ósmej, ale już kwadrans po siódmej wszystkie miejsca w szkolnej stołówce były zajęte. Ludzie tłoczyli się w przejściach, podpierali ściany i wpychali się przez tylne drzwi, by znaleźć schronienie przed zimnym wiatrem na dworze. Claire stała z boku, skąd miała dobry widok na stół prezydialny. Siedzieli przy nim Lincoln, Fern Cornwallis i przewodniczący Rady Miejskiej Glen Ryder. Pięciu pozostałych członków rady zajęło miejsca w pierwszym rzędzie.

Claire rozpoznawała wiele twarzy. Większość zebranych stanowili rodzice, z którymi spotykała się przy różnych szkolnych okazjach. Dostrzegła kilku kolegów ze szpitala Knox. Kilkunastu nastolatków stało z tyłu kafeterii, tak zbitych razem, jakby spodziewali się ataku ze strony starszych.

Glen Ryder stukał młotkiem, ale tłum był zbyt wielki i zbyt poruszony, by go słuchać. Zdenerwowany Ryder w końcu wdrapał się na krzesło i wrzasnął:

- Zebrani mają się uspokoić, i to już!

Kafeteria nareszcie umilkła i Ryder mógł mówić dalej.

- Wiem, że nie ma tu dość miejsc dla wszystkich. Wiem, że na dworze są ludzie, którzy się denerwują, bo muszą stać na dziesięciostopniowym mrozie. Ale komendant straży pożarnej twierdzi, że już i tak przekroczyliśmy dozwolony limit zagęszczenia tej sali. Nie możemy nikomu pozwolić wejść, jeśli ktoś inny najpierw nie wyjdzie.

- Moim zdaniem, te dzieciaki tam z tyłu mogą wyjść i zrobić miejsce starszym - powiedział jakiś mężczyzna.

- Też mamy prawo tu być - zaprotestował jeden z nastolatków.
- To przez was tu w ogóle jesteśmy!
- Jeśli macie o nas mówić, chcemy usłyszeć, co kto ma do powiedzenia!

Kilka osób odezwało się naraz.

- Nikogo stąd nie usuniemy! - krzyknął Ryder. - To otwarte zebranie, Ben, i nie możemy nikogo wykluczać. A teraz zaczynajmy. - Spojrzał na Lincolna. - Może komendant policji, pan Kelly, powie nam, jak wyglądają obecnie problemy miasta.

Lincoln wstał. Po jego pochylonych ramionach widać było, że kilka ostatnich dni wyczerpało go fizycznie i emocjonalnie.

- To nie był dobry miesiąc - zaczął. Typowe niedopowiedzenie w stylu Lincolna Kelly'ego. - Wszyscy wiedzą o morderstwach. Strzelanina w szkole drugiego listopada, a potem morderstwo u Braxtonów piętnastego listopada. To dwa morderstwa w ciągu dwóch tygodni. Ale najbardziej przeraża mnie, że to chyba jeszcze nie koniec. Ostatniej nocy moi ludzie ośmiokrotnie interweniowali w awanturach wywołanych przez agresywnych młodocianych. Nigdy dotychczas nie widziałem nic podobnego. Jestem w tym miasteczku gliną od dwudziestu dwóch lat. Widziałem już pomniejszych fale przestępstw, jak osiągały szczyt, a potem się uspokajały. Ale to, co widzę teraz... dzieciaki, które starają się nawzajem zranić, nawzajem pozabijać, dzieciaki próbujące zabić ludzi, których kochają... - Pokręcił głową i usiadł, nic już więcej nie mówiąc.

- Pani Cornwallis? - odezwał się Ryder.

Dyrektorka szkoły średniej wstała zza stołu. Fern Cornwallis była przystojną kobietą, a dzisiaj postarała się wyglądać jak najlepiej. Lśniące blond włosy upięła we francuski kok. Należała do nielicznych umalowanych kobiet na sali. Jednak kredka do ust jedynie podkreślała bladość jej twarzy.

- Chciałabym przyklasnąć wszystkiemu, co powiedział przed chwilą komendant policji. Nigdy nie widziałam nic, co przypominałoby taki gniew i taką agresję, jakich ostatnio jesteśmy świadkami. I nie jest to problem wyłącznie szkoły. To także problem w waszych domach. Znam te dzieci! Patrzyłam, jak rosną. Widywałam je w mieście, na korytarzach szkolnych, a czasami także w moim gabinecie. I te, które teraz wdają się w bójkę, to dzieci, których nigdy nie uznałabym za rozrabiaki. Żadne z nich w minionych latach nie przejawiało agresywnych cech. I nagle stwierdzam, że ich już nie znam. Nie poznaję tych dzieci. - Przerwała i przełknęła ślinę. - Boję się ich.

- Więc czyja to wina?! - wrzasnął Ben Doucette.

- Nie twierdzimy, że to jest czyjaś wina - odparła Fern. - Staramy się tylko zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Nasza szkoła razem z gimnazjum sprowadziła pilnie pięciu nowych pedagogów-doradców. Psycholog okręgowy doktor Lieberman intensywnie pracuje z personelem szkoły średniej. Usiłuje opracować plan działania.

Ben wstał. Był wiecznie skrzywionym, pięćdziesięcioparoletnim kawalerem. W Wietnamie stracił rękę i zdrową dłoń zawsze trzymał się za kikut, jakby chciał podkreślić swoje poświęcenie.

- Mogę wam powiedzieć, na czym polega problem - oświadczył. - To ten sam problem, który pojawił się w całym kraju. Żadnej cholernej dyscypliny. Gdy miałem trzynaście lat, czy odważyłbym się chwycić nóż i grozić matce? Mój stary tak dałby mi w łeb, że pewnie bym się przewrócił.

- Co pan proponuje? - spytała Fern. - Żebyśmy dawali lanie czternastolatkom?

- Czemu nie?

- Tylko spróbuj! - krzyknął jeden z chłopaków, któremu natychmiast zaczął wtórować chór pozostałych: „Spróbuj, spróbuj, spróbuj!”.

Zebranie wymknęło się spod kontroli. Lincoln wstał i uniósł rękę, prosząc o ciszę. Miarą szacunku, jakim cieszył się w mieście, był fakt, że tłum się w końcu uspokoił, by usłyszeć, co

komendant chce powiedzieć.

- Pora porozmawiać o realistycznych rozwiązaniach - rzekł.

Wstał Jack Reid.

- Nie możemy mówić o rozwiązaniach, póki nie porozmawiamy o tym, dlaczego to wszystko się dzieje. Moi chłopcy mówią, że najwięcej problemów powodują nowe dzieciaki w szkole, te, które przeniosły się tu z innych miast. Zakładają gangi, a może sprowadzają narkotyki.

Odpowiedź Lincolna zginęła w nagłym crescendo głosów. Claire widziała na jego twarzy frustrację, nagły rumieniec gniewu.

- To nie jest problem przywieziony skądinąd - oświadczył Lincoln. - Ten kryzys jest miejscowy. To nasz problem i to nasze dzieci pakują się w kłopoty.

- Ale kto wszystko zaczął? - rzucił Reid. - Kto ich nakręcił? Dla niektórych po prostu nie powinno tu być miejsca!

Drewniany młotek Glena Rydera znów stukał, ale bezskutecznie. Słowa Jacka Reida podburzyły tłum i teraz wszyscy wrzeszczeli naraz.

Przez hałas przebił się ostry głos kobiety:

- A co z pogłoskami o odwiecznych praktykach satanistycznych? - spytała Damaris Horne, wstając. Trudno było nie zauważyć tej dzikiej grzywy blond włosów. Trudno było także nie zauważyć pełnych zainteresowania spojrzeń, którymi obrzucali ją mężczyźni. - Wszyscy słyszeliśmy o tych starych kościach wykopanych nad jeziorem. Jak rozumiem, było to masowe morderstwo. Może nawet rytualna ofiara.

- To się zdarzyło ponad sto lat temu - powiedział Lincoln - i nie ma żadnego związku ze sprawą.

- Może nie. Ale Nowa Anglia ma długą historię satanistycznych kultów.

Lincoln szybko tracił panowanie nad sobą.

- Jedyne kult w tym miasteczku - rzucił - to ten, który kreujesz na użytek swojej kolorowej szmaty!

- Może więc pan wyjaśni wszystkie niepokojące pogłoski, które do mnie dotarły - zaproponowała Damaris, nie tracąc zimnej krwi. - Na przykład liczba sześć-sześć-sześć, wymalowana na ścianie szkoły.

Lincoln rzucił Fern zaskoczone spojrzenie. Claire natychmiast zrozumiała, co ono oznacza. Najwyraźniej oboje byli zaniepokojeni tym, że reporterka dowiedziała się o niedawnym zdarzeniu.

- W zeszłym miesiącu stodoła została zbryzgana krwią - mówiła dalej Damaris. - Jak to wyjaśnić?

- To była puszka czerwonej farby, nie krew.

- A te światła migające w nocy na Beech Hill? Powiedziano mi, że to leśny rezerwat.

- Zaraz, chwileczkę - wtrąciła się Lois Cuthbert z Rady Miejskiej. - To mogę wytłumaczyć. To ten biolog, doktor Tutwiler, który w nocy zbiera salamandry. Parę tygodni temu niemal przejechałam go w ciemnościach, gdy wracał ze wzgórza.

- No dobrze - ustąpiła Damaris. - Zapomnijmy o światłach na Beech Hill. Uważam jednak, że w tym miasteczku dzieje się wiele dziwnych i niewytłumaczalnych rzeczy. Gdyby ktokolwiek chciał ze mną o tym później porozmawiać, chętnie posłucham. - Usiadła.

- Zgadza się z nią - odezwał się drżący głos. Kobieta, która przemówiła, stała z tyłu sali: drobna, blada osóbka, ściskająca swój płaszcz. - Coś w tym mieście jest nie w porządku. Od dawna to czuję. Może pan temu zaprzeczać, panie komendancie, ale mamy tu zło. Nie mówię, że to Szatan. Nie wiem, co to jest. Wiem jednak, że nie mogę już tutaj mieszkać. Wystawiłam dom na sprzedaż i w przyszłym tygodniu wyjeżdżam. Zanim coś się przytrafi mojej rodzinie. - Odwróciła się i wyszła z ucichłej sali.

W ciszę wdarł się ostry sygnał pagera Claire. Zobaczyła, że to szpital próbuje ją znaleźć. Przepchała się przez tłum na dwór, żeby zadzwonić z telefonu komórkowego.

Po przegrzanej kafeterii wiatr na dworze przenikał do szpiku kości. Skuliła się przy ścianie budynku, trzęsąc się z zimna i czekając, aż ktoś odbierze telefon.

- Laboratorium. Mówi Clive.
 - Tu doktor Elliot. Szukaliście mnie.
 - Nie byłem pewien, czy w dalszym ciągu interesują panią wyniki analiz, skoro pacjent nie żyje. Ale dostałem analizy Scotty'ego Braxtona.
 - Tak, chcę usłyszeć, jak wypadły.
 - Po pierwsze, mam tu końcowy raport z Anson Biologicals na temat szczegółowej analizy toksykologicznej. Nic nie wykryto.
 - Nie ma nic na temat nagłego wzrostu na jego chromatogramie?
 - Nie w tym raporcie.
 - To musi być jakiś błąd. Coś powinno było wyjść w analizach.
 - Tutaj napisane jest wyłącznie „nie wykryto”. Mamy także ostateczne rezultaty posiewu z wydzieliny nosowej chłopca. Jest to dość długa lista, ponieważ chciała pani, by zidentyfikowano wszystko. W większości mamy to co zwykle. *Staph epidermidis*, *alpha strep*. Takie rzeczy, których normalnie nawet się nie wyszczególnia.
 - A czy jest także coś niezwykłego?
 - Tak. *Vibrio fischeri*.
- Zapisała nazwę na kawałku papieru.
- Nigdy nie słyszałam o takim organizmie.
 - My też nie. Nigdy nie mieliśmy w posiewie niczego takiego. To musi być po prostu jakieś

zanieczyszczenie.

- Ależ pobrałam próbkę na posiew wprost z błony śluzowej nosa pacjenta.
- No, w każdym razie wątpię, by ten organizm pochodził z naszego laboratorium. Takiej bakterii raczej nie znajdzie się w szpitalu.

- Co to jest *Vibrio fischeri*? Gdzie to zazwyczaj występuje?
- Spytałam mikrobiologa w Bangore, to oni hodowali posiew. Powiedział mi, że ten gatunek zwykle kolonizuje bezkręgowce, takie jak kałamarnice czy mięczaki morskie. Żyje z nimi w symbiozie. Bezkręgowiec zapewnia bakterii bezpieczne środowisko życiowe.

- A co *Vibrio* za to daje?
- Dostarcza energii do organu świetlnego gospodarza.
Dopiero po chwili do Claire w pełni dotarło znaczenie tego faktu.
- Czy to znaczy, że te bakterie są bioluminescencyjne? - spytała ostro.
- Tak. Kałamarnica zbiera je w przejrzystym worku. Wykorzystuje ich światło do przyciągania innych kałamarnic. Coś w rodzaju neonu, zapraszającego do seksu.
- Muszę iść - przerwała. - Porozmawiamy później. - Wyłączyła telefon i pośpieszyła z powrotem do szkolnej kafeterii.

Glen Ryder znów próbował uciszyć zgromadzonych, bezskutecznie waląc młotkiem w stół, zagłuszany przez chór konkurencyjnych głosów. Wydawał się zaskoczony, gdy Claire przepchnęła się do mównicy.

- Muszę coś ogłosić - powiedziała. - Mam alarm zdrowotny dla tego miasta.
- To nie ma związku z tym zebraniem, pani doktor.
- Uważam, że ma. Proszę pozwolić mi mówić.
Kiwnął głową i znów zaczął stukać w stół z nową energią.

- Doktor Elliot ma coś do ogłoszenia!

Claire stanęła pośrodku sali, przed zgromadzonymi, świadoma, że wszyscy na nią patrzą. Odetchnęła głęboko i zaczęła:

- Te ataki przerażają nas wszystkich, powodują, że wskazujemy palcami na sąsiadów, szkołę, nowo przybyłych. Uważam jednak, że istnieje ich medyczne wytłumaczenie. Właśnie rozmawiałam z laboratorium szpitalnym i mam pewną koncepcję na temat tego, co się dzieje. - Uniosła karteczkę z nazwą bakterii. - Chodzi o bakterię pod nazwą *Vibrio fischeri*. Znajdowała się w wydzielinie nosowej Scotty'ego Braxtona. Niewykluczone, że to, czego jesteśmy świadkami, czyli agresywne zachowanie naszych dzieci, jest objawem infekcji. *Vibrio fischeri* może wywoływać odmianę zapalenia opon mózgowych, której nie potrafimy wykryć za pomocą rutynowych analiz.

Może także wywoływać coś, co w żargonie medycznym nazywane jest „reakcją sąsiadującą”: infekcję zatokową, sięgającą do mózgu...

- Zaraz, zaraz - przerwał jej Adam DelRay, wstając. - Od dziesięciu lat jestem tu lekarzem. Nigdy nie spotkałem się z infekcją tej... jak to się nazywa?

- *Vibrio fischeri*. Zazwyczaj nie występuje u ludzi. Ale laboratorium zidentyfikowało ją w posiewie mojego pacjenta.

- A skąd twój pacjent wziął tę bakterię?

- Przypuszczam, że z jeziora. Scotty Braxton i Taylor Darnell pływali w lecie w jeziorze niemal codziennie. Tak samo jak wiele innych dzieciaków. Jeśli w wodzie jeziora mamy wysokie stężenie *Vibrio*, wyjaśniałoby to, jak się zarazili.

- Ja też pływałam zeszłego lata - odezwała się jakaś kobieta. - I wielu innych dorosłych. Dlaczego tylko dzieci miałyby to złapać?

- To może zależeć od tego, w jakiej części jeziora się pływa. Poza tym wiem, że istnieje podobny

wzorzec zachorowań przy zapaleniu opon mózgowych wywołanych amebą. Jest to infekcja mózgu wywołana przez ameby żyjące w słodkiej wodzie. Najczęściej chorują dzieci i nastolatki. Gdy pływają w zakażonej wodzie, ameba dostaje się do błony śluzowej ich nosa. Stamtąd dociera do mózgu, przenikając przez porowatą barierę zwaną blaszką sitową. Dorośli się nie zarażają, ponieważ ich blaszki sitowe są uszczelnione i chronią mózg. Dzieci nie mają tego zabezpieczenia.

- Więc jak się to leczy? Antybiotykami czy czymś takim?

- Prawdopodobnie.

Adam DelRay roześmiał się niedowierzająco.

- Proponujesz, byśmy dali antybiotyki każdemu rozbuchanemu dziecku w mieście? Nie masz dowodów, że ktokolwiek jest zarażony!

- Mam pozytywny posiew.

- Jeden pozytywny posiew. W dodatku nie pochodzi z płynu rdzeniowego, więc jak możesz w ogóle mówić o zapaleniu opon mózgowych? - Omiótł wzrokiem zgromadzonych - Zapewniam mieszkańców, że nie ma żadnej epidemii. W zeszłym miesiącu Grupa Pediatryczna z Two Hills otrzymała subwencję od laboratorium, by zbadać krew i poziom hormonów dzieci. Pobierali krew wszystkim nastoletnim pacjentom w okolicy. Jakakolwiek infekcja ujawniłaby się w ich analizach krwi.

- O jakiej subwencji mówisz?

- Z Anson Biologicals. Miała ona na celu potwierdzenie podstawowych standardów. Nie wykryto niczego niezwykłego. - Pokiwał głową. - Ta twoja teoria o infekcji jest najbardziej zwariowaną rzeczą, o jakiej słyszałem, w dodatku bez cienia dowodu. Nawet nie wiesz, czy *Vibrio* w ogóle występuje w jeziorze.

- Wiem, że występuje - powiedziała Claire. - Widziałam ją.

- Widziałaś bakterię? Czyżbyś miała mikroskop zamiast oczu?
- *Vibrio fischeri* jest bioluminescencyjna. Daje poświatę. Widziałam bioluminescencję w jeziorze Locust.
- A gdzie są kultury, które by to potwierdziły? Czy zebrałaś próbki wody?
- Widziałam to tuż przed zamrożeniem jeziora. Teraz jest już prawdopodobnie za zimno, by wyhodować wiarygodny posiew. Co oznacza, że nie uzyskamy potwierdzenia aż do wiosny, gdy będziemy mogli zbadać wodę. Takie posiewy rosną bardzo długo. Być może minie parę tygodni, a nawet miesięcy, zanim otrzymamy odpowiedź. - Przerwała, zbierając siły przed wygłoszeniem następnego zdania. - Póki nie wyeliminujemy jeziora jako źródła bakterii - powiedziała - proponuję, byśmy nie pozwalali dzieciom w nim pływać.

Reakcja sali była natychmiastowa i ogłuszająca.

- To szaleństwo! Nie możemy pozwolić, by wydano taki zakaz!
- A co z turystami? Odstraszy pani turystów!
- Z czego, do diabła, mamy się utrzymywać?

Glen Ryder zerwał się na równe nogi i walnął w stół.

- Spokój! Spokój! - Zwrócił się do Claire z purpurową twarzą: - Pani doktor, to nie czas ani miejsce na proponowanie tak drastycznych rozwiązań. Rada Miejska musi to przedyskutować.
- To sprawa zdrowia publicznego - sprzeciwiła się Claire. - Taką decyzję może podjąć tylko Stanowy Wydział Zdrowia, nie członkowie rady.
- Nie ma potrzeby wciągać w to władz stanowych!
- Ich pominięcie byłoby nieodpowiedzialne.

Lois Cuthbert skoczyła na równe nogi.

- Powiem pani, co jest nieodpowiedzialne! Przychodzenie tu bez żadnych dowodów i

twierdzenie, że w naszym jeziorze są jakieś śmiertelne bakterie. I to w obecności wszystkich tych dziennikarzy. Zniszczy pani miasto!

- Jeśli istnieje zagrożenie dla zdrowia, nie mamy innego wyjścia.

Lois zwróciła się do Adama DelRaya:

- Jakie jest pana zdanie, doktorze? Czy istnieje zagrożenie dla zdrowia?

DelRay roześmiał się szyderczo.

- Jedyne zagrożenie, jakie widzę, to to, że staniemy się pośmiewiskiem, jeśli potraktujemy poważnie tę teorię. Bakterie, które świecą w ciemnościach? A może jeszcze tańczą i śpiewają?

Claire się zaczerwieniła, gdy wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Wiem, co widziałam - powtórzyła.

- Jasne, pani doktor! Psychodeliczne bakterie!

- Ja też je widziałem - rozległ się nagle głos Lincolna. Wszyscy umilkli, gdy wstał. Zaskoczona Claire odwróciła się, by na niego spojrzeć. Kiwnął jej krótko głową, jakby mówiąc: „Musimy się trzymać razem”.

- Byłem tam tego wieczoru z doktor Elliot - rzekł. - Oboje widzieliśmy poświatę na jeziorze. Nie potrafię powiedzieć, co to było. Trwało zaledwie parę minut, a potem zniknęło. Ale poświata była rzeczywista.

- Całe życie mieszkam nad tym jeziorem - powiedziała Lois Cuthbert - i nigdy nie widziałam żadnej poświaty.

- Ja też nie!

- Ani ja!

- Hej, komendancie, czy pan i pani doktor wachacie to samo?

Znow rozległ się śmiech, tym razem skierowany przeciwko obojgu. Oburzenie ustąpiło

szyderstwu, ale Lincoln się nie wycofał. Znosił złościwości ze spokojem.

- Być może jest to zjawisko okresowe - powiedziała Claire. - Coś, co nie zdarza się rokrocznie. Pewnie ma związek z warunkami atmosferycznymi. Z wiosenną powodzią czy szczególnie upalnym latem; w tym roku mieliśmy i jedno, i drugie. Takie same warunki wystąpiły pięćdziesiąt dwa lata temu. - Przerwała i spojrzała wyzywająco na zgromadzonych. - Wiem, że są na tej sali ludzie, którzy pamiętają, co zdarzyło się pięćdziesiąt dwa lata temu.

Tłum siedział w milczeniu.

Reporter z „Portland Press Herald” spytał głośno:

- Co zdarzyło się pięćdziesiąt dwa lata temu?

Glen Ryder wstał nagle.

- Rada weźmie to pod uwagę. Dziękujemy, doktor Elliot.

- Tym się trzeba zająć teraz - nie ustępowała Claire. - Należy wezwać Wydział Zdrowia, by zbadał wodę...

- Zajmiemy się tym na następnym posiedzeniu rady - powtórzył zdecydowanie Ryder. - To wszystko, pani doktor.

Z płonącymi policzkami Claire usunęła się na bok.

Zebranie toczyło się dalej, hałaśliwie i bezładnie. Rzucano różne propozycje, ale nikt nie wspomniał więcej o jej teorii - jednogłośnie uznano ją za niewartą dalszej dyskusji. Ktoś zaproponował godzinę policyjną dla dzieci o dziewiątej wieczorem. Nastolatki zaprotestowały:

- Prawa człowieka! Co z naszymi prawami człowieka?

- Wy, dzieciaki, nie macie żadnych praw! - krzyknęła Lois. - Póki nie nauczycie się odpowiedzialności!

Dalej była już tylko kłótnia.

O dziesiątej, gdy wszyscy zachrypli od krzyku, Glen Ryder w końcu rozwiązał zebranie.

Claire stała z boku, patrząc na wychodzących ludzi.

Nikt na mnie spojrział. Przestałam istnieć dla tego miasteczka, pomyślała z udreką. Jestem już tylko obiektem pogardy. Chciała podziękować Lincolnowi za poparcie, ale zobaczyła, że otoczyli go członkowie Rady Miejskiej, zarzucając komendanta pytaniami i skargami.

- Doktor Elliot! - zawołała Damaris Horne. - Co się stało pięćdziesiąt dwa lata temu?

Claire skierowała się ku wyjściu. Damaris i inni dziennikarze ruszyli za nią, ale powtarzała:

- Nie mam nic do dodania. Nie mam nic do dodania.

Na szczęście nikt nie ścigał jej poza budynek.

Zimny wiatr na dworze przenikał aż do kości. Zostawiła samochód kawałek od szkoły, wcisnęła więc ręce do kieszeni i ruszyła tak szybko, jak mogła, po oblodzonym chodniku, mrużąc oczy w świetle reflektorów mijających ją aut. Zanim doszła do samochodu, wyjęła kluczyki i miała właśnie otworzyć drzwi, gdy zdała sobie sprawę z tego, że coś jest nie w porządku.

Zrobiła krok do tyłu i patrzyła zaszokowana na sflaczałe gumy, które niedawno były jej oponami. Wszystkie cztery przecięto. W złości i frustracji walnęła pięścią w dach samochodu. Raz. Drugi.

Mężczyzna zmierzający do swojego wozu po drugiej stronie ulicy odwrócił się i spojrział na nią w zdumieniu. Był to Mitchell Groome.

- Coś się stało, pani doktor?! - zawołał.

- Niech pan spojrzy na moje opony!

Zaczekał, aż przejedzie samochód, po czym przeszedł na jej stronę ulicy.

- O rany! - mruknął. - Chyba ktoś pani nie lubi.

- Przecięli wszystkie!

- Pomógłbym pani je zmienić, ale zapewne nie ma pani czterech zapasowych?

Nie doceniła nieudanego żartu. Odwróciła się do niego tyłem i wpatrzyła w uszkodzone opony. Twarz piekła ją od mrozu, a chłód zamarzniętej ziemi niemalże przesączał się przez podeszwy botków. Było zbyt późno, by zadzwonić do warsztatu Joego Bartletta, który zresztą i tak dopiero rano będzie mógł skombinować cztery nowe opony. Stała bezradna, wściekła i coraz bardziej przemarznięta. Odwróciła się do Groome'a.

- Może mnie pan podwieźć do domu?

Wiedziała, że igra z ogniem. Dziennikarz musi zadawać pytania, więc zaledwie ruszyli, usłyszała to, którego się spodziewała:

- Więc co takiego zdarzyło się w mieście pięćdziesiąt dwa lata temu?

Odwróciła wzrok.

- Naprawdę nie jestem w nastroju.

- Nie wątpię, ale to i tak w końcu wyjdzie na jaw. Damaris Horne tak czy inaczej to wygrzebie.

- Ta kobieta jest pozbawiona etyki.

- Ale ma właściwe dojścia.

Claire spojrzała na niego.

- Mówi pan o posterunku policji?

- Wie już pani o tym?

- Nie znam nazwiska policjanta. Który to?

- Proszę mi powiedzieć, co zdarzyło się w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku.

Znów wpatrzyła się przed siebie.

- Wszystko jest w archiwum miejscowej gazety. Może pan sam poszukać.

Przez chwilę prowadził w milczeniu.

- To miasto już coś takiego przeżyło, prawda? - zapytał. - Podobne morderstwa.
 - Tak.
 - I uważa pani, że wynikają one z jakichś przyczyn biologicznych?
 - Ma to coś wspólnego z jeziorem. To jakieś zjawisko przyrodnicze. Bakterie, może algi.
 - A co z moją teorią? Że to kolejne Flanders, w stanie Iowa?
 - Nie, nie chodzi o nadużywanie narkotyków. Wydawało mi się, że coś wykryliśmy w krwi obu chłopców, jakiś rodzaj sterydu anabolicznego. Ale ostateczne analizy toksykologiczne były negatywne. Poza tym Taylor zaprzecza, jakoby zażywali narkotyki.
 - Dzieciaki czasem kłamią.
 - Ale analizy krwi nie.
- Skręcili na podjazd przed domem Claire. Odwrócił się, by na nią spojrzeć.
- Podjęła pani walkę z wiatrakami, pani doktor. Może nie czuła pani ogromu gniewu w tej sali, ale ja tak.
 - Nie tylko czułam ten gniew, ale mam cztery przecięte opony jako jego świadectwo. - Wysiadła.
- Dziękuję za podwiezienie. Teraz pan jest mi coś winien.
 - Tak?
 - Nazwisko policjanta, który rozmawia z Damaris Horne.
- Przepraszająco wzruszył ramionami.
- Nie znam jego nazwiska. Mogę jedynie powiedzieć, że widziałem ich razem. Chyba są ze sobą dość blisko. Ciemnowłosa, średniego wzrostu. Pracuje na nocnej zmianie.
 - Dowiem się, kto to - obiecała ponuro.

Lincoln wspinał się po schodach ładnego, wiktoriańskiego domu, czując, jak z każdym krokiem rośnie jego wyczerpanie. Było już dobrze po północy. Ostatnich parę godzin spędził na nadzwyczajnym posiedzeniu Rady Miejskiej, zwołanym w domu Glena Rydera, gdzie powiedziano mu bez ogródek, że jego posada stoi pod znakiem zapytania. Rada go zatrudniła i tylko ona może go zwolnić. Był urzędnikiem miasta Tranquility, więc jego dobrobyt powinien leżeć mu na sercu. Jak mógł poprzeć propozycję doktor Elliot, by zamknąć jezioro?

- Wyrażałem jedynie swoje szczere przekonanie - oświadczył.

W tym wypadku jednak szczerłość nie była najlepszą polityką. Musiał potem wysłuchać ogłupiającej litanii statystyk finansowych, wygłoszonej przez skarbnika miejskiego. Ile pieniędzy turyści co roku zostawiają. Ile dzięki temu powstaje nowych miejsc pracy. Ile miejscowych małych przedsiębiorstw istnieje jedynie dzięki turystom.

Skąd pochodzą pieniądze na jego, Lincolna, pensję.

Miasto żyje z jeziora Locust i nie ma mowy o żadnych pomysłach, by je zamknąć, o żadnych alarmach zdrowotnych, o najlżejszej nawet sugestii publicznej debaty.

Wyszedł z zebrania niepewny, czy wciąż ma pracę, niepewny nawet, czy wciąż chce ją mieć. Wsiadł do samochodu i był już w połowie drogi do domu, gdy dyspozytorka przekazała mu wiadomość, że ktoś jeszcze chce się z nim dzisiaj zobaczyć.

Zadzwoił do drzwi. Czekając, aż się otworzą, rozejrzał się po ulicy: wszystkie domy były ciemne, wszystkie zasłony zaciągnięte, by nie wpuścić czarnej, mroźnej nocy.

Drzwi się otworzyły.

- Dziękuję, że przyszedłeś, Lincoln - powiedziała sędzina Iris Keating.

Wszedł do środka. Wydawało mu się, że w domu brakuje powietrza, że się dusi.

- Podobno to coś pilnego.

- Miałaś już spotkanie z radą?

- Przed chwilą się skończyło.

- Nie chcą rozważyć zamknięcia jeziora?

- Miała pani wątpliwości? - Uśmiechnął się z rezygnacją.

- Dobrze znam to miasto. Wiem, jak ludzie myślą i czego się boją. Jak daleko są gotowi się posunąć, by chronić swoich bliskich.

- Więc wie pani, z czym mam do czynienia.

Wskazała drzwi biblioteki.

- Usiądźmy, Lincoln. Chcę ci coś powiedzieć.

W kominku wygasał ogień; już tylko kilka niespokojnych płomyczków wyskakiwało z kupki popiołu. Jednak w pokoju wciąż było za ciepło. Gdy Lincoln zapadł się w miękkim fotelu, pomyślał, że chyba nie zbierze dość energii, by nie zasnąć. By wstać i znów wyjść na mróz. Iris siedziała naprzeciwko, a jej twarz oświetlał jedynie żar kominka. Słabe światło było życzliwe dla rysów jej twarzy, pogłębiało jej oczy, wygładzało zmarszczki sześćdziesięciu sześciu lat do aksamitnych cieni. Tylko dłonie, chude i powykęcane artretyzmem, zdradzały jej wiek.

- Powinnaś była zabrać głos na dzisiejszym zebraniu, ale nie miałam odwagi - przyznała.

- Odwagi, żeby co powiedzieć?

- Gdy Claire Elliot mówiła o jeziorze, o tym wieczorze, kiedy widziała poświatę na wodzie, powinnaś była też się odezwać.

Lincoln pochylił się naprzód w fotelu. Znaczenie jej słów przebiło się przez jego zmęczenie.

- Też to pani widziała?

- Tak.

- Kiedy?

Uchwyciła mocniej poręczę fotela.

- Było to pod koniec lata. Miałam czternaście lat. Mieliśmy wtedy dom koło Skał. Nie ma go już. Został rozebrany dawno temu. - Przeniosła spojrzenie na ogień i tak zamarła wpatrzona w migające płomyki. Odchyliła się na oparcie, a jej srebrne włosy utworzyły wokół głowy aureolę na tle czarnego obicia fotela. - Pamiętam tę noc. Bardzo intensywnie padało. Obudziłam się i usłyszałam grzmot. Podeszłam do okna i zobaczyłam coś na wodzie. Światło. Poświatę. Trwało to tylko parę minut, a potem... - Przerwała. - Zanim obudziłam rodziców, zniknęło, a woda znów była ciemna. - Pokiwała głową. - Oczywiście mi nie uwierzyli.

- Czy widziała to pani jeszcze kiedyś?

- Raz. Parę tygodni później, także podczas ulewy. Tylko krótkie migotanie, a potem znowu nic.

- Tego wieczoru, gdy Claire i ja to widzieliśmy, także mocno padało.

Uniosła wzrok i spojrzała na Lincolna.

- Przez te wszystkie lata myślałam, że to musiała być błyskawica. Albo złudzenie optyczne. Ale dziś po raz pierwszy dowiedziałam się, że nie tylko ja to widziałam.

- Czemu pani nic nie powiedziała? Pani by wysłuchali.

- I zaczęli zadawać pytania. Kiedy to było, w którym roku.

- W którym to było roku, pani sędzino?

Odwróciła głowę, ale zdążył dostrzec blask łez w jej oczach.

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym - wyszeptała. - W lecie czterdziestego szóstego.

W tym roku, gdy rodzice Iris Keating zostali zabici przez jej piętnastoletniego brata. W roku, w którym także i Iris zabiła, w obronie własnej. Wypchnęła brata przez okienko w wieżycze,

patrzyła, jak spada na pewną śmierć.

- Rozumiesz teraz, dlaczego się nie odezwałam - powiedziała.
 - Szkoda, bo to mogłoby coś zmienić.
 - Nikt nie chce o tym słyszeć. A ja nie chcę o tym mówić.
 - To było tak dawno temu. Pięćdziesiąt dwa lata...
 - Pięćdziesiąt dwa lata to nic! Spójrz, jak wciąż traktują Warrena Emersona. Ja też ponoszę winę. Jako dzieci byliśmy sobie bardzo bliscy. Myślałam, że kiedyś... - Nagle przerwała. Znów wpatrzyła się w ogień, teraz zaledwie tłące się polana. - Unikałam go przez tyle lat. Udawałam, że nie istnieje. A teraz słyszę, że być może to wcale nie była jego wina, tylko po prostu infekcja. Infekcja mózgu. I już za późno, by mu to wynagrodzić.
 - Nie jest za późno. Warren był w zeszłym tygodniu operowany i już się dobrze czuje. Nie zechciałaby pani go odwiedzić?
 - Nie wiem, co mogłabym mu powiedzieć po tylu latach. Nie wiem, czy w ogóle chciałby mnie zobaczyć.
 - Niech pani zostawi Warrenowi tę decyzję.
- Myślała o tym, a jej oczy błyszczały w zamierającym blasku żaru. W końcu podniosła się sztywno.
- Chyba ogień już zgasł. - Odwróciła się i wyszła z pokoju.

Na podjeździe przed domem Lincolna stał samochód.

Zatrzymał się za nim i jęknął. Choć przez cały dzień nie było go w domu, w dużym pokoju paliły się światła. Wiedział, co go czeka w środku. Nie teraz, pomyślał. Nie dzisiaj.

Wszedł powoli na schodki prowadzące na ganek. Drzwi frontowe nie były zamknięte. Kiedy Doreen udało się ukraść klucz do nowego zamka?

Znalazł ją śpiącą na kanapie. Kwaśny odór alkoholu wypełniał pokój. Jeśli ją teraz obudzi, rozegra się kolejna pijacka scena z krzykiem i płaczem. Sąsiedzi się obudzą. Lepiej niech to odeśpi. Porozmawia z nią rano, gdy Doreen wytrzeźwieje, a on nie będzie się zataczał ze zmęczenia. Stał nad nią, ze smutnym niedowierzaniem przyglądając się kobiecie, z którą się ożenił. W jej splątanych rudych włosach pojawiły się siwe pasemka. Z otwartych ust wydobywał się głośny rytm gwizdów i pomruków. A jednak nie czuł do niej obrzydzenia, raczej litość i niedowierzanie, jak kiedykolwiek mógł być w niej zakochany.

Miał także poczucie nużącej, niewygasłej odpowiedzialności.

Potrzebny jej koc. Skierował się do szafki w holu, gdy zadzwonił telefon. Szybko podniósł słuchawkę, bojąc się, że dźwięk dzwonka obudzi Doreen i rozpocznie się scena, której się lękał. Mówił Pete Sparks.

- Przepraszam, że dzwonię tak późno - powiedział - ale doktor Elliot nalegała. Sama chciała do ciebie dzwonić, gdybym ja tego nie zrobił.
- Czy chodzi o przecięte opony? Mark już mnie o tym powiadomił.
- Nie, coś innego.
- Co się stało?
- Jestem w jej gabinecie. Ktoś tu wybił wszystkie okna.

Rozdział szesnasty

Szło było wszędzie. Lśniące igły zaścielały dywan, stolik na czasopisma, kanapę w poczekalni. Przez wybite okna, teraz otwarte na nocne powietrze, wpadały płatki śniegu i osiadały na meblach niby cienka koronka.

Oszołomiona i milcząca Claire przeszła przez poczekalnię do recepcji. Okno nad biurkiem Very także zostało rozbite. Kawałeczki szkła i połamane sople lśniły na klawiaturze komputera. Wiatr rozwiał papiery i śnieg po całym pokoju białą kurzawą, która wkrótce przemieni się w mokre plamy na dywanie.

Usłyszała trzeszczenie szkła pod butami Lincolna.

- Sklejka już jedzie, Claire. Zapowiadają dalsze opady śniegu, więc okna trzeba zabezpieczyć jeszcze tej nocy.

Nie odrywała wzroku od śniegu na dywanie.

- To przez to, co powiedziałam na zebraniu, prawda?

- Nie tylko ten budynek padł ofiarą wandalii. W tym tygodniu uszkodzono też kilka innych.

- Ale tylko mnie dotknęło to dwukrotnie w ciągu jednej nocy. Nie mów, że to przypadek.

Policjant Pete Sparks wszedł do pokoju.

- Nie mamy szczęścia z sąsiadami, Lincoln. Zadzwonili, gdy usłyszeli brzęk szkła, ale nie widzieli, kto to zrobił. To tak samo jak w zeszłym tygodniu w warsztacie Joego Bartletta. Rozwalili i uciekli.

- Ale Joemu Bartlettowi wybito tylko jedno okno - powiedziała Claire. - A mnie rozbili wszystkie. Będę musiała zamknąć gabinet na parę tygodni.

Sparks próbował ją uspokoić.

- Te okna da się wymienić w parę dni.

- A mój komputer? A zniszczony dywan? Będę musiała odtworzyć wszystkie dane i wszystkie rachunki. Nie wiem, czy warto. Nawet nie wiem, czy w ogóle chcę zacząć od początku.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z budynku.

Siedziała skulona w furgonetce, gdy pojawili się Lincoln i Sparks. Zamienili parę słów, a potem Lincoln podszedł do jej wozu i wsunął się na siedzenie pasażera.

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. Patrzyła wprost przed siebie załzawionymi oczyma, a migające światło wozu patrolowego Sparksa wyglądało jak pulsująca mgiełka. Szybko i gniewnie otarła dłonią łzy.

- Muszę powiedzieć, że komunikat jest wyraźny i jednoznaczny. To miasto mnie nie chce.
- Nie całe miasto, Claire. Jeden wandal. Jedna osoba...
- Która prawdopodobnie wyraża opinię wielu innych. Właściwie już dziś mogę się spakować i wyjechać. Zanim postanowią spalić również mój dom.

Nie odezwał się.

- Ty też tak myślisz, prawda? - powiedziała. - Że straciłam szansę na znalezienie tu miejsca dla siebie.

- Utrudniłaś sobie dzisiaj zadanie. Gdy mówisz o zamknięciu jeziora, wiele osób czuje się zagrożonych.

- Powinnaś była siedzieć cicho.
- Nie, Claire, musiałaś to powiedzieć. Zrobiłaś to, co trzeba, i nie tylko ja tak uważam.
- Jakoś nikt nie podszedł, by uścisnąć mi dłoń.
- Uwierz mi. Są też inni, których niepokoi sprawa jeziora.
- Ale go nie zamkną, prawda? Nie mogą sobie na to pozwolić. Więc zamiast tego próbują zamknąć mnie, robiąc to, co robią. Usiłując wypędzić mnie z miasta. - Spojrzała na budynek. - I to im się uda.

- Nie spędziłaś tu jeszcze nawet roku. To trwa...

- Jak długo trzeba tu czekać, by zostać zaakceptowanym? Pięć lat, dziesięć? Całe życie? - Wyciągnęła rękę i przekręciła kluczyk w stacyjce. Uderzył ją pierwszy powiew zimnego powietrza z wentylatora.

- Twój gabinet można wyremontować.
- Tak, budynki łatwo naprawić.
- Wszystko można wymienić. Okna, komputer...
- A co z pacjentami? Nie sądzę, żeby mi jeszcze jacyś zostali po dzisiejszym wieczorze.
- Tego nie wiesz. Nie dałaś Tranquality szansy.
- Ja nie dałam? - Wyprostowała się i spojrzała na niego z gniewem. - Poświęciłam temu miastu dziewięć miesięcy życia! Codziennie martwię się o moją praktykę, o to, dlaczego wciąż mam na wpół pustą książkę zgłoszeń. Dlaczego ktoś aż tak mnie nienawidzi, że rozsyła anonimowe listy do moich pacjentów. Są tu ludzie, którzy chcą, by mi się nie powiodło, i robią, co mogą, by wypędzić mnie z miasta. Długo trwało, zanim zrozumiałam, że nigdy nie będzie lepiej. Tranquality mnie nie chce, Lincoln. Chcą kolejnego doktora Pomeroya albo Marcusa Welby'ego. Ale nie mnie.
- To wymaga czasu, Claire. Przyjechałaś z daleka i ludzie muszą się do ciebie przyzwyczaić, uwierzyć, że ich nie zostawisz. Pod tym względem Adam DelRay ma nad tobą przewagę. To facet stąd i wszyscy zakładają, że tu zostanie. Ostatni lekarz, który do nas przyjechał z innego stanu, został półtora roku. Nie wytrzymał zimy. Doktor, który był przed nim, uciekł przed upływem roku. Miejscowi uważają, że ty też nie przetrwasz. Czekają, jak zniesiesz zimę. Czy poddasz się i wyjedziesz jak tamci dwaj.
- To nie zima mnie stąd wygania. Mogę znieść ciemności i zimno. Nie mogę natomiast znieść obcości. Poczucia, że nigdy nie będę tu przynależać. - Odetchnęła głęboko, a jej gniew nagle się rozplynął, pozostawiając jedynie zmęczenie. - Nie wiem, dlaczego uznałam, że wszystko będzie dobrze. Noah nie chciał się tu przeprowadzić, ale ja go zmusiłam. I widzę teraz, jakie to było z mojej strony głupie...
- Dlaczego właściwie się tu przeniosłaś, Claire? - Zadał to pytanie tak cicho, że niemal

rozpłynęło się w szumie powietrza z ogrzewania.

Nigdy dotąd tego pytania jej nie zadał. Była to podstawowa informacja na jej temat, a nigdy mu jej nie udzieliła. Dlaczego przyjechałam do Tranquility. Teraz czekał na odpowiedź, a milczenie rozciągało się między nimi, powiększając jej niechęć do zwierzeń.

Wyczuł zmieszanie Claire i przeniósł spojrzenie na ulicę, zapewniając jej w ten sposób pewien margines prywatności. Gdy znów się odezwał, jego słowa wydawały się skierowane nie do niej, zupełnie jakby dzielił się myślami z kimś innym.

- Ludzie, którzy przeprowadzają się tu z innych miejscowości - powiedział - najczęściej, jak mi się wydaje, od czegoś uciekają. Od pracy, której nienawidzą byłego męża, byłej żony. Jakiejś tragedii, która wstrząsnęła ich życiem.

Oparła się o drzwiczki i poczuła lodowate dotknięcie szyby na policzku. Skąd on to wie? - zastanawiała się. Ile odgadł?

- Przyjeżdżają tu, ci ludzie skądinąd, i myślą że znaleźli raj. Może są na wakacjach. Może po prostu przejeżdżają tędy samochodem, a nazwa miasteczka zapada im w pamięć. Tranquility. Spokój. Brzmi tak bezpiecznie, jak miejsce, do którego można uciec, w którym się można schować. Zaglądają do miejscowego biura nieruchomości i patrzą na fotografie na ścianach. Wszystkie te farmy na sprzedaż, domki nad jeziorem. To było zdjęcie białego domu z żonkilami rosnącymi na podwórku i klonem, który dopiero co zaczynał się zielenić. Nigdy nie miałam domu z klonem. Nigdy nie mieszkałam w miasteczku, gdzie można popatrzeć na niebo i zobaczyć gwiazdy, a nie blask latarni ulicznych.

- Zastanawiają się, jak to jest mieszkać w małym miasteczku - mówił dalej Lincoln. - W miejscowości, gdzie nikt nie zamyka drzwi na klucz, a sąsiedzi przygotowują ci powitalną zapiekankę. W miejscu, które jest bardziej bajką niż rzeczywistością, ponieważ takie miasteczko,

jakie sobie wyobrazili, nie istnieje. A problemy, które chcieli zostawić za sobą, wędrują za nimi do nowego domu. I kolejnego.

Noah powtarzał, że nie chce wyjeżdżać. Powiedział, że mnie znienawidzi, jeśli zmuszę go do opuszczenia Baltimore i wszystkich kumpli. Ale nie można pozwolić czternastoletniemu chłopcu, by ci dyktował, jak masz żyć. Ja jestem matką, ja decyduję. Wiedziałam, co jest dla niego dobre, co jest dobre dla nas obojga.

A w każdym razie tak mi się wydawało.

- Być może przez chwilę to działa - ciągnął. - Nowy dom, nowe miejsce odwracają uwagę od tego wszystkiego, od czego się uciekło. Wszyscy mają nadzieję na nowy początek, na szansę ułożenia sobie życia jeszcze raz. I myślą, że nie może być lepszego czasu i miejsca po temu niż lato nad jeziorem.

- Ukradł samochód - powiedziała.

Nie zareagował. Zastanawiała się, co dostrzegłaby w jego oczach, gdyby się teraz odwróciła i spojrzała na niego. Zapewne nie zaskoczenie - już wiedział, czy też domyślił się, że jej przyjazd do Tranquility był aktem desperacji.

- Oczywiście nie było to jedyne przestępstwo, które popełnił. Gdy go aresztowano, dowiedziałam się o wszystkim, co zrobił. Kradzieże w sklepach. Graffiti. Włamanie do pobliskiego sklepu spożywczego. Robili to razem, Noah i jego kumple. Trzech chłopaków, którzy się nudzili i postanowili urozmaicić sobie nieco życie. A także życie rodziców. - Opadła na oparcie, nie odrywając wzroku od pustej ulicy. Zaczynał padać śnieg. Płatki zatrzymywały się na przedniej szybie, szybko topiły i spływały niczym łzy. - Najgorsze było to, że nic nie wiedziałam. Tak mało mi mówił, tak całkowicie straciłam kontakt z synem. Gdy tego wieczoru zadzwoniła do mnie policja i poinformowała, że zdarzył się wypadek, a w skradzionym samochodzie był także Noah,

powiedziałam im, że to jakaś pomyłka. Mój syn nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Mój syn nocuje u kolegi. Ale tak nie było. Siedział na pogotowiu z rozciętą głową. A jego przyjaciel, jeden z tych chłopców, był w stanie śpiączki. Powinnam chyba być wdzięczna losowi, że mój syn nigdy nie zapomina zapiąć pasów. Nawet gdy kradnie samochód. - Pokręciła głową i westchnęła. - Pozostali rodzice byli tak samo wstrząśnięci. Nie chcieli wierzyć, że ich chłopcy mogliby coś takiego zrobić. Uznali, że Noah ich do tego namówił. Noah miał być tym podżegaczem. Czego bowiem można się spodziewać po chłopcu bez ojca? Nie zastanawiali się, że mój syn był z tej trójki najmłodszy. Zrzucili to na brak ojca i fakt, że jako lekarz byłam zbyt zajęta, zajmując się rodzinami innych, by zwracać uwagę na to, co robi mój własny syn.

Snieg padał coraz gęstszy, zasnuwając szybę, odcinając widok na ulicę.

- Najgorsze było to, że się z nimi zgadzałam. Widocznie robiłam coś nie tak, jakoś go zawiodłam. I potrafiłam myśleć tylko o jednym: jak to wszystko naprawić.

- Spakowanie się i zmiana domu to dość drastyczny sposób.

- Szukałam cudu. Magicznego rozwiązania. Doszliśmy do punktu, w którym nienawidziliśmy się wzajemnie. Nie umiałam kontrolować, gdzie chodzi i co robi. A najgorsze było to, że nie miałam wpływu na dobór jego przyjaciół. Widziałam, dokąd to prowadzi. Kolejny ukradziony samochód, kolejne aresztowanie, kolejna runda bezużytecznej terapii rodzinnej... - Odetchnęła głęboko.

Gruba warstwa śniegu pokrywała już całą przednią szybę. Czuła się pogrzebana, zamknięta z tym mężczyzną jak w grobowcu. - A potem - powiedziała - odwiedziliśmy Tranquility.

- Kiedy?

- To był jesienny weekend nieco ponad rok temu. Większość turystów już wyjechała, pogoda wciąż była ładna. Takie babie lato. Wynajęliśmy z Noahem domek nad jeziorem. Rano po przebudzeniu się słyszałam nury. I nic poza tym. Tylko nury, a potem cisza. To poczucie

kompletnego spokoju było podczas tego weekendu najcudowniejsze. Nie kłóciliśmy się. Przebywanie razem sprawiało nam przyjemność. Wtedy zrozumiałam, że chcę wyjechać z Baltimore... - Pokręciła głową. - Chyba dobrze mnie zaklasyfikowałeś, Lincoln. Jestem jak każdy inny outsider przyjeżdżający tutaj: uciekam od poprzedniego życia, od licznych problemów. Nie byłam pewna, dokąd iść. Wiedziałam jedynie, że nie mogę zostać tam, gdzie jestem.

- A teraz?
- Tutaj też nie mogę zostać - rzekła łamiącym się głosem.
- Zbyt wcześnie, by podejmować taką decyzję, Claire. Nie byłaś tu wystarczająco długo, by stworzyć sobie praktykę.
- Jestem tu od dziewięciu miesięcy. Przez lato i jesień siedziałam w gabinecie, czekając na napływ pacjentów. Przychodzili niemal wyłącznie turyści. Letnicy ze skreconą kostką lub niestrawnością. Lato się skończyło, wszyscy wrócili do domu, a ja nagle zdałam sobie sprawę z tego, jak niewiele moich pacjentów mieszka tu na stałe. Myślałam, że przetrwam, że ludzie mi zaufają. Być może tak by się stało za rok czy dwa. Ale po dzisiejszym wieczorze nie mam na to szans. Podczas zebrania powiedziałam, co musiałam powiedzieć, ale miastu to się nie spodobało. Teraz mogę jedynie znów się spakować i wyjechać. I mieć nadzieję, że nie jest zbyt późno na powrót do Baltimore.

- Tak łatwo się poddajesz?
To pytanie miało ją sprowokować. Zwróciła się ku niemu z gniewem:
 - Łatwo? Ile trzeba, żebyś uznał to za „niechętnie”?
 - Przecież nie całe miasto cię atakuje. Tylko kilku niezrównoważonych osobników. Masz więcej poparcia, niż sądzisz.
 - I gdzie ono jest? Dlaczego nikt poza tobą nie poparł mnie podczas zebrania?

- Niektórzy nie wiedzą, co myśleć. Albo boją się odezwać.
- Nic dziwnego. Też mogliby skończyć z poprzecinanymi oponami - powiedziała ironicznie.
- To bardzo mała miejscowość, Claire. Ludziom się wydaje, że się znają wzajemnie, ale gdy się nad tym głębiej zastanowić, to nieprawda. Nie dzielimy się sekretami. Wytyczamy sobie prywatne terytoria i nie pozwalamy innym ich przekraczać. Przemówienie podczas zebrania mieszkańców oznacza otwarcie się przed innymi. Większość woli się nie odzywać, nawet jeśli się z tobą zgadza.
- Całe to ciche poparcie nie pomoże mi zarobić na życie.
- Nie, to prawda.
- Nie ma żadnej gwarancji, że ktoś jeszcze w ogóle pojawi się w moim gabinecie.
- Owszem, to pewne ryzyko.
- A więc po co? Powiedz mi, po co miałabym tu zostawać?
- Bo nie chcę, byś wyjechała.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała. Patrzyła na niego, usiłując w mroku dojrzeć wyraz jego twarzy.

- To miasto potrzebuje kogoś takiego jak ty - powiedział. - Kogoś, kto trochę zamąci jego spokój. Kto sprawi, że zaczniemy zadawać sobie pytania, których nigdy nie mieliśmy odwagi wypowiedzieć głośno. Wiele stracimy, jeśli wyjedziesz, Claire. Wszyscy wiele stracimy.

- A więc mówisz w imieniu miasteczka?
- Tak. - Zamilkł, ale po chwili dodał: - I w moim własnym.
- Nie jestem pewna, co to znaczy.
- Ja też nie. Nie wiem nawet, po co to mówię. Żadnemu z nas nie wyjdzie to na dobre. - Nagle chwycił klamkę u drzwi i już miał je otworzyć, gdy wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Zastygł w pół ruchu, wciąż trzymając drzwi, wciąż gotów wyskoczyć z samochodu na dwór.

- Wydawało mi się, że mnie nie lubisz - powiedziała.
Rzucił jej zdziwione spojrzenie.
- Takie robiłem wrażenie?
- To nie miało nic wspólnego z tym, co mówisz.
- A z czym?
- Nigdy nie poruszałeś żadnych osobistych tematów. Jakbyś nie chciał, żebym cokolwiek o tobie wiedziała. Nie przeszkadzało mi to, po prostu uznałam, że tu tak właśnie jest. Ludzie nie są wylewni, ty też nie. Ale potem, gdy już poznaliśmy się bliżej, a ta niewidzialna ściana wciąż nas dzieliła, pomyślałam, że być może wcale nie o to chodzi, że jestem outsiderem. Może to coś we mnie. Coś, co ci we mnie nie odpowiada.
- To jest coś w tobie.
Milczała chwilę.
- Rozumiem.
- Wiedziałem, co się stanie, jeśli nie będę podtrzymywał tej ściany. - Opuścił ramiona, jakby nieszczęście go przygniotło. - Można się przyzwyczaić do wszystkiego, co długo trwa, nawet do braku szczęścia. Jestem mężem Doreen od tak dawna, że chyba po prostu zaakceptowałem swój los. Dokonałem niewłaściwego wyboru, przyjąłem na siebie odpowiedzialność i teraz muszę sobie z tym radzić, jak umiem.
- Jeden błąd nie powinien rujnować ci życia.
- Gdy istnieje ktoś jeszcze, kogo to zabol, nie jest łatwo być samolubnym i myśleć tylko o sobie. Oczywiście, łatwiej nic nie robić i pozwolić, by wszystko toczyło się swoim torem. Zorganizować sobie dodatkową warstwę znieczulającą.
Podmuch wiatru na chwilę oczyścił szybę, pozostawiając na szkle topniejące płatki. Wkrótce

padający śnieg zasnuje ten krótki rzut oka w noc.

- Jeśli wydawało ci się, Claire, że nie darzę cię sympatią - powiedział - to tylko dlatego, że ciężko nad tym pracowałem.

Raz jeszcze sięgnął ku klamce.

Raz jeszcze zatrzymała go dotykem, ręką położoną na ramieniu.

Odwrócił się w jej stronę. Tym razem spotkały się ich spojrzenia. Żadne się nie odwróciło, nie wycofało.

Objął jej twarz dłonią i pocałował. Zanim zdążył się odsunąć, zanim zdążył pożałować tego impulsu, pochyliła się ku niemu i oddała pocałunek.

Nie знаła jego warg, smaku jego ust. Całowała nieznajomego. Mężczyznę, którego tęsknota, tak długo ukrywana, wybuchła teraz żywym ogniem. Ją też opanowała gorączka, poczuła, jak jej twarz i całe ciało zaczynają płonąć, gdy ją ku sobie przyciągnął. Raz i drugi wymruczał jej imię, jakby w zdumieniu, że to ją właśnie trzyma w ramionach.

Pokrytą śniegiem szybę rozjaśniły nagle światła nadjeżdżającego samochodu. Odsunęli się od siebie i siedzieli w pełnym poczucia winy milczeniu, słuchając zbliżających się do furgonetki kroków. Ktoś zapukał w drzwi od strony pasażera.

Policjant Mark Dolan objął spojrzeniem Lincolna i Claire.

- Och - powiedział tylko. Jedna sylaba, a jaki ocean znaczeń. - Zobaczyłem, hm, że silnik jest włączony, i chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku - wyjaśnił. - Rozumiecie, zatrucie tlenkiem węgla i tak dalej...

- Wszystko w porządku - powiedział Lincoln.

- Taaa... Dobra. - Dolan się cofnął. - Dobranoc, Lincoln.

- Dobranoc.

Po odejściu Dolana Claire i Lincoln siedzieli przez chwilę w milczeniu.

- Całe miasto będzie jutro o tym wiedziało - powiedział w końcu Lincoln.

- Na pewno. Tak mi przykro.

- A mnie nie. - Roześmiał się, wysiadając. - W gruncie rzeczy, Claire, nic mnie to nie obchodzi. To miasto wie o wszystkim, co mi w życiu nie wyszło. Więc gdy raz dla odmiany coś mi się udało, to niech się i o tym dowie.

Włączyła wycieraczki i przez przejrzystą już szybę patrzyła, jak macha do niej na do widzenia i rusza do swojego samochodu. Po drodze mijał wóz Dolana, zatrzymał się więc, by zamienić z nim kilka słów.

Odjeżdżając, przypomniała sobie nagle, co Mitchell Groome powiedział jej o źródle informacji Damaris Horne.

„Ciemnowłosa, średniej budowy ciała, pracuje na nocnej zmianie”. Mark Dolan, pomyślała.

Następnego ranka Lincoln pojechał na południe do Orono. Nie spał dobrze tej nocy. Leżał w łóżku, myśląc o wydarzeniach minionego wieczoru. O zebraniu mieszkańców. O rozmowie z Iris Keating. O zniszczeniach w biurze Claire. I o samej Claire.

Przede wszystkim o Claire.

O siódmej obudził się niezbyt wypoczęty. Gdy zszedł na dół, widok Doreen wciąż śpiącej w dużym pokoju był jak policzek. Jedno jej ramię zwisało z kanapy, rozrzucone rude włosy były matowe i przetłuszczone, usta na wpół otwarte. Przez chwilę stał i patrzył na nią, zastanawiając się, jak ją przekonać, by wyszła bez wrzasku i płaczu, ale czuł się zbyt zmęczony, aby teraz zajmować się tym problemem. Martwienie się o Doreen zużywało ogromną część jego energii

życiowej. Na sam jej widok jego ręce i nogi stawały się ciężkie, jak gdyby Doreen i siła ciężkości były blisko związane.

- Przykro mi, złotko - powiedział - ale ja chcę jeszcze trochę normalnie pożyć.

Odbył jedną rozmowę telefoniczną, a potem zostawił śpiącą na kanapie Doreen i wyszedł z domu. Odjeżdżając, poczuł, jak pierwsza warstwa depresji opada z niego niby zużyta, zewnętrzna skóra. Drogi były oczyszczone, jezdnie posypane piaskiem. Nacisnął na gaz i nabierając prędkości, czuł, że zrzuca tych warstw coraz więcej, że gdyby mógł po prostu jechać wystarczająco długo i wystarczająco szybko, to w końcu pojawiłby się prawdziwy Lincoln, taki, jakim był dawniej, oczyszczony i narodzony na nowo. Mijał pola pokryte świeżym śniegiem, unoszonym i układającym się w puszyste chmurki przy najlżejszym nawet powiewie wiatru. Jedź dalej, nie zatrzymuj się, nie oglądaj za siebie. Jego wyprawa miała określony cel, ale w tej chwili rozkoszował się jedynie radosnym poczuciem ucieczki.

Gdy godzinę później dotarł do zabudowań Uniwersytetu Stanowego, czuł się odświeżony i odnowiony, zupełnie jakby przespał całą noc w wygodnym łóżku. Zostawił samochód na parkingu i w ostrym, krystalicznym powietrzu ruszył pieszo przez teren uniwersytetu.

Lucy Overlock siedziała w gabinecie na wydziale antropologii. Dzięki swoim stu osiemdziesięciu centymetrom wzrostu i strojowi składającemu się z dżinsów i flanelowej koszuli wyglądała bardziej jak drwal niż profesor uniwersytetu.

Powitała go kiwnięciem głowy i uściskiem twardej dłoni.

Nawet siedząc za biurkiem, była imponującą kobietą o budowie amazonki.

- Przez telefon powiedział pan, że ma pytania na temat szczątków znad jeziora Locust.

- Chciałbym dowiedzieć się czegoś o rodzinie Gowów. Jak zmarli. Kto ich zabił.

Uniosła brew.

- Jest jakieś sto lat za późno, by kogoś aresztować za tę zbrodnię.
- Niepokoją mnie okoliczności ich śmierci. Czy udało wam się znaleźć jakieś doniesienia prasowe o tym morderstwie?
- Tak, Vince'owi, mojemu doktorantowi. Rozpatruje przypadek rodziny Gowów w swojej pracy doktorskiej. Odtwarza dawne morderstwo na podstawie szczątków. Poświęcił parę tygodni na znalezienie informacji. Nie wszystkie stare gazety trafiły do archiwów. Wasz teren był wówczas tak słabo zaludniony, że niewiele o nim pisano.
- A zatem jak zginęła rodzina Gowów?
- Obawiam się, że to banalna historia. Niestety, przemoc w rodzinie nie jest współczesnym wynalazkiem.
- Ojciec to zrobił?
- Nie. Siedemnastoletni syn. Jego ciało znaleziono wiele tygodni później, wiszące na drzewie. Najwyraźniej popełnił samobójstwo.
- A motyw? Czy chłopak miał zaburzenia?
- Lucy rozparła się na krześle, a na jej opaloną twarz padło światło z okna. Lata pracy na dworze odbiły się na jej cerze i zimowe światło podkreślało wszystkie piegi i zmarszczki.
- Nie wiemy, rodzina najwyraźniej żyła w znacznym odosobnieniu. Według map nadań z tego okresu, własność Gowów obejmowała cały południowy brzeg jeziora. Być może wśród sąsiadów nikt dobrze nie znał chłopca.
- A zatem rodzina była zamożna?
- Nie wiem, czy zamożna, ale niewątpliwie posiadali dużo ziemi. Vince mówił, że ten teren stał się własnością rodziny Gowów pod koniec osiemnastego wieku, i tak było aż do tego... wydarzenia. Później wyprzedano ziemię po kawałku i zabudowano.

- Czy Vince to ten zapyziały chłopak z kucykiem?

Roześmiała się.

- Wszyscy moi studenci są zapyziani. To niemal warunek uzyskania doktoratu.

- A gdzie mógłbym go teraz znaleźć?

- Od dziewiątej powinien być u siebie w gabinecie. W suterenie muzeum. Zadzwoń i uprzedzę go, że pan do niego idzie.

Lincoln był tu już wcześniej. Tym razem na szerokim drewnianym stole leżały ceramiczne skorupy, nie zaś ludzkie szczątki, a okna sutereny zasypał śnieg. Brak naturalnego światła i wilgotne kamienne stopnie sprawiły, że Lincoln miał wrażenie, jakby znalazł się w wielkiej, podziemnej grocie. Wszedł w labirynt półek z eksponatami, stosów pudełek zawierających artefakty, o nadgryzionych wilgocią etykietkach. „Ludzka szczęka dolna (mężczyzna)”, odczytał na jednej. Pomyślał, że drewniana skrzynka to żałośnie anonimowe miejsce dla czegoś, co niegdyś było ludzką szczęką. Zaczynało go już drapać w gardle od kurzu, pleśni i niewyraźnego, dymnego zapachu, który z każdym krokiem w głąb sutereny stawał się coraz mocniejszy. Marihuana.

- Panie Brentano! - zawołał.

- Jestem tutaj - odpowiedział mu głos. - Niech pan skręci w lewo przy wypchanej sowie.

Po kilku następnych krokach Lincoln stanął przed wielką sową w szklanej gablotce. Skręcił w lewo.

„Gabinet” Vince'a Brentano składał się zaledwie z biurka i szafki kartotekowej, wciśniętych między półki z eksponatami. Choć w zasięgu wzroku nie było żadnej popielniczki, zapach marihuany wisiał ciężko w powietrzu, a młody mężczyzna, najwyraźniej niepewnie czując się w

obecności policjanta, przyjął defensywną pozycję, barykadując się za biurkiem i opierając na wyciągniętych przed siebie rękach. Patrząc Vince'owi prosto w oczy, Lincoln wyciągnął dłoń na powitanie.

Po krótkiej chwili wahania Vince ją uściskał. Obaj zrozumieli znaczenie tego gestu: zawarto układ.

- Proszę siadać - zaproponował Vince. - Może pan zestawić to pudło na podłogę, ale proszę uważać, bo krzesło się trochę chwieje. Wszystko tu się chwieje. Jak pan widzi, mam luksusowe biuro.

Lincoln zestawił pudło z krzesła. W środku coś zagrzechotało.

- Kości - wyjaśnił Vince.

- Ludzkie?

- Goryla nizinnego. Używam ich na wykładach porównawczych. Daję je studentom i proszę o diagnozę, ale nie mówię, że nie są ludzkie. Powinien pan usłyszeć, co wymyślają. Wszystko od akromegalii po syfilis.

- To podstępny chwyt.

- Całe życie jest podstępnym chwytem. - Vince rozparł się na krześle, patrząc na Lincolna z ciekawością. - Zakładam, że ta wizyta także jest podstępem. Zazwyczaj policja nie grzebie w morderstwach sprzed stu lat.

- Rodzina Gowów interesuje mnie z innych powodów.

- Jakich?

- Wydaje mi się, że ich śmierć może mieć związek z naszymi obecnymi problemami w Tranquility.

Vince wyglądał na zdziwionego.

- Czy mówi pan o tych niedawnych morderstwach?
- Popełnili je normalni skądinąd chłopcy. Nastolatki, które straciły nad sobą kontrolę i zabiły. Psychologowie dziecięcy przeprowadzają psychoanalizę każdego dzieciaka w mieście, ale nie potrafią wyjaśnić, dlaczego tak się stało. Zacząłem więc myśleć o tym, co przydarzyło się Gowom. O podobieństwach.
- Chodzi panu o nastoletniego zabójcę? - Vince wzruszył ramionami. - Popychadło też ma granice wytrzymałości. Gdy władza zbyt mocno naciska, młodzi ludzie się buntują. To się zdarzało wielokrotnie.
- To nie jest bunt. Ci chłopcy wpadają w amok, zabijają przyjaciół i rodzinę. - Przerwał na chwilę. - To samo zdarzyło się pięćdziesiąt dwa lata temu.
- Co się zdarzyło?
- W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku w Tranquility w listopadzie popełniono siedem morderstw.
- Siedem? - Vince szeroko otworzył oczy za szklami okularów w drucianej oprawce. - W miejscowości liczącej ile osób?
- W czterdziestym szóstym roku Tranquility liczyło siedmiuset mieszkańców. A teraz znów przeżywamy taki sam kryzys.
- Vince zaśmiał się nerwowo.
- Człowieku, musicie mieć u siebie poważne problemy socjologiczne. Ale niech pan nie obciąża za to młodzieży. Niech pan szuka winy w starszych. Gdy dzieci rosną w atmosferze przemocy, uczą się, że przemoc jest sposobem na rozwiązywanie problemów. Tatuś wielbi wszechmogącą broń, wychodzi i dla sportu rozwala sarnę. Synek odczytuje komunikat: zabijanie jest frajdą.
- To zbyt gładkie wyjaśnienie.

- Nasze społeczeństwo wielbi agresję! A potem wkładamy broń w ręce dzieci. Niech pan spyta pierwszego z brzegu socjologa.
 - Nie wydaje mi się, by socjologowie potrafili wyjaśnić nasz przypadek.
 - No dobrze, a jakie jest pańskie wyjaśnienie?
 - Deszcze.
- Zapadło długie milczenie.
- Słucham?
 - W tym roku mieliśmy identyczny wzorzec pogody z tym w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym. Zaczęło się w kwietniu od bardzo obfitych opadów deszczu. Lokalny most został zerwany, zwierzęta domowe potonęły...
Vince uniósł oczy do nieba.
 - Biblijny potop?
 - Wie pan, nie jestem zbyt religijny...
 - Ja też nie wierzę w Boga. Jestem naukowcem.
 - A zatem zawsze szukacie wzorców w przyrodzie, prawda?
 - Korelacji.
 - No więc taki właśnie wzorzec dostrzegam i w tym roku, i w czterdziestym szóstym. W kwietniu i maju w mieście zanotowano rekordowe opady deszczu. Rzeka Locust wystąpiła z brzegów i zniszczyła stojące na brzegach domy. Potem deszcze się kończą; w lipcu i sierpniu nie pada w ogóle. Co więcej, jest niezwykle gorąco. Tak gorąco, że oba lata trafiają do księgi rekordów. - Zaczerpnął powietrza i wolno je wypuścił. - W końcu, w listopadzie, zaczyna się to wszystko dziać.
 - Co takiego?
 - Morderstwa.

Vince nic nie mówił. Siedział z nieprzeniknioną miną.

- Wiem, że to zwariowana teoria - powiedział Lincoln.
- Nie ma pan pojęcia, jak bardzo.
- Ale korelacja istnieje. Doktor Elliot uważa, że to może być zjawisko przyrodnicze. Jakaś nowa bakteria czy algi w jeziorze, wywołujące zmiany osobowości. Czytałem o czymś podobnym, dotyczyło to rzek na południu. Mikroorganizm, który zabija miliony ryb. Produkuje toksynę, działającą także na ludzi, uszkadzającą ich koncentrację, czasem powodującą napady wściekłości.
- Pewnie mówi pan o *Dinoflagellata*. To rodzaj planktonu.
- Tak. Być może u nas dzieje się coś podobnego. Dlatego pragnę zebrać informacje o sprawie rodziny Gowów. Konkretnie chcę wiedzieć, czy w roku, w którym zginęli, były obfite deszcze. Rządowe dane powodziowe nie sięgają tak daleko w przeszłość, dlatego potrzebuję relacji prasowych.

Vince w końcu zrozumiał.

- Chce pan zobaczyć moje wycinki prasowe.
- Być może zawierają informacje, których szukam.
- Powódź. - Vince wyprostował się i zmarszczył brwi, jakby usiłował przywołać jakieś wspomnienie. - To dziwne. Wydaje mi się, że coś sobie przypominam na temat powodzi... - Okręcił się na krześle ku szafce, wyciągnął szufladę i przerzucił kilka teczek. - Gdzie ja to widziałem? Gdzie, gdzie... - Wyciągnął teczkę opisaną „Listopad 1887, »Two Hills Herald«”. W środku był plik fotokopii artykułów prasowych.
- Deszcze byłyby na wiosnę - powiedział Lincoln. - Nie będzie nic o tym w wycinkach z listopada...
- Nie, to ma coś wspólnego ze sprawą Gowów. Pamiętam, że to odnotowałem. - Przerzucił

fotokopie, w końcu zatrzymał się przy jednej i przyjrzał pomiętej stronie. - Tak, tu jest ten artykuł z datą dwudziestego trzeciego listopada. Tytuł: „Siedemnastolatek zabija swoją rodzinę. Pięć ofiar”. Dalej jest mowa o zmarłych: państwu Teodorostwu Gow, ich dzieciach Jennie i Josephie, oraz matce pani Gow, Althei Frick. - Odłożył kartkę na bok. - Już pamiętam. To było w nekrologach.

- Co było?

Vince wyciągnął kolejną fotokopię.

- Tu jest nekrolog matki pani Gow. „Althea Frick, sześćdziesiąt dwa lata, zabita na początku minionego tygodnia, została pochowana trzydziestego listopada podczas wspólnego pogrzebu z rodziną Theodora Gow. Urodzona w Two Hills, była córką Petrasa i Marii Gosse'ów. Oddana matka dwojga dzieci. Przez czterdzieści jeden lat wierna żona Donata Fricka, który utopił się minionej wiosny... - Głos Vince'a nagle umilkł. Doktorant podniósł wzrok na Lincolna. - ...Gdy rzeka Locust wystąpiła z brzegów”.

Patrzyli na siebie, obaj pod wrażeniem tego nieoczekiwanego potwierdzenia. Przy nogach Vince'a stał piecyk elektryczny ze spiralą świecącą jasnopomarańczowym światłem. Nic jednak nie mogło zwalczyć chłodu, jaki w tym momencie ogarnął Lincolna, który na chwilę zwątpił, czy kiedykolwiek zdoła się znów rozgrzać.

- Kilka tygodni temu - powiedział - wspomniał pan Indian z plemienia Penobscot. Mówił pan, że odmawiali osiedlania się w pobliżu jeziora Locust.

- Tak. Było objęte tabu, tak samo jak niższa część Beech Hill, gdzie płynie potok Meegawki. Uważali, że to niezdrowe miejsce.

- Czy wie pan, dlaczego było uważane za niezdrowe?

- Nie.

Lincoln się zamyślił.

- Nazwa „Meegawki”... to słowo pewnie pochodzi z języka Penobscotów?
- Tak. To zniekształcone Sankadelak Migahke, ich nazwa dla tego obszaru. Sankadelak w wolnym przekładzie to „potok”.
- A co znaczy to drugie słowo?
- Lepiej to sprawdzę. - Vince okręcił się na krześle i sięgnął na półkę po dość sfatygowany egzemplarz słownika języka Penobscotów. Szybko znalazł odpowiednią stronę. - No tak, miałem rację co do Sankadelak. Oznacza rzekę lub strumień.
- A to drugie?
- Migah'ke znaczy „walczyć” lub... - Vince przerwał. Uniósł wzrok na Lincolna. - Lub „zabijać”. Patrzyli się na siebie w milczeniu.
- To wyjaśniałoby tabu - powiedział w końcu Lincoln cicho. Vince przełknął ślinę.
- Tak. To „zabójczy strumień”. Strumień, który zabija.

Rozdział siedemnasty

- Grube dupsko - syknął J.D. Reid z sekcji puzonów. - Barry ma grube dupsko! Noah uniósł wzrok i zerknął z ukosa na swojego partnera przy pulpicie, Barry'ego Knowltona. Biedny grubas mocno ścisnął saksofon, starając się skoncentrować na zachowaniu rytmu, ale spurpurowiał i zaczął się pocić, jak zawsze, gdy odczuwał stres. Barry Knowlton pocił się i na sali gimnastycznej, i odmieniając czasowniki na lekcji francuskiego, i wtedy, gdy odezwała się do niego jakaś dziewczyna. Najpierw się rumienił, potem na jego czole i skroniach zbierały się małe kropelki, a już po chwili strumyczki potu spływały z niego jak lody topniejące w upale.
- Ludzie, to dupsko jest takie grube, że gdyby je wystrzelić w kosmos, mielibyśmy drugi księżyc.

Kropla potu kapnęła z twarzy Barry'ego na saksofon. Ścisnął instrument tak mocno, że palce mu całkiem zbieleły. Noah się odwrócił.

- Odczep się, J.D.

- Ooch. Teraz chuda dupa jest zazdrosna, że się na nią nie zwraca uwagi. Stąd mam niezły widok. Gruba dupa i chuda dupa, do pary.

- Powiedziałem, odczep się!

Reszta zespołu przestała grać i w nagłej ciszy „odczep się” Noaha rozległo się z pełną mocą.

- Noah, co tam się dzieje?

Noah odwrócił się i zobaczył, że pan Sanborn marszczy brwi. Pan Sanborn był fajnym facetem, jednym z ulubionych nauczycieli Noaha, ale był też kompletnie ślepy na to, co się dzieje w klasie.

- Noah usiłuje wywołać bójkę, proszę pana - powiedział J.D.

- Co takiego? To on usiłuje wywołać bójkę! - zaprotestował Noah.

- Nie sądzę - prześmiewał się J.D.

- Nigdy nie odpuści! Wciąż robi głupie komentarze!

Pan Sanborn znużonym gestem skrzyżował ramiona.

- Jakie komentarze, mogę wiedzieć?

- Powiedział... powiedział... - Noah przerwał i spojrzał na Barry'ego, napiętego jak struna, która za chwilę się zerwie. - No, to były obraźliwe uwagi.

Ku zaskoczeniu wszystkich Barry nagle kopnął pulpit tak, że go przewrócił, rozrzucając wokół kartki z nutami.

- Nazwał mnie grubym dupskiem! Tak mnie nazwał!

- Hej, to nie obraźliwa uwaga, to prawda! - powiedział J.D.

Przez salę przeleciał śmiech.

- Przestańcie! - wrzasnął Barry. - Przestańcie się ze mnie śmiać!

- Barry, usiądź, proszę.

Barry zwrócił się do pana Sanborna.

- Nigdy pan nic nie robi! Nikt nic nie robi! Pozwala mu pan mnie prześladować, a wszystkich to gównie obchodzi!

- Barry, musisz się uspokoić. Wyjdź, proszę, do holu i ochłoń trochę.

Barry cisnął saksofon na krzesło.

- Wielkie dzięki, proszę pana - powiedział i wyszedł z sali.

- Oooch. Księżyc w pełni znika - szepnął J.D.

Noah w końcu nie wytrzymał.

- Zamknij się! - krzyknął. - Zamknij się w końcu!

- Noah! - Pan Sanborn zastukał pałeczką w pulpit.

- To jego wina, nie Barry'ego! J.D. nigdy nie odpuszcza! Żadne z was nigdy nie przestaje! -

Rozejrzał się po kolegach z klasy. - Wszyscy dajecie mu popalić!

Pan Sanborn w furii walił pałeczką w pulpit.

- Jesteście beznadziejni!

J.D. się roześmiał.

- I kto to mówi!

Noah skoczył na równe nogi, chcąc rzucić się na J.D. Zabiję go! Jakaś ręka chwyciła Noaha za ramię.

- Dość tego! - krzyknął pan Sanborn, odciągając go w tył. - Noah, ja się zajmę J.D.! Idź ochłonać w holu!

Noah zrzucił z ramienia rękę nauczyciela. Wściekłość, która doszła do tak niebezpiecznego

punktu, wciąż krążyła w jego żyłach, ale udało mu się ją opanować. Rzucił J.D. ostatnie spojrzenie, które mówiło: „spróbuj jeszcze raz, a pożałujesz”, i wyszedł z sali.

Znalazł Barry'ego koło szafek, pocącego się i dyszącego. Chłopak walczył z kombinacją zamka szyfrowego. Wciąż wściekły walnął pięścią w szafkę, a potem oparł się o nią. Pod jego ciężarem zamek o mało nie puścił.

- Zabiję go - powiedział.
- Razem go zabijemy - rzekł Noah.
- Mówię serio. - Barry spojrział na niego i Noah nagle zrozumiał. On naprawdę mówi serio.

Zadzwonił dzwonek na koniec lekcji. Dzieciaki wysypały się z klas, wypełniając hol. Noah po prostu stał w miejscu, patrząc, jak Barry odchodzi - spocony grubas, znikający w tłumie. Nie zauważył Amelii, póki nie zatrzymała się tuż koło niego i nie dotknęła jego ramienia.

Drgnął nagle i spojrział na nią.

- Słyszałam o tobie i J.D. - powiedziała.
- Więc pewnie słyszałaś też, że to mnie wyrzucono z klasy.
- J.D. to kawał palanta. Nikt nigdy mu się dotychczas nie sprzeciwił.
- No cóż, niepotrzebnie to zrobiłem. - Noah ustawił swój zamek szyfrowy i otworzył szafkę.

Drzwi odskoczyły ze stukiem. - Nie warto było otwierać jadaczki.

- Warto. Szkoda, że nie wszyscy są tak odważni. - Pochyliła głowę, a złote włosy zsunęły jej się po policzku. Odwróciła się.

- Amelio?

Podniosła na niego wzrok. Już tyle razy rzucał dziewczynie ukradkowe spojrzenia, po prostu dla samej przyjemności patrzenia na jej twarz. Tyle razy wyobrażał sobie, jak by to było dotykać tej twarzy, tych włosów. Pocałować ją. Miał kilka okazji, ale nigdy nie zdobył się na odwagę, by to

rzeczywiście zrobić. A teraz wpatrywała się w niego tak intensywnie, że nie mógł się powstrzymać. Drzwi jego szafki były otwarte, zasłaniając ich od strony holu. Wyciągnął rękę, ujął jej dłoń i delikatnie przyciągnął dziewczynę do siebie.

Przysunęła się chętnie, z szeroko otwartymi oczyma i rumieńcem na policzkach. Ich wargi dotknęły się tak lekko, że niemal wcale. Spojrzeli na siebie, upewniając się bez słów, że to im nie wystarczyło. Że oboje chcą spróbować jeszcze raz.

Kolejny pocałunek był mocniejszy, głębszy. Czerpali nawzajem odwagę ze swoich warg. Otoczył ją ramieniem i rzeczywiście była tak miękka, jak sobie wyobrażał - jak słodko pachnący, lśniący jedwab. Teraz ona także objęła Noaha za szyję, przyciągając go bliżej.

Odrzucone w tył drzwi szafki stuknęły i nagle ktoś jeszcze tam stanął.

- Cóż za wzruszająca scena! - zadrwił J.D.

Amelia odskoczyła, patrząc na swojego przyrodniego brata.

- Ty tania dziwko! - J.D. szarpnął ją mocno.

Amelia odepchnęła go z całych sił.

- Nie dotykaj mnie!

- Aha, wolisz, jak Noah Elliot cię obmacuje?

- Dosyć tego! - Noah ruszył na J.D., z rękoma już zaciśniętymi w pięści. Nagle zamarł. Pan Sanborn wyszedł z klasy i stał w holu, przyglądając się im.

- Na dworze - powiedział J.D. cicho, z błyszczącymi oczyma. - Na parkingu. Teraz.

Fern Cornwallis wypadła z budynku i biegła przez sięgający po kostki śnieg ku parkingowi nauczycieli. Zanim dobiegła do walczących chłopców, jej nowiutkie skórzane pantofle całkiem

przemokły, a palce u nóg zdrętwiały. Nie była w nastroju, by myśleć racjonalnie. Przepchnęła się przez krąg gapiów i złapała jednego z chłopców za kurtkę. To znowu Noah Elliot, pomyślała z wściekłością, odciągając go od J.D. Reida. J.D. parsknął jak wściekły byk i uderzył ramieniem w pierś Noaha, przewracając i jego, i Fern.

Fern wylądowała na plecach na ziemi, brudząc wełniany kostium błotem i piaskiem. Stała na nogi, równocześnie rozdzierając sobie rajstopy. W ataku nieopanowanej wściekłości znów ruszyła ku walczącym, tym razem chwytając za kołnierz J.D. Szarpnęła tak mocno, że chłopak spurpurowiał i zaczął charczeć, ale wciąż wymachiwał rękoma, usiłując trafić Noaha pięścią.

Dwoje nauczycieli ruszyło Fern na pomoc. Każde z nich chwyciło J.D. za jedno ramię i odciągnęło w tył.

- Trzymaj się z daleka od mojej siostry, Elliot!
- Nie dotknąłem twojej siostry! - odkrzyknął Noah.
- Co innego widziałem!
- To jesteś ślepy i głupi!
- Jeśli was jeszcze raz razem zobaczę, nie pozbieracie się!
- Przestańcie! Obaj! - krzyknęła Amelia, przepychając się naprzód i stając między chłopcami. -

Ale z ciebie palant, J.D.!

- Lepszy palant niż szkolna szmata!

Amelia się zaczerwieniła.

- Zamknij się!
- Szmata! - wypluł z siebie J.D. - Szmata, szmata!

Noah wyrwał się i uderzył pięścią J.D. w zęby. Głośny trzask kości o ciało był jak nagły strzał w czystym powietrzu. Krew trysnęła na śnieg.

- Trzeba podjąć zdecydowane działanie - powiedziała pani Lubec, nauczycielka historii. - Nie możemy gasić małych pożarów, Fern, gdy wokół płonie las.

Fern kulila się w pożyczonym dresie i piła herbatę. Wiedziała, że wszyscy siedzący wokół stołu konferencyjnego patrzą na nią i czekają na jakąś decyzję, ale mogli jeszcze trochę poczekać. Najpierw musiała się rozgrzać, by krew znów zaczęła krążyć w jej bosych, przemarzniętych stopach, teraz owiniętych ręcznikiem pod stołem. Dres czuć było potem i zwietrzałymi perfumami, tak samo jak jego właścicielkę, pulchną pannę Boodles, nauczycielkę gimnastyki. Poza tym był rozciągnięty na biodrach. Fern przemogła wzdrygnięcie i skupiła się na piątce ludzi siedzących wokół stołu konferencyjnego. Za dwie godziny ma spotkanie z rejonowym kuratorem szkolnym, któremu musi przedstawić nowy plan działania. A w tym celu musiała zasięgnąć opinii grona nauczycielskiego.

W pokoju razem z nią siedzieli wicedyrektorka, dwie nauczycielki, pedagog szkolny oraz psycholog rejonowy doktor Lieberman. Lieberman był jedynym mężczyzną w pokoju i przyjął ów pełen wyższości styl bycia, jaki często przyjmują faceci, gdy są jedynymi kogutami wśród kur.

- Uważam, że najwyższy czas mocniej ich przycisnąć - powiedziała nauczycielka angielskiego. - Zastosować drakońskie metody. Jeśli wymaga to uzbrojonych strażników w holach i usunięcia rozrabiaków ze szkoły, to tak zrobimy.

- To nie jest właściwe podejście, moim skromnym zdaniem - oświadczył doktor Lieberman z wyraźnym brakiem skromności.

- Próbowaliśmy intensywniejszych zajęć terapeutycznych - powiedziała Fern. - Próbowaliśmy zajęć z rozwiązywania konfliktów. Próbowaliśmy zawieszania, zatrzymywania po godzinach i próśb.

Zdjęliśmy nawet desery z menu szkolnej stołówki, by zmniejszyć ich poziom cukru. Te dzieciaki wymknęły się spod kontroli i nie wiem, czyja to wina. Wiem natomiast, że wszyscy nauczyciele są wykończeni, a ja jestem gotowa wezwać na odsiecz wojsko. - Spojrzała na wicedyrektorę. - Gdzie jest komendant Kelly? Czy do nas nie dołączy?

- Zostawiłam wiadomość na komendzie. Komendanta dziś rano coś zatrzymało.
- To pewnie przez te nocne inspekcje samochodów - zażartowała pani Lubec.
- Co takiego? - Fern spojrzała na nią pytająco.
- Słyszałam to u Monaghana. Wszystkie Dinozaury o tym gadały.
- I co mówili? - Pytanie Fern zabrzmiało ostrzej, niż chciała. Postarała się odzyskać panowanie nad sobą, zapobiec rumieńcowi.
- Och, późnym wieczorem komendant Kelly i doktor Elliot tak się rozgrzali, że zaparowali szyby w samochodzie. To nie znaczy, że biednemu człowiekowi nic się nie należy od życia, po tych wszystkich latach... - Głos pani Lubec zamarł na widok zmartwiałej twarzy Fern.
- Czy możemy wrócić do naszej sprawy? - przerwał Lieberman.
- Tak, oczywiście - wyszeptała Fern. To tylko plotki. Lincoln broni tej kobiety publicznie i zaraz całe miasto myśli, że ze sobą sypiają. Jeszcze kilka miesięcy temu to Fern była domniemaną kobietą w jego życiu. Też plotki, które wzięły się stąd, że spędzali ze sobą długie godziny, opracowując szkolny projekt DARE. Zmusiła się, by przestać myśleć o Claire Elliot. Zwróciła swoją irytację przeciwko Liebermanowi, który starał się przejąć kierowanie zebraniem.
- Brutalna siła nie działa dobrze w tej grupie wiekowej - mówił właśnie. - Mamy tu do czynienia z takim stadium rozwoju, w którym buntują się właśnie przeciwko władzy. Przyciśnięcie tych dzieciaków, pokazanie swojej przewagi, to nie jest właściwy komunikat.
- Jest mi już wszystko jedno, jaki komunikat im wysyłam - odrzekła Fern. - Moim obowiązkiem

jest nie dopuścić, by się wzajemnie pozabijali.

- Więc należy zagrozić im utratą czegoś, na czym im zależy. Zajęć sportowych, wycieczki szkolnej. A co z tą zabawą, która jest planowana? To chyba dla nich znaczące wydarzenie?

- Już dwa razy ją przekładaliśmy - wyjaśniła Fern. - Najpierw z powodu pani Horatio, potem przez te wszystkie bójkę.

- Ale czy pani nie rozumie, że to jest właśnie coś pozytywnego, co można im zaproponować? Marchewka za dobre zachowanie. Ja bym tego nie odwoływał. Jakie inne mają zachęty?

- A co z groźbą śmierci? - mruknęła nauczycielka angielskiego.

- Pozytywne wzmacnianie - oświadczył Lieberman. - To mantra, którą powinniśmy zapamiętać. Pozytywne. Pozytywne.

- Zabawa może okazać się katastrofą - powiedziała Fern. - Dwie setki dzieci w zatłoczonej sali gimnastycznej. Wystarczy jedna bójka na pięści, a będziemy mieli wrzeszczący tłum.

- Więc z góry usuńmy rozrabiaków. To właśnie nazywam pozytywnym wzmocnieniem. Każdy, kto wychyli się choć na centymetr poza wyznaczone granice, zostaje wykluczony. - Przerwał na chwilę. - Ci dwaj chłopcy, którzy dzisiaj wdali się w bójkę...

- Noah Elliot i J.D. Reid.

- Zaczniemy od zrobienia z nich przykładu.

- Zawiesiłam ich do końca tygodnia - powiedziała Fern. - Rodzice już po nich jadą.

- Na pani miejscu wyjaśniłbym całej szkole, że na zabawie nie będzie ani tych chłopców, ani żadnych innych rozrabiaków. Należy postawić ich jako przykład tego, czego nie wolno robić.

W przedłużającej się ciszy oczy wszystkich zwróciły się na Fern. Czekali na jej decyzję, ale ona była już zmęczona decydowaniem i znoszeniem oskarżeń, gdy coś poszło nie tak. A teraz siedział tu ten doktor Lieberman, mówiąc jej, co powinna zrobić, więc niemal z radością poddała się jego

opiniom. Szansie przerwania odpowiedzialności na kogoś innego.

- No dobrze. Zabawa wraca do planu.

Zapukano do drzwi. Puls Fern przyśpieszył, gdy do pokoju wszedł Lincoln Kelly. Dzisiaj nie był w mundurze, ale w dżinsach i starej kurtce myśliwskiej. Niósł ze sobą zapach zimy, a we włosach migotały mu płatki śniegu. Wyglądał na zmęczonego, lecz to tylko podkreślało jego atrakcyjność. Pomyślała, jak już wielokrotnie przedtem: Potrzebujesz oddanej kobiety, która by się o ciebie troszczyła.

- Przepraszam za spóźnienie - odezwał się. - Dopiero przed chwilą wróciłem do miasta.

- Już kończymy spotkanie - powiedziała Fern. - Ale ty i ja musimy porozmawiać, jeśli masz chwilę. - Wstała i natychmiast się zmieszała, bo patrzył w zdziwieniu na jej niedbały strój. - Musiałam przerwać kolejną bójkę i wyładowałam na ziemi - wyjaśniła. Obciągnęła bluzę. - Awaryjny komplet na zmianę. Niezbyt twarzowy kolor.

- Nic ci się nie stało?

- Nie. Choć bolesne jest zniszczenie pary włoskich pantofli.

Uśmiechnął się, co miało znaczyć, że kobieta mimo niechlujnego wyglądu emanuje urokiem i dowcipem, a on potrafi to docenić.

- Poczekam na ciebie w sekretariacie - powiedział, wychodząc.

Nie mogła po prostu wyjść z sali i do niego dołączyć. Najpierw musiała zakończyć spotkanie. Zanim się wreszcie elegancko uwolniła, minęło pięć minut i Lincoln nie był już w sekretariacie sam.

Była z nim Claire Elliot.

Wydawało się, że nie zauważyli Fern wychodzącej z sali konferencyjnej, tak całkowicie byli pochłonięci sobą nawzajem. Nie dotykali się, ale na twarzy Lincolna malowało się takie ożywienie, jakiego Fern nigdy nie widziała. Zupełnie jakby obudził się po długiej hibernacji, by dołączyć do

żywych.

Ból, jaki w tej chwili poczuła, był niemal fizyczny. Zrobiła krok w ich stronę, ale nagle nie miała nic do powiedzenia. Cóż on takiego widzi w tobie, czego nie widzi we mnie? - zastanawiała się, patrząc na Claire. Przez te wszystkie lata była świadkiem powolnego rozpadu małżeństwa Lincolna i myślała, że w końcu czas okaże się jej sprzymierzeńcem. Doreen zniknie, a Fern zajmie jej miejsce. Tymczasem pojawiła się skądś ta kobieta, tak zwyczajnie wyglądająca kobieta w śniegowcach i brązowym golfie, i natychmiast znalazła się na czele kolejki. Nie pasujesz tu, pomyślała Fern zjadliwie, gdy Claire odwróciła się w jej stronę. Nigdy tu nie pasowałaś.

- Zadzwoń do mnie Mary Delahanty - powiedziała Claire. - Jak rozumiem, Noah wdał się w kolejną bójkę.

- Pani syn został zawieszony - oświadczyła Fern bez ogródek. Chciała zadać jej ból i z zadowoleniem dostrzegła, że Claire drgnęła.

- Co się stało?

- Wdał się w bójkę o dziewczynę. Najwyraźniej pozwalał sobie na zbyt wiele i brat dziewczyny wystąpił w obronie siostry.

- Trudno mi w to uwierzyć. Mój syn nigdy nie wspomniał o żadnej dziewczynie...

- Dzieciom nie jest łatwo w obecnych czasach porozumieć się z rodzicami, kiedy ci są tak zajęci pracą zawodową. - Fern chciała zranić Claire Elliot i najwyraźniej jej się to udało, bo na policzki Claire wypłynął rumieniec winy. Fern doskonale wiedziała, w co celować: w najdrażliwsze miejsce każdego rodzica, uwrażliwione przez wyrzuty sumienia i brzemię odpowiedzialności.

- Fern - powiedział Lincoln. Usłyszała w jego głosie naganę. Odwróciła się w jego stronę i nagle poczuła głęboki wstyd. Straciła panowanie nad sobą, dała upust złości, ukazując się z najgorszej strony, podczas gdy Claire grała rolę niewiniątka. Opanowanym głosem oznajmiła:

- Pani syn czeka w pokoju zatrzymań. Może go pani zabrać do domu.
 - Kiedy będzie mógł wrócić do szkoły?
 - Jeszcze nie podjęłam decyzji. Spotkam się z jego nauczycielami i wysłucham ich opinii. Kara musi być tak surowa, by dwukrotnie pomyślał, zanim znów spowoduje kłopoty. - Spojrzała na Claire. - Już wcześniej miewał problemy, prawda?
 - Był tylko ten incydent z deskorolką...
 - Nie, mówię o tym, co było wcześniej. W Baltimore.
- Zaszokowana Claire patrzyła na nią w milczeniu. A więc to prawda, pomyślała Fern z satysfakcją. Ten chłopiec zawsze był problemem.
- Mój syn - oświadczyła Claire ze spokojną pewnością - nie jest rozrabiaką.
 - A jednak znalazł się w rejestrze młodocianych.
 - Skąd pani wie?
 - Otrzymałam kilka wycinków prasowych z Baltimore.
 - Kto je przysłał?
 - Nie wiem. To nieważne.
 - To bardzo ważne! Ktoś usiłuje zniszczyć moją reputację, wypędzić mnie z miasta. Teraz próbują dobrać się do mojego syna.
 - Ale to prawda? Rzeczywiście ukradł samochód?
 - Zdarzyło się to tuż po śmierci jego ojca. Czy ma pani pojęcie, jak czuje się dwunastoletni chłopiec, gdy musi patrzeć, jak jego ojciec umiera? Jak kompletnie to może złamać serce dziecka? Noah nigdy nie doszedł do siebie. Tak, jest wciąż pełen gniewu. Pełen żalu. Ale znam go i mówię pani, że mój syn nie jest zły.
- Fern powstrzymała się od komentarza. Było dla niej jasne, że doktor Elliot jest ślepa, niezdolna

dojrzeć czegokolwiek poza swoją miłością.

- Kim był ten drugi chłopiec? - spytał Lincoln.
- A jakie to ma znaczenie? - odparła Fern. - Noah musi ponieść konsekwencje własnego zachowania.
- Sugerowałaś, że to ten drugi zaczął bójkę.
- Tak, by bronić siostry.
- Rozmawiałaś z dziewczyną? Potwierdziłaś, że potrzebowała obrony?
- Nie muszę niczego potwierdzać. Zobaczyłam dwóch bijących się chłopców. Wybiegłam, by przerwać bójkę, i zostałam przewrócona na ziemię. To, co się tam zdarzyło, było brzydkie. Brutalne. Nie mogę uwierzyć, że sympatyzujesz z chłopcem, który mnie zaatakował...
- Zaatakował?
- Doszło do kontaktu cielesnego. Upadłam.
- Czy chcesz wnieść sprawę?

Otworzyła usta, by powiedzieć, że tak, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Wniesienie sprawy oznacza składanie zeznań w sądzie. A co może powiedzieć pod przysięgą? Widziała wściekłość w twarzy Noaha, wiedziała, że chętnie by ją uderzył. To, że nie podniósł na nią ręki, było jedynie technicznym szczegółem. Ważny był zamiar, agresja w jego oczach. Ale czy ktokolwiek to dostrzegł?

- Nie, nie chcę wnosić sprawy - oświadczyła. - Dam mu jeszcze jedną szansę - dodała wspaniałomyślnie.

- Jestem pewien, że Noah ci za to podziękuje, Fern - powiedział Lincoln.

To nie jego aprobaty pragnę, pomyślała żałośnie. Tylko twojej.

- Chcesz o tym porozmawiać? - spytała Claire.

W odpowiedzi Noah cofnął się jak ameba, kuląc się po swojej stronie samochodu.

- Musimy o tym kiedyś porozmawiać, kochanie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że zostałeś zawieszony. Nie wiemy, kiedy ani czy w ogóle będziesz mógł wrócić do szkoły.

- No to nie wrócę. I tak się tam niczego nie uczę. - Odwrócił się i utkwiał wzrok za oknem, odcinając się od niej.

Jechała dalej w milczeniu, patrząc na drogę, ale jej właściwie nie widząc. Zamiast tego oczami duszy ujrzała swojego syna, jakim był w wieku lat pięciu, zwiniętego w kłębek na kanapie, milczącego, zbyt nieszczęśliwego, by jej opowiedzieć o drwinach, które go spotkały tego dnia w szkole. Nigdy nie miał daru komunikacji, pomyślała. Zawsze odgradzał się milczeniem, a teraz ten mur stał się grubszy i bardziej nieprzenikliwy.

- Myślę o tym, co powinniśmy zrobić, Noah. Musisz mi powiedzieć, czego byś chciał. Czy uważasz, że postępuję właściwie. Wiesz, że moja praktyka lekarska nie idzie najlepiej. A teraz, przy tych wszystkich wybitych oknach i zniszczonych dywanach, miną tygodnie, zanim znów będę mogła przyjmować pacjentów. Jeśli w ogóle jeszcze jacyś zechcą do mnie przyjść... - Westchnęła.

- Próbowałam po prostu znaleźć miejsce dobre dla ciebie, dobre dla nas obojga. A wygląda na to, że tylko zabałamotałam sprawę. - Skręciła na podjazd przed domem i zgasiła silnik. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Zwróciła się ku niemu. - Nie musisz mi odpowiadać od razu, ale powinniśmy o tym niedługo porozmawiać. Musimy zdecydować.

- Zdecydować o czym?
- Czy nie lepiej byłoby wrócić do Baltimore.
- Co?! - Uniósł gwałtownie głowę i w końcu na nią spojrzał. - To znaczy wyjechać stąd?
- Od miesiący powtarzasz, że chcesz wrócić do miasta. Dziś rano rozmawiałam z babcią Elliot. Powiedziała, że mógłbyś wrócić wcześniej i u niej zamieszkać. Ja bym dojechała po spakowaniu wszystkiego i wystawieniu domu na sprzedaż.
- Znowu robisz to samo. Podejmujesz decyzje dotyczące mojego życia.
- Nie, proszę cię tylko, byś mi pomógł wybrać.
- Nie pytasz. Już zdecydowałam.
- To nieprawda. Raz popełniłam ten błąd i nie powtórzę go więcej.
- Chcesz wyjechać, tak? Przez tyle miesięcy to ja chciałem wracać do Baltimore, a ty mnie nie słuchałaś. Teraz to ty decydujesz, że już czas, i nagle pytasz: „Czego chcesz, Noah?”.
- Pytam, bo to ma dla mnie znaczenie! Twoje życzenia zawsze miały znaczenie.
- A jeśli powiem, że chcę zostać? Że mam przyjaciółkę, na której mi naprawdę zależy, a ona jest tutaj?
- Przez minionych dziewięć miesięcy mówiłeś tylko, jak nienawidzisz tego miejsca.
- A ciebie to nic nie obchodziło.
- Więc czego chcesz? Co mogę zrobić, byś był zadowolony? Czy cokolwiek sprawi, że będziesz szczęśliwy?
- Wrzeszczysz na mnie.
- Tak się staram, a ciebie nigdy nic nie zadowala!
- Przestań na mnie wrzeszczeć!
- Myślisz, że podoba mi się bycie twoją matką? Myślisz, że byłoby ci lepiej z inną?

Walnął pięścią w deskę rozdzielczą i walił dalej, krzycząc:

- Przestań-na-mnie-wrzeszczeć!

Patrzyła tylko, zaszokowana gwałtownością jego wybuchu i jasnoczerwoną kroplą krwi, która nagle wyciekła z jego nosa. Kapnęła mu na kurtkę.

- Krwawisz...

Automatycznie dotknął górnej wargi i spojrzał na krew na swoich palcach. Z nosa wypłynęła kolejna kropla i spadła na kurtkę, tworząc czerwoną plamę.

Pchnął drzwi i pobiegł do domu.

Poszła za nim, ale zamknął się w łazience.

- Noah, wpuść mnie.

- Daj mi spokój.

- Chcę zatrzymać krwawienie.

- Już ustało.

- Mogę popatrzeć? Dobrze się czujesz?

- Do jasnej cholery! - ryknął. Usłyszała, jak coś spadło na podłogę i się rozbiło. - Odczep się wreszcie!

Patrzyła na zamknięte drzwi, w milczeniu starając się je zaczarować, by się otwały, i wiedząc, że to się nie zdarzy. Dzieliło ich już zbyt wiele zamkniętych drzwi, a te były jedynie kolejnymi, których nie mogła pokonać.

Zadzwoił telefon. Śpiesząc do kuchennego aparatu, myślała: W ilu kierunkach naraz mogę dać się ciągnąć?

Głos w słuchawce był znajomy i spanikowany.

- Pani doktor, musi pani tu przyjechać! Trzeba, żeby ktoś na nią popatrzył!

- Elwyn? - spytała Claire. - Czy to ty?
- Tak. Jestem u Rachel. Ona nie chce jechać do szpitala, więc pomyślałem, że lepiej do pani zadzwonię.
- Co się stało?
- Nie wiem dokładnie. Ale lepiej niech pani szybko przyjedzie, bo ona zakrwawi całą kuchnię.

Rozdział osiemnasty

Mrok zapadał, gdy Claire dotarła do domu Rachel Sorkin. Elwyn Clyde stał na ganku i przyglądał się psom goniącym się po podwórku.

- Paskudna sprawa - mruknął ponuro do wchodzącej po schodkach na ganek Claire.
- Jak ona się czuje?
- Och, jest okropnie uparta. Kazała mi wyjść, a przecież staram się tylko pomóc. Tylko pomóc, a ona mówi: „Idź stąd, Elwyn, zasmradzasz mi kuchnię”. - Spuścił wzrok, a jego pospolita twarz posmutniała. - Była dla mnie dobra, gdy miałem tę historię ze stopą i w ogóle. Chciałem się jej tylko odwdziaczyć.
- Już to zrobiłeś - pocieszyła Claire Elwyna, klepiąc go po ramieniu. Zupełnie jakby poklepała przez cienki płaszcz wiązkę patyków. - Zaraz zobaczę, co z nią jest.

Claire weszła do kuchni. Jej wzrok padł na ścianę. Krew! - przyszło jej natychmiast do głowy na widok jaskrawych plam. Potem dopiero dostrzegła słowa, wypisane czerwonym sprayem na drzwiach szafek:

KURWA SZATANA

- Wiedziałam, że tak się skończy - powiedziała cicho Rachel. Siedziała przy kuchennym stole,

przyciskając do głowy plastikową torebkę z lodem. Krew zaschła jej na policzku i skleiła pasma czarnych włosów. Na ziemi wokół jej stóp leżały kawałki rozbitego szkła. - To była tylko kwestia czasu.

Claire przysunęła sobie krzesło.

- Proszę pokazać głowę.
- Ludzie są takimi nieprawdopodobnymi ignorantami. Wystarczy jeden idiota, który ich nakręci, a zaraz zaczyna się... - roześmiała się urywanie - ...polowanie na czarownice.

Claire delikatnie odjęła pakiet lodu od głowy Rachel. Choć przecięcie nie było głębokie, obficie krwawiło. Będzie wymagało co najmniej sześciu szwów.

- Czy to od szkła?

Rachel kiwnęła głową i natychmiast się skrzywiła, jakby ten prosty ruch pobudził ból.

- Nie widziałam, że leci kamień. Byłam tak zła o tę farbę, o bałagan, jakiego tu narobili. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że są pod domem, widzą, jak wchodzę. Stałam tu, patrząc na szafki, gdy wpadł kamień, tłukąc okno. - Machnęła ręką w stronę zabitego teraz deskami okna. - Elwyn założył deski.

- A skąd on się tu wziął?

- Och, ten stuknięty Elwyn zawsze przechodzi z psami przez moje podwórko. Zobaczył wybitą szybę i zaszedł zobaczyć, co ze mną.

- To miło z jego strony. Mogłaby pani trafić na gorszego sąsiada.

- Pewnie tak - przyznała Rachel niechętnie. - W każdym razie ma serce na właściwym miejscu.

Claire otworzyła torbę lekarską i wyjęła zestaw do nakładania szwów. Zaczęła przemywać ranę Rachel betadyną.

- Czy straciła pani przytomność?

- Nie pamiętam.
- Nie jest pani pewna?
- Chyba trochę mnie oszołomiło. Ocknęłam się na podłodze, ale nie pamiętam, jak się tam znalazłam.
- Powinna pani być dziś pod obserwacją. Gdyby było krwawienie wewnątrz czaszki...
- Nie mogę iść do szpitala. Nie jestem ubezpieczona.
- Nie powinna pani zostawać sama w domu. Mogę załatwić bezpośrednie przyjęcie.
- Nie mam także pieniędzy. Nie mogę płacić za szpital.

Claire przyglądała się przez chwilę swojej pacjentce, zastanawiając się, jak dalece powinna nalegać.

- No dobrze. Ale jeśli ma pani zostać w domu, to ktoś jeszcze powinien tu być.
 - Nie mam nikogo.
 - Przyjaciel? Sąsiad?
 - Nikt mi nie przychodzi do głowy.
- Usłyszały głośne pukanie do drzwi.
- Hej! - krzyknął Elwyn przez drzwi. - Mogę wejść i skorzystać z ubikacji?
 - Nadal jest pani pewna, że nie ma nikogo? - spytała Claire ze znaczącym spojrzeniem ku Elwynowi.

Rachel zamknęła oczy i westchnęła.

Wóz policyjny właśnie wyłonił się z ciemności, gdy Claire wyszła ponownie na ganek Rachel. Razem z Elwynem przyglądała się wysiadającemu policjantowi. Gdy przeciął podwórze i wszedł w

krąg światła, rozpoznała Marka Dolana. Zdziwiło ją to, ponieważ zazwyczaj pracował na późniejszej, nocnej zmianie. Nigdy go nie lubiła, a teraz, mając w pamięci, co powiedział jej Mitchell Groome, też nie poczuła do niego sympatii.

- Jakież problemy? - spytał.
 - Dzwoniłem po was ponad godzinę temu - powiedział gderliwie Elwyn.
 - Dobra, dobra, ale jesteśmy zawałeni wezwaniami. Wandalizm nie jest wśród nich najważniejszy. Więc o co chodzi? Ktoś przyszedł i wybił okno?
 - To coś więcej niż wandalizm - powiedziała Claire. - To występki biorący się z nienawiści. Rzucili kamieniem w okno i Rachel dostała w głowę. Mogła odnieść poważne obrażenia.
 - A gdzie tu nienawiść?
 - Zaatakowano ją z powodu jej przekonań religijnych.
 - Jaka to religia?
 - Jest czarownicą, ty tępy kretynie! - wybuchnął Elwyn. - Wszyscy to wiedzą!
- Dolan uśmiechnął się z politowaniem.
- To niezbyt miłe z twojej strony, że ją tak nazywasz, Elwyn.
 - Co złego w nazywaniu jej czarownicą, skoro tym właśnie jest? Jeśli jej to pasuje, dobra, mnie nic do tego. Uważam, że lepsza czarownica niż wegetarianka. Chociaż tego też nie mam jej za złe.
 - Nie nazwałbym jej przekonań religią.
 - Wszystko jedno, jak je nazwiesz. To, że kobieta chce wierzyć w jakieś tam bajeczki, nie znaczy, że można w nią ciskać kamieniami!
 - To jest przestępstwo z nienawiści - upierała się Claire. - Niech pan tego nie traktuje jak zwykłego aktu wandalizmu.
- Dolan uśmiechnął się szyderczo.

- Potraktuję to tak, jak uznam za stosowne - oświadczył, wchodząc po schodkach i znikając we wnętrzu.

Claire i Elwyn stali przez chwilę w milczeniu.

- Zasluguje na coś lepszego - powiedział w końcu. - To dobra kobieta i zasługuje na lepsze przyjęcie, niż ją spotkało w naszym miasteczku.

Claire spojrzała na niego.

- A ty jesteś dobrym człowiekiem, Elwyn. Dziękuję, że z nią dzisiaj zostaniesz.

- No, taaa, teraz zrobiła się z tego grubsza afera, nie? - mruknął, schodząc po schodkach. - Muszę najpierw zabrać psy do domu, bo tylko ją denerwują. Równie dobrze mogę od razu załatwić i ten drugi interes. Skoro już jej obiecałem.

- Co takiego?

- Kąpiel - mruknął i zniknął między drzewami, a psy pobiegły jego śladem.

Było już późno i Noah spał, gdy w końcu odezwał się telefon.

- Już kilkanaście razy brałem słuchawkę, by do ciebie zadzwonić - powiedział Lincoln - i zawsze coś mi przerywało. Pracujemy na dwie zmiany, by obsłużyć wszystkie wezwania.

- Słyszałeś o napaści na Rachel Sorkin?

- Mark wspomniał o tym.

- Czy wspomniał także, że jest kompletnym palantem?

- Co takiego zrobił?

- Raczej czego nie zrobił. Nie potraktował tej sprawy poważnie. Uznał ją za zwykły akt wandalizmu.

- Powiedział mi, że to tylko rozbita szyba.
 - Wandale wypisali w jej kuchni sprayem „kurwa szatana”.
- Zapadła cisza. Gdy się w końcu odezwał, usłyszała w jego głosie ledwie skrywany gniew.
- Te diabelskie spekulacje zaszły już za daleko. Muszę dopaść tę cholerną Damaris Horne, zanim zaczniesz wypisywać bzdury o przekleństwie Penobscotów.
 - Nie mówiłeś jej o swojej rozmowie z Vince'em?
 - Nie, skąd. Staram się jej unikać.
 - Kiedy będziesz z nią rozmawiał, możesz ją zapytać o jej kumpla, policjanta Dolana.
 - Czy to znaczy to, co myślę, że znaczy?
 - Usłyszałam o tym od jednego z reporterów, Mitchella Groome'a. Widział ich razem.
 - Pytałem już Marka, czy z nią rozmawiał. Absolutnie zaprzecza. Nie mogę podjąć działań przeciw niemu bez dowodów.
 - Ufasz jego słowu?
- Milczenie.
- Szczerze mówiąc, nie wiem. - Westchnął. - Ostatnio dowiaduję się o moich sąsiadach i przyjaciółach rzeczy, których się nawet nie domyślałem. Których nie chcę wiedzieć. - Z jego głosu zniknął gniew. - Ale nie dzwonię, by rozmawiać o Marku Dolanie.
 - A dlaczego dzwonisz?
 - By porozmawiać o tym, co stało się ostatniej nocy. Między nami.
- Zamknęła oczy, nastawiając się na słowa przeprosin. Jakaś jej część chciała być znowu wolna. Znaczyłoby to, że może stąd wyjechać, nie oglądając się za siebie, nie dręcząc się decyzją. Ale inna jej część, większa część, chciała jego.
- Czy przemyślałaś to, co mówiłem? - spytał. - O tym, czy zostaniesz?

- A ty wciąż mnie o to prosisz?

- Tak.

Powiedział to bez wahania. Nie uwalniał jej. Zalały ją radość i lęk.

- Nie wiem, Lincoln. Wciąż myślę o wszystkich powodach, dla których powinnam stąd wyjechać.

- A co z powodami, dla których powinnaś zostać?

- A są jakieś poza tobą?

- Możemy o tym porozmawiać. Mogę teraz przyjechać.

Chciała, by przyjechał, ale równocześnie bała się tego, co się może stać. Bała się podjęcia przedwczesnej decyzji, faktu, że sama jego obecność może okazać się najbardziej przekonującym argumentem za pozostaniem w Tranquility. Tyle rzeczy ją stąd odciągało. Wystarczyło spojrzeć przez okno, w nieprzeniknioną ciemność listopadowej nocy, która jest tak zimna, że może zabić...

- Mogę być u ciebie za dziesięć minut.

Przełknęła ślinę. Kiwnęła głową pustemu pokojowi.

- Dobrze.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, ogarnęła ją panika. Jak wygląda? Czy jest uczesana, a dom wysprzątnany? Nie miała wątpliwości, co znaczą te myśli: kobiece pragnienie wywarcia wrażenia na ukochanym. Zaskoczyło ją, że w jej wieku jeszcze tego doświadcza. Średni wiek nie przynosi automatycznie godności, pomyślała ze smutnym uśmiechem.

Specjalnie unikała nawet jednego spojrzenia w lustro. Zeszła na dół, do salonu, gdzie zmusiła się do rozpalenia ognia w kominku. Skoro Lincoln miał ochotę składać wizyty o tak późnej godzinie, musi go zadowolić to, co tu zastanie. Kobietę z sadzą na rękach i zapachem dymu we włosach. Prawdziwą Claire Elliot, wyczerpaną i niezbyt piękną. Niech mnie ujrzy właśnie taką, myślała buntowniczo, a wtedy zobaczymy, czy wciąż mnie będzie chciał.

Ułożyła szczapy i rozpałkę, zapaliła zapałkę i przytknęła ją do pomiętych gazet. Ogień będzie płonął równo bez dalszych starań, ale pozostała przed kominkiem, patrząc z pierwotną satysfakcją, jak zajmują się najpierw drobne gałązki, a potem grubsze szczapy. Drewno było dobrze wysuszone, będzie więc płonąć szybko i wydajnie. Ona też była jak te szczapy, sucha i przez nikogo nierozpalana przez długi czas. Ledwie w ogóle pamiętała, co znaczy płonąć.

Usłyszała dźwięk dzwonka. Natychmiast zmieniła się w kłębek nerwów. Otrzeptała pobrudzone sadzą ręce, następnie wytarła je o spodnie na biodrach, brudząc je także.

Niech ujrzy prawdziwą Claire. Niech zobaczy, czy tego właśnie chce.

Wyszła do holu, przystanąła na chwilę, by się opanować, i otworzyła drzwi.

- Wejdz.

- Cześć, Claire - rzekł, także szukając słów. Patrzyli tylko na siebie przez moment, a następnie odwrócili wzrok w poszukiwaniu bezpieczniejszego terytorium. Wszedł do środka i zobaczyła, że na jego kurtce osiadł drobny śnieg, że ciemność na dworze wiruje puchową bielą, jak mgła.

Zamknęła drzwi.

- Rozpaliłam w kominku. Mogę wziąć twoją kurtkę?

Wieszając ją, poczuła w podszewce ciepło jego ciała.

Spotykali się i rozmawiali wielokrotnie, ale po raz pierwszy chłoneła go wszystkimi zmysłami: ciepło jego ciała we wnętrzu kurtki, zapach dymu z drewna i topniejącego śniegu. I pewność, bez patrzenia, że w tym momencie nie odrywa od niej oczu.

Poprowadziła go do pokoju.

Ogień płonął wysoko, rozjaśniając panujący w pokoju mrok kręgiem światła. Claire usiadła na kanapie i wyłączyła palącą się lampę. Ogień dawał dość jasności; chroniła się w półcieniu.

Lincoln usiadł obok, ale nie za blisko. Odległość świadczyła o neutralności, nierozróżniającej

między przyjacielem, kochankiem czy zwykłym znajomym.

- Jak tam Noah? - spytał w końcu, zachowując neutralność nawet w rozmowie.
 - Poszedł do łóżka zły. W pewnym sensie chce być ofiarą, chce czuć, że świat jest przeciw niemu. Nic nie mogę zrobić, by zmienić jego sposób myślenia. - Westchnęła i oparła głowę na dłoni. - Przez dziewięć miesięcy oskarżał mnie, że zmusiłam go do tej przeprowadzki. Dzisiaj, gdy powiedziałam, że zastanawiam się nad powrotem do Baltimore, wybuchnął. Stwierdził, że nie myślę o jego potrzebach, o tym, czego on chce. Wszystko jedno, co robię, zawsze jest źle. Nie mogę go zadowolić.
 - Możesz więc jedynie zadowolić siebie.
 - To samolubstwo.
 - Naprawdę?
 - To tak, jakbym jako matka nie robiła wszystkiego, na co mnie stać.
 - Widzę, jak bardzo się starasz, Claire. Żaden rodzic nie może zrobić więcej. - Przerwał i westchnął. - A teraz wygląda na to, że dodaję jeszcze jedną komplikację do twojego życia, wtedy kiedy jej absolutnie nie potrzebujesz. Ale ja nie mam czasu, Claire. Musiałem to powiedzieć, zanim podjęłaś decyzję. Zanim wyjechałaś z Tranquility. Zanim będzie za późno, bym mógł w ogóle cokolwiek powiedzieć.
- W końcu na niego spojrziała. Siedział wpatrzony w podłogę, oparłszy zmęczoną głowę na dłoni.
- Trudno się dziwić, że chcesz wyjechać - rzekł. - To miasteczko nie śpieszy się, by okazać sympatię przybyszom, by im zaufać. Jest kilka osób po prostu wrednych. Ale większość to ludzie tacy sami jak wszędzie. Niektórzy bywają naprawdę dobrzy. Najlepsi ludzie, jakich mogłabyś znaleźć... - Zamilkł, jakby nie miał już nic więcej do powiedzenia. Minęła chwila.
 - Czy znowu przemawiasz w imieniu całego miasteczka, Lincoln? Czy we własnym?

Pokręcił głową.

- Nie o to mi chodziło. Przyszedłem tu, żeby coś powiedzieć, a tymczasem kręcę się tylko wokół tematu. Wiele o tobie myślę, Claire. W gruncie rzeczy myślę o tobie przez cały czas. Nie jestem pewien, jak sobie z tym poradzić, bo to dla mnie nowe doświadczenie. Chodzę z głową w chmurach.

Uśmiechnęła się. Tak długo myślała o nim jako o stoickim jankesie, konkretnym i praktycznym. Człowieku, który zbyt mocno stąpa po ziemi, by kiedykolwiek stracić głowę.

Wstał i zbliżył się do kominka. Czuł się niepewnie.

- To wszystko, co chciałem ci powiedzieć. Wiem, że to nieprosta sytuacja. Przede wszystkim jest Doreen. Wiem też, że nie mam żadnego doświadczenia w byciu ojcem. Ale jeśli chodzi o sprawy, na których mi naprawdę zależy, jestem bardzo cierpliwy. - Chrząknął. - Pójdę już, nie odprowadzaj mnie.

Zdejmował kurtkę z wieszaka, gdy go dogoniła. Dotknęła jego ramienia, a on odwrócił się, by na nią spojrzeć. Kurtka ześliznęła się i niezauważona upadła na podłogę.

- Wróć i posiedź ze mną. - Ta wyszeptana prośba, uśmiech na jej wargach wystarczały za zaproszenie. Dotknął twarzy Claire, pogładził ją po policzku. Nie pamiętała już, jakie to uczucie, dotknięcie męskiej ręki na ciele. Obudziło pragnienia, tak głębokie, nieoczekiwane i potężne, że westchnęła i zamknęła oczy. Westchnęła ponownie, gdy ją pocałował, gdy ich ciała przywarły do siebie.

Całowali się przez całą drogę do pokoju. Całowali się jeszcze, opadając na kanapę. W kominku osunęło się polano, wywołując deszcz iskier i płomień, rozbłyskując nową jasnością. Wysuszone drewno daje najgorętszy ogień. Gorąco ich własnego ognia spalało ją, spopielając wszelki opór. Leżeli na kanapie, przytulając się do siebie, a ręce badały, odkrywały. Podciągnęła mu koszulę i

przesunęła dłonią po plecach. Jego skóra była tam zaskakująco chłodna, jakby całe ciepło było skierowane ku niej, w pocałunkach, którymi pokrywał jej twarz i szyję. Rozpięła mu koszulę, wdychając jego zapach. Dotychczas, w minionych tygodniach, czuła go od czasu do czasu przez krótką chwilę i jakoś utkwiał jej w pamięci, teraz był więc znajomy i upajający.

- Jeśli mamy przestać - wymruczał - to lepiej zróbmy to teraz.
- Nie chcę przestawać.
- Nie jestem gotów... to znaczy, nie przygotowałem się przed przyjściem...
- W porządku. W porządku. - Słyszała swoją odpowiedź, nie wiedząc i nie przejmując się, czy to naprawdę jest w porządku, tak bardzo pragnęła jego dotyku.

- Noah - wyszeptał. - A co, jeśli Noah się obudzi...

Otworzyła oczy i stwierdziła, że wpatruje się wprost w jego źrenice. Takim nigdy go dotychczas nie widziała: twarz miał rozjaśnioną światłem z kominka, w oczach kryła się tęsknota.

- Na górę - powiedziała. - Do mojej sypialni.

Jego twarz powoli rozjaśnił uśmiech.

- Czy drzwi zamykają się na klucz?

Tej nocy kochali się trzykrotnie. Za pierwszym razem było to gorączkowe zetknięcie ciał, splątanych kończyn, a potem wstrząsająca eksplozja gdzieś głęboko. Za drugim razem nadeszło spokojniejsze połączenie się kochanków, znających już swój dotyk i zapach.

Za trzecim razem kochali się na pożegnanie.

Obudzili się wczesnym rankiem, przed świtem. I w ciemnościach sięgnęli po siebie bez słów. Ich ciała połączyły się z własnej woli, dwie połówki tworzące jedność. Gdy w ciszy nadeszło spełnienie,

było niczym łyzy radości, a zarazem smutku. Radości, że się znaleźli. Smutku z powodu tego, czemu teraz muszą stawić czoło. Gniewowi Doreen. Oporowi Noaha. Miasteczku, które być może nigdy Claire nie zaakceptuje.

Nie chciał, by rano Noah znalazł ich razem w łóżku. Żadne z nich nie było gotowe, by dać sobie radę z konsekwencjami tego faktu. Było jeszcze ciemno, gdy Lincoln ubrał się i wyszedł z domu.

Widziała z okna sypialni, jak odjeżdża. Słyszała głośny trzask lodu pod kołami samochodu i wiedziała, że noc stała się jeszcze mroźniejsza, że rano samo oddychanie będzie bolesne. Przez długi czas po zniknięciu tylnych świateł stała w oknie, patrząc na rozsrebrzone księżycowym światłem kryształki lodu. Już czuła jego nieobecność. I męczyło ją coś jeszcze, coś nieoczekiwanego i niepokojącego: matczyne poczucie winy, że samolubnie podąża za swoimi potrzebami, swoimi pragnieniami.

Przeszła korytarzem pod drzwi pokoju Noaha. W środku panowała cisza. Wiedząc, jak głęboko syn zawsze śpi, była pewna, że nie słyszał nic z tego, co działo się w jej sypialni. Weszła do środka i uklękła w ciemnościach przy jego łóżku.

Gdy Noah był jeszcze mały, Claire często siedziała przy śpiącym synu, głaszcząc go po głowie, wdychając zapach czystej pościeli i mydła. Teraz tak rzadko pozwalał jej się dotknąć, że niemal zapomniała, jak to jest. Zawsze odruchowo się odsuwał. Gdybym tylko mogła cię odzyskać. Pochyliła się i pocałowała go w czoło. Jęknął i odwrócił się plecami. Nawet we śnie się ode mnie odwraca, pomyślała.

Miała już wstać, gdy nagle zamarła ze wzrokiem utkwionym w poduszce. W fosforyzującej plamie zieleni w miejscu, gdzie twarz Noaha dotykała pościeli.

Z niedowierzaniem dotknęła tego miejsca i poczuła wilgoć, jakby ciepłe łyzy. Spojrzała na koniuszki swoich palców.

Świeciły w ciemnościach.

Rozdział dziewiętnasty

- Max, muszę wiedzieć, co rośnie w tym jeziorze. I muszę to wiedzieć dzisiaj. Max wpuścił ją do środka i zamknął drzwi przed lodowatym wiatrem.
- Jak się Noah dzisiaj czuje?
- Zbadałam go od stóp do głów i wygląda na to, że jest absolutnie zdrowy, poza zatkanym nosem. Zostawiłam go w łóżku z sokiem i środkami na wydzielanie śluzu.
- A fosforescencja? Pobrałaś próbkę do posiewu?
- Tak, natychmiast ją wysłałam. - Zdjęła płaszcz. Maksowi udało się w końcu uruchomić piec i teraz w domku panował upał. Niemal wolała przenikający do kości wiatr na dworze. Tutaj, w otoczeniu wszystkich sprzętów Maks, w powietrzu pełnym dymu, wydawało jej się, że się udusi.
- Właśnie zaparzyłem kawę - powiedział. - Siadaj, jeśli znajdziesz jakieś wolne krzesło. Rozejrzała się po wywołującym klaustrofobię wnętrzu i poszła za Makssem do kuchni.
- Opowiedz mi o wynikach badań próbek wody. Tych, które pobrałaś, zanim zamarzło jezioro.
- Dziś rano je dostałem.
- Dlaczego mnie nie zawiadomiłeś od razu?
- Bo nie ma o czym. - Przerzucił stos papierów na blacie kuchennym i podał jej wydruk z komputera.
- Proszę. Końcowe wyniki badań laboratoryjnych. Rzuciła okiem na długą listę mikroorganizmów.
- Większość tych nazw nic mi nie mówi - oznajmiła.
- Bo nie są patogenami, nie wywołują chorób u ludzi. Na tej liście masz typowe bakterie i algi, jakie znajdziesz w każdym północnym zbiorniku wodnym. Poziom pałeczek okrężnicy jest nieco

podwyższony, co zapewne wskazuje, że czyjeś szambo przecieka z brzegu lub do jednego ze strumieni wpadających do jeziora. W sumie jednak jest to dość przeciętne spektrum bakterii.

- Żadnego fosforyzującego *Yibrio*?

- Nie. Jeśli *Yibrio* nawet było w tym jeziorze, nie przeżyło długo, co czyni z niego mało prawdopodobne źródło zakażenia. Prawdopodobnie *Yibrio* nie jest patogenem, ale przypadkową bakterią. Niegroźną, jak wszystkie inne, które nosimy w organizmie.

Westchnęła.

- To samo powiedzieli mi w Stanowym Wydziale Zdrowia.

- Dzwoniłaś do nich?

- Z samego rana. Wpadłam w taką panikę z powodu Noaha.

Podał jej kawę. Wypiła łyk i odstawiła filiżankę, zastanawiając się, czy Max użył do jej zaparzenia butelkowanej wody, czy bezmyślnie nabrał wody z kranu.

Z jeziora.

Jej spojrzenie powędrowało za okno, ku czystej białej płaszczyźnie. Jezioro Locust. Na wiele sposobów ten zbiornik wodny określał codzienny tryb ich życia. W lecie pływali i kąpali się w jego wodach, łowili w jego głębinach ryby. W zimie ślizgali się po jego powierzchni na łyżwach, uszczelniali domy przed bezlitosnym wiatrem, wyjącym nad jego lodem. Bez jeziora Tranquility byłoby tylko jeszcze jedną doliną w lesie.

Odezwał się biper w jej kieszeni. Na wyświetlaczu pojawił się numer, którego nie znała, z numerem kierunkowym do Bangor.

Zadzwoiła z telefonu Maksa. Odezwała się pielęgniarka ze Stanowego Centrum Medycznego.

- Doktor Elliot? Doktor Rothstein prosił, by do pani zadzwonić. W sprawie tego pacjenta po kraniotomii, tego, którego nam pani przysłała w zeszłym tygodniu. Pana Emersona.

- I jak się Warren czuje po operacji?
- No cóż, psychiatra i opiekun społeczny odwiedzili go kilkakrotnie, ale nic nie pomaga. Dlatego do pani dzwoniemy. Myśleliśmy, że skoro jest pani pacjentem, to może pani będzie wiedziała, co zrobić w tej sytuacji.
- Jakiej sytuacji?
- Pan Emerson odmawia przyjmowania lekarstw. Co gorsza, przestał jeść. Pije jedynie wodę.
- Czy podał jakąś przyczynę?
- Tak. Mówi, że czas umrzeć.

Warren Emerson wydawał się mniejszy, niż gdy go widziała ostatni raz, jakby życie opuszczało go powoli, niby powietrze uchodzące z balonu. Siedział na krześle koło okna wpatrzony w parking na dole, gdzie pokryte śniegiem samochody przypominały miękkie bochenki chleba. Nie odwrócił się, gdy weszła do pokoju - dalej wyglądał przez okno. Zmęczony człowiek skąpany światłem szarego dnia. Ciekawa była, czy w ogóle zdaje sobie sprawę z jej obecności.

- To niczego nie zmieni - odezwał się. - Więc możecie po prostu zostawić mnie w spokoju. Gdy czas nadchodzi, to po prostu nadchodzi.

- Ale pański czas jeszcze nie nadszedł - powiedziała Claire.

W końcu się odwrócił i jeśli jej widok go zdziwił, nie okazał tego po sobie. Miała wrażenie, że jest już poza dziwieniem się. Poza przyjemnością czy bólem. Z obojętnością patrzył, jak się do niego zbliża.

- Pańska operacja się udała - oznajmiła. - Wycięli guz i prawdopodobnie jest on łagodny. Może pan mieć nadzieję na całkowite wyzdrowienie. Na normalne życie.

Wydawało się, że jej słowa nie wywierają na nim żadnego wrażenia. Po prostu znowu odwrócił się ku oknu.

- Człowiek taki jak ja nie może mieć normalnego życia.
- Możemy kontrolować ataki. Być może uda nam się nawet zupełnie...
- Wszyscy się mnie boją.

To stwierdzenie, wypowiedziane z taką rezygnacją, wszystko wyjaśniało. To była ta choroba, na którą nie ma lekarstwa, choroba, z której nigdy nie wyzdrowieje. Nie mogła zaproponować mu żadnej operacji, która usunęłaby z jego życia strach i wstręt bliźnich.

- Widzę to w oczach ludzi - powiedział. - Za każdym razem, gdy ich mijam na ulicy lub ocieram się o nich w sklepie. Zupełnie jakbym był trędowaty. Nikt mnie nie dotyka. Nikt mnie nie dotknął od trzydziestu lat. Tylko lekarze i pielęgniarki. Ludzie, którzy nie mają wyboru. Widzi pani, jestem trujący. Jestem niebezpieczny. Wszyscy trzymają się ode mnie z daleka, bo wiedzą, że jestem miejscowym potworem.

- Nie, nie jest pan potworem. Oskarża się pan o to, co stało się wiele lat temu, ale, moim zdaniem, nie stało się to z pańskiej winy. To była choroba. Nie miał pan kontroli nad tym, co pan robił.

Nie spojrział na nią i nie była nawet pewna, czy ją usłyszał.

- Panie Emerson?

Wciąż patrzył przez okno.

- Miło, że mnie pani odwiedza - powiedział cicho. - Ale nie musi pani kłamać, pani doktor. Wiem, co zrobiłem. - Zaczerpnął powietrza i wolno je wypuścił, a przy tym westchnieniu wydawało się, że jeszcze się skurczył. - Jestem bardzo zmęczony. Codziennie zasypiam, mając nadzieję, że już się nie obudzę. I codziennie rano otwieram oczy rozczarowany. Ludzie uważają, że utrzymanie się

przy życiu wymaga walki. Ale wie pani, to jest łatwe. Dopiero umieranie jest naprawdę trudne.

Nic na to nie mogła odpowiedzieć. Spojrzała na stojącą przy oknie nietkniętą tacę z obiadem. Pierś kurczaka w zimnym już sosie, wzgórek ryżu, ziarna błyszczące jak małe perełki. I chleb, podstawa życia. Życia, którego Warren Emerson już nie chciał. Nie mogę sprawić, byś zechciał żyć, pomyślała. Mogę karmić cię na siłę, wtłaczać płynne pożywienie rurką prowadzącą przez nozdrza do żołądka, ale nie mogę tchnąć radości życia w twoje płuca.

- Doktor Elliot?

Claire odwróciła się i zobaczyła stojącą w drzwiach pielęgniarkę.

- Doktor Clevenger z patologii próbuje panią złapać telefonicznie. Jest na trzeciej linii.

Claire wyszła z pokoju Warrena Emersona i podniosła słuchawkę wewnętrznego telefonu w dyżurce pielęgniarek.

- Mówi Claire Elliot.

- Cieszę się, że panią złapałem - powiedział Clevenger. - Doktor Rothstein mówił mi, że ma pani przyjechać, pomyślałem więc sobie, że może chciałaby pani wpaść na patologię i obejrzeć te slajdy. Doktor Rothstein też jest już w drodze.

- Jakie slajdy?

- Z guza pani pacjenta po kraniotomii. Tydzień trwało, zanim udało mi się w pełni uchwycić tkankę. Dopiero dziś dostałem slajdy.

- Czy to oponiak?

- Nic podobnego.

- Więc co to jest?

W jego głosie usłyszała nutę podniecenia.

- Żeby uwierzyć, będzie to pani musiała zobaczyć na własne oczy.

Fern Cornwallis uniosła wzrok na transparent zwisający z krokwi sali gimnastycznej i westchnęła.

SZKOŁA ŚREDNIA KNOX - NIE MA LEPRZEJ!

To ironia, że uczniowie z takim wysiłkiem przygotowali transparent, wdrapali się na niesamowicie wysokie drabiny, by go powiesić, ale zapomnieli sprawdzić ortografię. Dawało to zły obraz szkoły, nauczycieli i samej Fern, ale ściąganie transparentu i poprawianie napisu było niewykonalne. Nikt tego i tak nie zauważy, gdy przygasną światła, muzyka zadudni, a w powietrzu zacznie unosić się gęsty obłok nastoletnich hormonów.

- Na dzisiejszy wieczór zapowiedziano śnieg - powiedział Lincoln. - Może to jednak odwołasz?

Hormonów. Fern się odwróciła i poczuła skurcz żołądka, jak zawsze, gdy na niego patrzyła. To niesamowite, że nie dostrzegał tęsknoty w jej oczach. Mężczyźni są tacy ślepi.

- Już dwukrotnie przekładaliśmy termin - odparła. - Dzieciom należy się jakaś nagroda, choćby za to, że przetrwały ten okropny miesiąc.

- Mówią, że spadnie od dziesięciu do piętnastu centymetrów śniegu, a najgęstsza zadymka nadejdzie około północy.

- Zabawa do tej pory już się skończy. Wszyscy będą w domu.

Lincoln kiwnął głową, ale najwyraźniej jej słowa go nie uspokoiły. Rozejrzał się po sali, udekorowanej niebieskimi i białymi wstążkami z bibułki i srebrnymi balonikami. Chłodne kolory zimy. Kilka dziewczynek - dlaczego to zawsze dziewczynki wykonują całą robotę? - nakrywało stół, przyniosłszy wazę z ponczem owocowym, tace ciasteczek, papierowe talerze i serwetki. W

odległym kącie kudłaty chłopak ustawiał sprzęt grający, wysyłając przenikliwe dźwięki ze wzmacniacza.

- Proszę, ścisź to! - krzyknęła Fern, przyciskając dłoń do czoła. - Te dzieciaki sprawiają, że ogłuchnę.

- To byłoby błogosławieństwo, biorąc pod uwagę muzykę, jaką grają.

- Tak, miejski rap w głębi lasu. Może wszyscy zamienią się w kupę liści.

- Wiesz, ile ich tu dziś będzie?

- Na pierwszej zabawie w roku? Spodziewam się pełnej sali. Cztery poziomy minus trzydziestu ośmiu rozrabiaków, którzy zostali zawieszani.

- Już tylu?

- Zajęłam tu zdecydowane stanowisko, Lincoln. Jeden fałszywy ruch i wylatują stąd na tydzień. Bez prawa wejścia nawet na teren szkoły.

- To mi ułatwi pracę. Wyznaczyłem Dolana i Pete'a Sparksa do nocnego patrolu, więc co najmniej dwóch z nas będzie tu miało wszystko na oku.

Głośny trzask tacy zwrócił ich uwagę. Ciasteczka rozsypały się na podłogę. Dziewczyna o blond włosach patrzyła z niedowierzaniem na bałagan. Odwróciła się na pięcie ku stojącej w pobliżu brunetce.

- Podstawiałaś mi nogę!

- Wcale nie.

- Przez cały czas na mnie wpadasz!

- Słuchaj, Donna, nie jestem winna temu, że nie potrafisz chodzić, nie potykając się o własne nogi!

- Dosyć! - krzyknęła Fern. - Sprzątnijcie ten bałagan albo obie zostaniecie zawieszane!

Spojrzały na nią dwie gniewne twarze. Odezwały się niemal równocześnie:

- Ale pani dyrektor, ona...
- Słyszaliście, co powiedziałam.

Dziewczyny wymieniły nienawistne spojrzenia i Donna wypadła z sali.

- Widzisz, do czego doszło. - Fern westchnęła. - Widzisz, z czym mam do czynienia? - Spojrzała w górę, na wysoko umieszczone okna sali gimnastycznej. Na ciemniejące światło dnia. Zaczęły padać pierwsze płatki śniegu.

Właśnie zmroku Doreen Kelly bała się najbardziej, bo z nadejściem ciemności wszystkie jej lęki wydostawały się na wolność ze szczelnie zamkniętych więzień. W słońcu dnia wciąż mogła czuć chwilowe przyływy nadziei, choć były one zaledwie westchnieniem, mogła na nich budować wymyślone scenariusze, w których była znów młoda, urocza i tak nieodparta, że na pewno ściągnie Lincolna do domu, jak to już jej się kilkanaście razy udało. Chodziło tylko o to, żeby zachować trzeźwość. Och, tyle razy próbowała utrzymać się na dobrej drodze! Wielokrotnie udawało jej się przekonać Lincolna, że tym razem odstawiła alkohol na dobre. Ale potem nadchodziło znane pragnienie, jakby swędzenie w gardle, domagające się ukojenia, i w końcu siła woli zawodziła, ulgę niósł słodki smak kawy z brandy na języku, i wkrótce leciała w dół, niezdolna powstrzymać upadku. A najbardziej bolesne nie były ani poczucie, że przegrała, ani utrata godności. Najbardziej bolało to pełne rezygnacji spojrzenie Lincolna.

Wróć do mnie. Wciąż jestem twoją żoną. Obiecałeś mi kochać i chronić. Wróć jeszcze choć jeden raz.

Na dworze szare światło popołudnia gasło, a razem z nim gasły nadzieje, które przez cały dzień

pielęgnowała. Nadzieje, które - jak wiedziała w swych co bardziej przytomnych chwilach - nie miały podstaw. Z zapadnięciem mroku nadchodziła jasność spojrzenia.

I rozpacz.

Usiadła przy kuchennym stole i nalała sobie pierwszego drinka. Gdy tylko brandy spłynęła jej do żołądka, poczuła, jak ciepło zaczyna krążyć w żyłach, niosąc ze sobą pożądane znieczulenie.

Wypiła drugą szklaneczkę i poczuła, że znieczulenie obejmuje wargi, twarz. I lęki.

Przy czwartym drinku nic już nie bolało, rozpacz zniknęła. Co więcej, z każdym łykiem czuła się bardziej pewna siebie. Raz przecież sprawiła, że się w niej zakochał. Może jej się udać jeszcze raz. Wciąż miała dobrą figurę. Lincoln jest mężczyzną, nie? Da się skusić. Wystarczy przyłapać go w chwili słabości.

Wstała chwiejnie i nałożyła płaszcz.

Na dworze zaczynało padać. Miękkie, koronkowe płatki spływały gdzieś z czarnego nieba. Śnieg był jej sprzymierzeńcem - czy może być lepsza ozdoba włosów niż parę błyszczących płatków śniegu? Wejdzie do domu z rozpuszczonymi długimi włosami, policzkami zaróżowionymi od mrozu. On zaprosi ją do środka - będzie musiał ją zaprosić - i być może przebiegnie między nimi iskra pożądania. Tak, tak, tak to sobie wyobrażała, z płatkami śniegu we włosach.

Ale jego dom był za daleko, by dotrzeć tam pieszo. Trzeba było znaleźć samochód.

Poszła w stronę sklepu Cobb i Morong. Do zamknięcia została godzina i trwał wieczorny szczyt: w drodze do domu ludzie kupowali jeszcze jeden karton mleka na wszelki wypadek, jeszcze jeden kilogram cukru. Zgodnie z oczekiwaniami Doreen przy chodniku przed sklepem stało kilka samochodów, niektóre miały włączone silniki i ogrzewanie. Nie ma nic równie przygnębiającego w zimną noc, jak wsiąść do samochodu i stwierdzić, że silnik nie chce zapalić.

Doreen szła wzdłuż ulicy, przyglądając się samochodom, wybierając ten najlepszy. Nie

furgonetka - to nie jest samochód dla damy; nie volkswagen, bo miała ważniejsze rzeczy na głowie niż mocowanie się z drążkiem zmiany biegów.

Zielony sedan. To samochód akurat dla niej.

Rzuciła okiem na sklep, zobaczyła, że nikt nie wychodzi, i szybko wśliznęła się za kierownicę. Fotel był miękki i ciepły, nawiew z wentylatora skierowany akurat na kolana. Wrzuciła bieg, nacisnęła gaz i ruszyła, podskakując na krawężniku. Coś w bagażniku głośno stuknęło.

Już odjeżdżała, gdy jakiś głos na ulicy zawołał:

- Hej! Hej, to mój samochód!

Dopiero kilka przecznic dalej udało jej się odkryć, jak włącza się światła, jeszcze jedną przecznicę zajęło włączenie wycieraczek. W końcu zaczęła widzieć drogę przed sobą. Dodała gazu i sedan zatańczył na świeżym śniegu. Słyszała, jak w bagażniku toczą się jakieś przedmioty, jak na ostrym zakręcie dzwoni szkło. Dotarła do domu Lincolna i z poślizgiem wjechała na podjazd.

W domu było ciemno.

Wysiadła z samochodu, potykając się, weszła na ganek i walnęła pięścią w drzwi.

- Lincoln! Lincoln! Muszę z tobą porozmawiać! Wciąż jesteś moim mężem!

Waliła i stukała, ale żadne światła się nie zapaliły, a drzwi były zamknięte na klucz. Ta świnią zabrała jej klucz, więc nie mogła wejść do środka.

Wróciła do samochodu i siedziała tam przez dłuższą chwilę z włączonym silnikiem i ogrzewaniem. Śnieg wciąż padał, cicho osiadając na szybie. Lincoln nie pracował na ogół w sobotnie wieczory, więc gdzie jest? Myślała o wszystkich miejscach, w których mógłby być, i czuła palący ból. Nie była głupia, wiedziała, że Fern Cornwallis zawsze miała Lincolna na oku. Zapewne są także inne kobiety, dziesiątki kobiet, dla których policjant w mundurze staje się pokusą nie do odparcia. Coraz bardziej zdenerwowana zaczęła się kiwać na siedzeniu i jęczeć. Wróć do domu,

wróc do domu. Wróć do mnie.

Nawet ogrzewanie nie wystarczyło, by przegnać chłód wkradający się w jej ciało, w jej duszę. Tęskniła za brandy, za pożądanym ciepłem alkoholu w żyłach. Nagle przypomniała sobie brzęk szkła w bagażniku. Proszę, niech to będzie coś, co da się wypić. Coś mocniejszego niż lemoniada z bąbelkami.

Niepewnie wysiadła z samochodu, okrążyła go i otworzyła bagażnik. Przez chwilę nie mogła skupić wzroku, a nawet potem zastanawiała się, czy to nie halucynacje. Takie piękne, takie zielone. Jak słoiki szmaragdów świecące w ciemnościach. Wyciągnęła rękę, by jeden podnieść, ale odwróciła się, słysząc odgłos silnika samochodowego.

Oślepiły ją zbliżające się światła. Niepewnie uniosła rękę, by osłonić oczy.

Ktoś wysiadł z samochodu.

Doktor Francis Clevenger był miniaturowym mężczyzną o drobnych kościach i twarzy jak jaskółka. Laboratoryjny kitel wyglądał na nim jak zbyt duży ojcowski płaszcz. Dzięki temu i absolutnie pozbawionej zarostu twarzy wyglądał na znacznie młodszego niż w rzeczywistości, bardziej na bladego nastolatka niż uznanego patologa. Na widok Claire i doktora Rothsteina, neurochirurga, który operował Warrena Emersona, zwawo podniósł się z krzesła.

- Te slajdy są niesamowite - powiedział. - To ostatnia rzecz, jaką bym się spodziewał na nich zobaczyć. No, popatrzcie tylko! - Wskazał dwuokularowy mikroskop.

Claire i Rothstein usiedli po przeciwnych stronach mikroskopu i przytknęli oczy do soczewek.

- No i co widzicie? - spytał Clevenger, niemal tańcząc z podniecenia.

- Mieszankę komórek - powiedział Rothstein. - Chyba astrocytów. I coś, co mi wygląda na

zbliznowaciałą tkankę.

- To początek. Doktor Elliot, a pani widzi coś godnego uwagi?

Claire nastawiła mikroskop i przyjrzała się tkance. Potrafiła zidentyfikować większość komórek na podstawie tego, co zostało jej w głowie z zajęć z histologii w akademii medycznej. Rozpoznała gwiaździste astrocyty i makrofagi - załogę sprzątaczy, których zadaniem jest oczyszczenie organizmu po infekcji. Zobaczyła również to, co przedtem Rothstein: fragmenty ziarniny, czyli zbliznowaciałej tkanki, prawdopodobnie pozostałość po ostrym stanie zapalnym.

Sięgnęła po pokrętko ustawiające slajd i przesunęła pole widzenia, odkrywając nowe komórki. Pojawił się nieznany jej wzorec, jakaś włóknista materia grubości kilku komórek, tworząca mikroskopijną ściankę.

- Widzę tu otorbienie - powiedziała. - Warstwę zbliznowaciałej tkanki. Czy to jakaś cysta? Jakiś proces zapalny, otoczony i otorbiony przez jego układ odpornościowy?

- Ciepło, ciepło. Pamiętacie tomografię?

- Tak, wyglądało na to, że Warren miał wyodrębniony guz ze zwapnieniami.

- Po przewiezieniu pacjenta zrobiliśmy rezonans magnetyczny - powiedział Rothstein. - Wykazał właściwie to samo. Patologiczne zmiany chorobowe, otorbione, ze zwapnieniami.

- Właśnie - potwierdził Clevenger. - A to, co doktor Elliot przed chwilą zidentyfikowała, to ścianka torbieli. Ziarnina utworzona przez układ odpornościowy organizmu, otaczający i wyodrębniający gniazdo zapalne.

- Gniazdo zapalne wywołane przez jaki organizm? - spytał Rothstein, podnosząc głowę, by spojrzeć na Clevengera.

- Tu właśnie jest cała zagadka.

Claire powoli przesuwiała slajd, znów zmieniając pole widzenia. To, co pojawiło się w jej

okularze, było tak zdumiewające, że zamarła.

- Cóż to takiego, u licha?

Clevenger wydał z siebie odgłos niemal dziecięcej radości.

- Znalazła pani!

- Tak, ale nie wiem, co to jest.

Rothstein znów nachylił się nad mikroskopem.

- Mój Boże. Ja też nie wiem, co to jest.

- Proszę nam to opisać, pani doktor - powiedział Clevenger.

Claire milczała przez chwilę, przesuwając slajd i powoli badając całe pole. To, co zobaczyła, przypominało dziwnie pokrętną architekturę, częściowo zwapniała.

- To jakaś zwyrodniała tkanka. Nie wiem, czy to jest jedna całość, czy co. Wygląda, jakby jakiś organizm zamarł w formie harmonijki, a następnie się spetryfikował.

- Dobrze. Dobrze! - wykrzyknął Clevenger. - Podoba mi się to określenie: spetryfikował. Jak skamielina.

- Tak, ale czego?

- Obejmijcie spojrzeniem większe pole.

Zmniejszyła stopień powiększenia, usiłując objąć wzrokiem całość. Kształt przybrał pełniejszą formę, stał się ciasno zwiniętą spiralą. Nagłe uświadomienie sobie, na co patrzy, sprawiło, że Claire wyprostowała się i wlepiła wzrok w Clevengera.

- To jakiś pasożyt!

- Tak! Czy nie fajny?

- A co, do diabła, pasożyt robił w mózgu mojego pacjenta? - zapytał Rothstein.

- Prawdopodobnie był tam od lat. Zaatakował szare komórki, wywołał chwilowe zapalenie

mózgu. Układ odpornościowy podjął walkę jak z zapaleniem. Mamy zwiększoną liczbę białych ciałek, eozynofili, wszystkiego, co organizm gospodarza może wykorzystać do walki. W końcu gospodarz wygrywa, a jego organizm otorbia robaka, otacza ziarniną, tworząc rodzaj cysty. Pasożyt ginie. Jego część ulega zwapnieniu, spetryfikowaniu, jeśli wolicie. Lata później mamy właśnie to. - Ruchem głowy wskazał mikroskop. - Martwy pasożyt złapany w torbę z ziarniny. To jest prawdopodobnie przyczyna jego ataków. Złożony efekt tej torbieli z martwym robakiem i blizny.

- O jakim pasożycie mówimy? - spytała Claire. - Jedyne znany mi, który atakuje mózg, to tasiemiec.

- No właśnie. Nie potrafię ostatecznie zidentyfikować tego gatunku, jest w zbyt zaawansowanej fazie zwyrodnienia. Ale niemal na pewno mamy do czynienia z cysticerkozą, wywołaną przez larwę *Taenia solium*. Tasiemca uzbrojonego.

Rothstein nie wyglądał na przekonanego.

- Wydawało mi się, że *Taenia solium* występuje jedynie w krajach Trzeciego Świata.

- Najczęściej tak. Spotykamy go w Meksyku, Ameryce Południowej, czasami w Afryce i Azji.

Dlatego byłem taki podniecony, gdy zobaczyłem ten slajd. To niewiarygodne, żeby tu, w północnym Maine, znaleźć przypadek cysticerkozy. To warte artykułu w „The New England Journal of Medicine”. Musimy się teraz dowiedzieć, kiedy i gdzie pacjent miał kontakt z wągrami tasiemca uzbrojonego.

- W jego historii nie ma nic o podróżach za granicę - wyjaśniła Claire. - Powiedział mi, że przez całe życie mieszkał w tym stanie.

- Co czyni z tego tym bardziej niezwykły przypadek. Zrobię badania na antyciała, by potwierdzić, czy to właściwa diagnoza. Jeśli to *Taenia solium*, analiza serum i płynu mózgowo-rdzeniowego

dokonana metodą immunoenzymosorbcyjną, czyli test ELISA, będzie pozytywna. Czy jest coś w historii choroby o pierwotnej reakcji na infekcję? Jakież objawy, które mogą nam powiedzieć, kiedy doszło do zarażenia?

- Konkretnie jakie objawy? - zapytał Rothstein.
- To mógł być obraz kliniczny nawet tak dramatyczny, jak wystąpienie zapalenia mózgu lub opon mózgowych. Lub nowe stadium rozwoju epilepsji.
- Pierwsze ataki wystąpiły, zanim skończył osiemnaście lat.
- To już jedna wskazówka.
- Jakie inne objawy mogły wystąpić?
- Być może subtelniejsze. To coś mogło udawać torbiel mózgową, wywoływać rozliczne zaburzenia psychiczne.

Claire przebiegł dreszcz.

- Agresywne zachowanie się? - spytała.
- Być może - powiedział Clevenger. - Nie jest konkretnie wymienione w moich źródłach, ale niewykluczone, że tak objawiłoby się ostre stadium choroby.
- Gdy Warren Emerson miał czternaście lat - powiedziała Claire - zamordował oboje swoich rodziców.

Mężczyźni wpatrywali się w nią ze zdumieniem.

- Nie wiedziałem - powiedział Rothstein. - Nie wspomniała pani o tym.
- Nie miało to znaczenia dla jego stanu zdrowia. A w każdym razie tak mi się wydawało. - Spojrzała w mikroskop, wciąż mając wyraźnie w oczach obraz pasożyta. Najpierw infekcja spowodowana jajami pasożyta, po której występują objawy zapalenia mózgu. Rozdrażnienie. Nawet agresja. - Wiele czasu minęło, od kiedy skończyłam akademię - powiedziała. - Niewiele

pamiętam o *Taenia solium*. Jaki jest jego cykl życiowy?

- *Taenia solium* to tasiemiec, który zwykle żyje w jelitach nosiciela - wyjaśnił Clevenger. - Ludzie jedzą zarażoną, niedogotowaną wieprzowinę, w której są wągry. Wągry mają przyssawki, dzięki którym przyczepiają się do ścianki ludzkiego jelita cienkiego i tam zakładają sobie dom, przyswajając jedzenie. Tasiemce mogą tak mieszkać przez dziesięciolecia, nie dając żadnych objawów, i osiągać nawet do trzech metrów długości. Czasami bywają wydalane. Możecie sobie wyobrazić, jak to jest, obudzić się rano z takim robaczkiem obok w pościeli.

Claire i Rothstein wymienili pełne obrzydzenia spojrzenia.

- Boże drogi - mruknął Rothstein.

- A jak larwa dostaje się do mózgu? - spytała Claire.

- To się zdarza w różnych etapach cyklu życiowego tasiemca. Gdy osiągnie dorosłość w ludzkim jelicie, zaczyna produkować jaja. Jaja są wydalane, dostają się do ziemi i źródeł żywności. Ludzie je zjadają, jaja zapładniają się i przenikają przez ściankę jelita, a potem wraz z krwią wędrują do różnych organów, w tym do mózgu. Tam po paru miesiącach przeobrażają się w wągry. Jest to jednak ślepy zaułek, ponieważ nie mogą rosnąć w tak ograniczonej przestrzeni, bez możliwości odżywiania się. Zostają więc tam, aż umierają, tworząc małe, torbielowate kieszonki w mózgu. Przyczynę ataków tego pacjenta.

- Powiedział pan, że jaja dostają się do ziemi - rzekła Claire. - Jak długo mogą przebywać poza organizmem nosiciela?

- Kilka tygodni.

- A w wodzie? Czy mogłyby przeżyć na przykład w jeziorze?

- Żaden mój podręcznik o tym nie mówi, ale chyba jest to możliwe.

- Czy metodą immunoenzymosorbcyjną można potwierdzić obecność *Taenia solium*? Ponieważ

powinniśmy poddać temu badaniu jeszcze jednego pacjenta. Chłopca przebywającego w Stanowym Ośrodku dla Młodocianych.

- Myśli pani, że mamy w tym stanie jeszcze jeden taki przypadek?
- Być może nawet kilka w Tranquility. To by wyjaśniało, dlaczego tyle naszych dzieci nagle wykazuje agresywne zachowanie.

- Epidemia cysticerkozy w Maine? - Rothstein był sceptyczny.

Podniecenie Claire rosło.

- Obaj chłopcy, których przyjechałam do szpitala, mieli to samo odstępstwo od normy we wzorze białych ciałek: wysoki procent eozynofili. Wówczas myślałam, że to z powodu astmy lub alergii. Teraz zdaję sobie sprawę z tego, że przyczyna była inna.

- Infekcja pasożytnicza - stwierdził Rothstein. - To podnosi liczbę eozynofili.

- No właśnie. A Warren Emerson może być źródłem infekcji. Jeśli w jego jelicie mieszka trzymetrowy tasiemiec, to znaczy, że od lat wydala z siebie jaja pasożyta. Przeciekające szambo zanieczyściłoby ziemię i wody gruntowe. Jaja dostają się do jeziora, narażając wszystkich kąpiących się. Wszystkich, którzy przypadkowo zachłysną się wodą.

- Ale to jest w gruncie rzeczy tylko długi ciąg Jeżeli" - powiedział Clevenger. - Buduje pani domek z kart.

- Nawet czas się zgadza! Dzieciaki zarażają się w lecie, kiedy pływają w jeziorze. Powiedział pan, że przeobrażenie jaj w larwy trwa kilka miesięcy. Teraz mamy jesień i objawy właśnie zaczynają się ujawniać. Syndrom listopada. - Nagle przerwała i zmarszczyła brwi. - Nie rozumiem tylko, dlaczego tomografia mózgu nic nie wykazuje.

- Być może infekcja jest w zbyt wczesnym stadium - powiedział Clevenger. - W fazie ostrej wągry mogą być za małe, by się je dało zauważyć. No i nie ma jeszcze żadnej torbieli.

- No cóż, to się da sprawdzić prostym testem - powiedział Rothstein. Claire kiwnęła głową.
- Jeśli którykolwiek wykaże antyciała *Taenia solium*, to moja teoria będzie czymś więcej niż domkiem z kart.
- Możemy zacząć od zbadania Warrena Emersona - rzekł Rothstein. - I tego chłopca w Ośrodku dla Młodocianych. Jeśli oba testy wypadną negatywnie, to pani teoria upada. Jeśli natomiast będą pozytywne...
Clevenger, naukowiec do szpiku kości, zatarł ręce na samą myśl o takiej ewentualności.
- Wtedy wyciągamy igły i opaski uciskowe, kochani - powiedział. - Bo będziemy musieli włożyć się w bardzo wiele rąk.

Rozdział dwudziesty

Przez zamknięte drzwi J.D. obsypywał ją wyzwiskami, nazywając szmatą, tanią dziwką, kurwą. Amelia siedziała na łóżku, zatykając uszy rękoma, usiłując nie słyszeć głosu przyrodniego brata. Wiedziała, że jeśli mu odwrzaśnie, będzie jeszcze gorzej. Ostatnio J.D. wściekał się na wszystkich i szukał zwady z każdym, kto mu się nawinął pod rękę.

Wczoraj, gdy odesłano go ze szkoły do domu, popełniła błąd, nazywając go świnią. Uderzył ją tak mocno, że w uszach dzwoniło jej jeszcze parę godzin potem. Pobiegnęła, szlochając, do matki, ale oczywiście Grace nic jej nie pomogła.

- Wiesz, jaki on jest - powiedziała tonem, który sugerował: „Mam własne kłopoty”. - Po prostu trzymaj się od niego z daleka.

Przez cały dzień Amelia siedziała zamknięta w swoim pokoju i próbowała skupić się na zadaniach domowych. Teraz jednak nie słyszała już nawet własnych myśli. Wcześniej J.D. pieklił się na dole,

popychając Eddiego, wrzeszcząc na mamę, a nawet na Jacka. Może któregoś dnia Jack i J.D. pozabiją się nawzajem. Jaki ojciec, taki syn. Nie będzie płakać po żadnym z nich.

Ale teraz J.D. stał pod jej drzwiami i obrzucał ją wyzwiskami.

- Lubisz małe siusiaki? Dlatego to robisz z tym gnojkiem, Noahem Elliotem? Ja ci pokażę dużego kutasa! Pokażę ci, jak to się robi! Nie? Wolisz siusiaczka Noaha? - Roześmiał się i zaczął krzyczeć: „Siusiaczek, siusiaczek!”, aż w końcu nawet Jack miał dość i wrzasnął z dołu schodów:

- Zamknij się, J.D.! Usiłuję oglądać telewizję!

Na co J.D. pognął na dół, by pokłócić się z Jackiem. Z dużego pokoju dobiegały ją ich coraz bardziej podniesione głosy. Jedna wielka, szczęśliwa rodzina. Teraz ktoś zaczął przewracać sprzęty na podłogę. Amelia słyszała trzask mebli, brzęk rozbijanego szkła. O Boże, czy może być jeszcze gorzej? Do awantury dołączyła się matka, płacząca nad rozbitą ukochaną lampą. Amelia spojrzała na rozłożone na łóżku podręczniki, na listę zadań, które powinna skończyć do poniedziałku, i zrozumiała, że nic z tego nie wyjdzie. Powinnam była pójść do szkoły na zabawę, pomyślała. Skoro nie mogę odrabiać lekcji, przynajmniej bym się zabawiła.

Tylko że zabawa wcale nie będzie fajna, bo nie zjawi się na niej Noah Elliot.

Słyszała, jak druga lampa rozbija się o podłogę.

- Dlaczego nic z tym nie zrobisz, Jack? - zawodziła Grace. - Dlaczego nigdy nie reagujesz?

Rozległ się głośny policzek i Grace wybuchnęła płaczem.

Amelia wrzuciła książki do plecaka, złapała kurtkę i wymknęła się z sypialni. Nie usłyszeli nawet, jak schodziła po schodach. Zerknęła do dużego pokoju: podłogę zaścielało rozbite szkło, a J.D., purpurowy i sapiący jak wściekły byk, stał przed ojcem i macochą.

Amelia wymknęła się przez drzwi frontowe w śnieżną noc.

Zacząła iść wzdłuż Toddy Point Road, początkowo nie zastanawiając się dokąd, chcąc jedynie

być jak najdalej od nich. Gdy jednak znalazła się w pobliżu pochylni dla łodzi, zimno zaczęło przenikać przez jej kurtkę, a topiący się śnieg spływał po twarzy. Musiała iść dokądś - błądzenie bez celu w taką noc było głupie i niebezpieczne. Przychodziło jej na myśl tylko jedno takie miejsce, dokąd naprawdę chciała pójść, jeden dom, gdzie na pewno zostanie powitana z radością.

Na myśl o tym serce zabiło jej żywiej. Ruszyła szybszym krokiem.

Od kiedy to uczennice noszą publicznie tak wymyślną bieliznę? - zastanawiał się Lincoln, przyglądając się uczniom na parkiecie. Pamiętał szkolne potańcówki z własnej młodości. Dziewczyny miały lśniące włosy, sukienki w pastelowych kolorach i minispódniczki. Dzisiejsze dziewczęta przypominały raczej zgromadzenie wysztafirowanych wampirzyc w czarnych koronkach na cieniotkich ramiączkach. Niektóre pomalowały na czarno także i usta, co na tle ich zimowo białych twarzy, w półmroku sali gimnastycznej, dawało dość trupi efekt. Jeśli zaś chodzi o chłopców, cóż, kolczyki w uszach miewali teraz równie często, jak dziewczęta.

- Przecież w takich strojach mogą jak nic złapać zapalenie płuc - powiedział stojący obok Pete Sparks. - Trudno mi uwierzyć, że matki pozwoliły im się tak ubrać.

- Założę się, że ich matki nie mają o tym pojęcia - rzekł Lincoln. Wiele dziewczyn, jak widział, pojawiało się w skromnych sukienkach, po czym znikowało w toalecie, wracając w czymś ukazującym zdecydowanie więcej ciała.

Z głośników buchnęła nagle dudniąca muzyka. Po kilku minutach Lincoln marzył już jedynie o ucieczce.

Minął podwójne drzwi sali gimnastycznej i wyszedł we względną ciszę mroźnej nocy.

Śnieg padał łagodnie - tylko w świetle ulicznej latarni widać było jego wirujące płatki. Lincoln

zatrzymał się w podcieniach sali, podniósł kołnierz i z ulgą wciągnął w płuca ostre, czyste powietrze.

Drzwi za nim otwały się i znów zamknęły.

- Dla ciebie to też za wiele szczęścia? - usłyszał głos Fern.

Podeszła i zatrzymała się obok. Włożyła płaszcz, co znaczyło, że ma zamiar pozostać tu dłuższą chwilę.

- Czy czasem czujesz, że ciąży na tobie zbyt wielka odpowiedzialność, Lincoln? Nie miałbyś ochoty powiedzieć, że dość tego, i po prostu pójść sobie?

Roześmiał się niewesoło.

- Co najmniej dwa razy dziennie.

- A jednak wciąż tu jesteś.

Spojrzał na nią.

- Ty także.

- Nie dlatego, że chcę. Dlatego, że nie widzę innego wyjścia. - Uniosła głowę, patrząc na padający śnieg. - Doreen na ciebie nie zasługuje - powiedziała cicho. - Nigdy nie zasługiwała.

- Nie można mówić, że ktoś zasługuje na dobry lub zły los, Fern.

- A jednak powinieneś mieć lepszy. Przez te wszystkie lata patrzyłam, jak ona cię unieszczęśliwia, i myślałam, jakie to niesprawiedliwe. Jaka jest samolubna. Życie nie musi być niesprawiedliwe. Możemy wybrać szczęście. - Przerwała, przygotowując się na to, co zamierzała powiedzieć. Wiedział, co to jest; zawsze wiedział i zawsze unikał sytuacji, w których mógłby jej słowa usłyszeć, świadom, że ich następstwem będzie jej upokorzenie i jego przykrość. - Nie jest jeszcze dla nas za późno - powiedziała.

Westchnął z żalem.

- Fern...
- Moglibyśmy zacząć tam, gdzie skończyliśmy. Przed Doreen.
- Nie możemy. - Pokręcił głową.
- Dlaczego nie?

Słyszał w jej głosie prawdziwą determinację. Zmusił się, by spojrzeć jej w oczy.

- Jest ktoś inny.

Cofnęła się w mrok, ale zdążył jeszcze dostrzec łzy w jej oczach.

- Chyba to przeczuwałam.

- Tak mi przykro.

- Nie, nie ma powodu, żeby ci było przykro. - Pokiwała głową i się roześmiała. - To po prostu historia mojego życia.

Patrzył, jak się odwraca. Wyprostowała ramiona, by odzyskać godność. Dlaczego to nie mogła być Fern? - zastanawiał się. Gdyby się w niej zakochał, gdyby się pobrali, żyliby zapewne w stosunkowo szczęśliwym związku. Była dość atrakcyjna i inteligentna. A jednak czegoś między nimi zawsze brakowało. Magii.

Z żalem patrzył, jak odchodzi i otwiera drzwi. W tym samym momencie buchnął z nich hałas, ich uszu dobiegły krzyki i tupot biegnących nóg.

- Cóż tam się dzieje? - zaniepokoiła się Fern i wbiegła do środka. Lincoln szedł tuż za nią.

Wewnątrz panowało totalne zamieszanie. Waza z ponczem się przewróciła i płyn w kolorze truskawek tworzył wielką plamę na podłodze. Muzyka wciąż grała ogłuszająco, ale połowa uczniów stłoczyła się w przerażeniu pod jedną ścianą. Pozostali stali kręgiem wokół głośników. Lincoln nie widział, co się dzieje w środku kręgu, ale usłyszał, jak głośnik pada na podłogę, a Pete Sparks i opiekunowie wołają:

- Przestańcie! Cofnąć się! Cofnąć się!

Lincoln przepychał się do środka, gdy kolejny wzmacniacz przewrócił się w płynący strumień ponczu. Rozległ się ogłuszający trzask i wszyscy zakryli uszy rękami, cofając się przed strzelającymi iskrami elektrycznymi.

W następnej chwili muzyka ucichła, a światła zgasły.

Ciemność trwała zaledwie parę sekund, ale w tej krótkiej chwili, zanim zapaliła się lampa awaryjna, tłum wpadł w panikę. Lincolnna potraçały wrzeszczące dzieciaki, usiłujące dopaść wyjścia. Nie widział, kto na niego biegnie, słyszał jedynie odgłos kroków. Poczuł, że ktoś przewrócił się przy jego nogach, sięgnął więc ręką na oślep i podniósł jakąś dziewczynę za sukienkę.

Lampa awaryjna w końcu rozbłysła, ale był to jedynie słaby reflektor w odległym kącie sali gimnastycznej. Dawał akurat dość światła, by ogarnąć chaos biegających i dźwigających się na nogi postaci.

Scena, jaką Lincoln zarejestrował w następnym momencie, zmroziła go do szpiku kości. Pete Sparks padł na kolana i wydawał się zbyt oszołomiony, by zauważyć stojącego obok grubego chłopaka, który pochylił się i wyjął broń z jego kabury.

Lincoln stał za daleko, by rozbroić chłopca odpowiednim chwytem. Zrobił zaledwie dwa kroki w przód, gdy dzieciak zwrócił się w jego stronę, patrząc płonącymi wściekłością oczyma. Lincoln rozpoznał Barry'ego Knowltona.

- Odłóż to, chłopcze - powiedział spokojnie. - Po prostu połóż pistolet na podłodze.
- Nie. Nie, mam dość tego, że wszyscy robią ze mnie pośmiewisko!
- Możemy o tym porozmawiać, ale najpierw musisz położyć to na podłodze.
- Nikt nigdy ze mną nie rozmawia! - Barry obrócił się i omiół wzrokiem obecnych. - Wy,

dziewczyny, nigdy się nie wysilacie. Tylko się ze mnie nabijacie! Tylko to ciągle słyszę, śmiech. - Przeniósł wzrok w inną część sali. - Albo ty, wieprzu! Jak mnie nazwałeś? Gruba dupa? Powiedz to teraz! No, dalej, powiedz to teraz!

- Odłóż pistolet - powtórzył Lincoln, powoli sięgając po własną broń. Była to ostateczność; nie chciał zastrzelić chłopca. Musiał z nim porozmawiać. Negocjować. Wszystko, żeby tylko kule nie zaczęły gwizdać w powietrzu. W mroku rozlegał się odgłos kroków. Dostrzegł blond głowę Fern, wyprowadzającej grupę uczniów. Jednakże kilkadziesiąt osób wciąż tkwiło w pułapce pod przeciwległą ścianą i nie mogło uciec.

Znów zrobił krok do przodu. Chłopiec natychmiast zwrócił się w jego kierunku.

- Wiemy, o co ci chodzi, Barry - powiedział Lincoln. - Chodźmy do pokoju obok i pogadajmy, dobrze?

- Nazwał mnie grubą dupą. - W głosie chłopca słychać było udrekę. Rozpacz outsidera.

- Porozmawiajmy, tylko my dwaj - powtórzył Lincoln.

- Nie. - Chłopak odwrócił się ku uczniom skulonym pod ścianą. - Teraz moja kolej, żeby dyktować warunki.

Claire wyłączyła radio w samochodzie, więc ciszę przerywał jedynie szum wycieraczek, zsuwających z szyby płatki śniegu. Godziną jazdę z Bangor odbyła pogrążona w myślach i zanim minęła granicę Tranquility, wszystko razem ułożyło się w całość. Jej teoria opierała się na Warrenie Emersonie.

Farma Emersona zajmowała dolną część stoku Beech Hill, jakieś półtora kilometra od jeziora w górę potoku. Leżała tak daleko, że wymagała własnej kanalizacji. Jeśli w trzewiach Warrena

Emersona mieszkał dorosły pasożyt, byłby stałym źródłem jaj. Wystarczyłby przeciek w starym szambie, rok z powodzią, i jaja te zostałyby wymyte do pobliskiego potoku Meegawki.

Do jeziora.

Eleganckie, logiczne wyjaśnienie, pomyślała. To nie epidemia szaleństwa. Ani nie odwieczne przekleństwo, ciężące na tym miejscu. Po prostu mikroorganizm, larwa pasożyta, która umiejscowiła się w ludzkim mózgu, w miarę wzrostu wprowadzając zamieszanie. Do potwierdzenia tej diagnozy wystarczył pozytywny wynik analizy krwi w enzymatycznym teście immunoabsorbcyjnym. Jeszcze jeden dzień, a będą pewni.

Wycie syreny ostrzegło ją o zbliżaniu się wozu policyjnego. Rzuciła okiem w lusterko wsteczne i zobaczyła wóz patrolowy z Two Hills. Przemknął koło niej w kierunku Tranquility. Chwilę później minął ją drugi wóz jadący w tę samą stronę, a za nim karetka pogotowia.

Zobaczyła, że daleko przed nią samochody skręciły w drogę prowadzącą do szkoły.

Pojechała za nimi.

Była to jakby powtórka przerażającej sceny sprzed miesiąca: pojazdy służb miejskich zostawione byle gdzie przed salą gimnastyczną, na drodze grupki płaczących i kulących się nastolatków. Tylko że teraz z nocnego nieba prószył śnieg i migające światła na dachach pojazdów były stłumione, jakby widziane przez białą gazę.

Claire złapała torbę lekarską i pośpieszyła do szkoły. Kawalek od sali gimnastycznej zatrzymał ją uzbrojony po zęby Mark Dolan. Spojrzenie, jakie jej rzucił, potwierdziło tylko to, co już od dawna podejrzewała: że w pełni odwzajemnia jej niechęć.

- Wszyscy muszą się cofnąć - powiedział. - Mamy tam zakładników.
- Czy są ranni?
- Jeszcze nie. I sądzimy, że tak zostanie.

- Gdzie Lincoln?

- Próbuje zagadać chłopaka. A teraz proszę się cofnąć, pani doktor. Dalej od budynku.

Claire wycofała się do miejsca, gdzie zebrał się tłumek. Widziała, jak Dolan naradza się z komendantem policji z Two Hills. Teraz rządzą tu mężczyźni w mundurach, a ona była po prostu jeszcze jednym niepotrzebnym cywilem.

- Lincoln jest całkiem sam - odezwała się Fern. - A ci cholerni bohaterowie nic nie robią, żeby mu pomóc. - Blond włosy Fern były rozburzone, a kosmyki pokrywał śnieg. - Zostawiłam go tam - mówiła dalej cicho. - Nie miałam wyboru. Musiałam wyprowadzić dzieci...

- Kto jeszcze tam został?

- Co najmniej kilkudziesięciu uczniów. - Wpatrywała się w budynek, a topniejący śnieg skapywał z jej policzków. - Lincoln ma pistolet. Dlaczego go po prostu nie użyje?

Claire też spojrzała na salę gimnastyczną, dokładnie wyobrażając sobie, co się dzieje w środku. Niezrównoważony chłopiec. Sala z kilkudziesięcioma zakładnikami. Lincoln nie działałby pochopnie i na pewno nie zastrzeliłby chłopca z zimną krwią, gdyby znalazł jakieś inne wyjście. Dotychczas nie było jeszcze słyhać strzelaniny, co znaczyło, że wciąż istnieje nadzieja na uniknięcie rozlewu krwi.

Rzuciła okiem na policjantów zgromadzonych za wozami patrolowymi, dostrzegła ich poruszenie, usłyszała podniecenie w ich głosach. Byli to małomiasteczkowi gliniarze, stojący w obliczu wielkomiejskiego problemu, i aż ich ponosiło, żeby podjąć działanie. Jakiegokolwiek działanie.

Mark Dolan dał znak dwu policjantom, stojącym już w pogotowiu po obu stronach drzwi do sali. Ponieważ jego szef znajdował się w środku, Dolan przejął dowodzenie i pozwalał, by działanie dyktował mu testosteron.

Claire pobiegła przez śnieg ku samochodom. Dolan i komendant policji z Two Hills spojrzeli ze

z dumieniem, gdy przypadła obok nich do ziemi.

- Ma pani się cofnąć! - powiedział Dolan.
 - Chyba nie chcecie posłać do środka uzbrojonych mężczyzn?
 - Ten chłopak ma pistolet.
 - Dolan, przez pana zginą ludzie!
 - Zginą, jeśli czegoś nie zrobimy - oświadczył komendant z Two Hills. Dał znak trzem policjantom, skulonym za sąsiednim samochodem.
 - Wstrzymajcie się - powiedziała do Dolana. - Nie znacie sytuacji w środku...
 - A pani zna?
 - Nie było strzałów. Dajcie Lincolnowi szansę na negocjacje.
 - Lincoln tu nie decyduje, pani doktor. A teraz niech pani zejdzie mi z oczu albo panią aresztuję!
- Patrzyła przed siebie, na drzwi sali. Śnieg padał coraz gęstszy, zasłaniając widok na budynek, a przez cieniutką białą zasłonę policjanci wyglądali jak duchy, płynące ku wejściu. Jeden z nich sięgnął do klamki.

Lincoln i chłopiec znaleźli się w sytuacji patowej. Stali twarzą w twarz w pełnej cieni sali, a światło odległej lampy awaryjnej przecinało ciemność między nimi. Chłopiec wciąż trzymał pistolet, ale dotychczas tylko wymachiwał nim wokół siebie, co wywoływało pełne przerażenia krzyki ze strony stłoczonych pod ścianą uczniów. Nie wycelował jeszcze broni w nikogo konkretnego, nawet w Lincoln, który trzymał rękę na kaburze, gotów w każdej chwili wyciągnąć broń. Tuż za chłopcem stały dwie dziewczynki, przez co każdy strzał był dość ryzykowny. Lincoln zaufał swojemu instynktowi przekonany, że chłopca można jeszcze ułagodzić rozmową, że choć kieruje

nim wściekłość, to przecież jakaś część jego istoty walczy o przejęcie kontroli, a spokojny głos mu w tym pomaga.

Lincoln powoli opuścił rękę. Teraz stał przed Barrym z rękoma wzdłuż boków, w neutralnej pozycji. Okazując zaufanie.

- Nie chcę cię zranić, synu. I jestem pewien, że ty także nie chcesz nikogo skrzywdzić. Jesteś ponad to. Jesteś lepszy.

Chłopiec się zawahał. Zaczął przyklękać, by położyć pistolet na podłodze, ale zmienił zdanie i znów się wyprostował. Odwrócił się ku kulącym się w cieniu kolegom.

- Nie jestem taki jak wy. Nie jestem jak żaden z was!

- Więc to udowodnij - powiedział Lincoln. - Odłóż broń, synu.

Chłopiec spojrzał na niego. W tym momencie wydawało się, że płomienie jego gniewu migoczą i przygasają. Wahał się między wściekłością a rozsądkiem, w spojrzeniu Lincolna zaś desperacko szukał pomocy.

Lincoln podszedł bliżej.

- Wezmę to - powiedział spokojnie.

Chłopiec kiwnął głową. Nie odrywając wzroku od jego twarzy, wyciągnął dłoń z pistoletem.

Drzwi otwarły się z trzaskiem, a zaraz potem rozległ się tupot szybko biegnących kroków. Mężczyźni wpadli do sali z kilku kierunków. Lincoln niewyraźnie tylko dostrzegał ich ruchy. Piszczący uczniowie rzucili się przed siebie, poszukując osłony. A pośrodku sali, złapany w światło reflektora, stał Barry Knowlton z wciąż wyciągniętą ręką, w której trzymał broń. W tym ułamku sekundy Lincoln z przeraźliwą jasnością zobaczył, co się stanie. Zobaczył chłopca, wciąż ściskającego pistolet, jak obraca się w stronę policjantów. Zobaczył mężczyzn kierowanych adrenaliną, unoszących broń.

- Wstrzymać ogień! - wrzasnął.

Jego głos zginął w ogłuszającym huku.

Odgłos strzałów na moment sparaliżował stojący na ulicy tłum. Potem wszyscy zareagowali równocześnie: policjanci rzucili się w stronę budynku, pozostali zaczęli histerycznie krzyżeć.

Z sali wybiegła jedna z nauczycielek.

- Potrzebujemy karetki! - krzyknęła.

Walcząc ze strumieniem wybiegających z sali dzieci, Claire usiłowała wepchnąć się do środka. Początkowo dostrzegła jedynie niewyraźne sylwetki uzbrojonych mężczyzn, papierowe serpentyny zwieszające się gdzieś z góry. Ciemność czuć było potem i strachem.

I krwią. Niemal weszła w kałużę krwi, przepychając się ku stojącym kręgiem policjantom. Pośrodku kręgu, na podłodze, siedział Lincoln, trzymając w ramionach chłopca.

- Kto wydał rozkaz? - zapytał stłumionym z wściekłości głosem.

- Posterunkowy Dolan uważał...

- Mark? - Lincoln spojrzał na niego.

- To była wspólna decyzja - oświadczył Dolan. - Komendant Orbison i ja... wiedzieliśmy, że chłopiec ma broń...

- Właśnie miał się poddać!

- Nie mieliśmy pojęcia!

- Wynoś się stąd! - powiedział Lincoln. - No już, wynoś się stąd!

Dolan odwrócił się i w drodze do wyjścia odepchnął na bok Claire.

Uklękła koło Lincolna.

- Karetka już czeka.

- Za późno - powiedział.

- Pozwól mi zobaczyć, czy mogę mu pomóc!
- Nic już nie możesz zrobić. - Spojrzał na nią ze łzami w oczach.

Sięgnęła po rękę chłopca, ale nie wyczuła pulsu. Wtedy Lincoln rozchylił ramiona i zobaczyła głowę Barry'ego. To, co z niej zostało.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Potrzebował jej tej nocy. Gdy już zabrano ciało Barry'ego Knowltona, gdy już przeszedł przez koszmar spotkania z jego rodzicami, znalazł się nagle w jaskrawym świetle fleszy reporterów. Dwukrotnie załamał się i zaczął płakać przed kamerami TV. Nie wstydził się swoich łez i nie miarkował słów w gniewnych wypowiedziach, krytykujących sposób rozwiązania kryzysowej sytuacji. Zdawał sobie sprawę z tego, że przygotowuje grunt pod oskarżenie o niesprawiedliwe zabójstwo przeciwko swojemu własnemu pracodawcy, miastu Tranquility. Było mu wszystko jedno. Wiedział tylko, że chłopca zastrzelono jak jelenia w listopadzie i ktoś powinien za to zapłacić.

Jadąc w gęsto padającym śniegu, poczuł, że nie zdoła znieść samotnego powrotu do domu, spędzenia tej nocy tak jak innych - samotnie.

Zamiast tego pojechał do domu Claire.

Przedzierając się z samochodu przez sięgający powyżej kostek śnieg, czuł się jak żalosny pielgrzym, ostatkiem sił zmierzający ku sanktuarium. Wspiął się na ganek i zastukał do drzwi, kilkakrotnie, a gdy nie było odpowiedzi, nagle przeszła go rozpacz na myśl o tym, że nie ma jej w domu, że dom jest pusty. Że musi znieść resztę nocy bez niej.

Ale w końcu na górze zapaliło się światło, a ciepła poświata przedarła się przez padający śnieg. Chwilę potem drzwi się otworzyły i Claire stanęła przed nim.

Wszedł do środka. Żadne z nich się nie odezwało. Ona po prostu otworzyła ramiona, przyjęła go.

Był pokryty śniegiem, który teraz topił się od jej ciepła, a zimne strumyczki moczyły flanelę jej szlafrocza. Przytulała Lincolna, a stopiony śnieg tworzył kałużę na podłodze wokół jej bosych stóp.

- Czekałam na ciebie - powiedziała.
- Nie mogłem znieść myśli o powrocie do domu.
- Więc zostań tutaj. Zostań ze mną.

Na górze zrzucili ubrania i wsunęli się w pościel, jeszcze rozgrzaną jej ciałem. Nie przyjechał, by się kochać, szukał jedynie pociechy. Dała mu jedno i drugie, zapewniając tak pożądane wyczerpanie, dzięki któremu w końcu zasnął.

Gdy się obudził, niebo za oknem było intensywnie niebieskie, aż kłuło w oczy. Claire leżała zwinięta w kłębek, a jej włosy rozsypały się po poduszce bezładnymi puklami. Widział siwe nitki w masie brązowych loków i ten pierwszy objaw wieku w jej włosach był tak niespodziewanie wzruszający, że Lincoln musiał zamrugać, walcząc ze łzami. Połowa życia bez ciebie, pomyślał. Połowa życia zmarnowana, aż do teraz.

Pocałował ją lekko, ale się nie obudziła.

Ubierał się, patrząc przez okno na świat przemieniony nocną burzą śnieżną. Puszysty śniegowy płaszcz okrył jego samochód, czyniąc z niego niewyraźny biały kopczyk. Gałęzie drzew uginały się pod ciężkimi czapami śniegu, a tam, gdzie kiedyś był podjazd przed domem, widniało migoczące w słońcu pole diamentów.

Drogą nadjechała furgonetka i skręciła na teren Claire. Z przodu miała zamontowany pług śnieżny, więc Lincoln pomyślał, że to zapewne ktoś, kogo Claire zatrudniła do oczyszczenia podjazdu. Ale w kierowcy wysiadającym z furgonetki rozpoznał Floyda Speara w mundurze policyjnym.

Floyd przeszedł przez śnieg do kopca skrywającego samochód Lincolna i oczyścił tablicę rejestracyjną ze śniegu. Wyprostował się i spojrzał pytająco na dom. Teraz już całe miasto będzie wiedziało, gdzie spędziłem noc.

Lincoln zszedł na dół i otworzył drzwi akurat w chwili, gdy Floyd uniósł dłoń w rękawiczce, by zapukać.

- Dzień dobry - powiedział Lincoln.
- Uu... Dzień dobry.
- Szukasz mnie?
- Tak, pojechałem do ciebie do domu, ale cię nie było.
- Mój pager jest cały czas włączony.
- Wiem, ale... no, nie chciałem przekazywać tej wiadomości przez telefon.
- Jakiej wiadomości?

Floyd spojrzał na swoje oblepione śniegiem buty.

- Niedobrej, Lincoln. Tak mi przykro. Chodzi o Doreen.

Lincoln nic nie powiedział. O dziwo, nic także nie czuł, jakby zimne powietrze, które wciągał do płuc, znieczuliło jego serce i mózg. Zdawało mu się, że głos Floyda dociera do niego z wielkiej odległości, słowa zanikały i przestawały być słyszalne.

- ...jej ciało na Slocum Road. Nie wiem, skąd się tam w ogóle wzięła. Naszym zdaniem, musiało się to zdarzyć wczoraj wieczorem, mniej więcej w tym samym czasie co afera w szkole. Ale to już lekarz sądowy będzie musiał stwierdzić.

Lincoln z trudem zmusił się do wypowiedzenia kilku słów.

- Jak... jak to się stało?

Floyd się zawahał, uniósł wzrok, potem znów go spuścił.

- Dla mnie to wygląda, jakby ktoś ją przejechał i uciekł z miejsca wypadku. Policja stanowa już tam jedzie.

Z przedłużającego się milczenia Floyda Lincoln wywnioskował, że to jeszcze nie wszystko. Gdy Floyd w końcu uniósł wzrok, wypowiadał słowa z bolesną niechęcią:

- Zeszłego wieczoru, koło dziewiątej, dyżurny dostał wiadomość o pijanym kierowcy, który jedzie zygzakiem po Slocum Road. Ta sama okolica, gdzie znaleziono Doreen. Ten telefon był wtedy, gdy wszyscy siedzieliśmy w szkole, więc nikt nie pojechał tego sprawdzić...

- Czy świadek podał numer rejestracyjny?

Floyd kiwnął potakująco głową.

- Samochód jest zarejestrowany na doktor Elliot - powiedział żałośnie.

Lincoln czuł, że krew odpływa mu z twarzy. Samochód Claire?

- Według rejestracji to brązowa furgonetka.

- Ależ ona nie jeździła wczoraj furgonetką! Widziałem ją wieczorem w szkole, przyjechała tym starym subaru.

- Lincoln, ja tylko mówię, że świadek podał numer rejestracyjny samochodu doktor Elliot. Więc może... może przyjrę się tej furgonetce?

Lincoln wyszedł w samej koszuli, ale prawie nie czuł zimna, brnąc przez śnieg do garażu. Zanurzył rękę aż po łokieć w śniegu, znalazł uchwyt i podniósł drzwi.

W środku obok siebie stały oba samochody Claire. Pierwszą rzeczą, jaką Lincoln zauważył, były kałuże stopionego śniegu pod oboma pojazdami. W ciągu ostatniego dnia czy dwóch oba były używane, na tyle niedawno, że kałuże jeszcze nie wyschły.

Jego otępienie szybko ustępowało ściskającemu za gardło strachowi. Obszedł furgonetkę. Na widok rozmazanej na zderzaku krwi poczuł, że świat ucieka mu spod nóg i wszystko wokół się

wali.

Bez słowa odwrócił się i wyszedł z garażu.

Zatrzymując się w sięgającym kolan śniegu, spojrzął na dom, gdzie spała Claire ze swoim synem. Nie przychodziło mu do głowy nic, co pomogłoby im znieść nadchodzącą mękę, żaden sposób na oszczędzenie jej bólu, który będzie musiał sam zadać. Nie miał w tej sprawie wyboru. Przecież zrozumie. Być może pewnego dnia nawet mu wybaczy.

Ale dzisiaj - dzisiaj go znienawidzi.

- Wiesz, że będziesz musiał się trzymać od tej sprawy z daleka - powiedział cicho Floyd. - Cholera, w ogóle nie wolno ci się do niej zbliżyć. Doreen była twoją żoną. A ty właśnie spędziłeś noc z... - Głos mu zamarł. - To sprawa policji stanowej, Lincoln. Będą chcieli z tobą porozmawiać. Z wami obojgiem.

Lincoln wciągnął głęboko powietrze i chętnie przyjął karzącą ostrość zimnego powietrza w płucach. Fizyczny ból.

- Więc ich zawiadom przez radio - powiedział. Ruszył niechętnie ku domowi. - Muszę porozmawiać z Noahem.

Nie rozumiała, jak się to mogło zdarzyć. Obudziła się w równoległym świecie, gdzie ludzie, których znała i kochała, zachowywali się w obcy jej sposób. Oto Noah, rozwalony na krześle w kuchni i tak spięty wściekłością, że powietrze wokół niego niemal dźwięczało. Oto Lincoln, ponury i obcy, zadający pytanie po pytaniu. Żaden z nich na nią nie patrzył, najwyraźniej obaj woleli, żeby nie było jej w pokoju, ale też żaden nie poprosił, żeby wyszła. I tak by nie wyszła: widziała, w jakim kierunku zmiierzają pytania Lincolna, i rozumiała niebezpieczny charakter dramatu

rozgrywającego się w jej kuchni.

- Musisz mi szczerze powiedzieć, synu - rzekł Lincoln. - Nie zadaję ci żadnych podchwytliwych pytań. Nie próbuję cię złapać. Po prostu muszę wiedzieć, gdzie jeździłeś wczoraj furgonetką i co się stało.

- A kto mówi, że w ogóle nią jeździłem?

- Furgonetka najwyraźniej wyjeżdżała z garażu. Są pod nią kałuże stopionego śniegu.

- Moja mama...

- Twoja mama wczoraj prowadziła subaru. Potwierdza to.

Noah rzucił Claire spojrzenie, w którym wyraźnie odczytała błysk oskarżenia. Jesteś po jego stronie.

- A kogo to obchodzi, jeśli nawet gdzieś jeździłem? - powiedział Noah. - Nie rozwaliłem jej przecież.

- Nie.

- No więc prowadziłem bez prawa jazdy. Wyślijcie mnie na krzesło elektryczne.

- Gdzie jeździłeś furgonetką, Noah?

- Tu i tam.

- Gdzie?

- Po prostu tu i tam, rozumiecie?

- Dlaczego zadajesz mu te pytania? - odezwała się Claire. - Co chcesz od niego usłyszeć?

Lincoln nie odpowiedział. Jego uwaga wciąż była skupiona na chłopcu. Tak daleko już się ode mnie odsunął, pomyślała. Tak mało znam tego człowieka. Witajcie rankiem po, w mocnym świetle żalu.

- Tu nie chodzi o zwykłe jeżdżenie bez prawa jazdy, prawda? - spytała.

W końcu Lincoln na nią spojrzał.

- Wczoraj wieczorem był wypadek. Sprawca uciekł. Twoja furgonetka mogła brać w tym udział. Świadek widział twój samochód, jak jedzie zygzakiem, i zadzwonił na komisariat. Było to na tej samej drodze, gdzie znaleziono ciało.

Opadła na krzesło, jakby ją ktoś popchnął. Ciało. Ktoś został zabity.

- Dokąd pojechałeś wczoraj wieczorem, Noah? - powtórzył swoje pytanie Lincoln.

Teraz Noah wyglądał na przestraszonego.

- Nad jezioro - powiedział ledwo dosłyszalnie.

- I dokąd jeszcze?

- Tylko nad jezioro. Toddy Point Road. Zaparkowałem na chwilę przy pochylni dla łodzi. Ale potem zaczęło bardzo mocno padać, a nie chcieliśmy tam utknąć, więc pojechałem do domu.

Byłem już w domu, gdy wróciła mama.

- My? Powiedziałeś: „nie chcieliśmy tam utknąć”.

Noah wyglądał na zmieszanego.

- Ja nie chciałem.

- Kto był z tobą w furgonetce?

- Nikt.

- Powiedz prawdę, Noah. Kto był z tobą, gdy przejechałeś Doreen?

- Kogo?

- Doreen Kelly.

Żonę Lincolną? Claire wstała tak gwałtownie, że jej krzesło przewróciło się do tyłu.

- Przestań! Przestań zadawać pytania!

- Dziś rano znaleziono jej ciało - mówił Lincoln, jakby Claire się w ogóle nie odezwała, a jego

cichy, monotony głos z trudem skrywał ból. - Leżała koło Slocum Road. Niedaleko od miejsca, w którym świadek widział furgonetkę twojej mamy. Mogłeś się zatrzymać, żeby jej pomóc. Mogłeś kogoś wezwać, gdzieś zadzwonić. Nie zasługiwała na taką śmierć, Noah. Całkiem sama, na mrozie.

- Claire usłyszała w jego głosie coś więcej niż ból. Usłyszała poczucie winy. Być może jego małżeństwo się rozpadło, ale Lincoln zawsze czuł się odpowiedzialny za Doreen. Z jej śmiercią wziął na siebie nowy ciężar samooskarżeń.

- Noah by jej tak nie zostawił - powiedziała Claire. - Wiem, że nie.

- Pewnie myślisz, że go znasz.

- Lincoln, rozumiem, że cierpisz. Rozumiem, że jesteś w szoku. Ale teraz uderzasz na ślepo, usiłując przypisać winę najbliższemu celowi.

Lincoln spojrzał na Noaha.

- Już raz miałeś kłopoty, prawda? Kradłeś samochody.

Dłonie Noaha zacisnęły się w pięści.

- Wie pan o tym?

- Tak, wiem. Posterunkowy Spear zadzwonił do twojego kuratora w Baltimore.

- Więc po co pan mnie męczy tymi wszystkimi pytaniami? Już pan uznał, że jestem winny!

- Chcę usłyszeć twoją wersję.

- Przedstawiłem panu moją wersję!

- Mówisz, że jeździłeś nad jeziorem. A nie pojechałeś także na Slocum Road? Czy zdawałeś sobie sprawę z tego, że na nią wjechałeś? Czy przyszło ci do głowy, żeby chociaż wysiąść i zobaczyć, co się stało?

- Przestań - powiedziała Claire.

- Muszę wiedzieć!

- Nie pozwolę, żeby jakiś gliniarz przesłuchiwał mojego syna bez adwokata!
- Nie zadaję tych pytań jako gliniarz.
- Ale jesteś gliniarzem! I nie będzie więcej pytań! - Stała za synem, opierając ręce na ramionach Noaha. Patrzyła wprost na Lincolna. - Nie ma ci nic więcej do powiedzenia.
- W końcu będzie musiał zacząć mówić, Claire. Policja stanowa zada mu te same pytania i jeszcze wiele więcej.
- Z nimi także Noah nie będzie rozmawiał. Nie bez adwokata.
- Claire. - W jego głosie czuło się udrękę. - Była moją żoną. Muszę wiedzieć.
- Czy aresztujesz mojego syna?
- Nie do mnie należy decyzja...

Claire zacisnęła dłonie na ramionach Noaha.

- Skoro go nie aresztujesz i nie masz nakazu rewizji, chcę, byś opuścił mój dom. Chcę, żebyście obaj, ty i posterunkowy Spear, wynieśli się z mojego terenu.

- Istnieje konkretny dowód. Gdyby Noah po prostu przyznał...
- Jaki dowód?
- Krew. Na twojej furgonetce.

Wpatrywała się w niego zaszokowana. Zabrakło jej oddechu.

- Twoją furgonetką ktoś niedawno jeździł. Jest krew na przednim zderzaku...
- Nie miałeś prawa - powiedziała. - Nie masz nakazu rewizji.
- Nie potrzebowałem go.

Znaczenie jego słów stało się dla niej natychmiast jasne. Ostatniej nocy był moim gościem. Dałam mu domniemane zezwolenie na przebywanie tutaj. Przeszukanie mojej posiadłości. Przyjęłam go w domu jako kochanka, a on zwrócił się przeciwko mnie.

- Chcę, żebyś wyszedł - powiedziała.

- Claire, proszę...

- Wynoś się z mojego domu!

Lincoln powoli wstał. W jego twarzy nie było gniewu, jedynie głęboki smutek.

- Przyjdą z nim porozmawiać - oświadczył. - Radzę ci szybko wezwać adwokata. Nie wiem, czy uda ci się znaleźć kogoś w niedzielę rano... - Opuścił wzrok na stół, ale zaraz znów na nią popatrzył. - Bardzo mi przykro. Gdybym w jakikolwiek sposób mógł zmienić to, co się stało... zrobić coś, żeby wszystko było dobrze...

- Teraz muszę myśleć o synu - powiedziała. - Teraz tylko on jest dla mnie ważny.

Lincoln zwrócił się do Noaha.

- Jeśli zrobiłeś coś złego, wyjdzie to na jaw. I zostaniesz ukarany. Nie będę miał dla ciebie krzty wyrozumiałości, ani trochę. Przykro mi tylko, że złamie to serce twojej matce.

Mężczyźni nie odchodzili. Claire stała przy frontowym oknie, patrząc na Lincolna i Floyda, którzy czekali na końcu jej podjazdu. Nie zostawią nas bez straży, pomyślała. Boją się, że Noah im się wymknie.

Lincoln odwrócił się, by spojrzeć na dom, i Claire cofnęła się od okna, nie chcąc, by ją zobaczył, nie zezwalając na najkrótszy nawet kontakt wzrokowy. Między nimi nic nie może już być. Śmierć Doreen wszystko zmieniła.

Wróciła do kuchni i opadła na krzesło naprzeciw Noaha.

- Powiedz mi, co się stało, Noah. Powiedz mi wszystko.

- Mówiłem ci.

- Wzięłeś wczoraj wieczór furgonetkę. Po co?

Wzruszył ramionami.

- Czy dawniej też to robiłeś?

- Nie.

- Powiedz mi prawdę.

Podniósł na nią pociemniały z gniewu wzrok.

- Uważasz mnie za kłamcę. Tak samo jak on.

- Usiłuję uzyskać od ciebie szczerą odpowiedź.

- Dałem ci szczerą odpowiedź, ale ty mi nie wierzysz! Dobra, w porządku, wierz, w co chcesz. Co wieczór jeżdżę sobie dla hecy furgonetką. Nabijam na liczniku tysiące mil, nie zauważyłaś? Zresztą jak mogłaś zauważyć? I tak cię nigdy nie ma w domu!

Claire zaskoczyła wściekłość w jego głosie. Czy rzeczywiście tak właśnie mnie widzi? - zastanowiła się. Matka, której nigdy nie ma w domu dla swojego jedyne dziecko? Zdławiła ból, zmuszając się do skupienia na wydarzeniach ostatniego wieczoru.

- Dobrze, przyjmuję twoje słowo, że był to jedyny raz, gdy wzięłeś furgonetkę. Wciąż jednak nie powiedziałeś mi po co.

Noah spuścił wzrok na stół, co oznaczało, że unika odpowiedzi.

- Miałem ochotę.

- Pojechałeś do pochylni dla łodzi i po prostu tam zaparkowałeś?

- Tak.

- Widziałeś Doreen Kelly?

- Nawet nie wiem, jak ona wygląda!

- Czy widziałeś kogokolwiek?

Cisza.

- Nie widziałem kobiety o imieniu Doreen. Głupie imię.
- Była nie tylko imieniem. Była żywą istotą, a teraz nie żyje. Jeśli cokolwiek o tym wiesz...
- Nie wiem.
- Lincoln uważa inaczej.

Znów to gniewne spojrzenie.

- A ty oczywiście wierzysz jemu? - Szurnął krzesłem do tyłu i wstał.
- Siadaj.

- Nie chcesz mnie tutaj. Chcesz za to pana gliniarza.

Zanim odwrócił się ku kuchennym drzwiom, zauważyła błysk łez w jego oczach.

- Dokąd idziesz?

- A co za różnica? - Zatrzasnął za sobą drzwi. Wyszła na dwór i zobaczyła, że kieruje się ku lasowi. Nie miał kurtki, tylko postrzępione džinsy i bawełnianą koszulkę z długimi rękawami, ale wydawało się, że nie czuje zimna. Gniew i cierpienie pchały go przez śnieg.

- Noah! - krzyknęła za nim.

Dotarł już do brzegu jeziora i skręcił w lewo, wchodząc między drzewa sąsiedniej posiadłości.

- Noah! - Rzuciła się za nim przez śnieg. Był już daleko w przodzie, a każdym gniewnym krokiem powiększał dzielący ich dystans. Nie wraca. Zaczęła za nim biec, wołając go po imieniu.

Kątem oka dostrzegła dwie postacie po lewej. Lincoln i Floyd usłyszeli jej głos i także rzucili się w pogoń. Niemal już dopadli chłopca, gdy obejrzał się i zobaczył ich.

Rzucił się biegiem ku jezioru.

- Nie róbcie mu krzywdy! - krzyknęła Claire.

Floyd złapał go, gdy obaj dopadli brzegu lodu, i wciągnął z powrotem. Upadli w głęboki śnieg.

Noah pierwszy stanął na nogach i rzucił się na Floyda, wymachując pięściami, nie panując nad swoim gniewem. Rzucił się i wył, gdy Lincoln złapał go od tyłu i zmusił do przygięcia się do ziemi.

Floyd stanął na nogi i wyciągnął broń.

- Nie! - krzyknęła Claire, a przerażenie dodało jej sił w biegu przez śnieg. Dopadła syna w chwili, gdy Lincoln zakładał mu kajdanki.

- Nie walcz z nimi, Noah! - błagała. - Przestań walczyć!

Noah wykręcił się, by na nią spojrzeć. Jego twarz była tak zniekształcona wściekłością, że go nie poznała. Kim jest ten chłopiec? - myślała przerażona. Nie znam go.

- Puśćcie mnie! - zaskrzeczał. Kropla jasnej krwi wypłynęła mu z nozdrza i kapnęła na śnieg.

Claire patrzyła z przerażeniem na czerwoną plamkę, a potem podniosła wzrok na syna dyszącego jak wyczerpana bestia. Jego oddech zaparowywał powietrze. Na górnej wardze błyszczała mu cienka strużka krwi.

Z oddali odezwały się inne głosy. Claire odwróciła się i zobaczyła idących w ich kierunku mężczyzn. Gdy podeszli bliżej, rozpoznała mundury.

Policja stanowa.

Rozdział dwudziesty drugi

Hałas doprowadzał ją do szału. Amelia Reid oparła łokcie na biurku i objęła rękoma głowę, marząc o wyłączeniu wszystkich dźwięków, atakujących ją z różnych części domu. Z pokoju J.D. dochodził wrzask koszarnej muzyki, wałąc niby szatańskie bicie serca w ścianę jej sypialni. A z dużego pokoju na dole zalewał ją hałas nastawionego na maksymalną głośność telewizora. Z muzyką dałaby sobie radę, ponieważ był to drażniący element atakujący margines jej koncentracji. Telewizor natomiast wdzierał się jej wprost do mózgu, gdyż słyszała głosy mówiących ludzi, a ich słowa odwracały jej uwagę od książki, którą usiłowała czytać.

W zdenerwowaniu zamknęła ją i zeszła na dół. Jack siedział na swym zwykłym wieczornym miejscu, rozwalony na fotelu z podnóżkiem, z piwem w dłoni. Jego królewska wysokość, pierdząca na tronie. Jakaż to straszliwa potrzeba doprowadziła jej matkę do tego małżeństwa? Amelia nie potrafiła sobie wyobrazić nawet rozważania podobnej możliwości, nie mogłaby znieść myśli o życiu z takim człowiekiem, który beka przy stole, a brudne skarpetki zostawia na podłodze dużego pokoju.

A w nocy - leżeć z nim w jednym łóżku, czuć jego ręce na ciele...

Z gardła wyrwał jej się niechcący jęk pełen obrzydzenia, odciągający uwagę Jacka od wieczornych wiadomości. Spojrzał na nią i w jego obojętnym wzroku pojawiło się zainteresowanie, nawet pewien namysł. Znała jego przyczynę i omal nie splótła ramion, by zasłonić piersi.

- Czy możesz to ściszyć? - spytała. - Nie mogę się uczyć.
 - To zamknij drzwi.
 - Zamknęłam. Telewizor gra za głośno.
 - To mój dom. Masz szczęście, że w ogóle pozwalam ci tu mieszkać. Przez cały dzień ciężko pracuję i mam prawo odprężyć się tak, jak chcę.
 - Nie mogę się skupić. Nie mogę odrabiać lekcji.
- Dźwięk, jaki Jack z siebie wydał, był pół beknieniem, pół śmiechem.
- Taka dziewczyna jak ty nie powinna przemęczać swoich szarych komórek. Nawet ich zresztą nie potrzebujesz.
 - A cóż to niby ma znaczyć?
 - Znajdź bogatego faceta, zakołysz tymi włosami, a będziesz miała co jeść do końca życia.

Ugryzła się w język, by powstrzymać gniewną odpowiedź. Jack ją prowokował. Widziała ten uśmiezek na jego ustach, cienki wąsik unoszący się z jednej strony. Lubił doprowadzać ją do

gniewu, cieszył się, gdy się denerwowała. Inaczej nie potrafił zwrócić na siebie jej uwagi i Amelia wiedziała, że podnieca go każdy przejaw okazanej przez nią emocji, nawet jeśli to była wściekłość.

Wzruszyła ramionami i skupiła uwagę na telewizorze. W kontaktach z Jackiem należało przejawiać lodowatą obojętność. Nie okazywać ani gniewu, ani żadnych innych uczuć. Wtedy się wściekał, bo to mu uświadamiało dokładnie, kim jest: kimś całkowicie nieistotnym. Bez znaczenia. Patrząc na ekran, czuła, jak odzyskuje nad nim przewagę. Do diabła z nim. Nie może się do niej przebić ani jej zranić, bo mu na to nie pozwoli.

Dopiero po kilku sekundach jej mózg zarejestrował obrazy na ekranie. Zobaczyła brązową furgonetkę, holowaną przez samochód policyjny, widziała niewyraźną postać chłopca, zakrywającego twarz, wprowadzanego na posterunek policji w Tranquility. Gdy w końcu zrozumiała, na co patrzy, Jack całkowicie wyleciał jej z głowy.

- ...czternastoletni chłopiec został zatrzymany w celu złożenia wyjaśnień. Ciało czterdziestotrzyletniej Doreen Kelly znaleziono wczesnym rankiem na odległym odcinku Slocum Road, we wschodniej części Tranquility. Według anonimowego naocznego świadka furgonetkę podejrzanego widziano w tej właśnie okolicy około dziewiątej wieczorem, jadącą zygżakiem po jezdni, a nieujawnione dowody skłoniły policję do zatrzymania chłopca. Ofiara, żona komendanta policji municypalnej Lincolna Kelly'ego, miała za sobą długą historię choroby alkoholowej. Jak mówią mieszkańcy...".

Na ekranie pojawiła się nowa twarz - kobieta, w której Amelia rozpoznała kasjerkę ze sklepu Cobb i Morong.

- Doreen była dla nas naprawdę tragiczną postacią. Nigdy, nigdy nie skrzywdziłaby nikogo. Po prostu nie chce mi się wierzyć, że ktoś mógł coś takiego zrobić. Tylko potwór zostawiłby ją tam na pewną śmierć.

Teraz telewizja pokazała okryte, leżące na noszach ciało, wnoszone do karetki.

- W opinii społeczności wstrząśniętej już wczorajszą tragedią w szkole średniej ta śmierć jest kolejnym ciosem zadany miasteczku, które, o ironio, nazywa się Tranquility...

- O czym oni mówią? - spytała Amelia. - Co się stało?

W bezbarwnych oczach Jacka mignęło ponure rozbawienie.

- Słyszałem o tym dzisiaj w mieście - powiedział. - Ten chłopak doktorki ma przechlapane.

Noah? Przecież nie może chodzić o Noaha!

- Wczoraj wieczorem na Slocum Road przejechał żonę komendanta. Tak mówi świadek.

- Jaki świadek?

Rozbawienie z oczu Jacka rozlało się po całej jego twarzy, wyginając mu wargi w paskudnym uśmiešku.

- No, to właśnie jest pytanie, nie? Kto to widział? - Uniósł brwi w udanym zaskoczeniu. - Ach, zapomniałem, to przecież w tym chłopcu się wszystkie podkochujecie, nie? Ty też myślisz, że jest jakiś specjalny. No, chyba masz rację. - Roześmiał się. - Będzie naprawdę specjalny w więzieniu.

- Odpieprz się - powiedziała Amelia, odwróciła się i wbiegła na górę po schodach.

- Hej! Hej, wróć tu i przeproś! - wrzasnął Jack. - Masz mi okazywać cholerny szacunek!

Ignorując jego żądanie, skierowała się wprost do sypialni matki i zamknęła drzwi. Niech mnie zostawi w spokoju na pięć minut. Niech mi da zadzwonić...

Wykręciła numer domu Noaha Elliota.

Niestety, usłyszała czterokrotny sygnał, a potem automatyczna sekretarka odezwała się głosem matki Noaha:

- Mówi doktor Elliot. Nie ma mnie w domu, więc proszę zostawić wiadomość. Jeśli sprawa jest nagła, można się ze mną porozumieć przez centralę szpitala Knox. Oddzwonię, gdy tylko

będę mogła.

Po sygnale Amelia wyrzuciła z siebie gwałtownie:

- Pani doktor, mówi Amelia Reid. Noah nie przejechał tej kobiety! Nie mógł tego zrobić, bo był...
Drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie.

- Co robisz w moim pokoju, ty mała suko?! - ryknął Jack.

Amelia rzuciła słuchawkę i odwróciła się, by stanąć z nim twarzą w twarz.

- Masz mnie przeprosić - zażądał Jack.

- Za co?

- Za przeklinanie, do jasnej cholery.

- Chodzi ci o to, że powiedziałam „odpieprz się”?

Policzek był tak silny, że jej głowa poleciała w bok. Amelia uniosła dłoń do piekącej twarzy, a potem znów napotkała jego wzrok. Przez chwilę wpatrywała się w ojczyrna i coś głęboko w niej, jakiś rdzeń z płynnej stali, zaczął nareszcie twardnieć. Gdy uniół rękę, by uderzyć ją powtórnie, nawet nie mrugnęła. Patrzyła tylko na niego, a jej oczy mówiły mu, że jeśli to zrobi, będzie tego bardzo, bardzo żałował.

Powoli opuścił rękę. Nie próbował jej zatrzymać, gdy wychodziła z sypialni. Wciąż stał tam bez ruchu, gdy zamykała za sobą drzwi własnego pokoju.

Claire i Max Tutwiler stali przed biurkiem Lincolna i upierali się, by ich wysłuchał. Razem pojawili się w komisariacie, a teraz Max otwierał teczkę i pod nierozumiejącym wzrokiem Lincolna wyjmował z niej mapę topograficzną i rozkładał na biurku.

- I co mam tu zobaczyć? - spytał Lincoln.

- To wyjaśnienie choroby mojego syna. I tego, co się dzieje w tym mieście - powiedziała Claire z naciskiem. - Noaha trzeba hospitalizować. Musisz go wypuścić.

Lincoln niechętnie podniósł na nią wzrok. Zaledwie dwanaście godzin temu byli kochankami. Teraz najwyraźniej z trudem zmuszał się, by na nią spojrzeć.

- Wcale nie wygląda na chorego. Niemal nam uciekł dziś rano.

- Choroba jest w jego mózgu. To pasożyt pod nazwą *Taenia solium*. W początkowej fazie infekcji może wywoływać zmiany osobowości. Jeśli Noah jest zakażony, wymaga leczenia. Torbiele *Taenia solium* wywołują obrzęk mózgu i objawy zapalenia opon mózgowych. To właśnie u niego obserwowałam przez kilka ostatnich dni. Drażliwość, napady złości. Jeśli nie zabiorę go do szpitala, jeśli ma już torbiel, a ona pęknie... - Przerwała, walcząc ze łzami. - Proszę - szepnęła. - Nie chcę stracić syna.

- W sumie oznacza to - wtrącił się Max - że chłopiec nie jest odpowiedzialny za swoje czyny. Te inne dzieciaki też nie.

- A skąd dzieci mają tego pasożyta? - spytał Lincoln.

- Od Warrena Emersona - powiedziała Claire. - Patolog w Stanowym Centrum Medycznym jest niemal pewien, że uszkodzenie jego mózgu zostało wywołane przez *Taenia solium*, tasiemca uzbrojonego. Emerson jest prawdopodobnie zakażony od lat. Co znaczy, że jest także nosicielem choroby.

- A w ten sposób dzieciaki zaraziły się od Emersona - powiedział Max, wyglądając rozłożoną na biurku Lincolna mapę. - Claire wysnuła następującą teorię. Oto dolny bieg potoku Meegawki. Wysokość, możliwe zalewy powodziowe, a nawet podziemne fragmenty nurtu.

- Co to oznacza?

- Proszę spojrzeć. - Max położył palec na mapie. - Tutaj mniej więcej znajduje się farma

Warrena Emersona, jakieś półtora kilometra w górę potoku od jeziora. Wysokość sześćdziesiąt jeden metrów. Potok Meegawki przepływa tuż obok jego posiadłości, niedaleko szamba. To pewnie bardzo stary system kanalizacyjny. - Max podniósł wzrok na Lincolna. - Czy rozumie pan znaczenie położenia jego farmy?

- Zanieczyszcza strumień?
- No właśnie. Minionej wiosny mieliście rekordowe opady deszczu, więc strumień wylał zapewne aż do wysokości szamba Emersona. Mógł wypłukać jaja pasożyta i zabrać je do jeziora.
- A skąd jaja znalazły się w szambie?
- Od samego Warrena Emersona - wyjaśniła Claire. - Prawdopodobnie został zarażony dawno temu, po zjedzeniu niedogotowanej wieprzowiny z wągrami tasiemca. Wągry rosną i żyją w ludzkich jelitach, czasami parę dziesiątków lat. Produkują jaja.
- Jeśli Emerson hodował tasiemca w jelitach - powiedział Max - to wiele jaj pasożyta dostało się do jego systemu kanalizacyjnego. Przeciekające szambo albo powódź wystarczą, żeby przedostały się do strumienia zasilającego jezioro. Ich największa koncentracja byłaby tu, gdzie potok Meegawki wpada do jeziora. - Max wskazał Skąły. - Właśnie tu, gdzie wasze nastolatki najchętniej się kąpią. Mam rację?

Lincoln nagle poderwał głowę, bo gdzieś w budynku wybuchło zamieszanie. Wszyscy spojrzeli ku drzwiom, które otwały się gwałtownie, a spanikowany Floyd Spear wsunął głowę do pokoju.

- Chłopiec ma atak! Wzywamy pogotowie!
- Claire rzuciła Lincolnowi przerażone spojrzenie i wybiegła z gabinetu. Jeden z policjantów stanowych próbował ją zatrzymać, ale Lincoln rzucił:
- Jest lekarzem! Przepuście ją!
- Claire wypadła na korytarz, skąd prowadziły drzwi do trzech cel. Drzwi pierwszej celi stały

otworem. W środku przykucnęło dwóch policjantów. Widziała jedynie nogi Noaha, podrygujące jakby w rytm wstrząsów elektrycznych. Potem zobaczyła krew na podłodze, w pobliżu głowy syna, i jego zakrwawioną twarz.

- Coście mu zrobili?! - krzyknęła.
- Nic! Tak go znaleźliśmy. Chyba uderzył głową o podłogę...
- Cofnijcie się. Zejdźcie mi z drogi!

Policjanci cofnęli się posłusznie i Claire opadła na kolana koło Noaha. Paniczny strach niemal ją sparaliżował. Musiała zmusić się do myślenia, do usunięcia ze świadomości straszego faktu, że to jest jej syn, jej jedyne dziecko, i że być może teraz umiera na jej oczach. Atak padaczki. Kłopoty z oddychaniem. Usłyszała bulgot płynu w gardle, pierś unosiły mu gwałtowne skurcze, gdy walczył, by wciągnąć powietrze w głodne tłuca.

Przewróć go na bok. Płyn nie może dostać się do płuc!

Chwyciła chłopca za ramię. Druga para rąk przyszła jej na pomoc. Kątem oka dostrzegła klękającego obok Lincolna. Razem przekręcili Noaha na bok. Wciąż miał drgawki i uderzał głową o podłogę.

- Potrzebuje czegoś miękkiego pod głowę! - krzyknęła.

Max, który także wepchnął się do celi, rzucił jej zerwany z pryczy koc. Delikatnie uniosła głowę Noaha i wsunęła koc pod spód. Często, kiedy był mały, zasypiał na kanapie - wtedy wsuwała mu pod głowę poduszkę. Teraz nie była to głowa śpiącego chłopca. Przy każdym nowym ataku drgawek jego kark sztywniał, mięśnie napinały się jak postronki. I ta krew - skąd pochodziła?

Znów usłyszała bulgot i zobaczyła, jak pierś Noaha się unosi, a świeży strumyk krwi wycieka mu z nozdrza. Więc wcale się nie skaleczył, to tylko krew cieknie mu z nosa. Czy również krew bulgocze mu w gardle? Odwróciła twarz syna w dół, mając nadzieję, że to pozwoli usunąć krew z

jamy ustnej, ale wyciekło jej bardzo niewiele, pomieszanej ze śliną. Atak jakby przechodził, chłopiec nie bił już nogami z taką gwałtownością, odgłos duszenia się natomiast był coraz wyraźniejszy.

Ucisk na przeponę. Zanim Noah się udusi.

Zostawiła go na boku, położyła jedną dłoń na górnej części jamy brzusznej, a drugą wparła w jego kark. Mocno nacisnęła w kierunku klatki piersiowej.

Z gardła ze świstem wyszło powietrze. Więc płuca nie są całkiem zablokowane, pomyślała z ulgą. Wciąż dostają trochę tlenu.

Powtórzyła ucisk. Znowu oparła dłoń o brzuch Noaha i mocno nacisnęła. Słyszała, jak jego płuca wypychają powietrze, a świszczący oddech się uspokaja, bo przyczyna blokady nagle została wyparta z gardła i częściowo wypchnięta przez nozdrze. Na ten widok szarpnęła się w tył przerażona.

- Jezus Maria! - krzyknął policjant stanowy. - A to, kurwa, co takiego?

Robak się ruszał, wykręcał na wszystkie strony w różowej pianie krwi i śluzu. Wysuwało się go coraz więcej, tworzył błyszczące skręty, za wszelką cenę usiłując się uwolnić. Claire była tak osłupiała, że gapiała się tylko beczynn timer, gdy robak wysunął się do końca z nosa jej syna i ześliznął na podłogę. Tam zwinął się w spiralę, unosząc jeden koniec niczym kobra, by sprawdzić powietrze.

W następnej sekundzie wystrzelił przed siebie i zniknął pod pryczą.

- Gdzie on jest? Złapcie go! - krzyknęła Claire. Max opadł już na czworaki, usiłując zajrzeć pod pryczę.

- Nie widzę...

- Musimy go zidentyfikować!

- Jest tam, już go mamy - powiedział Lincoln, który ukląkł koło Maksa. - Wciąż się rusza...

Nagle wyłączone zawrozczenie syreny karetki pogotowia odwróciło uwagę Claire. Spojrzała ku drzwiom, gdzie słycać było zbliżające się głosy i metaliczny brzęk noszy toczonych na kółkach. Noah łatwiej oddychał, jego żebra unosiły się i opadały bez drgawek, a puls miał przyśpieszony, ale stabilny.

Sanitariusze weszli do celi. Claire odsunęła się na bok, gdy zakładali wlew dożylny i podłączyli tlen.

- Claire - powiedział Lincoln. - Spójrz na to.

Przesunęła się w jego stronę i ukląkla obok, zaglądając w wąską szczelinę pod pryczą. Światło w celi świeciło słabo i trudno było cokolwiek dostrzec w cieniu zapadniętego materaca. Tam gdzie było nieco jaśniej, przy samej krawędzi, rozróżniła kilka kotów kurzu i pomięty kawałek chusteczki. Z tyłu, w najdalszym kącie, ruszała się jasnozielona linia, rysując w ciemności halucynogenne zawijasy.

- Świeci się, Claire. To właśnie widzieliśmy. Tamtej nocy nad jeziorem.

- Bioluminescencja - potwierdził Max. - Niektóre robaki mają takie właściwości.

Claire usłyszała trzask klamry bezpieczeństwa. Odwróciła się i zobaczyła, że sanitariusze przymocowali już Noaha do noszy i manewrują teraz w drzwiach celi.

- Wydaje się, że jego stan jest stabilny - powiedział sanitariusz. - Zabieramy go do szpitala Knox.

- Zaraz za wami przyjadę - powiedziała i spojrzała na Maksa. - Potrzebuję tego robaka.

- Jedź z Noahem - uspokoił ją Max. - Przywiozę go do laboratorium patologii.

Kiwnęła głową i wyszła za swoim synem.

W pracowni radiologicznej Claire uważnie przyglądała się filmom przyczepionym do podświetlarki.

- I co myślicie? - spytała.

- Wygląda całkiem normalnie - powiedział doktor Chapman, radiolog. - Wszystkie zwoje symetryczne. Nie widzę żadnych zagęszczeń, żadnych torbieli. Nic, co świadczyłoby o krwawieniu wewnątrzczaszkowym. - Spojrzał na doktora Thayera, neurologa, który właśnie wchodził do pokoju. Claire poprosiła go, by przejął opiekę nad Noahem. - Właśnie przyglądamy się zdjęciom tomograficznym. Nie dostrzegam żadnych odstępstw od normy.

Thayer włożył okulary i przestudiował filmy.

- Zgadza się - powiedział. - A ty, Claire?

Claire miała zaufanie do obu mężczyzn, ale rozmowa dotyczyła jej syna i nie mogła całkowicie oddać go w obce ręce. Rozumieli to, więc dzielili się z nią rezultatami wszystkich analiz i prześwietleń. Teraz dzielili z nią także swoją bezradność. Czytała ją w twarzy Chapmana, który raz jeszcze oglądał zdjęcia. Podświetlarka rzucała bliźniacze odbicie obrazów rentgenowskich w okulary zasłaniające mu oczy, ale zmarszczenie brwi mówiło jej, że lekarz nie ma gotowej odpowiedzi.

- Nie widzę tu nic, co wyjaśniałoby atak - powiedział w końcu.

- I nic, co stanowiłoby przeciwwskazanie dla punkcji lędźwiowej - dodał Thayer. - Biorąc pod uwagę obraz kliniczny, powiedziałbym, że punkcja jest konieczna.

- Nie rozumiem, byłam tak pewna diagnozy - powiedziała Claire. - Nie widzicie nic, co wskazywałoby na cysticerkozę?

- Nie - rzekł Chapman. - Żadnych torbieli. Jak powiedziałem, mózg wygląda normalnie.
 - Tak samo jak analiza krwi - dodał Thayer. - Wszystko poza lekko podwyższonym poziomem białych ciałek, a to może być wynikiem stresu.
 - Ich rozkład nie był normalny - zauważyła Claire. - Ma wysoki poziom eozynofili, co wskazywałoby na infekcję pasożytniczą. Także inni chłopcy mieli wysoki poziom eozynofili. Nie zwróciłam wówczas na to uwagi. Teraz sądzę, że przegapiłam istotną wskazówkę. - Spojrzała na zdjęcia tomograficzne. - Widziałam tego pasożyta na własne oczy. Widziałam, jak wysuwa się z nozdrza mojego syna. Musimy jedynie ustalić, co to jest.
 - To nie musi być związane z atakiem, Claire. Ten pasożyt może stanowić odrębną chorobę. To prawdopodobnie po prostu zwyczajna *Ascaris*. Te glisty mogą występować w dowolnym miejscu na świecie. Widziałem, jak jeden dzieciak w Meksyku wykaszlał taką glistę. *Ascaris* nie daje objawów neurologicznych.
 - Ale *Taenia solium* tak.
 - Czy zidentyfikowano pasożyta Warrena Emersona? - spytał Chapman. - Czy to *Taenia solium*?
 - Wyniki badania metodą immunoenzymosorbcyjną powinny być jutro. Jeśli ma przeciwciała *Taenii*, będziemy wiedzieli, z czym mamy do czynienia.
- Thayer, który wciąż studiował zdjęcia mózgu Noaha, pokręcił głową.
- Nie widzę tu żadnych śladów otorbionych węgrów. Rzeczywiście, może jest jeszcze za wcześnie, by je zidentyfikować. Na razie jednak musimy wyeliminować inne możliwości. Zapalenie mózgu. Zapalenie opon mózgowych. - Wyciągnął ręce i wyłączył podświetlarkę. - Pora zrobić punkcję.
- Technik radiologiczny wsunął głowę przez drzwi.
- Patologia na linii do doktora Thayera.

Thayer podniósł słuchawkę ściennego aparatu. Po chwili odwiesił ją i zwrócił się do Claire.

- No, mamy odpowiedź w sprawie tego robaka. Tego, który wysunął się z nosa twojego syna.
- Zidentyfikowali go?
- Przesłano komputerem fotografie i przekroje mikroskopowe do Bangor. Parazytolog w Stanowym Centrum Medycznym właśnie potwierdził badanie. To nie *Taenia*.
- A zatem *Ascaris*!
- Nie, mówią, że to *Annelida phylum*. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - To musi być błąd.

Najwyraźniej się pomylili.

Claire uniosła brwi ze zdziwieniem.

- Nie znam *Annelida*. Co to jest?
- To zwykła dżdżownica.

Rozdział dwudziesty trzeci

Claire siedziała w ciemnym szpitalnym pokoju Noaha, słuchając, jak jej syn rzuca się na łożku. Od przeprowadzenia punkcji nieustannie walczył przeciw więzom i udało mu się dwukrotnie wyrwać kateter. Doktor Thayer w końcu poddał się prośbom pielęgniarek i pozwolił podać Noahowi środek nasenny. Ale mimo lekarstwa, mimo zgaszonych świateł chłopiec nadal nie spał, rzucał się i przeklinał. Wyczerpywało ją samo słuchanie tej nieustannej walki.

Krótko po północy do pokoju wszedł Lincoln. Widziała, jak otwierają się drzwi, jak z holu wpada struga światła, i rozpoznała jego sylwetkę, gdy na moment zawahał się w progu. Wszedł i usiadł na krześle po drugiej stronie łożka.

- Rozmawiałem z pielęgniarzką - powiedział. - Twierdzi, że jego stan jest stabilny. Stabilny. Claire pokręciła głową nad wyborem tego słowa. Znaczyło to jedynie: niezmienny,

stały - dobry czy zły. Także i o rozpaczy można powiedzieć, że jest stanem stabilnym.

- Wydaje się spokojniejszy - zauważył Lincoln.
- Nafaszerowali go środkami uspokajającymi. Musieli, po punkcji.
- Czy są już wyniki?
- Nie ma zapalenia mózgu ani opon mózgowych. W płynie mózgowo-rdzeniowym nie znaleziono nic, co by wyjaśniało jego zachowanie. A teraz diabli wzięli także i teorię o pasożytach. - Odchyliła się na oparcie, śmiertelnie zmęczona, i roześmiała się gorzko. - Nikt nie potrafi mi tego wyjaśnić. Skąd w jego drogach oddechowych wzięła się dżdżownica? To nie ma żadnego sensu, Lincoln. Dżdżownice nie świecą. Nie używają ludzi jako nosicieli. Gdzieś musi tkwić błąd...
- Powinnaś pójść do domu. Potrzebujesz snu - powiedział.
- Nie, potrzebuję odpowiedzi. Potrzebuję mojego syna. Potrzebuję go takiego, jaki był przed śmiercią ojca, przed tymi wszystkimi kłopotami, kiedy mnie jeszcze kochał.
- Kocha cię, Claire.
- Nie jestem już tego pewna. Od tak dawna nie dał mi tego odczuć. W każdym razie odkąd przenieśliśmy się tutaj. - Wciąż wpatrywała się w Noaha, przypominając sobie te wszystkie chwile z jego dzieciństwa, gdy patrzyła, jak śpi. Gdy jej miłość do niego była niemal obsesyjna. Nawet desperacka. - Nie wiesz, jaki był przedtem - powiedziała. - Widziałeś go tylko w najgorszych momentach. Najbrzydszych. Jako podejrzanego o dokonanie przestępstwa. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jaki ciepły i kochający był jako dziecko. Był moim najlepszym przyjacielem... - Uniosła dłoń i otarła oczy wdzięczna ciemnościom, że skrywają jej łzy. - Czekam, żeby taki właśnie chłopiec do mnie wrócił.

Lincoln wstał i podszedł bliżej.

- Wiem, że myślisz o nim jako o najlepszym przyjacielem, Claire - powiedział - ale nie jest on

twoim jedynym przyjacielem.

Pozwoliła się objąć ramionami, pocałować w czoło, ale równocześnie myślała: Nie potrafię ci już ufać ani znaleźć w tobie oparcia.

Nie mam już nikogo oprócz siebie. I mojego syna.

Chyba wyczuł dzielącą ich barierę, bo powoli wypuścił Claire z objęć. Bez słowa wyszedł z pokoju.

Przez całą noc siedziała przy łóżku Noaha, drzemiąc na krześle, budząc się co chwila, gdy pielęgniarki przychodziły sprawdzić stan chłopca.

Gdy otworzyła oczy, był zaskakująco jasny ranek, a jej myśli przyjęły bardziej skryzalizowaną formę. Noah w końcu zapadł w spokojny sen. Choć Claire także udało się zasnąć, jej umysł nie wypoczywał. Co więcej, przez całą noc usilnie pracował, próbując wyjaśnić zagadkę dżdżownicy i sposobu, w jaki dostała się ona do organizmu Noaha. Teraz, stojąc przy oknie i wpatrując się w śnieg, dziwiła się, jak mogła przegapić tak oczywistą odpowiedź.

Z dyżurki pielęgniarek zatelefonowała do Stanowego Centrum Medycznego i poprosiła o połączenie z doktorem Clevengerem z patologii.

- Próbowałem do pani wczoraj dzwonić - powiedział. - Zostawiłem wiadomość na sekretarce automatycznej.

- Czy chodziło o test ELISA Warrena Emersona? Bo ja dzwonię w tej właśnie sprawie.

- Tak, mamy wyniki. Niestety, muszę panią rozczarować. Są negatywne, jeśli chodzi o *Taenia solium*.

- Rozumiem.

- Nie jest pani zdziwiona? Ja jestem.

- Czy test może dać błędny wynik?

- To możliwe, ale mało prawdopodobne. Dla pewności zrobiliśmy test także temu chłopcu, Taylorowi Darnellowi.

- I wynik też był negatywny.

- Ach, więc już pani wie.

- Nie, nie wiedziałam. Zgadłam.

- No i w ten sposób domek z kart, o którym mówiliśmy parę dni temu, po prostu się zawalił. Żaden pacjent nie ma przeciwciał na tasiemca uzbrojonego. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego dzieciakom odbija. Wiem, że to nie z powodu cysticerkozy. Nie potrafię także wyjaśnić, skąd w mózgu pana Emersona wzięła się ta torbiel.

- Uważa pan jednak, że jest to jakiś rodzaj larwy?

- Albo to, albo jakiś przedziwny artefakt barwnika laboratoryjnego.

- Czy mógłby to być inny pasożyt, nie *Taenia*?

- Jaki?

- Taki, który dostaje się do organizmu nosiciela przez nos. Może zwinąć się w jednej z zatok i tam trwać, aż w końcu zostaje usunięty lub zginie. Wszelkie biologiczne toksyny, które wydziela, zostają wchłonięte wprost przez błony zatokowe do krwiobiegu nosiciela.

- Ale czy nie byłoby to widoczne na tomografie?

- Nie, na tomografie nikt nie zwróciłby na to uwagi, ponieważ wyglądałoby całkowicie niewinnie, po prostu jak cysta śluzowa.

- Tak jak u Scotty'ego Braxtona.

- Skoro chowa się w zatoce, skąd wzięłoby się w mózgu Warrena Emersona?

- Niech pan weźmie pod uwagę to, że między mózgiem a zatoką czołową jest tylko cienka ścianka kostna. Pasożyt mógł ją zerodować.

- Wie pani, to efektowna teoria. Nie ma jednak pasożyta, który pasowałby do tego obrazu klinicznego. W podręcznikach nic takiego nie znalazłem.
- A może tego nie ma w podręcznikach?
- To znaczy, że mówi pani o całkowicie nowym pasożycie? - Clevenger się roześmiał. - Chciałbym! To by oznaczało wykopanie naukowego garnka złota. Moje nazwisko zyskałoby nieśmiertelność. *Taenia clevengeria*. Ładnie brzmi, prawda? Niestety, mam jedynie zwyrodniałą, niedającą się zidentyfikować larwę pod mikroskopem. I ani śladu żywego egzemplarza do pokazania i opisanie. Tylko dżdżownicę.

W drodze powrotnej do Tranquility zdała sobie sprawę z tego, że w układance wciąż brakuje jej kilku kawałków. Max Tutwiler będzie musiał ich dostarczyć. Da mu szansę wyjaśnienia wszystkiego w cztery oczy. Ostatecznie jest jej przyjacielem i wątpliwości powinna interpretować na jego korzyść. Była żoną naukowca i znała gorączkę, która tych ludzi czasami ogarnia, ten niezwykle przyływy podniecenia, gdy czują, że są na tropie odkrycia. Tak, rozumiała, dlaczego Max schował okaz, dlaczego chciał trzymać sprawę w sekrecie aż do upewnienia się, że to nieznany dotąd gatunek. Nie mogła jednak zrozumieć ani tym bardziej wybaczyć faktu, że ukrył informacje przed nią i lekarzami Noaha. Informacje, które mogły w istotny sposób zaważyć na zdrowiu jej syna.

Z każdym kilometrem jej gniew rósł.

Najpierw z nim porozmawiaj, napominała się. Możesz się mylić. To może nie mieć nic wspólnego z Makssem.

Gdy dojechała do Tranquility, była zbyt spięta, by odkładać spotkanie na później. Chciała to z nim załatwić od razu.

Pojechała wprost do domku Maksa.

Jego samochodu nie było. Zaparkowała na podjeździe i szła ku werandzie, gdy zobaczyła odchodzące w prawo ślady butów. Poszła za nimi w las, aż do miejsca, gdzie poruszony śnieg wymieszany był z ziemią. Przykucnęła i ręką w rękawiczce grzebała w ziemi, aż na głębokości niecałych dwudziestu centymetrów dotarła do warstwy miękkiej próchnicy i martwych liści. Podniosła garść tej mieszaniny i zobaczyła coś błyszczącego, wijącego się na dłoni. Dżdżownica. Odrzuciła ją i zawróciła.

Na werandzie rozejrzała się za szpadlem - wiedziała, że gdzieś musi być. Stał tam, rzeczywiście, oparty o stos drewna koło siekiery, jeszcze z ziemią przywartą do ostrza.

Drzwi nie były zamknięte. Pchnęła je i od razu zrozumiała, dlaczego Max nie zadbał o zabezpieczenie wejścia. W domku niemal nic nie było. To, co zostało - meble, sprzęty kuchenne - zapewne stanowiło stałe wyposażenie. Przeszła przez sypialnię i kuchnię i znalazła zaledwie kilka rzeczy Maksa: pudło z książkami, kosz z brudną bielizną i nieco jedzenia w lodówce. Oraz topograficzną mapę potoku Meegawki, przypiętą do ściany. Wróci po te rzeczy, pomyślała, a ja będę tu na niego czekać.

Jej spojrzenie padło na pudło z książkami. Na firmową etykietkę, przyklejoną do kartonu: „Anson Biologicals”.

To samo laboratorium przeprowadzało analizę krwi Scotty'ego i Taylora i podało, że wyniki badań na toksyny są negatywne. Fałszywe wyniki? - zastanawiała się. A jeśli tak, to co próbowali ukryć? Anson Biologicals dało także pieniądze Zespołowi Pediatrycznemu z Two Hills na pobranie próbek krwi od nastolatków w okolicy. Dlaczego interesowało się dziećmi z Tranquility?

Wyjęła telefon komórkowy i zadzwoniła do Anthony'ego w laboratorium szpitala Knox.

- Co pan wie o Anson Biologicals? - spytała. - Jak to się stało, że podpisali kontrakt z naszym

szpitalem?

- To było dosyć dziwne. Dawniej wysyłaliśmy wszystkie nasze analizy do BloodTeku w Portland. A potem nagle, jakieś dwa miesiące temu, przenieśliśmy się do Anson.

- Kto podjął taką decyzję?
- Nasz główny patolog. Zmiana miała sens, ponieważ Anson zaoferowało niższe ceny. Szpital nie mógł się oprzeć. Prawdopodobnie oszczędzamy w ten sposób dziesiątki tysięcy dolarów.

- Czy mógłby pan się dowiedzieć o nich czegoś więcej? Muszę mieć informacje jak najprędzej. Można mnie złapać przez pager.

- A co konkretnie chciałaby pani wiedzieć?
- Wszystko. Czy są czymś więcej niż tylko laboratorium diagnostycznym. I jakie inne związki mają z Tranquility.

- Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć.
Schowała telefon. Mimo włączonego ogrzewania elektrycznego w pokoju było zimno. Rozpaliła ogień w piecyku na drewno i zrobiła sobie śniadanie z mizernych zapasów Maksa. Kawa, grzanka z masłem i trochę pomarszczone jabłko. Gdy skończyła jeść, piec dawał już tyle ciepła, że poczuła się senna. Zadzwoiła do szpitala, żeby dowiedzieć się o stan Noaha, i usiadła przy oknie. Czekwała.

Nie mógł jej przecież unikać w nieskończoność.
Wydawało jej się, że minęła ledwo chwila, gdy nagle obudziła się na krześle. Kark ją rozbolał od niewygodnej pozycji w czasie snu. Była już trzecia po południu i poranne słońce zastąpiły nisko padające popołudniowe promienie.

Wstała i masując kark, snuła się bez celu po domku. Do sypialni, na powrót do kuchni. Gdzież on jest? Przecież musi chyba wrócić po brudne rzeczy.

Zatrzymała się w dużym pokoju. Jej wzrok padł na przypiętą do ściany mapę topograficzną.

Podeszła do niej bliżej, nagle skupiając uwagę na Beech Hill, wysokość 298 metrów. Co takiego powiedziała Lois Cuthbert podczas zebrania mieszkańców? Miało to coś wspólnego ze światłami, które ludzie widzieli migające na wzgórzu, i z pogłoskami o satanistycznej sekcji, zbierającej się nocą w lesie.

Lois wyjaśniła pochodzenie światła. „To ten biolog, doktor Tutwiler, który w nocy zbiera salamandry. Parę tygodni temu niemal przejechałam go w ciemnościach, gdy wracał ze wzgórza”.

Claire została jedynie godzina światła dziennego - będzie jej to musiało wystarczyć na znalezienie tego, czego szuka. Wiedziała już w każdym razie, gdzie zacząć.

Wyszła z domku i wsiadła do samochodu.

Śnieg ułatwi jej poszukiwania. Skręciła na drogę prowadzącą do Beech Hill. W pobliżu posiadłości Emersona zwolniła i zauważyła, że podjazd do jego domu nie został oczyszczony ze śniegu. Od czasu jej ostatniej wizyty w celu nakarmienia kota nie pojawiły się żadne nowe ślady opon. Pojechała dalej, mijając farmę. Za nią na wzgórzu, nie było już żadnych domów, a droga zmieniała się w polną. Kilkadziesiąt lat temu wożono tędy drewno z wyrębu, teraz korzystali z niej jedynie myśliwi i turyści zmierzający do wieży widokowej na szczycie wzgórza. Pługi śnieżne nie oczyściły śniegu, który ostatnio padał, i subaru Claire ledwo przebijało się naprzód. Przed nią jechał tędy już inny samochód - widziała ślady opon.

Kilkaset metrów za farmą Emersona ślady skręcały nagle i kończyły się przy grupie sosen. Nie stał tam żaden samochód - ktoś, kto tu przedtem był, zdążył już odjechać. Zostawił jednak ślady w głębokim po kolana śniegu.

Wysiadła z samochodu, by się im przyjrzeć. Zrobiły je duże buty - męski rozmiar. Prowadziły do lasu i z powrotem, jakby ktoś kilkakrotnie zawracał.

Często słyszała, że zalegający śnieg jest najlepszym przyjacielem myśliwego. Teraz to ona była

myśliwym. Nie bała się, że się zgubi. Na wszelki wypadek miała ze sobą latarkę punktową, a ślady doprowadzają z powrotem do samochodu. Usłyszała dochodzący z prawej strony szum wody i zdała sobie sprawę z tego, że strumień płynie bardzo blisko. Ślady biegły równoległe do niego, wspinając się ku masywnej grupie skał.

Zatrzymała się i spojrzała w zachwycie w górę. Topiący się śnieg skapywał i zamarzał ponownie, tworząc skomplikowaną, błękitną rzeźbę wodospadu. Stojąc u stóp tego dawnego zwaliska skalnego, usiłowała rozwiązać zagadkę nagłego zniknięcia śladów. Czyżby Max wdrapał się na skały? Wiatr wypolerował lód na lśniącą polewę. Byłaby to zdradziecko trudna wspinaczka.

Szum strumienia ponownie przykuł jej uwagę. Spojrzała w dół, tam gdzie płynąca woda rozpuściła śnieg, i w błocie zauważyła słabo odbity ślad obcasa. Jeśli Max przeszedł strumień w bród, dlaczego nie widać jego śladów na przeciwnym brzegu?

Zrobiła krok w strumień i poczuła, jak lodowata woda przesącza się przez sznurowanie jej botków. Jeszcze jeden krok, a woda dosięgła góry butów i moczyła jej już spodnie. Wtedy nagle zauważyła szczelinę w skałach.

Częściowo zasłaniał ją krzew, który w lecie zapewne pokrywał się obfitymi liśćmi. By do niej dotrzeć, musiała wejść w wodę po kolana. Wciągnęła się na skalną półkę, a potem przepchała przez niskie wejście do leżącej dalej szerszej komory.

Była akurat na tyle duża, że Claire mogła unieść głowę. Choć przez niewielki otwór wejściowy za nią wpadało bardzo mało światła, zdołała rozróżnić szczegóły otoczenia. Słyszała kapiące krople wody i widziała małe strumyczki, spływające po ścianach jaskini. Światło dzienne zapewne wpadało tu jeszcze jakąś inną drogą. Czy dalej na przodzie był kolejny otwór? Zza niewyraźnego zarysu łukowego otworu docierała słaba poświata. Jeszcze jedna komora.

Przebisnęła się pod łukiem. W następnej chwili spadła z kamiennej półki i zaczęła się staczać, aż

zatrzymała się na mokrych kamieniach. Czaszkę rozsadzał jej ból. Przez chwilę leżała oszołomiona, czekając, aż w głowie jej się przejaśni, aż w oczach przestaną migać światełka. Coś na górze zafurkotało i odleciało, szybko bijąc skrzydłami. Nietoperze.

Młoty walące w jej głowie powoli się uspokoiły i pozostał jedynie tępy ból, ale światła wciąż migają psychodeliczną zielenią. Objawy odklejenia siatkówki, pomyślała z niepokojem. Zagrożająca ślepotą.

Uniosła się na nogi, wyciągając rękę, by oprzeć się o ścianę jaskini. Jej dłoń nie dotknęła jednak skały, lecz czegoś śliskiego i uginającego się. Claire wrzasnęła i szarpnęła się w tył. Znowu kilka nietoperzy, bijąc skrzydłami, wyleciało z jaskini.

Rusza się. Ściana się rusza.

To, czego dotknęła, było zimne. Nie było to futerko wiercącego się nietoperza. Wciąż czuła wilgoć na palcach. Wstrząsnęła się i zaczęła wycierać dłoń o spodnie, gdy zauważyła poświatę. Przywarła do skóry, w ciemnościach obrysowując kształt dłoni. Claire, zdumiona, uniosła wzrok ku sklepieniu jaskini i zobaczyła tysiące światełek, jakby miękkich zielonych gwiazdek na nocnym niebie. Tylko że te gwiazdki się ruszały, niby rozkołysane, delikatne fale.

Ruszyła naprzód, rozchlapując kałuże, i zatrzymała się pośrodku komory. Na chwilę musiała zamknąć oczy, bo kołysanie się tych gwiazd nad głową sprawiło, że wydało jej się, jakby ziemia chwiała się pod stopami.

Zródło, pomyślała w zdumieniu. Max znalazł źródło pasożytów, jaskinię, w której ten gatunek prawdopodobnie żył od tysiącleci. Ciepło wytwarzane przez gnijące organiczne szczątki, przez ciepłokrwiste ciała setek nietoperzy, utrzymywały ten świat w stałej temperaturze mimo zmieniających się cykli pogody na powierzchni.

Wyjęła latarkę i skierowała promień na skupisko zielonych gwiazd na ścianie. W kręgu światła

zdawało się, że gwiazdy gasną, a zamiast nich ujrzała gromadę robaków, jakby meduzę o wielu ramionach, zwieszających się z wilgotnej skały i kołyszących łagodnie. Gdy wyłączyła latarkę, gwiazdy znów się pojawiły, dołączając do zielonej galaktyki.

Bioluminescencja. Robaki wykorzystywały bakterie *Vibrio fischeri* jako źródło światła. Gdy powódź zalewała jaskinię, larwy i *Vibrio* razem spływały do strumienia. Do jeziora Locust. Jesteśmy jedynie przypadkowymi gospodarzami, pomyślała. Letnia kąpiel, nieszczęśliwe zachłyśnięcie się wodą i larwa znajduje drogę przez górne drogi oddechowe do ludzkiego nosiciela. Tam usadawia się w jednej z zatok, rośnie i wydziela hormon, dojrzewając i umierając. To tłumaczyłoby pik na chromatogramie Taylora Darnella i Scotty'ego Braxtona: hormon wydzielany przez tego pasożyta.

Tutwiler i być może Anson wiedzieli o tym hormonie i tych robakach, ale jej nie powiedzieli. Zmusili ją i jej syna do przejścia przez piekło.

W nagłym przypiływie wściekłości pochyliła się, chwyciła kamień i cisnęła nim w zielone gwiazdy. Odbił się od sklepienia, stuknął o ziemię i zatrzymał się z dziwnie metalicznym brzękiem. Nowa gromada nietoperzy wyfrunęła z jaskini.

Przez chwilę stała bez ruchu, usiłując zanalizować to, co właśnie usłyszała. Ostrożnie posuwając się w ciemnościach, skierowała się ku oddalonemu końcowi jaskini, gdzie słyszała brzęk. Nie było tu tak wiele robaków i w braku ich światła ciemność wokół niej gęstniała i niemal twardniała.

Znów zapaliła latarkę i skierowała promień na ziemię. Coś błysnęło odbitym światłem. Pochyliła się, by lepiej widzieć, i rozpoznała filizankę z turystycznej kuchenki.

Tuż obok zobaczyła męski but.

Szarpnęła się w tył z okrzykiem przestrawu. Promień latarki zachybotał w panice, gdy trafił na niewidzące oczy Maksa Tutwilera. Max siedział na ziemi, opierając się o ścianę jaskini, z

wyciągniętymi przed siebie i rozrzuconymi nogami. Krwawa piana wypłynęła z jego ust na kurtkę. Tam łączyła się z ciemniejszą plamą krwi, która trysnęła z rany postrzałowej w gardle.

Claire się cofnęła, potykając, odwróciła i wpadła po kolana w kałużę wody.

Uciekać. Uciekać.

W jednej chwili stanęła na nogi i w panice zaczęła wdrapywać się po pochyłości do pierwszej komory. Nietoperze krążyły wokół niej. Przecisnęła się przez łukowe przejście i wpadła do komory wejściowej. Dyszała tak, że ten odgłos odbijał się echem od ścian. Jak przerażony owad, na czworakach, rzuciła się do wyjścia.

Szczelina jaśniała coraz bliżej.

Wreszcie głowa Claire wychynęła na światło dzienne. Kobieta rozpaczliwie wciągnęła do płuc powietrze i spojrzała w górę akurat w chwili, gdy na jej czaszkę spadł cios.

Rozdział dwudziesty czwarty

- Cały dzień nie widzieliśmy doktor Elliot - powiedziała pielęgniarka. - I szczerze mówiąc, zaczynamy się trochę niepokoić.

- Kiedy ostatni raz był z nią jakiś kontakt? - zapytał Lincoln.

- Według relacji dziennej zmiany, zadzwoniła koło południa dowiedzieć się o stan Noaha. Od tej pory nie było od niej ani słowa, choć od dawna wzywamy ją przez pager. Dzwoniliśmy do niej do domu, ale odzywa się tylko automatyczna sekretarka. Naprawdę uważamy, że powinna tu być. Chłopiec o nią pyta.

Coś tu jest nie w porządku, pomyślał Lincoln, idąc przez hol do pokoju Noaha. Niewątpliwie zajrzałaby, a przynajmniej zadzwoniłaby do syna. Wczesnym wieczorem przejeżdżał koło jej domu i nie zauważył samochodu, założył więc, że Claire jest w szpitalu.

Ale nie było jej tu cały dzień.

Kiwnął głową policjantowi stanowemu pilnującemu drzwi i wszedł do pokoju Noaha.

W kręgu światła rzucanego przez lampkę przy łóżku twarz chłopca wydawała się blada i wyczerpana. Słyszac zamykane drzwi, uniósł wzrok, ale na widok Lincolna w jego oczach odmalowało się rozczarowanie. Wściekłość zniknęła, pomyślał Lincoln, a różnica jest zaskakująca. Trzydzieści sześć godzin temu Noah zachowywał się zupełnie bezrozumnie, a siła i agresja, kierujące jego ciałem, były tak wielkie, że aż dwóch mężczyzn musiało go trzymać. Teraz robił wrażenie zmęczonego, przestraszonego chłopca. Jego głos był zaledwie szeptem:

- Gdzie mama?
- Nie wiem, gdzie jest, synu.
- Niech pan do niej zadzwoni. Proszę, niech pan zadzwoni.
- Próbujemy się z nią porozumieć.

Chłopiec zamrugał i spojrzał w sufit.

- Chcę jej powiedzieć, że mi przykro. Chcę jej powiedzieć... - Znów zamrugał i odwrócił głowę, tak że mówił niemal wprost w poduszkę. - Chcę jej powiedzieć prawdę.

- O czym?
- O tym, co się stało. Tamtego wieczoru...

Lincoln się nie odzywał. To wyznanie nie mogło być wymuszone - musiało nastąpić z woli chłopca.

- Wziąłem furgonetkę, bo musiałem odwieźć przyjaciółkę do domu. Przyszła na piechotę, żeby mnie odwiedzić, i chcieliśmy poczekać na mamę, żeby ją odwiozła. Ale potem zrobiło się późno, a mamy wciąż nie było. Poza tym zaczęło mocno padać...

- Więc sam odwiozłeś dziewczynę do domu?
- To tylko trzy kilometry. A poza tym jeździłem już dawniej.

- I co się stało, Noah? Podczas tej jazdy?
 - Nic. To była tylko krótka jazda tam i z powrotem. Przysięgam.
 - Czy pojechałeś na Slocum Road?
 - Nie, cały czas jechałem Toddy Point Road. Wsiadła na końcu swojego podjazdu, żeby jej tata nas nie widział. A potem wróciłem prosto do domu.
 - Która to była godzina?
 - Nie wiem. Chyba koło dziesiątej.
- Godzinę po tym, jak anonimowy świadek widział furgonetkę Claire na Slocum Road.
- To nie pasuje do faktów, synu. Nie wyjaśnia krwi na zderzaku.
 - Nie wiem, skąd się tam wzięła krew.
 - Nie mówisz całej prawdy.
 - Mówię prawdę! - Chłopiec zwrócił się w jego stronę, a jego frustracja zaczęła się przeradzać w gniew. Jednak tym razem ten gniew był inny. Tym razem był racjonalny.
 - Jeśli mówisz prawdę - rzekł Lincoln - to dziewczyna potwierdzi twoją wersję. Kim ona jest?
- Noah odwrócił wzrok i znów wpatrzył się w sufit.
- Nie mogę powiedzieć.
 - Dlaczego?
 - Ojciec ją zabije. Dlatego.
 - Mogłaby wyjaśnić tę sprawę jednym zdaniem.
 - Ona się go boi. Nie chcę jej wpakować w kłopoty.
 - To ty masz kłopoty, Noah.
 - Muszę najpierw z nią porozmawiać. Muszę jej dać szansę, żeby...
 - Żeby co? Uzgodnić zeznania?

Patrzyli na siebie w milczeniu, Lincoln - czekając na odpowiedź, chłopiec - odmawiając udzielenia informacji.

Przez zamknięte drzwi komendant ledwo dosłyszał wezwanie nadane przez szpitalny system komunikacji.

- Doktor Elliot, wewnętrzny siedem-jeden-trzy-trzy. Doktor Elliot...

Lincoln wyszedł z pokoju Noaha, poszedł do dyżurki pielęgniarek i wybrał numer 7133.

Odezwał się Anthony z laboratorium.

- Doktor Elliot?

- Tu komendant Kelly. Od jak dawna wzywa pan doktor Elliot?

- Przez całe popołudnie. Próbowałem przez pager, ale chyba go wyłączyła. W domu także nikt nie odpowiada, więc pomyślałem, że być może jest w budynku szpitala.

- Jeśli zadzwoni do pana, proszę jej powiedzieć, że ja także próbuję się z nią skontaktować.

- Jasne. Jestem dość zaskoczony, że nie oddzwoniła.

Lincoln się zastanowił.

- Jak to nie oddzwoniła? Czy wcześniej pan z nią rozmawiał?

- Tak, prosiła mnie o znalezienie pewnych informacji.

- Kiedy to było?

- Dzwoniła koło południa. Wydawało mi się, że zależy jej na odpowiedzi, dlatego byłem zdziwiony, że jeszcze się nie odezwała.

- Jakie informacje ją interesowały?

- Dotyczące firmy Anson Biologicals.

- A coż to takiego?

- Jak się okazuje, to po prostu wydział naukowo-badawczy Sloan-Routhier. Wie pan, tej wielkiej

firmy farmaceutycznej. Nie mam jednak pojęcia, do czego jej była potrzebna ta informacja.

- Czy wie pan może, skąd do pana dzwoniła?
- Nie.

Lincoln odłożył słuchawkę. Nikt nie rozmawiał z Claire od południa. Upłynęło od tej chwili dziewięć godzin.

Wyszedł na parking szpitalny. Kończący się dzień był jasny, bez opadów śniegu, i wszystkie samochody lśniły od lodu.

Jadąc powoli, rozglądał się na parkingu za subaru Claire. Nie było go tam.

Wyszła ze szpitala, a potem co? Dokąd mogła pojechać?

Ruszył w kierunku Tranquility coraz bardziej niespokojny. Choć droga była pusta, a jezdnia oczyszczona z lodu, jechał powoli, przyglądając się stertom śniegu po obu stronach, szukając śladu wypadku. Zatrzymał się pod domem Claire tylko po to, żeby upewnić się, że jej tam nie ma.

Siedział później u siebie, wpatrując się w telefon, a jego zdenerwowanie rosło. Dokąd mogła pójść? Jemu już nie ufała i to właśnie najbardziej go bolało. Schował twarz w dłoniach, usiłując zrozumieć jej zniknięcie.

Denerwowała się o Noaha. Dla syna zrobiłaby wszystko.

Noah. To musiało mieć coś wspólnego z Noahem.

Znów sięgnął po telefon i zadzwonił do Fern Cornwallis.

Odezwał się, ledwo podniosła słuchawkę:

- O jaką dziewczynę Noah Elliot się bił?
 - Lincoln? Która to godzina?
 - Nazwisko, Fern. Muszę znać nazwisko tej dziewczyny.
- Fern westchnęła ze znużeniem.

- Amelia Reid.
- Czy to córka Jacka Reida?
- Tak. On jest jej ojczymem.

Na śniegu była krew.

Gdy Lincoln wjechał na podwórko przed domostwem Reidów, światła jego reflektorów wyłapały złowieszczą ciemną plamę na skądinąd dziewiczo białym śniegu. Zahamował i zatrzymał się, wpatrując się w zakrwawiony śnieg, a żołądek nagle scisnął mu strach. Furgonetka Jacka Reida stała na podjeździe, ale w domu było ciemno. Czy rodzina spała?

Powoli wysiadł z wozu i skierował na ziemię światło latarki. Początkowo zauważył jedynie jasną plamę krwi, jak czerwony wzór z testu Rorschacha. Potem dostrzegł kolejne plamy, całą ich serię, prowadzące za róg domu, a towarzyszyły im ludzkie i psie ślady. Przyjrzał się śladom i nagle pomyślał: gdzie są psy? Dwa nieprzyjemne pitbulle Jacka Reida miały obrzydliwy zwyczaj rozszarpywania wszystkich kotów w sąsiedztwie. Czy te krwawe ślady zostawiło jakieś nieszczęsne stworzenie, które zabłądziło na cudze podwórko?

Przyklęknął, by przyjrzeć się dokładniej, i zobaczył, że w śniegu leży kawałek ciemnej sierści, wciąż ze strzępem krwawego ciała. To tylko zwierzę, pomyślał. Kot albo szop. Jego napięcie wyraźnie zelżało, ale nie znikło całkowicie. Te pitbulle być może biegają gdzieś po okolicy, a nawet mu się w tej chwili przyglądają.

Uczucie bycia obserwowanym stało się nagle tak przemożne, że wyprostował się szybko i zatoczył szeroki łuk latarką, oświetlając podwórze. Gdy promień latarki zatrzymał się koło pnia klonu, dostrzegł drugi strzęp futra, tym razem znacznie większy. Mógł już rozpoznać zwierzę.

Strach wrócił z całą siłą, wszystkie nerwy aż dźwięczały z napięcia. Stalowa kolczatka odbiła światło, tak samo jak białe zęby, wyszczerzone w otwartej, pozbawionej życia szczęk. Jeden z pitbulli. A w każdym razie jego połowa. Pies był przywiązany do łańcucha, więc nie mógł uciec i uniknąć śmierci.

Lincoln nie pamiętał, żeby wyciągał broń - po prostu nagle zjawiała się w jego ręku. Strach był tak silny, że ścisnął go za gardło. Mężczyzna oświetlił latarką podwórze szerszym łukiem i odkrył drugą połowę psa i jego wnętrzności koło schodków na werandę. Podszedł do krwawej masy i zmusił się do dotknięcia szczątków gołą ręką. Tkanka była zimna, ale jeszcze nie zamarznięta. Od rzezi musiała upłynąć mniej niż godzina. Cokolwiek rozszarpało tego psa, wciąż może być w pobliżu.

Stłumiony dźwięk tłuczonego szkła sprawił, że Lincoln okręcił się na pięcie, a serce zaczęło mu walić w piersiach. Zerknął na ciemne okna. Odgłos pochodził z wnętrza domu. Mieszka tu pięcioro ludzi, w tym czternastoletnia dziewczynka. Co się z nimi stało?

Wszedł na werandę, do drzwi frontowych. Nie były zamknięte - kolejny niepokojący szczegół. Nacisnął klamkę i pchnął je. Szybki ruch latarką ukazał wytarty dywan i kilka par butów rozrzuconych na podłodze holu. Nic niepokojącego. Sięgnął do kontaktu i przekręcił, chcąc włączyć światło. Nie zapaliło się. Czyżby wyłączono elektryczność?

Na chwilę zawahał się przy frontowych drzwiach, rozważając, czy nie powinien zaanonsować swojej obecności. Wiedział, że Jack Reid ma dubeltówkę i nie zawahałby się jej użyć, gdyby przypuszczał, że ktoś się włamuje do domu. Lincoln wciągnął powietrze, chcąc krzyknąć: „Policja!”, gdy dostrzegł coś, co go natychmiast uciszyło.

Na ścianie widniał krwawy odcisk dłoni.

Pistolet nagle zaczął ślizgać się w jego ręce. Lincoln podszedł bliżej. Rzeczywiście, była to krew,

a jeszcze dalej kolejne krwawe plamy wskazywały drogę do kuchni.

W tym domu mieszka pięć osób. Gdzie są?

W kuchni znalazł pierwszego członka rodziny. Jack Reid leżał na podłodze z gardłem poderżniętym od ucha do ucha. Krew tryskająca z jego tętnicy obryzgała wszystkie ściany. Wciąż ścisnął w dłoni dubeltówkę.

Coś upadło i potoczyło się po podłodze. Lincoln natychmiast poderwał broń, a krew pulsująca w uszach niemal go ogłuszała. Hałas dochodził z dołu. Z piwnicy.

Oddychał płytko i szybko. Podeszedł cicho do drzwi piwnicy, zatrzymał się, żeby policzyć do trzech. Spoczone palce mocno trzymały broń, a serce biło coraz szybciej. Nabrał powietrza i kopnął w drzwi.

Odkoczyły i stuknęły w przeciwną ścianę.

Kilka prowadzących w dół schodków ginęło w ciemnościach. Ktoś tam był. Mrok wydawał się naładowany wrogą energią. Lincoln niemal wyczuwał czyjąś obecność u stóp tych schodów. Skierował w dół promień latarki, szybko omiatając nim pomieszczenie. Dostrzegł tylko błyskawiczny ruch cienia chowającego się pod schodami.

- Policja! - krzyknął. - Stań tam, gdzie cię mogę widzieć! - Wciąż oświetlał przestrzeń przy schodach, w to samo miejsce celując bronią. - No już, wychodź! Natychmiast!

Powoli ciemność przybrała konkretny kształt. Najpierw w zasięgu światła latarki pojawiła się ręka. Potem twarz, z której patrzyły przerażone oczy. Chłopiec.

- Moja mama - zaszlochał Eddie Reid. - Proszę mi pomóc wydostać stąd mamę.

Teraz spod schodów rozległ się kobiecy szept.

- Pomocy! Na miłość boską, pomocy!

Lincoln zszedł po schodach i skierował światło wprost na kobietę. Twarz Grace Reid była trupio

blada, zastygła w wyrazie przerażenia.

- Żadnego światła - prosiła. - Niech pan wyłączy światło, bo nas znajdzie! - Cofnęła się. Za nią widać było otwartą skrzynkę z bezpiecznikami. Grace opuściła wszystkie dźwignie, odcinając dopływ prądu.

Eddie ciągnął matkę ku schodom.

- Mamo, już dobrze. Musimy stąd wyjść. Proszę, rusz się. Proszę cię!

Grace pokręciła głową w gwałtownym proteście.

- Nie, on na nas czeka. - Wyrwała się i zapała w miejscu. - J.D. jest na górze.

Eddie znowu chwycił matkę za rękę i pociągnął ku schodom.

- Teraz, mamo!

- Chwileczkę - wtrącił się Lincoln. - A co z Amelią? Gdzie jest Amelia?

Grace spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Amelia? - bąknęła, jakby dopiero teraz przypomniała sobie o córce. - W swoim pokoju.

- Wyprowadźmy stąd twoją mamę - powiedział Lincoln do Eddiego. - Mój wóz stoi tuż przed domem.

- A co z...

- Znajdę twoją siostrę, ale najpierw muszę wpakować was do samochodu i wezwać pomoc. A teraz chodźmy. Trzymaj się tuż za mną. - Odwrócił się i zaczął powoli wchodzić po schodach. Słyszał, że Eddie i Grace idą za nim. Oddech Grace brzmiał niemal jak pojękiwanie, a Eddie mruzczał słowa pociechy.

J.D. Oboje bali się J.D.

Lincoln dotarł do szczytu schodów. Nie było sposobu, żeby tego uniknąć: musiał przeprowadzić ich przez zbryzganą krwią kuchnię, koło ciała Jacka Reida. Jeśli Grace dostanie hysterii, to właśnie

tam.

Dzięki Bogu za Eddiego. Chłopiec objął ramieniem macochę, przytulając jej twarz do swojej piersi.

- Niech pan idzie - przynaglił Lincolna. - Proszę, niech pan nas stąd po prostu zabierze.

Lincoln przeprowadził ich przez kuchnię do holu. Tam zatrzymał się nagle, bo napięte nerwy wysyłały mu sygnały alarmowe. W świetle latarki zobaczył, że drzwi frontowe stoją otworem. Czy zamknąłem je po wejściu do domu?

- Zaczekajcie - szepnął i podsunął się do drzwi. Śnieg na dworze lśnił w świetle księżyca. Wóz patrolowy stał jakieś dziesięć metrów od werandy. Panowała całkowicie nieruchoma cisza.

Coś jest nie tak. Ktoś nas obserwuje. Ktoś się czai.

Odwrócił się do Eddiego i Grace i szepnął:

- Biegnijcie do samochodu. Teraz!

Ale Grace nie pobiegła. Zamiast tego się cofnęła, a gdy jej profil pojawił się na tle oświetlonego księżycem okna, Lincoln zobaczył, że patrzy w górę. Ku schodom.

Okręcił się na pięcie akurat w chwili, gdy rzucił się na niego cień. Lincoln uderzył o ścianę z taką siłą, że stracił oddech. Ból przeciął mu policzek. Szarpnął się w bok i ostrze noża śmignęło obok, o włos, głęboko wbijając się w ścianę koło jego głowy. Broń mu upadła, wytrącona z dłoni w pierwszym zwarciu. Teraz rozpaczliwie macał po podłodze, usiłując znaleźć w ciemnościach pistolet.

Usłyszał zgrzyt noża wyrywanego z drewna i odwrócił się w momencie, gdy cień znów się na niego rzucił. Podniósł lewe ramię, zasłaniając się przed ciosem. Ostrze wbiło się aż do kości. Własny jęk bólu dotarł do niego niby jakiś obcy, odległy dźwięk.

Udało mu się jakoś uchwycić prawą ręką przegub chłopca i wytrącić mu nóż, który padając,

stuknął o podłogę. Chłopak wyrwał się i potknął, cofając.

Lincoln kucnął i chwycił nóż, ale poczucie triumfu było krótkotrwałe.

J.D. także wstał, a jego sylwetka była wyraźnie widoczna na tle okna. Trzymał pistolet Lincolna. Wymierzył go wprost w jego pierś.

Wystrzał był tak głośny, że szyba w oknie rozpadła się na kawałki. Szkło poleciało chmurą iskierek na werandę.

Żadnego bólu. Dlaczego nie czuje żadnego bólu?

Z niedowierzaniem patrzył, jak J.D. Reid, oświetlony światłem księżyca wpadającym przez stłuczone okno, powoli osuwa się na podłogę.

- Zabiłem go? - spytał drżącym głosem Eddie.

- Potrzebujemy światła - powiedział Lincoln. Usłyszał, jak Eddie potyka się w ciemnościach w kuchni, a następnie schodzi do piwnicy. Po chwili włączył bezpieczniki i światło rozbłysło.

Jeden rzut oka powiedział Lincolnowi, że J.D. nie żyje.

Eddie wrócił przez kuchnię, wciąż trzymając dubeltówkę ojca. Zwolnił i stanął koło macochy. Żadne z nich nie mogło oderwać oczu od martwego chłopca ani wydać z siebie dźwięku. Straszliwy widok J.D. Reida leżącego w kałuży krwi na zawsze utrwał się w ich umysłach.

- Amelia - powiedział Lincoln i podniósł wzrok ku schodom, ku piętru. - Gdzie jest jej sypialnia?

- Druga po prawej... - Eddie spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem.

Lincoln wbiegł po schodach. Jedno spojrzenie na drzwi pokoju Amelii powiedziało mu, że najgorsze już się stało. W drzwiach widniała wyrębana siekierą dziura, a kawałki drewna zaścielały hol. Dziewczyna zapewne starała się zamknąć przed J.D. w sypialni, ale kilka ciosów siekierą rozwaliło deski. Bojąc się tego, co zobaczy w środku, Lincoln wszedł do pokoju.

Zobaczył siekierę wbity w krzesło, przerąbane niemal na pół. Zobaczył rozbite lustro, poszarpane

sukienki, drzwi szafy wiszące na wyrwanym zawiasie. Potem popatrzył na łóżko.
Było puste.

Mitchell Groome siedział za kierownicą subaru Claire Elliot i jechał powoli w dół Beech Hill. Czekał aż do północy, do godziny, kiedy wszyscy będą już spać, ale, niestety, niebo było czyste, a światło księżyca w pełni z przeraźliwą jasnością odbijało się od śniegu. Przez to czuł się bezbronny i wystawiony na cudze spojrzenia. W każdym razie, pełnia czy nie, musiał skończyć tej nocy całą sprawę. Zbyt wiele rzeczy poszło nie po jego myśli, narzucając mu podjęcie znacznie bardziej drastycznych kroków, niż zamierzał.

Jego zadanie początkowo było bardzo proste: miał mieć na oku doktora Tutwilera oraz - udając dziennikarza zadającego pytania - spokojnie i dyskretnie badać naturalne rozprzestrzenianie się infekcji pasożytniczej wśród młodzieży Tranquility. Pracę nagle skomplikowała mu Claire Elliot, której podejrzenia okazały się zbyt bliskie prawdy. A potem Doreen Kelly stworzyła jeszcze większy problem.

Będzie musiał się gęsto tłumaczyć, gdy wróci do Bostonu.

Był pewien, że wymyśli rozsądne wyjaśnienie zniknięcia Maksa Tutwilera. Nie mógł przecież powiedzieć swoim szefom w Anson Biologicals, co się stało naprawdę: że Max chciał się wycofać, gdy dowiedział się, jak zginęła Doreen Kelly. „Zatrudniono mnie do znalezienia robaków”, protestował Max. „W Anson powiedzieli mi, że to tylko takie biologiczne poszukiwanie skarbów. Nikt nic nie mówił o mordowaniu, zresztą po co? Żeby ten gatunek pozostał sekretem korporacji?”.

Max nie rozumiał, że praca nad nowym środkiem medycznym to coś w rodzaju poszukiwania złota. Tajemnica jest czymś nieodzownym. Nie można dać znać konkurencji, że znalazło się nową

żyć.

Złotem w tym przypadku był hormon produkowany przez unikalnego bezkręgowca, hormon, którego działanie polegało na potęgowaniu poziomu agresji. Wystarczyła minimalna dawka, by podnieść wartość bitewną żołnierza w walce. Był to morderczy specyfik o oczywistych zastosowaniach militarnych.

Anson Biologicals i jego firma matka, Sloan-Routhier Pharmaceuticals, dowiedzieli się o istnieniu robaków zaledwie dwa miesiące temu, gdy na oddział psychiatryczny wojskowego szpitala w Wirginii przyjęto dwóch nastoletnich synów miejscowego małżeństwa. Jeden z chłopców wydalil robaka - bioluminescencyjny gatunek, którego żaden wojskowy patolog nie potrafił zidentyfikować.

Cała rodzina spędzała lipiec w domku nad brzegiem jeziora w Maine.

Groome skręcił na Toddy Point Road. Siedząca obok niego Claire jęknęła i poruszyła głową. Miał nadzieję, dla jej dobra, że lekarka nie w pełni odzyska świadomość, ponieważ czekający ją koniec nie był miły. On nie miał jednak innego wyjścia. Śmierć kobiety tak żalosnej jak Doreen Kelly nikogo w mieście specjalnie nie poruszyła, ale miejscowa lekarka nie mogła tak po prostu zniknąć. Władze muszą znaleźć jej ciało i stwierdzić śmierć w następstwie nieszczęśliwego wypadku.

Droga biegła teraz po niewielkich wzniesieniach. O tej porze nocy była to samotna jazda. Reflektory Groome'a ślizgały się po czarnym asfalcie pokrytym lodem i piaskiem z pobocza, oświetlając łuk na tyle szeroki, by widać było drzewa po obu stronach. Czarny tunel, otwarty jedynie na gromady gwiazd nad głową.

Groome zbliżył się do kolejnego zakrętu, gdzie asfalt uciekał ostro w lewo, i zahamował na szczycie pochylni dla łodzi.

Claire znów jęknęła, gdy przeciągał ją z siedzenia pasażera na miejsce kierowcy. Zapiął jej pas. Nie gasząc silnika, wrzucił bieg, zwolnił ręczny hamulec i zamknął drzwi.

Samochód zaczął toczyć się naprzód po łagodnym spadku pochylni.

Groome stał na poboczu, patrząc, jak dociera do jeziora i toczy się dalej. Na lodzie był śnieg i koła powoli go gniotły, reflektory oświetlały nagą przestrzeń. Dziesięć metrów. Dwadzieścia. Jak daleko do cienkiego lodu? Był dopiero pierwszy tydzień grudnia i jezioro nie mogło jeszcze zamarznąć tak mocno, by utrzymać ciężar samochodu.

Trzydzieści metrów. Wtedy właśnie Groome usłyszał ostry jak wystrzał trzask. Przód samochodu przechylił się w dół, reflektory nagle zginęły w śniegu i łamiącym się lodzie. Kolejny trzask i samochód przechylił się w przód pod dziwnym kątem, a czerwone tylne światła wskazały niebo. Teraz pękł także lód pod tylnymi kołami i samochód wpadł do wody. Reflektory zgasły, gdy zostały zalane przewody elektryczne.

Koniec rozegrał się w świetle księżyca, w krajobrazie wysrebrzonym świetlistą bielą śniegu. Samochód kołysał się chwilę na wodzie, silnik się zakrzuszył, woda wciągała wóz głębiej, biorąc go w posiadanie. Teraz odgłos chlapania, płynne zamieszanie, gdy samochód wślizgiwał się głębiej i zaczynał obracać. Zatonął kołami do góry, a dach utkwiał w mule. Groome wyobrażał sobie kłęby ciemnych osadów, zasłaniające sączące się z góry, wodniste światło księżyca.

Jutro ktoś zobaczy połamany lód, pomyślał Groome, i doda dwa do dwóch. Biedna, przemęczona doktor Elliot, jadąc nocą do domu, przegapiła zakręt i przez nieuwagę wjechała na pochylnię dla łądzi. Co za tragedia.

Usłyszał odległe zawodzenie syreny policyjnej i odwrócił się w nagłym napięciu. Dopiero gdy wóz patrolowy minął go, a potem zniknął w oddali, pozwolił sobie lżej odetchnąć. Policję wezwano gdzie indziej - nikt nie był świadkiem jego zbrodni.

Odwrócił się i zaczął iść szybkim krokiem, ku ciemności Beech Hill. Czekąca go niemal pięciokilometrowa wyprawa z powrotem do jaskini, gdzie wciąż miał wiele do zrobienia.

Rozdział dwudziesty piąty

Czuła, jak ciemność zamyka się wokół niej, czuła szok wywołany lodowatymi objęciami wody omywającej jej ciało i nagle odzyskała przytomność, budząc się w rzeczywistości znacznie bardziej przerażającej niż jakikolwiek senny koszmar.

Czarne ciemności więziły ją w przypominającej trumnę ciasnej przestrzeni. Nie wiedziała, gdzie jest góra, a gdzie dół. Czuła jedynie, że woda wspina się wokół niej coraz wyżej, chlupiąc wokół jej pasa, zaraz potem wokół piersi. Machała rękoma w panice, instynktownie wyciągając szyję, by utrzymać głowę nad powierzchnią, ale stwierdziła, że jej ciało jest przypięte. Szarpała za przytrzymujący ją pas, ale nie mogła się uwolnić. Woda moczyła już jej kark. Oddechy zamieniły się w rozpaczliwe łykanie haustów powietrza, jakby pełnych paniki szlochów.

A później nagle wszystko wywróciło się do góry nogami.

Miała czas na jeden tylko głęboki wdech - zaraz potem przewróciła się na bok, a woda zalała jej głowę, wpływając do nozdrzy.

Połykająca ją ciemność była światem absolutnej, płynnej czerni. Claire rzucała się schwytna pod wodą głową w dół. Płuca ją bolały, rozsadzał je ostatni zaczerpnięty haust powietrza.

Znów szarpnęła za pas na piersiach, ale nie chciał się rozluźnić, nie chciał jej wypuścić. Powietrze! Potrzebuję powietrza! W uszach waliły jej młoty, w mózgu rozbłyskiwały światła, ostrzegając o niedoborze tlenu. Traciła już siłę w kończynach, a jej wysiłki ograniczały się do bezużytecznego szarpania za więzy. Przez coraz gęstsze warstwy zagubienia zdała sobie sprawę z tego, że ściska w dłoni coś twardego, coś, czego kształt rozpoznawała. Klamrę pasa bezpieczeństwa. Była w samochodzie. Zapięta pasami w samochodzie.

Rozpinała ten pas już tysiące razy, więc teraz jej palce automatycznie znalazły przycisk zwalniający. Przytrzymujące ją więzy zniknęły.

Kopała i machała rękoma i nogami, uderzając o ścianki samochodu. Oślepiąca woda zdezorientowana w ciemnościach, nie potrafiła nawet powiedzieć, gdzie jest góra, gdzie dół. Palce, desperacko chwytające się wszystkiego, złapały kierownicę, otarły się o deskę rozdzielczą.

Potrzebuję powietrza!

Jej płuca zaczynały się buntować i już miała wciągnąć wodę, gdy nagle się obróciła, a jej twarz wyskoczyła nad powierzchnię, w komorę powietrzną. Claire odetchnęła głęboko, raz, drugi i trzeci. Powietrza zostało zaledwie kilkanaście centymetrów, a i ta ilość szybko się zmniejszała. Jeszcze kilka oddechów i już nic nie zostanie.

Dzięki świeżemu dopływowi tlenu jej mózg znów zaczął funkcjonować. Zmusiła się do spokoju i myślenia. Samochód stoi na dachu. Trzeba znaleźć klamkę i otworzyć drzwi.

Wstrzymała oddech i zanurzyła się w wodę. Szybko namacała klamkę i szarpnęła. Poczwała, jak zamek odskakuje, ale drzwi nie chciały się otworzyć. Dach samochodu zbyt głęboko zapadł się w muł, który je zablokował.

Oddech!

Wynurzyła się znów w komorze powietrznej i stwierdziła, że zostało jej zaledwie kilka centymetrów. Wciągając do płuc resztki tlenu, desperacko próbowała zorientować się w postawionym na głowie świecie. Okno. Otworzyć okno.

Ostatni oddech, ostatnia szansa.

Znów zanurzyła się w wodę, szukając na oślep korbki. Palce miała już tak zdrętwiałe z zimna, że z trudem chwyciły rączkę. Zdawało jej się, że każdy obrót trwa całą wieczność, ale czuła, jak okno się otwiera, a szpara poszerza. Gdy już otworzyła je na całą szerokość, głód powietrza osiągnął stan alarmowy. Przepchnęła przez otwór głowę i ramiona i nagle znów nie mogła się ruszyć.

Kurtka! Zaczepiła się!

Rzuciła się, usiłując się przepchnąć dalej, ale jej ciało tkwiło częściowo na zewnątrz, częściowo w środku samochodu. Sięgnęła do zamka błyskawicznego i rozpięła kurtkę.

W jednej chwili wyswobodziła się i gwałtownie wystrzeliła ku słabej jasności gdzieś w górze.

Przebiła się na powierzchnię, rozpryskując wodę jak milion diamentów w świetle księżyca. Wciągnęła powietrze w płuca i chwyciła najbliższą lodową krawędź. Trwała tak przez moment, dygocąc i charcząc w lodowatej nocy. Straciła już czucie w nogach, a ręce miała tak zdrętwiałe, że z trudem trzymała się lodu.

Usiłowała się nań wyczołgać, udało jej się podnieść nieco ramiona, ale natychmiast wpadła z powrotem do wody. Nie było czego się trzymać, za co chwyci, wszędzie tylko śliski lód, pokryty puszystym śniegiem. Bezradnie drapała rękami powierzchnię - brakowało punktu zaczepienia.

Znów spróbowała się wciągnąć na lód, ale ponownie ześliznęła się z pluskiem i zanurzyła się razem z głową. Wypłynęła, plując i kaszląc. Nogi miała niemal całkowicie sparaliżowane.

Nie uda jej się. Nie da rady wydostać się z wody.

Jeszcze kilkakrotnie próbowała wyczołgać się na lód, ale ubranie miała przemoczone, więc ścigało ją w dół, a dygotała tak silnie, że nawet nie potrafiła niczego się przytrzymać. Wszystkie kończyny opanowywał głęboki letarg. Były jak z drewna. Martwe. Czuła, że znów wpada w wodę, że ciemność wchłania ją, zaprasza do zimnego snu. Nie miała już energii na walkę. Nic nie zostało.

Zanurzyła się głębiej, a wyczerpanie opanowało ją całkowicie. Gdzieś w górze widziała z dziwną obojętnością blask księżyca, ale czuła, że ciemność wciąga ją w swoje objęcia. Nie czuła już zimna, tylko znużenie i nieuchronność tego, co się dzieje.

Noah.

Wydało jej się, że w kręgu światła u góry pojawiła się jego twarz z czasów, gdy był dzieckiem. Wołał do niej, wyciągał ramiona. Krąg światła rozpadł się nagle na odłamki srebra.

Noah. Myśl o Noahu.

Choć nie miała już siły, sięgnęła w górę, ku tej wymaginowanej ręce. W jej uścisku rozplynęła się jak woda. Jesteś za daleko. Nie mogę cię dosięgnąć.

Znów poczuła, że ześlizguje się w dół, wpada w mrok. Ręce Noaha znikły, ale wciąż wzywał ją jego głos. Jeszcze raz sięgnęła ku niemu w górę, zobaczyła rozjaśniający się krąg, srebrną aureolę tuż w zasięgu ręki. Jeśli uda mi się jej dotknąć, pomyślała, to dotknę raj. Dotknę mojego dziecka.

Walczyła, by tam dotrzeć, bijąc rękoma i nogami, walcząc z wciągającą ją ciemnością, napinając wszystkie mięśnie w dążeniu ku światłu.

Jej ręka przebiła powierzchnię, rozbijając ją na krople, głowa wychynęła po jeden łyk powietrza. Dostrzegła księżyc, tak piękny i jasny, że aż zabolęły ją oczy, i poczuła, że zanurza się po raz ostatni z ramieniem wyciągniętym w stronę nieba.

Jakaś ręka chwyciła jej dłoń. Prawdziwa ręka, mocny uścisk wokół przegubu. Noah, pomyślała. Znalazłam swojego syna.

Teraz ta ręka ciągnęła ją w górę, wrywała z mroku. Patrzyła ze zdumieniem, jak światło znów jaśniej rozkwitło, a potem jej głowa się wynurzyła. To nie Noah na nią patrzył, ale jakaś dziewczyna. Dziewczyna o długich włosach, błyszczących srebrem w świetle księżyca.

Mitchell Groome wylał pół kanistra benzyny na ciało Maksa Tutwilera, choć właściwie zniszczenie zwłok nie było ważne. Ta jaskinia pozostawała nieznaną przez tysiąclecia, więc szczątków Maksa nikt prędko nie znajdzie. Ponieważ jednak i tak musiał zlikwidować kolonię robaków, równie dobrze może za jednym zamachem pozbyć się także ciała.

Włożył maskę, chroniącą go przed oparami benzyny, powiesił na szyi lampę górniczą, by

rozjaśnić ciemności jaskini. Nie śpieszył się, opróżniając trzy kanistry benzyny. Nie musiał się śpieszyć - samochód lekarki zostanie znaleziony dopiero za dnia, a nawet gdyby znaleźli go wcześniej, nikt nie powiąże Groome'a z jej śmiercią. Jeśli na kogokolwiek miałyby się skierować podejrzenia, to raczej na Maksa, którego nagłe zniknięcie tylko je umocni. Groome nie lubił improwizować; nie planował takiego posunięcia, nie planował zabijania kogokolwiek. Nie brał jednak także pod uwagę tego, że Doreen Kelly ukradnie mu samochód.

Jedno morderstwo czasami pociąga za sobą kolejne.

Skończył ochlapywanie ścian i rzucił pusty kanister w płytką kałużę benzyny pośrodku jaskini. Tuż nad nią znajdowała się największa kolonia robaków. Wydawało się, że czują nadciągającą zagładę, bo wierciły się desperacko w unoszących się oparach. Nietoperze już dawno odleciały, zostawiając swoich bezkręgowych towarzyszy ich losowi. Groome jeszcze raz rozejrzał się po jaskini, upewniając się, że o niczym nie zapomniał. Ostatnie pudełko okazów oraz naukowe notatki Maksa spoczywały bezpiecznie w bagażniku samochodu, czekającego teraz na początku szlaku. Wystarczy jedna zapałka, a jaskinia stanie w płomieniach.

Cały gatunek, poza okazami hodowanymi obecnie w laboratoriach Anson Biologicals, wyginie. Hormon wydzielany przez te robaki jest wart fortunę w kontraktach Ministerstwa Obrony, ale jedynie wówczas, gdy pozostanie wyłączną tajemnicą Anson Biologicals.

Po zniszczeniu jaskini tylko Anson będzie w posiadaniu robaków. Dla całej reszty świata przyczyna tej i wszystkich poprzednich epidemii agresji pozostanie tajemnicą.

Wyczołgał się ku wyjściu, zostawiając za sobą cienką linię dopalacza. Kucnął w pierwszej komorze, zapalił zapałkę i przytknął płomień do ziemi. Linia ognia spłynęła do wejścia do tunelu, a następnie z głośnym „szuuu” druga komora buchnęła płomieniem. Groome poczuł podmuch powietrza, gdy tlen został wciągnięty jako paliwo dla ognia. Wyłączył lampę i przez chwilę

przyglądał się płomieniom, wyobrażając sobie, jak robaki czernieją, a ich spalone ciała odpadają od sufitu. Myślał także o ciele Maksa, zmienionym w niedającą się zidentyfikować kupkę kości i popiołu.

Wycofał się z jaskini, zagłębiając stopy w lodowatym strumieniu, i zasłonił wejście gałęziami. Gęsto rosnące drzewa przesłonią blask płomieni. Przebrnął przez wodę i wdrapał się na brzeg. Wciąż był nieco oślepiiony ogniem, jego oczy nie dostosowały się jeszcze do ciemności. Włączył lampę, by oświetlić sobie drogę do samochodu.

Dopiero gdy lampa rozbłysła, ujrzał stojących wśród drzew policjantów z wyciągniętą bronią. Czekających na niego.

Warren Emerson otworzył oczy i pomyślał: nareszcie umarłem. Ale dlaczego jestem w niebie? To odkrycie bardzo go zdziwiło, ponieważ zawsze zakładał, że jeśli istnieje jakieś życie po śmierci, on znajdzie się w ciemnym i okropnym miejscu. Jego egzystencja będzie zaledwie kontynuacją ponurego istnienia na ziemi.

Tu zaś były kwiaty. Całe ich bukiety.

Zobaczył czerwone róże. Orchidee niczym białe motyle, które przysiadły na gałązkach na oknie. I lilie o zapachu słodszy niż najsubtelniejsze perfumy. Patrzył ze zdumieniem, bo nigdy jeszcze nie widział czegoś tak pięknego.

Potem usłyszał skrzypnięcie krzesła przy łóżku. Siedziała na nim kobieta, która się do niego uśmiechała. Kobieta, której nie widział od lat.

Włosy miała bardziej srebrne niż czarne, a wiek wyrył głębokie zmarszczki na jej twarzy. Tego jednak Warren nie dostrzegął. Patrząc w jej oczy, widział jedynie roześmianą czternastoletnią

dziewczynkę. Dziewczynkę, którą zawsze kochał.

- Cześć, Warren - wyszeptała Iris Keating. Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń.

- Żyję - powiedział.

Usłyszała pytanie w jego głosie i przytaknęła z uśmiechem.

- Tak. Niewątpliwie żyjesz.

Spojrzał na rękę trzymającą jego dłoń. Przypomniawszy sobie, jak wiele lat temu splatały się ich palce, gdy oboje byli młodzi, gdy siadywali razem nad jeziorem. Jak bardzo zmieniły się nasze dłonie, pomyślał. Moje są pełne blizn i stwardniałe; jej powykręcane przez artretyzm. Ale znów trzymamy się za ręce, a ona wciąż jest moją Iris.

Spojrzał na nią przez łzy. I stwierdził, że jednak nie jest jeszcze gotów umrzeć.

Lincoln wiedział, gdzie ją znajdzie, i rzeczywiście tam była. Siedziała na krześle przy łóżku syna. Claire w nocy wstała ze swojego własnego szpitalnego łóżka i w szlafroku i kapciach poszła do pokoju Noaha. Siedziała tu wciąż otulona kocem, w popołudniowym słońcu wyglądając na bladą i zmęczoną. Niech Bóg strzeże tego, kto odważy się wejść między niedźwiedzicę a jej małe, pomyślał Lincoln.

Usiadł na krześle po drugiej stronie łóżka. Ich spojrzenia spotkały się nad śpiącym Noahem. Bolało go, że Claire wciąż jest nieufna, wciąż mu nie wierzy, ale rozumiał, dlaczego tak się dzieje. Zaledwie dzień wcześniej groził jej odebraniem tego, co kochała najbardziej na świecie. Teraz patrzyła na niego z zaciętym i równocześnie pełnym lęku wyrazem twarzy.

- Mój syn tego nie zrobił - powiedziała. - Dziś rano wszystko mi opowiedział. Przysiągł, że mówi prawdę, i ja mu wierzę.

Skinął głową.

- Rozmawiałem z Amelią Reid. Tamtego wieczoru byli razem aż do po dziesiątej. Potem odwiózł ją do domu. A wtedy Doreen już nie żyła.

Claire wypuściła wstrzymywane powietrze, a napięcie wyraźnie ją opuściło. Opadła na oparcie krzesła i opiekuńczo położyła Noahowi rękę na głowie. Pod dotykiem głaszczących go po włosach palców otworzył oczy i spojrzał na matkę. Żadne z nich się nie odezwało - ich ciepłe uśmiechy przekazały wszystko, co mieli sobie do przekazania.

Mogłem im obojgu oszczędzić tej męki, pomyślał Lincoln. Gdybym tylko znał prawdę. Gdyby Noah od razu się przyznał, że spędził wieczór z Amelią. Ale on chronił dziewczynę przed gniewem ojczyrna. Lincoln znał charakter Jacka Reida i rozumiał, dlaczego Amelia mogła się go bać.

A jednak mimo strachu dziewczyna była gotowa podzielić się prawdą z Claire. Wieczorem, chwilę przed tym, jak wściekłość J.D. wybuchnęła morderczym atakiem, Amelia wysliznęła się z domu i ruszyła jasną, mroźną nocą do domu Claire. Jej droga wiodła wzdłuż Toddy Point Road.

Koło pochylni dla łodzi.

Wyprawa dziewczyny uratowała życie Claire. Co więcej, Amelia równocześnie uratowała swoje własne. Noah znów zasnął.

Claire spojrzała na Lincolna.

- Czy słowo Amelii wystarczy? Czy ktokolwiek uwierzy czternastoletniej dziewczynce?

- Ja jej wierzę.

- Wczoraj mówiłeś, że masz dowody. Krew...

- Znaleźliśmy krew także w bagażniku samochodu Mitchella Groome'a.

Znaczenie jego słów dotarło do niej dopiero po chwili.

- Krew Doreen?

Potwierdził.

- Sądzę, że Groome miał zamiar rzucić podejrzenie na ciebie, nie na Noaha, gdy mazał krwią zderzak furgonetki. Nie wiedział, którym samochodem jeździłaś tego wieczoru.

Przez chwilę milczeli. Zastanawiał się, czy tak właśnie skończy się wszystko między nimi - milczeniem z jej strony, tęsknotą z jego. Tyle jeszcze powinien jej powiedzieć o Mitchellu Groome. Były rzeczy, które znaleźli w jego bagażniku: słoje z okazami i ręcznie pisane przez Maksa notatki. Tak Anson Biologicals, jak Sloan-Routhier wyparły się wszelkich związków z oboma mężczyznami, więc Groome, wściekły z powodu takiej zdrady, groził, że pociągnie za sobą farmaceutycznego giganta. Lincoln przyszedł, by opowiedzieć Claire to wszystko i wiele więcej, ale zamiast tego siedział w milczeniu, a własna niedola tak mu ciążyła, że nawet oddychanie wydawało się trudne.

- Claire? - odezwał się z cieniem nadziei w głosie.

Podniosła na niego wzrok i tym razem nie odwróciła go.

- Nie mogę cofnąć zegara - rzekł. - Nie mogę wymazać bólu, jaki ci sprawiłem. Mogę powiedzieć jedynie, że jest mi przykro. Naprawdę bardzo chciałbym znaleźć jakiś sposób, byśmy wrócili do... - Pokiwał głową. - No wiesz, tak jak byliśmy.

- Nie jestem pewna, co to znaczy, Lincoln. Tak jak byliśmy.

Zastanawiał się przez chwilę.

- No, przede wszystkim - powiedział - byliśmy przyjaciółmi.

- Tak, to prawda - przyznała.

- Dobrymi przyjaciółmi. Czyż nie?

Uśmiechnęła się słabo.

- W każdym razie dość dobrymi, żeby spać ze sobą.

Czuł, że się rumieni.

- Nie o tym mówię! Nie chodzi tylko o spanie ze sobą.
- Chodzi o... - Spojrzał na nią z bolesną uczuciowością. - Chodzi o świadomość, że mamy przed sobą jakąś szansę. Szansę, że będę cię widział co rano po przebudzeniu. Mogę poczekać, Claire. Mogę żyć z niepewnością. Nie jest to łatwe, ale mogę znieść tę niepewność tak długo, dopóki istnieje szansa, że będziemy razem. To wszystko, o co proszę.

Coś zamigotało w jej oczach. Łzy wybaczenia? Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po twarzy. Była to delikatna pieśczoła kochanki. Jeszcze lepiej, był to dotyk przyjaciela.

- Wszystko jest możliwe, Lincoln - powiedziała. I uśmiechnęła się.

Gwizdał nawet, wychodząc ze szpitala. I czemuż by nie? Niebo było błękitne, słońce świeciło, a pokryte szadzią gałęzie wierzby dźwięczały i mieniły się niczym wiszące kryształy. Za dwa tygodnie nadejdzie najkrótszy dzień w roku. A potem dni znów zaczną się wydłużać, ziemia zacznie się obracać ku światłu i ciepłu. Ku nadziei.

Wszystko jest możliwe.

Lincoln Kelly był cierpliwym człowiekiem i umiał czekać.